

KSIĘGA PIERWSZA

„Zrobiłam to" - mówi moja pamięć.

„To niemożliwe" - odpowiada niezłomnie duma.

W końcu zwycięża pamięć.

Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem*

Gdy z dwuspadowego, krytego łupkiem dachu Royal Marsden Hospital spojrzę się pomiędzy kominy i anteny telewizyjne, można zobaczyć jeszcze więcej kominów i anten telewizyjnych. Zupełnie jak w scenie z *Mary Poppins*, gdzie wszyscy kominiarze tańczą na dachu, wywijając miotełkami.

Z mojego miejsca tu, na górze, widzę kopułę Royal Albert Hall. W pogodny dzień prawdopodobnie sięgałbym wzrokiem aż po Hampstead Heath, chociaż wątpię, czy powietrze w Londynie bywa kiedykolwiek aż tak przejrzyste.

- Niezły widok - mówię, zerkając w prawo na nastolatka kucającego jakieś dziesięć stóp ode mnie. Ma na imię Malcolm i kończy dziś siedemnaście lat. Jest wysoki i chudy, z ciemnymi oczami, które drżą, kiedy spogląda na mnie, i o skórze tak białej jak kredowy papier. Chłopak ma na sobie tylko piżamę i wełnianą czapeczkę maskującą łysinę. Chemioterapia to okrutna fryzjerka.

Temperatura powietrza wynosi 3°C, ale zimny wiatr zbija ją poniżej zera. Zgrabiały mi palce i ledwo czuję paluchy u stóp poprzez skarpetki i buty. Malcolm jest boso.

Nie pochwyćę go, jeśli skoczy czy spadnie. Nawet jeśli wyciągnę się wzdłuż rynny, zabraknie mi sześciu stóp, żeby go dosięgnąć. I on o tym wie. Dobrze wszystko przemyślał. Według opinii onkologa, Malcolm ma wyjątkowo wysoki iloraz inteligencji. Gra na skrzypcach i zna pięć języków - jednak w żadnym z nich nie odzywa się do mnie.

Od godziny zadaję mu pytania i opowiadam różne historie. Wiem, że mnie słyszy, lecz mój głos stanowi jedynie hałas w tle. Jest skoncentrowany na wewnętrznym dialogu, debatuje, czy ma umrzeć, czy żyć. Chcę włączyć się do tej dyskusji, lecz najpierw muszę zostać zaproszony.

Narodowy Fundusz Zdrowia dysponuje całym zestawem wytycznych, dotyczących postępowania z zakładnikami i desperatami grożącymi samobójstwem. Skrzyknięto zespół do działań w sytuacjach krytycznych, w którego skład weszli szpitalni decydenci, funkcjonariusze policji oraz psycholog - czyli ja. Najważniejszym zadaniem jest zebranie jak najwięcej informacji o Malcolmie, które mogłyby nam pomóc zrozumieć, co go pchnęło do tego kroku. Prowadzone są rozmowy z lekarzami, pielęgniarkami, pacjentami, a także z rodziną oraz z przyjaciółmi. Główny negocjator zajmuje pozycję na wierzchołku operacyjnego trójkąta. Wszelkie informacje płyną do mnie. Dlatego właśnie sterczę tu, na zewnątrz, i odmrażam sobie kończyny, kiedy oni siedzą w środku, popijają kawę, przesłuchują personel i studiują historię choroby.

Co wiem o Malcolmie? Ma pierwotnego guza mózgu w prawej okolicy tylnoskroniowej, niebezpiecznie blisko pnia. Z powodu tego guza doznał częściowego paraliżu lewej połowy ciała i nie słyszy na jedno ucho. Dwa tygodnie temu zaczął drugą serię chemioterapii.

Dziś rano odwiedzili go rodzice. Onkolog przekazał im dobrą nowinę. Guz Malcolm'a wydaje się zmniejszać. Godzinę później Malcolm zostawił wiadomość, tylko jedno słowo: „Przepraszam”.

Opuścił salę i wdrapał się na dach przez lukarnę na czwartym piętrze. Ktoś musiał zostawić nie zamknięte okno albo on sam znalazł sposób, żeby je otworzyć.

No właśnie - to cała moja wiedza o nastolatku, który ma dużo więcej do zaoferowania światu niż większość jego rówieśników

Nie wiem, czy ma dziewczynę, ulubioną drużynę piłki nożnej czy filmowego bohatera. Wiem o wiele więcej o jego chorobie niż o nim. Dlatego jest mi tak trudno.

Pasy bezpieczeństwa, zapięte pod swetrem, krepują mi ruchy. Przypominają szelki, jakie rodzice zakładają maluchom, żeby nie uciekały. Mają mnie asekurować, gdybym spadł, oczywiście pod warunkiem, że ktoś pamiętał, aby przymocować koniec liny. Zapewne brzmi to idiotycznie, ale w sytuacjach kryzysowych zdarza się ludziom zapominać o takich drobiazgach. Być może powinienem przesunąć się do okna i poprosić kogoś, żeby to sprawdził. Czy takie zachowanie byłoby nieprofesjonalne? Tak. Rozsądne? Ponownie: tak.

Dach jest upstrzony gołębimi odchodami, a łupkowe dachówki pokryte porostami i mchem. Wzory przypominają skamieniałe rośliny odcisnięte w skale, lecz w rzeczywistości są śliskie i zdradzieckie.

- Malcolm, to zapewne bez znaczenia, ale myślę, że mniej więcej wiem, co w tej chwili czujesz - mówię, usiłując po raz kolejny do niego dotrzeć. - Też jestem chory. Nie mówię, że mam raka. Nie. Gdyby użyć porównania, mieszamy jabłka z pomarańczami, lecz tak czy owak dalej mówimy o owocach, nie?

Trzaski w słuchawce w moim prawym uchu. - Co ty, do diabła, wyprawiasz? - odzywa się głos. - Przestań gadać o sałatce owocowej i zholuj go do środka!

Wyjmuję słuchawkę, pozwalając jej opaść na ramię.

- Wiesz, ludzie zawsze mówią: „Będzie dobrze. Wszystko będzie w porządku”. Mówią tak, bo nic innego nie przychodzi im do głowy. Malcolm, ja też nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem nawet, o co pytać.

- Większość ludzi nie wie, jak się zachować wobec czyjejś choroby. Niestety nie ma podręcznika etykiety ani listy zakazów i nakazów. Albo spotyka cię łzawe spojrzenie w stylu: „Nie zniosę tego, zaraz się rozplacę”, albo wymuszona wesołość i słowa otuchy. Ta druga opcja stanowi całkowite zaprzeczenie pierwszej.

Malcolm nie reaguje. Patrzy ponad dachami, jakby spoglądał przez lufcik na szare niebo. Jego cienka biała piżama ma niebieską stebnowkę wokół mankietów i kołnierza.

W szczelinie pomiędzy kolanami widzę trzy wozy strażackie, dwa ambulanse i sześć policyjnych radiowozów. Jeden z wozów strażackich ma wysuwaną drabinę na obrotnicy. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz dostrzegam, że obraca się powoli i zaczyna wydłużać. Po co to robią? W tej samej chwili Malcolm opiera się plecami o pochyłość dachu i prostuje. Przykuca na

krawędzi, kurcząc palce stóp na rynnie, jak ptak przycupnięty na gałęzi.

Słyszę czyjś krzyk i zaraz dociera do mnie, że to ja krzyczę. Wrzeszczę na tych na dole. Gestykuuję gorączkowo, żeby zabrali drabinę. Wyglądam jak samobójca, natomiast Malcolm wydaje się zupełnie spokojny.

Odnajduję słuchawkę i słyszę pandemonium wewnątrz. Zespół kryzysowy krzyczy na dowódcę strażaków, który z kolei wydziera się na swego zastępcę, a tamten drze się jeszcze na kogoś innego.

- Malcolm, nie! Zaczekaj! - Mój głos brzmi rozpaczliwie. - Spójrz na drabinę. Obniża się. Widzisz? Zjeżdża. - Krew pulsuje mi w uszach. On nadal kuca, podkurczając i prostując palce stóp. Widzę z profilu długie, ciemne rzęsy poruszające się po woli w górę i w dół. Serce w jego wątej klatce piersiowej trzepoce jak u ptaka.

- Widzisz tamtego strażaka w czerwonym hełmie? - pytam, usiłując się wdrzeć w jego myśli. - Tego z mosiężnymi guzikami na pagonach. Jak sądzisz, jeśli splunę, mam szansę trafić go w hełm?

Na ułamek sekundy Malcolm spogląda w dół. Pierwszy raz zareagował na to, co dotąd mówiłem czy robiłem. Drzwi się uchylły.

- Niektórzy ludzie lubią pluć pestkami melona lub czereśni. W Afryce plują łajnem, co wydaje się dość obrzydliwe. Czytałem gdzieś, że światowy rekord plucia łajnem kudu wynosi około trzydziestu stóp. Kudu to chyba gatunek antylopy, ale głowy za to nie dam. Wolę tradycyjne plucie śliną i nie chodzi o odległość, tylko o celność.

Patrzy teraz na mnie. Odchylam głowę i strzykam spienioną śliną łukiem w dół. Chwyta ją wiatr i znosi na prawo, plwocina ląduje na szybie radiowozu. W milczeniu kontempluję strzał, usiłując dociec, gdzie popełniłem błąd.

- Nie wzięłeś poprawki na wiatr - zauważa Malcolm. Kiwam głową z powagą, ledwo zwracając na niego uwagę, ale w środku czuję miłe ciepło w tej części mnie, która jeszcze nie zamarzyła na kość.

- Masz rację. Między tymi budynkami powstaje coś w rodzaju wietrznych tuneli.

- Szukasz wymówek.

- No to sam spróbuj.

Spogląda w dół, ważąc moje słowa. Obejmuje kolana ramionami, jakby chciał się ogrzać. To dobry znak.

Chwilę później balonik śliny zatacza łuk i spada. Obaj obserwujemy jego lot, niemal pragnąc, żeby nie zboczył z kursu. Trafia reportera z telewizji dokładnie między oczy i obaj z Malcolmem reagujemy zgodnym pomrukiem.

Mój następny strzał ląduje nieszkodliwie na frontowych stopniach. Malcolm pyta, czy może zmienić cel. Chce jeszcze raz trafić reportera.

- Szkoda, że nie mamy woreczków z wodą - mówi, opierając podbródek na kolanie.

- Gdybyś mógł, na kogo, ze wszystkich ludzi na świecie, najchętniej spuściłbyś woreczek z wodą?

- Na rodziców.

- Dlaczego?

- Nie chcę kolejnej chemii. Mam dość. - Nie rozwija tematu. Nie ma potrzeby. Niewiele terapii ma gorsze efekty uboczne od chemii. Wymioty, mdłości, zaparcia, anemia i uczucie ogromnego znużenia bywają nie do zniesienia.

- Co mówi twój onkolog?

- Twierdzi, że guz się zmniejsza.

- To dobrze.

Śmieje się cierpko.

- To samo mówili ostatnim razem. Tak naprawdę, ganiają raka po całym ciele. On nie zniknie. Po prostu przyczai się w innym miejscu. Nigdy nie mówią o wyzdrowieniu; jedynie o remisji. Czasami w ogóle ze mną nie rozmawiają. Szepecą z rodzicami.

Przygryza dolną wargę i w miejscu, gdzie krew napłynęła do wgłębienia, pojawia się czerwony znaczek.

- Mama i tata myślą, że ja się boję umrzeć, ale to nieprawda. Powinieneś zobaczyć niektóre dzieciaki w tym szpitalu. Ja przynajmniej miałem coś z życia. Fajnie byłoby pożyć jeszcze z pięćdziesiąt lat, ale jak powiedziałem, nie boję się śmierci.

- Ile jeszcze chemii przed tobą?

- Sześć. A potem się poczeka i zobaczy. Nie chodzi o włosy. Mnóstwo piłkarzy goli głowy.

Weź Davida Beckhama jest pozerem, ale gra ostro. Brak brwi też nie jest miły.

- Podobno każe je sobie wyskubywać.

- Dla szpanu?

- No.

Niemal się uśmiecha. Słyszę w ciszy, jak dzwonią mu zęby.

- Jeżeli chemia nie poskutkuje, rodzice powiedzą lekarzom, żeby dalej próbowali. Nigdy mi nie odpuszczą.

- Jesteś na tyle dorosły, że możesz decydować o sobie.

- Spróbuj im to wytłumaczyć.

- Spróbuję, jeśli chcesz.

Kręci głową i widzę, że do oczu napływają mu łzy. Usiłuje je powstrzymać, ale duże krople już wypływają spod długich rzęs i ociera je ramieniem.

- Jest ktoś, z kim mógłbyś pogadać?

- Lubię jedną z pielęgniarek. Jest dla mnie naprawdę miła.

- To twoja dziewczyna?

Czerwieni się. Blandość cery sprawia, że twarz wygląda tak, jakby głowa napelniała się krwią.

- A może wejdiesz do środka i dłużej porozmawiamy. Nie nabieram śliny, jeśli się czegoś nie napiję.

Nie odpowiada, lecz dostrzegam, że opadają mu ramiona. Znowu wsłuchuje się w wewnętrzny dialog.

- Mam ośmioletnią córkę, Charlie - zaczynam, usiłując utrzymać jego uwagę. - Pamiętam, kiedy miała jakieś cztery lata, byliśmy w parku i bujałem ją na huśtawce. I wtedy powiedziała: „Tatusiu, wiesz, że kiedy się zaciśnie powieki, to widać gwiazdy, a potem, gdy się otworzy oczy, świat wygląda jak nowy”. Ciekawa myśl, nie uważasz?

- Ale tak nie jest.

- Może tak być.

- Tylko, jeśli się będzie udawać.

- Czemu nie? Co cię powstrzymuje? Ludziom się wydaje, że cynizm i pesymizm łatwo przychodzi, lecz to niewiarygodnie trudne zadanie. O wiele łatwiej być pełnym nadziei.

- Mam nieoperacyjnego guza mózgu - mówi z niedowierzaniem.

- Tak. Wiem.

Zastanawiam się, czy moje słowa brzmią dla Malcolma tak samo mało przekonująco jak dla mnie. Kiedyś wierzyłem w cały ten psychologiczny bełkot. Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Jesteś lekarzem?

- Psychologiem.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego powinienem zejść?

- Bo tu jest zimno i niebezpiecznie i widziałem, jak wyglądają ludzie po skoku z dachu.

Wejdźmy do środka. Rozgrzejemy się.

Zerka na dół na paradę ambulansów, wozów strażackich, samochodów policyjnych i wozów transmisyjnych.

- Wygrałem konkurs plucia.

- Tak.

- Porozmawiasz z mamą i tatą?

- Jasne.

Usiłuje się podnieść, ale nogi ma zziębnięte i zeszywniałe. Paraliż lewej strony czyni jego ramię niemal bezużytecznym. Potrzebuje obu rąk, żeby wstać.

- Nie ruszaj się. Każę im podciągnąć drabinę.

- Nie! - protestuje stanowczo. Widzę wyraz jego twarzy.

Nie chce, aby w świetle telewizyjnych reflektorów ściągnięto go na dół i żeby reporterzy zadawali pytania.

- Dobra. Pójdę po ciebie. - Jestem zdumiony, jak odważnie to brzmi. Zaczynam się przesuwac na siedząco - zbyt przerażony, by wstać. Nie zapomniałem o pasach bezpieczeństwa, lecz nadal jestem przekonany, że nikt nie zadał sobie trudu, żeby je przymocować.

Posuwam się wzdłuż rynny, a wyobrażenia podsuwa mi obrazy wszelkich niefortunnych przypadków. Gdyby to był hollywoodzki film, Malcolm ześliznąłby się w ostatniej sekundzie, a ja rzuciłbym się za nim i złapał go w powietrzu. To jedna możliwość, a druga, że to ja spadam, a on mnie ratuje.

Jednak - ponieważ to prawdziwe życie - obaj możemy zginąć, albo Malcolm przeżyje, a ja zostanę dzielnym ratownikiem, który poniósł śmierć na posterunku.

Chociaż Malcolm nawet nie drgnie, dostrzegam nowe emocje w jego oczach. Kilka minut temu był gotów, bez wahania, zrobić krok z krawędzi dachu. Teraz chce żyć i pustka przed stopami stała się przepaścią.

Amerykański filozof William James (klaustrofobik) w artykule z 1884 roku rozważa naturę strachu. Na przykładzie spotkania człowieka z niedźwiedziem. Czy człowiek biegnie dlatego, że odczuwa strach, czy boi się dopiero wtedy, gdy zacznie biec? Innymi słowy; czy mamy czas pomyśleć, że coś nas przeraża, czy też reakcja wyprzedza myśl?

Od tamtej pory naukowcy i psychologowie bezowocnie roztrząsają ten problem, podobne jak odpowiedź na pytanie o kurę i jajko. Co jest najpierw - świadomość strachu czy też przyspieszone bicie serca i przyływ adrenaliny, który każe nam walczyć lub wziąć nogi za pas?

W tej chwili znam odpowiedź, jednak jestem tak przerażony, że zapomniałem, jak brzmi pytanie.

Znajduję się o parę stóp od Malcolma. Policzki mu posiniały i przestał dygotać. Przyciskając plecy do muru, prostuję jedną nogę i unoszę się powoli do pozycji stojącej.

Malcolm przez chwilę wpatruje się w moją wyciągniętą rękę, a potem sięga po nią ostrożnie. Chwytam go za nadgarstek i podciągam ku sobie, aż mogę otoczyć ramieniem jego chudą talię. Skórę ma zimną jak lód. Pasy bezpieczeństwa mają zapięcie z przodu i można je wydłużać. Opasuję go nimi w talii, zapinam klamrę i teraz jesteśmy do siebie przywiązani. Jego wełniana czapka drapie mnie w policzek.

- Co mam robić? - pyta mnie ochrypłym głosem.

- Możesz się pomodlić, żeby koniec liny był do czegoś przytwierdzony.

Prawdopodobnie bezpieczniej czułem się na dachu Marsdena niż w domu z Julianne. Nie pamiętam dokładnie, jak mnie nazwała, ale, zdaje się, użyła takich słów, jak: nieodpowiedzialny, nonszalancki, bezmyślny, infantylny i niedojrzały do roli rodzica. To było po tym, jak cisnęła we

mnie egzemplarzem „Marie Claire” i kazała przysiąc, że nigdy więcej nie zrobię czegoś równie głupiego.

Z kolei Charlie nie daje mi chwili wytchnienia. Podryguje na łóżku w piżamce i zasypuje pytaniami, jak wysoko byłem, czy się bałem i czy strażacy rozwinęli wielką siatkę, żeby mnie złapać.

- Nareszcie mam jakąś ekscytującą wiadomość - mówi, kuksając mnie w ramię. Cieszę się, że Julianne tego nie słyszy.

Każdego ranka, gdy zwlekę się z łóżka, celebрую mały rytuał. Kiedy się pochylam, żeby zawiązać sznurowadła, mniej więcej się orientuję, jaki czeka mnie dzień. Jeśli jest początek tygodnia i czuję się wypoczęty, palce lewej ręki sprawują się całkiem nieźle. Guziki trafiają w dziurki, pasek w szlufki i mogę nawet Zawiązać krawat na węzeł windsorski. W złe dni, takie jak ten, to zupełnie inna historia. Facet, którego widzę w lustrze, będzie potrzebował obu rąk, żeby się ogolić i przyjdzie na śniadanie ze skrawkami papieru toaletowego przyklejonymi do szyi i podbródka. W takie poranki Julianne mówi:

- W łazience leży nowiutka golarka elektryczna.
- Nie odpowiadają mi elektryczne golarki.
- Dlaczego?
- Bo lubię piankę.
- Co jest do lubienia w piance?
- To mile brzmiące słowo, nie uważasz? Nawet seksy - pianka. Dekadenckie.

Chichocze teraz, ale nadal udaje, że jest zła.

- Ludzie nacierają ciała mydlaną pianą, pokrywają je pianą z żelu pod prysznic. Uważam, że powinniśmy napieniać babeczki dżemem i bitą śmietaną. No i nakładać piankę z balsamu do opalania latem... gdybyśmy tylko je mieli.

- Tatusiu, jesteś niemądry - mówi Charlie, podnosząc wzrok znad swoich płatków.
- Dziękuję ci, ptaszyno.
- Wybitny talent komiczny - zauważa Julianne, odrywając skrawki papieru toaletowego z mojej twarzy.

Siadając do stołu, wsypuję łyżeczkę cukru do kawy i zaczynam mieszać. Julianne mnie obserwuje. Łyżeczka tkwi nieruchomo w filiżance. Koncentruję się i każę mojej lewej ręce, aby zaczęła się poruszać, lecz żadne natężenie siły woli nie jest w stanie jej do tego zmusić. Zgrabnie przekładam łyżeczkę do prawej ręki.

- Kiedy widzisz się z Jockiem? - pyta Julianne.
- W piątek. - *Proszę, nie pytaj o nic więcej.*
- Będzie miał już wyniki testów?

- Powie nam to, co już wiemy.
- Ale sądziłam, że...
- Nic takiego nie mówił! - Nie cierpię szorstkiego tonu w moim głosie.

Julianne pozostaje nieporuszona.

- Rozzłościłam cię. Już wolę, jak jesteś niemądry.
- Jestem niemądry. Wszyscy to wiedzą.

Przejrzałem ją. Myśli, że zgrywam twardziela i ukrywam swoje uczucia, albo staram się być zażarcie pozytywny, tymczasem w rzeczywistości jestem zupełnie rozbity. Moja matka jest taka sama - stała się cholernym domorosłym psychologiem. Dlaczego nie zostawią tego fachowcom?

Julianne odwraca się do mnie plecami. Drobi czerstwy chleb, żeby wysypać go ptakom. Współczucie to jej hobby.

W szarym dresie, adidasach i w czapeczce baseballowej na krótko obciętych ciemnych włosach wygląda na dwadzieścia siedem, a nie trzydzieści siedem lat. Zamiast starzeć się ze mną, z godnością, odkryła sekret wiecznej młodości, tymczasem ja podnoszę się z kanapy za drugim podejściem. W poniedziałki joga, we wtorki trening według metody Pilatesa, w czwartki i w soboty fitness. W tak zwanym międzyczasie prowadzi dom, wychowuje dziecko, uczy hiszpańskiego i znajduje jeszcze czas na próby ratowania świata. Nawet poród w jej wykonaniu wydawał się łatwy, ale nie powiedziałbym jej tego, dopóki mi życie miłe. Jesteśmy małżeństwem od szesnastu lat, a kiedy ktoś mnie pyta, dlaczego zostałem psychologiem, mówię, że przez Julianne. Chciałem wiedzieć, co naprawdę myśli.

Nic z tego. Nadal nie mam o tym zielonego pojęcia.

Niedzielnny poranek mam dla siebie. Zagrzebuję się pod warstwą czterech gazet i sączę kawę, dopóki nie ścierpnie mi język. Po tym, co stało się wczoraj, unikam nagłówków, chociaż Charlie nalega, żebyśmy je powycinali i wkleili do zeszytu. Zapewne to całkiem „cool” choć raz być „cool”. Do wczoraj uważała moją pracę za nudniejszą od krykieta.

Charlie wbiła się w dzinsy, w półgolf i w kurtkę narciarską, ho obiecałem, że dziś może mi towarzyszyć. Pochłonęła śniadanie i teraz spogląda na mnie niecierpliwie - przekonana, że zbyt wolno piję kawę.

Gdy nadchodzi czas, żeby załadować samochód, nosimy kartony z szopy w ogrodzie i ustawiamy je obok mojego starego metra. Julianne siedzi na stopniach przed domem z filiżanką kawy na kolanie.

- Wiecie co, oboje jesteście szurnięci.
- Być może.
- Zamkną was.
- I to będzie twoja wina.

- Dlaczego moja?
- Bo nie chcesz pojechać z nami. Potrzebujemy kierowcy w razie wypadki.
- Chodź, mamuś. Tata mówił, że kiedyś jeździłaś - szczebiocze Charlie.
- Byłam wtedy młoda i głupia i nie należałam do komitetu rodzicielskiego w twojej szkole.
- Wiesz, Charlie, że na drugiej randce z twoją mamą aresztowali ją, bo wdrapała się na maszt i zdjęła południowoafrykańską flagę?

- Nie opowiadaj jej tego! - krzywi się Julianne.
- Naprawdę cię zamknęli?
- Zostałam pouczona. To nie to samo.

Dwa kartony umieszczamy na dachu, dwa w bagażniku i kolejne dwa na tylnym siedzeniu. Drobną kropelki potu, jak szklane koraliki, zdobią górną wargę Charlie. Ściąga kurtkę i wrzuca ją między fotele.

Odwracam się do Julianne.

- Na pewno nie pojedziesz? Wiem, że masz ochotę.
- A kto wpłaci za nas kaucję?
- Twoja matka.

Mruży oczy, ale odstawia filiżankę za drzwi.

- Robię to pod naciskiem.
- Należycie odnotowane. Wyciąga rękę po kluczyki.
- Ja prowadzę.

Chwyta kurtkę z wieszaka w przedpokoju i zatrzaskuje drzwi. Charlie wciska się pomiędzy kartony na tylnym siedzeniu i podniecona wychyla do przodu.

- Opowiedz mi o Gracie jeszcze raz - prosi, kiedy włącza my się w nieduży ruch na Prince Albert Road przy Regent's Park. I niczego nie opuszczaj tylko dlatego, że mama jedzie z nami.

* * *

Nie mogę opowiedzieć całej historii. Nawet nie jestem pewien wszystkich szczegółów. Jej centralnym punktem jest moja cioteczna babka, Gracie - tak naprawdę to z jej powodu zostałem psychologiem. Była najmłodszą siostrą mojej babki ze strony matki i zmarła mając osiemdziesiątkę, nie wystawiwszy nogi poza próg swego domu przez niemal sześćdziesiąt lat.

Mieszkała w zachodniej części Londynu, mniej więcej o milę od miejsca, gdzie dorastałem, w dużym, starym, wolno stojącym wiktoriańskim domu z wieżyczkami na dachu, metalowymi balkonami i z piwnicą na węgiel. W drzwiach wejściowych były dwie prostokątne kryształowe szybki. Przyciskałem do nich nos i widziałem z dziesięć rozszczępionych sylwetek ciotki Gracie spieszącej przez hol, żeby mi otworzyć. Uchyłała drzwi na tyle, abym mógł się wśliznąć do środka,

i czym prędzej je zamykała.

Była wysoka i chuda jak szkielet, miała bladoniebieskie oczy i jasne włosy z pasemkami siwizny, i zawsze chodziła w długiej sukni z czarnego aksamitu, ze sznurem pereł na szyi, które zdawały się świecić na tle czerni materiału.

- Chodź, Finnegan! Chodź tutaj! Joseph przyszedł!

Finnegan był psem rasy Jack Russell, pozbawionym możliwości szczekania. Owczarek niemiecki zmiądzzył mu krtań podczas walki. Zamiast szczekać sapał i zipał, jakby brał udział w przesłuchaniu do roli wielkiego złego wilka w pantomimie.

Gracie rozmawiała z Finneganem jak z człowiekiem. Czytała mu artykuły z lokalnych gazet lub zadawała pytania dotyczące lokalnych problemów. Przytakiwała skinieniem głowy, ilekroć zareagował sapnięciem, zipnięciem lub pierdnięciem. Finnegan miał nawet własne krzesło przy stole, a Gracie podsuwała mu kęsy ciasta, ganiąc się jednocześnie za „karmienie zwierzęcia z ręki”.

Gdy Gracie nalewała herbatę, moją filiżankę napełniała do połowy mlekiem, bo byłem za młody, żeby pić mocny napar. Ledwo sięgałem stopami podłogi, siedząc na krześle w jadalni. Jeśli wsunąłem się głębiej na krzesło, moje nogi znajdowały się na wysokości rąbka koronkowej serwety.

Wiele lat później, kiedy opierałem stopy o podłogę i musiałem się pochylić, żeby cmoknąć Gracie w policzek, nadal nalewała mi mleka do połowy filiżanki. Może nie chciała, żebym dorósł.

Kiedy przychodziłem do niej prosto ze szkoły, sadzała mnie obok siebie na szezlongu i zamykała moją rękę w obu dłoniach. Pragnęła wiedzieć dokładnie, jak wyglądał mój dzień. Czego się nauczyłem. W jakie gry się bawiłem. Z czym miałem kanapki. Chłonęła wszystkie szczegóły, jakby chciała prześledzić każdy mój krok.

Gracie cierpiała na klasyczny przypadek agorafobii - lęku przed otwartą przestrzenią. Pewnego razu spróbowała mi to wytłumaczyć, znużona zbywaniem moich pytań.

- Czy kiedykolwiek przerażały cię ciemności? - spytała.

- Tak.

- Czego się boisz, gdy gaśnie światło?

- Że porwie mnie potwór.

- Widziałeś kiedykolwiek potwora?

- Nie. Mama mówi, że potwory nie istnieją.

- Ma rację. Nie istnieją. Skąd więc wziął się ten potwór?

- Stąd. - Poklepałem się po głowie.

- No właśnie. Ja też mam takiego potwora. Wiem, że podobno nie istnieje, ale nie chce ode mnie odejść.

- Jak wygląda twój potwór?

- Ma dziesięć stóp wzrostu i nosi miecz. Jeśli spróbuję wyjść z domu, utnie mi głowę.
- Wymyśliłaś to?

Roześmiała się i chciała mnie połaskotać, ale odepchnąłem jej ręce. Życzyłem sobie szczerzej odpowiedzi.

Zmęczona tą rozmową przymknęła powieki i wsunęła luźne pasma włosów w ciasno zwinięty koczek.

- Oglądałeś któryś z tych horrorów, gdzie bohater usiłuje uciekać i nie chce mu zapalić samochód? Wielokrotnie przekręca kluczyk i naciska sprzęgło, tymczasem silnik tylko rzezi i gaśnie. A ty widzisz, jak zbliża się czarny charakter. Ma rewolwer i nóż. Powtarzasz w myślach: „Uciekaj stąd! Szybko! On tu idzie!”.

Kiwam głową z szeroko otwartymi oczami.

- Teraz weź ten strach, pomnóż przez sto i będziesz wie dział, co czuję, kiedy pomyślę o wyjściu na zewnątrz.

Podniosła się i wyszła z pokoju. Rozmowa dobiegła końca. Nigdy więcej nie podjąłem tego tematu. Nie chciałem jej zasmucać.

Nie wiem, jak sobie radziła. Co jakiś czas przychodziły czeki z kancelarii prawniczej, lecz Gracie kładła je na gzymsie kominka i leżały tam aż do utraty ważności. Podejrzewam, że stanowiły część jej spadku, ale ona nie chciała mieć nic wspólnego z pieniędzmi rodziny. Nie znałem powodu... wtedy jeszcze go nie znałem.

Pracowała jako krawcowa - szyła stroje ślubne i suknie dla druzhen. Często bawialnię spowijały jedwabie i organza. Przyszła panna młoda stała na stołeczku, a Gracie miała pełno szpilek w ustach. To nie było miejsce odpowiednie dla małych chłopców - no, chyba że interesowało ich modelowanie sukien.

Pokój na górze był zarzucony czymś, co Gracie nazywała „swoimi skarbami”. Należały do nich książki, żurnale, kupony materiału, szpulki bawełnianych nici, pudła na kapelusze, worki pełne kłębków wełny, albumy z fotografiami, miękkie zabawki oraz wielki kufer z pudełkami i szkatułkami o niezbadanej zawartości.

Większość tych „skarbów” była darowana lub trafiała do niej drogą pocztową. Na ławie zawsze leżał otwarty katalog i każdego dnia listonosz przynosił coś nowego.

Naturalnie Gracie miała raczej ograniczone wyobrażenie o świecie. Dzienniki telewizyjne i programy dokumentalne jeszcze bardziej powiększały uczucie konfliktu ze światem i bólu. Widziała walczących i głodujących ludzi, ginącą przyrodę, lecące bomby. Chociaż nie te problemy kazały jej uciec od świata, to na pewno nie zachęcały, aby doń powrócić.

- Ogarnia mnie przerażenie, kiedy widzę, jaki jesteś mały - wyznała kiedyś. - To nieodpowiedni czas na bycie dzieckiem. - Spojrzała w wykuszowe okno i wzdrygnęła się, jakby zobaczyła straszny

los, który mnie czeka. Ja widziałem tam jedynie zarośnięty i zapuszczony ogród z białymi motylami fruującymi po między sękatymi konarami jabłoni.

- Nigdy nie korci cię, żeby wyjść na dwór? - spytałem. - Nie miewasz ochoty popatrzeć na gwiazdy, przejść się brzegiem rzeki czy pozachwycać się ogrodami?

- Przestałam o tym myśleć dawno temu.

- Czego najbardziej ci brakuje?

- Niczego.

- Musi coś takiego być. Zamyśliła się na chwilę.

- Uwielbiałam jesień, ten czas, kiedy liście żółkną i zaczyna ją opadać. Chodziliśmy do Kew Gardens, biegałam alejkami, podbijałam liście w górę i usiłowałam je łapać. Zwinięte listki szybowwały w powietrzu jak miniaturowe łódeczki i osiadały na moich dłoniach.

- Mogłbym ci zawiązać oczy - zasugerowałem.

- Nie.

- A gdybym nałożył ci karton na głowę? Mogłabyś udawać, że jesteś we wnętrzu.

- Nie sądzę.

- A może poczekałbym, aż zaśniesz, i wypchnął z łóżkiem na dwór?

- Po schodach?

- Hmm. Trochę to ryzykowne. Objęła mnie za ramiona.

- Nie martw się o mnie. Czuję się tu całkiem szczęśliwa.

Od tego czasu uprawialiśmy coś w rodzaju stałego żartu. Wymyślałem nowe sposoby wyciągnięcia jej na dwór i nowe atrakcje, takie jak latanie na lotni i spacer po skrzydłach samolotu. Gracie reagowała udawanym przerażeniem i mówiła, że naprawdę mam źle w głowie.

-

- No, ale co z tymi jej urodzinami? - pogania mnie niecierpliwie Charlie. Przecinamy St John's Wood, przejeżdżając obok boiska do krykieta Lord's. Światła sygnalizacyjne świecą jaskrawo na tle szarego ogrodu.

- Zdaje się, chciałaś usłyszeć całą historię?

Tak, ale zaczynam się starzeć. Julianne dostaje napadu chichotu.

- Wiesz, ona odziedziczyła sarkazm po tobie.

- Dobra - wzdycham. - Opowiem ci o urodzinach Gracie. Nigdy nie wyjawiała wieku, ale wiedziałem, że kończy siedemdziesiąt pięć lat, bo natrafiłem na pewne daty, przeglądając jej albumy ze zdjęciami.

- Wspominałaś, że była piękna - podpowiada Charlie.

- Tak. Niełatwo ocenić urodę na podstawie starych zdjęć, ponieważ nikt się na nich nie uśmiecha, a kobiety wyglądają wręcz na przerażone. Jednak Gracie się wyróżniała. Miała wesołe

iskierki w oczach i taką minę, jakby z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Mocno zaciskała pasek w talii i ustawiała się w taki sposób, że słońce przeświecało przez spódnicę.

- Zalotnica - zauważa Julianne.
- Co to jest zalotnica? - chce wiedzieć Charlie.
- Nieważne.

Charlie nadyma buzię i obejmuje nogi ramionami, opierając podbródek na kolanach połatanych dzinsów.

- Oczywiście trudno było przygotować niespodziankę dla Gracie, ponieważ nigdy nie wychodziła z domu - wyjaśniam. - Musiałem wszystko robić, kiedy spała.

- Ile miałeś wtedy lat?
- Szesnaście. Nadal byłem w Charterhouse.

Charlie kiwa głową i zaczyna upinać włosy. Kiedy to robi, wygląda zupełnie jak Julianne.

- Gracie nie używała garażu. Samochód nie był jej do niczego potrzebny. Garaż miał dużą, drewnianą bramę, otwieraną na zewnątrz, a także wewnętrzne drzwi, które prowadziły do pralni. Najpierw wysprzątałem garaż, powynosiłem rupiecie i pobielilem ściany.

- Musiałeś się bardzo cicho sprawować.
- Tak.
- I rozwiesiłeś lampki choinkowe.
- Całe setki. Wyglądały jak migotliwe gwiazdki.
- A potem wziąłeś ogromny worek.
- Zgadza się. Zajęło mi to cztery dni. Jeździłem na rowerze z jutowym workiem przerzuconym przez ramię. Ludzi musieli brać mnie za zamiatacza ulic albo dozorcę z parku.

- Prawdopodobnie sądzili, że ci odbiło.

- Zapewne.

- Tak jak nam odbija?

- Tak jest. - Zerkam ukradkiem na Julianne; nie wygląda na zainteresowaną.

- Co było dalej? - pyta Charlie.

- Hmm, w urodzinowy poranek, gdy Gracie zeszła na dół, kazałem jej zamknąć oczy. Wzięła mnie pod rękę, a ja przeprowadziłem ją przez kuchnię do pralni, a stamtąd do garażu. Kiedy otworzyła drzwi, lawina liści zasypała ją po pas. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że jest na mnie zła, lecz zaraz uśmiechnęła się do mnie w ten swój cudowny sposób.

- Wiem, co było dalej - oznajmia Charlie.
- No tak. Opowiadałem ci już kiedyś tę historię.
- Wbiegła w te wszystkie liście.
- Tak jest. Oboje wbiegliśmy. Wzbijaliśmy je w powietrze i brodziliśmy w nich, wysoko

unosząc kolana. Zrobiliśmy bitwę na liście i usypaliśmy górę. W końcu tak się zmęczyliśmy, że padliśmy na stertę liści i gapiliśmy się na gwiazdy.

- Ale to nie były prawdziwe gwiazdy, co?
- Nie, lecz mogliśmy udawać.

Wejście na cmentarz Kensal Green jest na Harrow Road i bardzo łatwo je przeoczyć. Julianne podjeżdża wąską drogą i parkuje samochód na placu pośród drzew, jak najdalej od domku dozorczy. Przez przednią szybę widzę rzędy nagrobków poprzecinane ścieżkami i rabatami.

- Czy to jest niezgodne z prawem? - szepce Charlie.
- Tak - odpowiada Julianne.
- Raczej nie - oponuję, wyładowując kartony i podając je Charlie.
- Mogę wziąć dwa - oznajmia Charlie.
- Okey. Wezmę trzy i wrócimy po resztę. Chyba że mama chce...
- Dobrze mi tu, gdzie jestem. - Julianne nie rusza się z za kierownicy.

Idziemy, trzymając się z początku blisko drzew. Długie palce trawnika wyciągają się pomiędzy grobami. Stąпам ostrożnie, bo nie chcę podeptać kwiatów ani uderzyć gołębiami o jakiś mniejszy nagrobek. Odgłosy Harrow Road cichną, zastępują je ptasie trele i sporadyczny łomot ekspresowych pociągów intercity.

- Wiesz, dokąd idziemy? - pyta za moimi plecami Charlie, lekko sapiąc.
- Tam, w stronę kanału. Chcesz odpocząć?
- Dam radę. - W jej głosie pojawia się wahanie. - Tato?
- Tak?
- Pamiętasz, jak mówiłeś, że Gracie lubiła kopać liście?
- Tak.
- Ponieważ nie żyje, nie może ich kopać, prawda?
- Nie.

- To znaczy, że nie może ożyć. Umarli tego nie robią, co? Bo ja widziałam takie kreskówki o zombie i o mumiach, które wracały do życia, ale w rzeczywistości tak się nie dzieje, prawda?

- Nie.
- To co my robimy tutaj z tymi wszystkimi liśćmi?

W takich sytuacjach zazwyczaj odsyłam Charlie do Julianne. Ona natychmiast kieruje ją z powrotem do mnie, mówiąc: „Twój tata jest psychologiem. Zna się na tych sprawach”.

Charlie czeka.

- Robimy coś w rodzaju symbolicznego gestu - mówię.
- Co to znaczy?
- Słyszałaś kiedyś, jak ludzie mówią: „Liczy się pamięć”?

- Zawsze to powtarzasz, gdy dostaję prezent, który mi się nie podoba. Mówisz, że powinnam być wdzięczna, nawet jeśli prezent jest do niczego.

- To niedokładnie tak - próbuję z innej strony. - Ciocia Gracie naprawdę nie może kopać tych liści. Lecz gdziekolwiek teraz jest, jeśli nas widzi, to myślę, że się ucieszy. Sprawimy jej radość tym, co robimy. I to się liczy.

- Będzie kopać liście w niebie? - pyta Charlie.

- Jasne.

- Jak sądzisz, wyjdzie na zewnątrz, czy w niebie jest taki placyk?

- Nie wiem.

Stawiam kartony na ziemi i uwalniam Charlie od balastu. Nagrobek Gracie to prosta granitowa płyta. Ktoś oparł zabłoconą łopatę o mosiężną tablicę. Oczyma wyobraźni widzę grabarzy, którzy zrobili sobie przerwę na herbatę, tylko że obecnie wykorzystuje się maszyny zamiast siły mięśni. Odrzucam łopatę na bok, a Charlie rękawem kurtki poleruje litery na tablicy. Zakradam się od tyłu i wysypuję jej karton liści na głowę.

- Hej! To nie fair! - Charlie zgarnia garść liści i wpycha mi je pod sweter. Wkrótce wszędzie fruwać liście. Nagrobek Gracie ginie pod jesienną ofiarą.

Ktoś chrząka za naszymi plecami, słyszę, jak Charlie wydaje okrzyk zdziwienia.

Na tle bladego nieba rysuje się sylwetka dozorca. Stoi "w rozkroku, podparty pod boki. Jest w groszkowo zielonej kurtce i w zabłoconych gumiakach, które wydają się na niego za duże.

- Czy moglibyście wyjaśnić, co właściwie robicie? - pyta na jednym tonie. Podchodzi bliżej. Ma okrągłą, płaską twarz o szerokim czole i jest łysy. Przywodzi mi na myśl Tomka Tendzaka - lokomotywę z kreskówek.

- To długa historia - odzywam się niepewnie.

- Bezcieścicie grób.

Rozśmiesza mnie absurdalność tego stwierdzenia.

- Nie sądzę.

- Uważa pan, że to zabawne? To jest wandalizm. Przestępstwo. Zaśmiecanie...

- Obiektywnie rzecz biorąc, liście nie są śmieciami.

- Niech pan ze mną nie pogrywa - wykrzykuje.

Charlie postanawia interweniować. Wyrzucając słowa na jednym oddechu, wyjaśnia:

- Gracie ma urodziny, nie możemy jej urządzić przyjęcia ponieważ nie żyje. Nie lubi wychodzić na zewnątrz. Przynieśliśmy jej trochę liści. Lubi w nich brodzić. Proszę się nie bać, ona nie jest zombie ani mumią. Nie wstanie z grobu. Jest w niebie. Myśli pan, że w niebie są drzewa?

Dozorca wpatruje się w nią oszołomiony, zanim dociera do niego, że to ostatnie pytanie było pod jego adresem. Ponieważ zupełnie odjęło mu mowę, dopiero po paru próbach udaje mu się wydobyć

głos. W pełni rozbrojoną przykuca, żeby znaleźć się z nią twarzą w twarz.

- Jak się nazywasz, panienko?
- Charlie Louise O'Loughlin. A pan?
- Gravesend.
- Śmiesznie.
- No, dość. - Uśmiecha się.

Gdy przenosi wzrok na mnie, w oczach nie ma śladu życzliwości.

- Wie pan, od ilu lat usiłuję złapać tego skubańca, który wysypuje liście na grób?
- Około piętnastu? - podsuwam.

- Powiedziałbym, że od trzynastu, ale skoro pan tak mówi. To ja wykombinowałem, kiedy pan tu przyjeżdża. Zannotowałem sobie datę. Dwa lata temu o mało pana nie złapałem, ale musiał pan przyjechać innym samochodem.

- Mojej żony.

- A w zeszłym roku miałem wolne - to była sobota. Kazałem młodemu Whitneyowi uważać na pana, ale według niego świruję - Mówi, żebym się tak nie podniecał z powodu kupy liści.

Trąca noskiem gumiaka sporną stertę.

- Ja tam traktuję swoją robotę poważnie. Ludzie przychodzą i miewają różne pomysły - na przykład chcą zasadzić dąb na grobie albo zostawiają dziecinne zabawki. Jeśli zaczniesz im się pozwalać, na co tylko mają ochotę, do czego dojdziemy?

- To musi być ciężka praca - mówię.
- Ma pan cholerną rację! - Ogląda się na Charlie. - Wybacz mój język, panienko.

Charlie chichocze.

Ponad jego prawym ramieniem, na drugim brzegu kanału dostrzegam niebieskie migające światła; dwa policyjne radiowozy podjeżdżają do samochodu, który stoi zaparkowany na ścieżce holowniczej. Światła odbijają się od ciemnej wody i prześlizgują po pniach nagich drzew, które, niby wartownicy, trzymają straż nad grobami.

Kilku policjantów zagląda do rowu obok kanału. Stoją jak wrośnięci do chwili, kiedy jeden z nich zaczyna odgradzać teren, okręcając biało-niebieską policyjną taśmę wokół pni drzew i słupów parkanu.

Pan Gravesend milknie, niepewny, co dalej począć. Jego plany dotyczyły pochwylenia mnie, ale nie wyszły poza tę czynność. Co więcej, nie spodziewał się obecności Charlie.

Sięgam do kieszeni płaszcza i wyciągam termos. W drugiej kieszeni mam dwa metalowe kubeczki.

- Właśnie mieliśmy się napić gorącej czekolady. Ma pan ochotę?
- Może pan wziąć mój kubek - proponuje Charlie. - Ja się podzielę z tatą.

Dozorca rozważa propozycję, zastanawiając się, czy można ją zakwalifikować jako formę łapówki.

- Więc do tego doszło - mówi cichym, pogodnym głosem. - Albo sprawię, że pana aresztują, albo napiję się gorącej czekolady.

- Mamusia mówiła, że nas aresztują - szczebiocze Charlie. - Powiedziała, że jesteśmy szurnięci.

- Trzeba było słuchać mamy.

Wręczam kubek dozorczy, drugi podaję Charlie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, ciociu Gracie - mówi.

Pan Gravesend mamrocze odpowiednią formułkę, nadal osłupiały z powodu swojej błyskawicznej kapitulacji.

W tej samej chwili dostrzegam dwa idące kartony; chwieją się na czarnych legginsach zakończonych adidasami.

- To moja mamusia. Stała na czatach - wyjaśnia Charlie.

- Nie ma do tego drygu - zauważa pan Gravesend.

- Nie.

Julianne upuszcza kartony i wydaje przerażony pisk, reagując zupełnie jak Charlie.

- Mamuś, nie bój się, tym razem cię nie aresztują. Dozorca unosi brwi, a Julianne uśmiecha się niepewnie.

Dzielimy się wszyscy gorącą czekoladą i prowadzimy grzecznościową pogawędkę. Pan Gravesend opowiada nam o pisarzach, malarzach i politykach pochowanych na cmentarzu. Mówi o nich jak o dobrych znajomych, chociaż większość z nich nie żyje od stu lat.

Charlie buszująca wśród liści, nagle nieruchomieje. Patrzy na dół w stronę kanału. Policjanci zapalili lampy łukowe i ustawiają obok wody biały namiot. Co rusz migają flesze.

- Co się tam dzieje? - pyta, gotowa zejść i sprawdzić. Julianne łagodnie przyciąga ją do siebie i otacza ramieniem.

Charlie spogląda na mnie, a potem na dozorcę.

- Co oni robią?

Nikt nie odpowiada. Patrzymy w milczeniu, przygniecenii ciężarem emocji dużo większej od smutku. Powietrze staje się chłodne. Pachnie wilgocią i zgnilizną. Przeraźliwy zgrzyt metalu w odległej stoczni brzmi jak bolesny jęk.

Po kanale pływa łódka. Mężczyźni w żółtych, fluorescencyjnych kamizelkach przechylają się przez burty i wpatrują w wody, przyświecając sobie latarkami. Inni, idąc powoli tyralierą wzdłuż brzegów, ze spuszczonej głowami przeczesują teren cal po calu. Od czasu do czasu któryś z nich przystaje i pochyla się. Reszta czeka, nie chcąc złamać szyku.

- Zgubili coś? - pyta Charlie.

- Cśśś - szepcę.

Na twarzy Julianne maluje się przygnębienie i niepokój. Spogląda na mnie. Czas się zbierać.

W tej samej chwili do namiotu podjeżdża furgonetka koronera. Otwierają się tylne drzwi i dwaj mężczyźni w kombinezonach wyciągają nosze na składanym wózku.

Ponad moim prawym ramieniem widzę, jak w cmentarnej bramie pojawia się radiowóz; pulsują światła, syrena milczy. Za nim podąża drugi policyjny wóz.

Pan Gravesend idzie już w stronę parkingu i domku dozorca.

- Chodźcie, lepiej już wracajmy - mówię, wytrząsając resztki ostygłej czekolady. Charlie nadal nie rozumie, co się dzieje, ale wie, że należy być cicho.

Otwieram drzwi i Charlie wsuwa się do samochodu, uciekając przed chłodem. Jakieś osiemdziesiąt jardów przed maską stoi dozorca pogrążony w rozmowie z policjantami. Stróże porządku wyciągają ręce i wskazują na kanał. Jeden z nich wyjmuje notes. Coś pisze.

Julianne zajmuje miejsce dla pasażera. Chce, żebym prowadził. Drży mi lewa ręka. Zaciskam dłoń na dźwigni biegów, żeby opanować drżączkę. Kiedy mijamy radiowozy, jeden z detektywów podnosi wzrok. Jest w średnim wieku, ma dziobate policzki i spłaszczony nos. Jest w szarym, pomiętym płaszczu i ma cyniczny wyraz twarzy, jakby pomimo rutyny te sprawy nigdy nie przychodziły mu łatwo.

Nasze spojrzenia spotykają się i patrzy prosto przeze mnie. Jego oczy są pozbawione wyrazu, nie ma w nich światła ani uśmiechu. Unosi brew i przechyla głowę na bok. Mijam go; nadal zaciskam rękę na dźwigni i zmagam się z drugim biegiem.

Gdy znajdujemy się na wysokości bramy, Charlie patrzy przez tylną szybę i pyta, czy przyjedziemy tu za rok.

3

Codziennie chodzę do pracy przez Regent's Park. O tej porze roku, kiedy spada temperatura, mam antypoślizgowe buty, wełniany szalik i wiecznie skwaszoną minę. Zapomnijmy o globalnym ociepleniu. W miarę jak się starzeję, na świecie robi się coraz zimniej. To niezbity fakt.

Słońce wygląda jak bladożółta kula zawieszona w szarości, mijają mnie amatorzy joggingu. Biegną z opuszczonymi głowami, ich adidasy zostawiają ślady na mokrym asfalcie. Ogrodnicy powinni sadzić cebulki wiosennych kwiatów, lecz ich taczki wypełnia woda. Widzę, jak palą papierosy i grają w karty w szopie na narzędzia.

Przechodząc po moście Primrose Hill, zerkam na kanał przez barierkę. Długa, wąska łódź stoi przycumowana do ścieżki holowniczej, a mgła, unosząc się znad wody, wygląda jak smużki dymu.

Czego szukali policjanci? Kogo znaleźli?

Wczoraj wieczorem obejrzałem wiadomości, dziś rano słuchałem radia. Cisza. Wiem, że to niezdrowa ciekawość, jednak w pewnym sensie jestem świadkiem - jeśli nie samej zbrodni, to jej

następstw. Zupełnie jakbym oglądał program telewizyjny „Crimewatch”, w którym policja prosi, aby ludzie się zgłaszali, jeśli cokolwiek wiedzą. Zawsze dotyczy to kogoś innego. Nigdy tej osoby, którą znamy.

Pada drobny deszcz i wsiąka mi w kurtkę. Znowu podejmuję marsz. Na tle szarego nieba majaczy Post Office Tower. To jeden z tych charakterystycznych punktów, które pomagają ludziom poruszać się po mieście. Ulice kończą się ślepym zaułkiem, wiją się i skręcają bez powodu, a wieża góruje ponad dziwactwami urbanistycznego planowania.

Lubię ten widok Londynu. Nadal jest w miarę majestatyczny. Dopiero kiedy lepiej się przyjrzeć, widać degradację. Lecz przecież to samo można powiedzieć o mnie.

Mój gabinet znajduje się na Great Portland Street, w piramidzie z białych pudełek, zaprojektowanej przez architekta, który i czerpał inspirację z dzieciństwa. Z ziemi budynek wygląda na niewykończony i ciągle mam wrażenie, że lada chwila pojawi się dźwig i spuści w przerwy między istniejące części budynku jeszcze parę pudeł.

Kiedy wchodzę na stopnie, słyszę klakson, więc się odwracam. Na chodnik wjeżdża jaskrawoczerwone ferrari. Kierowca, doktor Fenwick Spindler, unosi dłoń w rękawiczce i macha do mnie. Fenwick wygląda na prawnika, ale jest szefem działu psy-i hofarmakologii w London University Hospital. Ma również prywatną praktykę, a jego gabinet sąsiaduje z moim.

- Cześć, stary! - woła, zatrzymując samochód na środku chodnika, tak że przechodnie muszą schodzić na jezdnię, żeby go obejść.

- Nie boisz się drogówki?

- Mam to - oznajmia, wskazując na nalepkę lekarską na przedniej szybie. - Świetna sprawa w przypadku nagłych interwencji medycznych.

Dogania mnie na stopniach i rozsuwa szklane drzwi.

- Widziałem cię w telewizji tamtego wieczoru. Doskonały show. Nie zapędziliby mnie na ten dach.

- Jestem pewien, że...

- Muszę ci opowiedzieć o moim weekendzie. Pojechałem na polowanie do Szkocji. Kropnąłem jelenia.

- Zabiłeś jelenia?

- Jak zwał, tak zwał. - Zbywa mnie machnięciem ręki. - Strzeliłem skubańcowi prosto w lewe oko.

Recepcjonistka za pomocą przycisku otwiera drzwi bezpieczeństwa i czekamy na windę. Fenwick ogląda się ze wszystkich stron w lustrach, strzepując płatki łupieżu z marszczących się ramion drogiej marynarki. Fakt, że szyty na miarę garnitur źle leży, mówi coś o sylwetce Fenwicka.

- Nadal zadajesz się z prostytutkami? - pyta.

- Rozmawiam z nimi.
- Tak się to dzisiaj nazywa? - rechocze i poprawia sobie to i owo, wsadzając rękę do kieszeni. -

Jak ci płacą?

Nie uwierzy mi, jeśli powiem, że robię to za darmo.

- Dają mi bony. Mogę je zamienić na obciążanie laski. Mam ich całą szufladę.

Prawie się krztusi i czerwienieje jak burak. Z trudem powstrzymuję się od śmiechu.

Fenwick, niewątpliwie dobrze prosperujący lekarz, jest jednym z tych ludzi, którzy za wszelką cenę pragną być kimś innym. Dlatego wygląda nieco śmiesznie za kierownicą sportowego wozu. To tak, jakby zobaczyć Billa Gatesa w gatkach albo George'a W. Busha w Białym Domu. Nie wypada.

- Jak sobie radzisz z... no wiesz? - pyta.

W porządku.

- Stary, ja w ogóle nie zauważyłem. Skoro już o tym mowa, Pfizer wprowadza na rynek nowy lek. Wpadnij do mnie, to ci dam literaturę...

Fenwick jest znany ze swych kontaktów z firmami farmaceutycznymi. Jego gabinet to wotywna kapliczka Pfizera, Novatisu i Hoffmanna-La Roche'a; wszystko, co się tam znajduje - począwszy od wiecznych piór, a na ekspresie do kawy skończywszy - dostał od nich w prezencie. To samo dotyczy rozrywek - pływanie na jachcie w Cowes, łowienie łososi w Szkocji, polowania na kuropatwy w Northumberland.

Skręcamy za narożnik i Fenwick zagląda do poczekalni mego gabinetu. Siedzi tam kobieta w średnim wieku, przyciskając do piersi pomarańczową nadmuchiwaną zabawkę w kształcie torpedy.

- Stary, nie wiem, jak ty to znosisz - mruczy pod nosem.
- Co?
- Wysłuchiwanie ich.
- W ten sposób dowiaduję się, co im jest.
- Po co tyle zachodu? Daj jej jakiś lek antydepresyjny i wyślij do domu.

Fenwick nie wierzy w psychologiczne czy społeczne czynniki i w zaburzeniach umysłowych. Twierdzi, że mają podłoże biologiczne i z natury rzeczy poddają się leczeniu medykamentami. Należy jedynie odpowiednio je dobrać.

Każdego ranka (po południu nie pracuje) pacjenci jeden po drugim przewijają się przez jego gabinet i odpowiadają na kilka zdawkowych pytań. Fenwick wręcza im receptę i kasuje po sto czterdzieści funtów. Jeśli chcą porozmawiać o objawach, on mówi o lekarstwach. Gdy narzekają na skutki uboczne, zmniejsza dawkę.

O dziwo, pacjenci go uwielbiają. Przychodząc, chcą dostać lekarstwo, nieważne jakie. Im więcej tabletek, tym lepiej. Może sądzą, że dobrze wydają pieniądze.

Słuchanie ludzi stało się obecnie niemożliwe. Pacjenci oczekują, że dam im jakąś cudowną pigułkę, która działa na wszystko.

Kiedy mówię im, że chcę jedynie porozmawiać, wydają się zawiedzeni.

- Dzień dobry, Margaret. Cieszę się, że sobie poradziłaś. Pokazuje mi torpedę.
- Którędy szłaś?
- Przez Putney Bridge.
- To dobry, solidny most. Ma wiele lat.

Margaret cierpi na gephyrofobię - lęk przed chodzeniem po mostach. Problem pogarsza fakt, że mieszka na południowym brzegu Tamizy i musi codziennie przechodzić przez rzekę, żeby odprowadzić dzieci do szkoły. Nosi ze sobą koło ratunkowe na wypadek, gdyby most się zarwał lub zniosła go woda. Wiem, że to brzmi irracjonalnie, ale takie właśnie są fobie.

- Powinam zamieszkać na Saharze - mówi, nie do końca żartem.

Opowiadam jej o eremikofobii, lęku wywoływanym widokiem piasku czy pustyni. Uważa, że zmyślam.

Trzy miesiące temu Margaret wpadła w panikę na środku mostu, kiedy odprowadzała dzieci do szkoły. Minęła godzina, zanim ktokolwiek się zorientował, co jej jest. Dzieciaki płakały, uwieszone u jej rąk. Przerazona, stała jak słup soli, nie mogąc wykrztusić słowa ani się poruszyć. Przechodnie myśleli, że może chce skoczyć z mostu. Według niej, to ona go utrzymywała wyłącznie dzięki sile woli.

Od tego czasu wykonaliśmy z Margaret mnóstwo pracy, usiłując przerwać zamknięty krąg związany z irracjonalnym lękiem.

- Co według ciebie ma się zdarzyć, kiedy będziesz przechodzić po moście?
- Zarwie się.
- Dlaczego miałby się zarwać?
- Nie wiem.
- Z czego ten most jest zbudowany?
- Ze stali i betonu.
- Od jak dawna tam stoi?
- Od wielu lat.
- Czy kiedykolwiek się załamał?
- Nie.

Każda sesja trwa pięćdziesiąt minut, zostają mi jeszcze dwie minuty na uzupełnienie notatek, zanim wejdzie następny pacjent. Meena, moja sekretarka, jest jak zegar atomowy, kontroluje czas co do sekundy.

- Stracona minuta przepada na zawsze - mówi, poklepując zegarek przypięty na piersi.

Anglo-hinduska, lecz bardziej angielska od truskawek z bitą miotaną, nosi spódnice do kolan, wygodne obuwie i zapinane swetry. Przywodzi mi na myśl dziewczyny z mojej szkoły, które zaczytywały się w powieściach Jane Austina i marzyły o spotkaniu swego pana Darcy.

Niestety, wkrótce mnie opuści. Wraz ze swymi kotami otwiera pensjonat w Bath. Oczyma duszy już widzę to miejsce. Koronkowe serwetki pod wazonami, figurki kotów i równiutko ułożone grzanki przy każdym jajku, które gotowało się dokładnie trzy minuty.

Meena przeprowadza rozmowy kwalifikacyjne z kandydatkami na nową sekretarkę. Dokonała wstępnej selekcji, lecz i tak wiem, że będę miał kłopot z wyborem. Ciągle liczę, że jeszcze zmieni decyzję. Gdybym tylko umiał mruczeć jak kot!

Około południa zaglądam do poczekalni.

- Gdzie Bobby?

- Nie pojawił się.

- Dzwonił?

- Nie. - Meena unika mego wzroku.

- Możesz się z nim skontaktować? Minęły dwa tygodnie. Wiem, że nie ma ochoty zadzwonić.

Czuje niechęć do Bobby'ego. Z początku myślałem, że go nie lubi, bo nie stawia się na wizyty, lecz chodzi w tym wszystkim o coś więcej. On jej działa na nerwy.

Być może z powodu postury, fatalnie obciętych włosów lub blizny na ramieniu. Przecież go nie zna. Lecz na dobrą sprawę, kto go zna?

Jak na zawołanie w drzwiach pojawia się Bobby, człapie, utykając, i ma niepewną minę. Wysoki, otyły, z włosami w kolorze lnu i w okularach w drucianych oprawkach. Na opasłym ciele opięty długi płaszcz, zdeformowany przez powypychane kieszenie.

- Przepraszam za spóźnienie. Coś mi wypadło. - Rozgląda się po poczekalni, nadal niepewny, czy ma wejść.

- Coś ci wypadło na dwa tygodnie? Spoglądamy sobie w oczy, po czym odwraca głowę. Przywykłem do defensywnych, nieufnych zachowań Bobby'ego, ale tym razem wyczuwam coś innego. Zamiast przemilczeń posuwa się do kłamstwa. To tak, jakby zamknąć komuś żaluzje przed nosem, a potem upierać się, że ich nie ma.

Przeprowadzam błyskawiczną lustrację - ma wyczyszczonej buty i uczesane włosy. Ogolił się rano, ale już widać cień zarostu. Policzki zaczerwienione od zimna, a jednocześnie spocone. Ciekawe, ile czasu stał przed drzwiami i zbierał się na odwagę, żeby wejść i się ze mną zobaczyć.

- Bobby, co się z tobą działo?

- Bałem się.

- Czego? Wzrusza ramionami.

- Musiałem uciekać.

- Dokąd?
- Donikąd.

Nie przejmuję się, że wytykam mu sprzeczność. Pełno w nim sprzeczności. Niespokojne dłonie szukają kryjówek i znikają w kieszeniach.

- Może zdejmiesz płaszcz?
- Tak mi dobrze.

- No to chociaż usiądź. - Ruchem głowy wskazuję na gabinet. Wchodzi i przystaje przed biblioteczką, wodząc oczyma po tytułach. Większość książek to prace naukowe z dziedziny psychologii i zachowań zwierząt. W końcu zatrzymuje wzrok i puka w grzbiet: „O marzeniu sennym” Zygmunta Freuda.

- Sądziłem, że obecnie podaje się w wątpliwość większość teorii Freuda - mówi ze śladowym północnym akcentem. - Nie potrafił odróżnić hysterii od epilepsji.

- To nie leżało aż tak bardzo w sferze jego zainteresowań. Wskazuję krzesło i Bobby opada na nie, ustawiając nogi bokiem, kolanami w stronę drzwi.

Oprócz własnych notatek dokumentacja w jego teczce jest raczej skromna. Mam do dyspozycji skierowanie, wyniki tomografii i pismo przewodnie od lekarza domowego z północnego Londynu. Jest w nim mowa o „niepokojących snach” oraz poczuciu „braku kontroli”.

Bobby ma dwadzieścia dwa lata, nie cierpi na chorobę umysłową ani nie jest uzależniony od narkotyków. Ma ponadprzeciętną inteligencję, dobre zdrowie i mieszka ze swoją narzeczoną, Arky.

Znam podstawowe fakty - urodził się w Londynie, uczył w państwowej szkole, ukończył ją z bardzo dobrymi wynikami, polem robił kursy wieczorowe, pracował dorywczo jako kierownik samochodu dostawczego i magazynier. Razem z Arky mieszkają w wieżowcu na Hackney. Ona ma małego synka i prowadzi stoisko ze słodyczami w lokalnym kinie. To najwyraźniej Arky namówiła go do szukania profesjonalnej pomocy. Sny Hobby'ego stawały się coraz bardziej koszmarnie. Budził się w środku nocy z krzykiem, wyskakiwał z łóżka i obijał o ściany, jakby chciał uciekać przed koszmarami.

Do lata miałem wrażenie, że nawiązała się między nami nieporozumienia. Potem Bobby zniknął na trzy miesiące i sądziłem już, że więcej go nie zobaczę. Zjawił się pięć tygodni temu bez uprzedzenia i wyjaśnień. Wydawał się szczęśliwszy. Lepiej sypiał. Sny stały się mniej przerażające.

Teraz coś jest z nim nie tak. Siedzi bez ruchu, lecz rozbiegane oczy nie pomijają żadnego szczegółu. Co się stało?

- Nic.
- Czy coś złego wydarzyło się w domu? Mruga.
- Nie.
- A więc?

Pozwalam ciszy pracować na moją korzyść. Bobby wierci się na krześle, drapie dłonie, jakby miał podrażnioną skórę. Wraz z upływem minut staje się coraz bardziej pobudzony.

- Jak się ma Arky? - zadaję bezpośrednie pytanie, żeby go rozruszać.

- Czyta za dużo czasopism.

- Dlaczego tak mówisz?

- Marzy jej się współczesna bajka. Znasz te wszystkie bzdury, jakie wypisują w kobiecych magazynach - mówią im, jak osiągać wielokrotne orgazmy, być kobietą sukcesu i idealną matką. Wszystko to pierdoły. Prawdziwa kobieta nie wygląda jak modelka. Prawdziwych mężczyzn nie da się wyciąć z czasopism. Nie wiem, kim mam być - facetem „new age” czy wrażliwym mężczyzną. Ty mi powiedz! Powinienem upijać się z kumplami czy szlochać na smutnym filmie? Mam gadać o sportowych samochodach czy o modnych kolorach? Kobietom się wydaje, że chcą mieć mężczyznę, a tak naprawdę szukają własnego odbicia.

- Co w związku z tym czujesz?

- Frustrację.

- Z czyjego powodu?

- Zgadnij. - Zwiesza ramiona, kołnierz płaszcza dotyka uszu. Teraz trzyma ręce na podołku, składa i rozkłada kawałek papieru, już przetarty na zagięciach.

- Co tam napisałeś?

- Liczbę.

- Jaką?

- Dwadzieścia jeden.

- Mogę zobaczyć?

Mruga nerwowo i powoli rozkłada kartkę, potem przyciska ją do uda i wygładza palcami. Są na niej setki dwudziesto jedynek wypisanych drobnymi drukowanymi cyframi; tworzą wzór przypominający skrzydła wiatraka.

- Wie pan, że nie można złożyć suchej kartki więcej niż siedem razy? - Bobby próbuje zmienić temat.

- Nie.

- Tak jest.

- Co jeszcze masz w kieszeniach?

- Moje listy.

- Jakie listy?

- Spraw do załatwienia. Rzeczy, które chciałbym zmienić. Ludzi, których lubię.

A ludzi, których nie lubisz?

- Też.

Do niektórych osób w ogóle nie pasuje ich głos i Bobby do nich należy. Ten potężny mężczyzna wydaje się mniejszy z powodu stosunkowo wysokiego głosu, a kiedy się pochyla, kuli ramiona.

- Bobby, czy ty masz jakieś kłopoty?

Podskakuje tak gwałtownie, że nogi krzesła odrywają się od podłogi. Energicznie kręci głową.

- Rozgniewał cię ktoś?

Głęboko zasmucony, zaciska dłonie w pięści.

- Co cię rozgniewało?

Szepce coś, trzęsąc przecząco głową.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

Powtarza jeszcze raz, poruszając bezgłośnie ustami.

- Mógłbyś mówić trochę głośniej?

- Przestań mieszać mi w głowie! - wybucha niespodziewanie. Pogłos w zamkniętej przestrzeni zwielokrotnia hałas. Otwierają się drzwi na korytarzu, miga lampka mojego interkomu. Naciskam guzik:

- W porządku, Meeno. Nic się nie dzieje.

Na skroni Bobby'ego, tuż nad prawym okiem, pulsuje malutka żyłka.

- Musiałem ją ukarać - szepce głosem małego chłopca.

- Kogo musiałeś ukarać?

Obraca tam i z powrotem obrączkę na wskazującym palcu prawej ręki, jakby regulował radio w poszukiwaniu właściwej częstotliwości.

- Wszyscy jesteśmy połączeni - dzieli nas sześć stopni, czasem mniej. Jeżeli zdarzy się coś w Liverpoolu, Londynie czy w Australii, wszystko się łączy...

Nie pozwolę mu zmienić tematu.

- Bobby, jeśli masz kłopoty, mogę ci pomóc. Muszę tylko wiedzieć, co się stało.

- W którym łóżku jest teraz? - szepce.

- Słucham?

- Tylko w ziemi będzie spać sama.

- Czy ukarałeś Arky?

Jakby dopiero teraz, uświadamiając sobie swoją obecność, śmieje się ze mnie.

- Widział pan „Truman Show”?

- Tak.

- Hmm, czasami myślę, że jestem Trumanem. Mam wrażenie, że cały świat mnie obserwuje. Że moje życie zostało ułożone pod czyjeś dyktando. Wszystko jest na niby. Ściany są ze sklejki, a meble z papier mache. I wtedy myślę, że gdybym mógł rzucić się pędem i dobiec za narożnik, znalazłbym tam zaplecze planu filmowego. Ale nie umiem tak szybko biegać. Kiedy tam docieram,

ktoś już zdążył wybudować kolejne ulice.

4

Biorąc pod uwagę dzielnicę, mieszkamy w czyścú. Mówię tak, bo nie całkiem osiągnęliśmy stan nirwany, jakim jest mieszkanie na pełnym zieleni Primrose Hill; natomiast udało nam się wynieść z zadupia na południowym krańcu Camden Town, gdzie fasady są upstrzone graffiti, a okna wystawowe chronią metalowe żaluzje.

Dług na hipotecę jest ogromny, rury w kiepskim stanie, lecz Julianne zakochała się w tym miejscu. Muszę wyznać, że ja też. Latem, kiedy wiatr wieje z odpowiedniej strony, a okna mamy otwarte, dochodzą do nas odgłosy lwów i hien z londyńskiego zoo. Zupełnie jakbyśmy byli na safari, ale bez mini-vanów.

W środy wieczorem Julianne uczy hiszpańskiego na kursach dla dorosłych. Charlie zostaje na noc u swej najlepszej przyjaciółki. Mam cały dom dla siebie, co normalnie mi odpowiada, ale dzisiaj doskwiera mi samotność. Odgrzewam zupę w mikrofalówce i przełamuję bagietkę na pół. Charlie napisała wierszyk im białej tablicy, tuż obok składników na ciasto bananowe. Chcę, żeby obie tu były. Brakuje mi gwaru i przekomarzania.

Wchodzę na górę i zaglądam kolejno do wszystkich pomieszczeń, sprawdzając „postęp robót”. Puszki z farbą stoją rzędem na parapecie, podłogi są osłonięte prześcieradłami, które wyglądają jak obrazy Jacksona Pollocka. Jedną z sypialni zmieniliśmy w magazyn, są tu kartony, dywaniki i meble nadwerężone pazurami kota. Stary wózek oraz wysokie krzeselko Charlie stoją w rogu, oczekując na dalsze dyspozycje. Jej niemowlęce ubranka leżą w szczelnie zamkniętych i dokładnie ometkowanych plastikowych workach.

Od sześciu lat staramy się o drugie dziecko. Wynik - dwa poronienia i morze wylanych łez. Ja nie chcę dalej próbować - nie w tej chwili - ale Julianne nadal łyka witaminy, bada próbki moczu i mierzy temperaturę. Nasze życie intymne przypomina badania naukowe, gdzie wszystko jest optymalnie nastawione na moment owulacji.

Kiedy czynię uwagi na ten temat, obiecuje, że gdy tylko pojawi się drugie dziecko, będzie się na mnie rzucać regularnie i spontanicznie.

- Ani przez chwilę nie będziesz żałować.
- Wiem.
- Jesteśmy to winni Charlie.
- Tak.

Chcę się podzielić z nią wszystkimi „a jeśli”, lecz nie potrafię się na to zdobyć. A jeśli choroba się zacznie posuwać? A jeśli istnieje zagrożenie obciążeń genetycznych? A jeśli nie będę w stanie wziąć na ręce własnego dziecka? Nie jestem sentymentalny ani przewrażliwiony na własnym tle. Po prostu patrzę realistycznie, filiżanka herbaty i pełnoziarniste herbatniki nie załatwią problemu.

Choroba jest jak odległy pociąg, który mknie przez ciemności w naszym kierunku. Może się wydawać daleko, niemniej się zbliża.

* * *

O wpół do siódmej podjeżdża taksówka i trafiamy na godzinę szczytu. Euston Road jest zapchana aż za Baker Street i nie ma sensu szukać skrótów, narażając się na przeszkody w postaci pachołków, „śpiących policjantów” i jednokierunkowych ulic.

Taksówkarz narzeka, że przez nielegalnych emigrantów, którzy przekradają się tunelem pod kanałem La Manche, korki są jeszcze większe. Nie bardzo to rozumiem, ponieważ oni nie mają samochodów, ale jestem zanadto przygnębiony, żeby wdawać się w dyskusję.

Krótko po siódmej wysiadam na Clerkenwell Road przed Langton Hali - przysadzistym budynkiem z czerwonej cegły z białymi ościeżnicami i czarnymi rynnami. Gdyby nie światło nad frontowym wejściem, budynek wyglądałby na opuszczony. Przechodzę przez dwuskrzydłowe drzwi, przecinam wąski korytarz i wchodzę do głównej sali. Plastikowe krzesła tworzą nierówne rzędy. Na stoliku pod ścianą obok szeregu filiżanek i spodeczków stoi termos z gorącą wodą.

Przyszło około czterdziestu kobiet. W wieku od nastu do czterdziestu lat. Większość jest w płaszczach, część z nich niewątpliwie ma pod spodem strój do pracy - wysokie obcasy, minispódniczki, szorty i pończochy. W powietrzu wisi gęsty zapach perfum i papierosów.

Na scenie Elisa Velasco zaczęła już pogadankę. To chucherko o zielonych oczach i jasnych włosach mówi z takim akcentem, który sprawia, że mowa kobiet z północnego Londynu brzmi rzeczowo i świadczy o charakterze. W wąskiej spódnicy do kolan i w obcisłym kaszmirowym sweterku wygląda jak dziewczyna z plakatów z czasów drugiej wojny światowej.

Za nią na białym ekranie obraz włoskiej malarki Artemisii Gentileschi przedstawiający Marię Magdalenę. Na dole slajdu, w rogu małe litery PTTC: (Prostytutka To Też Człowiek).

Mój widok sprawia Elisie wyraźną ulgę. Usiłuję przemknąć się przy ścianie, żeby jej nie przeszkadzać, lecz ona stuka w mikrofon i wszystkie głowy odwracają się w moją stronę.

- Pozwólcie, że przedstawię wam kogoś, kogo rzeczywiście przyszyście tu posłuchać. Przywitajcie profesora Josepha O'Loughlina, prosto z pierwszych stron gazet.

Pojedyncze ironiczne oklaski. To trudne audytorium. Zupa gulgocze mi w żołądku, kiedy wdrapuję się po stopniach z boku sceny i wchodzę w krąg światła. Trzęsie mi się lewa ręka, więc chwytam się oparcia krzesła, żeby uspokoić drżenie.

Odchrząkuję i wbijam wzrok w punkt ponad ich głowami.

- Prostytutki stanowią najwyższy odsetek wśród ofiar nie wyjaśnionych zabójstw. W ciągu ostatnich siedmiu lat zamordowano ich czterdzieści osiem. Każdego dnia w Londynie co najmniej pięć staje się ofiarami gwałtu. Mniej więcej piętnaście zostaje pobitych, obrabowanych lub uprowadzonych. Przyczyną ataków nie jest atrakcyjny wygląd czy też prowokacyjne zachowanie,

lecz fakt, że są łatwo dostępne i bezbronne. Najłatwiej się do nich zbliżyć i są jedną z najbardziej anonimowych grup w społeczeństwie.

Obniżam wzrok na ich twarze i z ulgą stwierdzam, że zdobyłem ich uwagę. Kobieta w pierwszym rzędzie ma przy płaszczu kołnierz z fioletowej satyny i kanarkowe rękawiczki. Założyła nogę na nogę, w rozchylonych połach płaszcza widać blade udo. Cienkie, czarne rzemyki butów oplatają łydki.

- Niestety, nie zawsze możecie wybierać klientów. Trafiają do was mężczyźni różnego autoramentu, niektórzy pijani, inni odrażający...

- Albo grubi! - wykrzykuje tleniona blondyna.

- I cuchną! - dorzuca nastolatka w ciemnych okularach. Czekam, aż przycichnie śmiech. Większość z tych kobiet mi nie ufa. Nie mam do nich pretensji. Wszystkie kontakty, czy to z sutenerami, czy z klientami, czy też z psychologiem łączą się z ryzykiem. Nauczyły się nie ufać mężczyznom.

Chciałbym wyczulić je na zagrożenia. Może powinienem przynieść zdjęcia. Jedną z ostatnich ofiar znaleziono z macicą obok na łóżku. Z drugiej strony, tym kobietom nie ma co o tym mówić. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo.

- Nie przyszedłem tu dziś robić wam wykład. Mam nadzieję, że uczynię wasze życie bardziej bezpiecznym. Kiedy pracujecie nocą na ulicy, kto ze znajomych czy z rodziny wie, gdzie jesteście? Jeśli któraś z was zniknie, ile dni upłynie, zanim ktoś zgłosi zaginięcie?

Pozwalam, aby te pytania zawisły w powietrzu, niczym pajęczyna uczepiona krokwi. Zachryłem i mój głos brzmi zbyt szorstko. Puszczam krzesło i zaczynam iść w kierunku rampy. Moja lewa noga odmawia mi posłuszeństwa i potykam się lekko, koryguję chód. Popatrują po sobie - niepewne, co myśleć na mój temat.

- Nie wychodźcie na ulicę, jeśli nie możecie przedsięwziąć środków ostrożności. Działajcie w systemie dwójkowym. Jeśli wsiadacie do samochodu, niech zawsze ktoś spisuje numer rejestracyjny. Trzymajcie się dobrze oświetlonych miejsc i zorganizujcie jakieś bezpieczne mieszkania, do których możecie zabrać klienta, zamiast korzystać z jego samochodu...

Czterech mężczyzn wchodzi do sali i zajmuje pozycję przy drzwiach. Najwyraźniej policjanci ubrani po cywilnemu. Kiedy kobiety orientują się, kim są przybysze, powstaje szmer niedowierzania i rezygnacji. Kilka z nich rzuca mi gniewne spojrzenia, jakby to była moja sprawka.

- Proszę o spokój. Zaraz wszystko wyjaśnię. - Ostrożnie zeskakuję ze sceny. Chcę znaleźć się przy nich przed Elisą.

Nietrudno rozpoznać dowódcę. To ten detektyw z miną starego wyjadacza i krzywymi zębami, którego widziałem na cmentarzu Kensal Green. Ma na sobie ten sam zmięty płaszcz, a plamy i zacieki tworzą na nim coś w rodzaju kulinarnej mapy. Krawat klubu rugby przytrzymuje srebrna

spinka w kształcie Krzywej Wieży w Pizie.

Podoba mi się. Nie zwraca uwagi na strój. Mężczyźni przesadnie dbający o prezencję sprawiają wrażenie ambitnych, ale i próżnych. Kiedy się odzywa, patrzy w przestrzeń, jakby sprawdzał, kto nadchodzi. Ten sam rodzaj spojrzenia widziałem u farmerów, którzy nigdy nie czują się swobodnie, skupiając wzrok na bliskich obiektach; a szczególnie na twarzach rozmówców. Przybiera przepaszający uśmiech.

- Przepraszam, że zakłócamy wasze zebranie - zwraca się cierpkim tonem do Elisy.

W takim razie spieprzajcie stąd! - odpowiada słodziutkim głosikiem, uśmiechając się jadownicie.

Miło mi poznać panią, czy też raczej powinienem powiedzieć „madam”?

Wkraczam pomiędzy nich.

- Kim pan jest? - Mierzy mnie od stóp do głów.

- Profesor Joseph O'Loughlin.

- O kurczę! Chłopaki, to ten facet z dachu. To on ściągnął w dół tamtego smarkacza - informuje tubalnym głosem swych towarzyszy. - W życiu nie widziałem kogoś bardziej wystraszonego. - Jego śmiech przypomina grzechot szklanych kulek wpadających do studzienki. - To pan jest tym ekspertem od dziwek, prawda? - kojarzy. - Napisał pan książkę czy coś takiego.

- Rozprawę badawczą.

Wzrusza ramionami i machnięciem ręki przywołuje swoich ludzi, którzy rozdzielają się i ustawiają wzdłuż przejścia.

Detektyw odkasłuje i zwraca się do kobiet.

- Jestem inspektor Vincent Ruiz z Metropolitan Police. Trzy dni temu na Kensal Green, w zachodnim Londynie, znaleziono zwłoki młodej kobiety. Zmarła jakieś dziesięć dni wcześniej. Jak dotąd nie udało się nam jej zidentyfikować, ale mamy powody podejrzewać, że mogła być prostytutką. Pokażemy wam portret tej kobiety. Jeśli któraś z was ją rozpozna, proszę o kontakt. Zależy nam na wskazaniu nazwiska, adresu, znajomych, przyjaciół, kogokolwiek, kto mógłby ją znać.

Wzdragam się.

- Gdzie ją znaleziono? - słyszę własny głos. Zakopaną w płytkim rowie przy kanale Grand Union.

Obrazy są jak chwile utrwalone na zdjęciach. Widzę biały namiot i łukowe lampy; miejsce zbrodni obwiedzione policyjną taśmą oraz błysk fleszy. Ciało kobiety świeżo wydobyte z ziemi. Byłem tam. Patrzyłem, jak ją wyciągali.

Sala wydaje się przepastna, głosy odbijają się echem. Szkice przechodzą z rąk do rąk. Wzmaga się gwar. Powoli wysuwa się do mnie czyjaś dłoń. Szkic przypomina portrety rysowane węglem, jakie turyści zamawiają w Covent Garden. Młoda kobieta z krótkimi włosami i z dużymi oczyma. Z

dziesięć kobiet w sali ma twarz podobną do tej na rysunku.

Pięć minut później wracają detektywi i kręcą przecząco głową, dając znak Ruizowi. Inspektor wzdycha ciężko i wydmuchuje zdeformowany nos w chustkę.

- Pan wie, że zebranie jest nielegalne - mówi, spoglądając na termos. - Pozwalając prostytutkom na spotkanie z konsumpcją, popełnia pan wykroczenie.

- Herbata jest dla mnie - odpowiadam.

- Musi pan pić mnóstwo herbaty - śmieje się z lekceważeniem. - Albo bierze mnie pan za idiotę - dodaje zaczepnie.

- Wiem, kim pan jest - najeżam się.

- Tak? Umieram z ciekawości.

- Jest pan wiejskim chłopakiem, który trafił do dużego miasta. Wzrastał pan na farmie, dojąc krowy i zbierając jajka. Grał w rugby do chwili, kiedy jakaś kontuzja nie zakończyła kariery, lecz nadal pan się zastanawia, czy nie należało dalej próbować. Od tamtej pory pojawiły się problemy z utrzymaniem wagi. Jest pan rozwodnikiem albo wdowcem, bo pańskiej koszuli przydałoby się żelazko, a garnitur powinien trafić do pralni. Po pracy lubi pan pójść na piwo, a potem zjeść curry. Próbuje pan rzucić palenie, dlatego cały czas szuka pan w kieszeniach gumy do żucia. Według pana siłownie są dla dupków, chyba że jest w nich ring oraz worki treningowe. Ostatni urlop spędził pan we Włoszech, bo ktoś powiedział, że tam jest świetnie, ale pan zniechęcił tamtejsze jedzenie, ludzi i wino.

Jestem zaskoczony swym obojętnym, zimnym tonem. Jakby zatrwały mnie kłębiące się wokół uprzedzenia.

- Imponujące. Czy to pański patent na zabawianie gości na przyjęciach?

- Nie - mamroczę, nagle zażenowany. Mam ochotę się wy tłumaczyć, ale nie wiem, od czego zacząć.

Ruiz szuka czegoś w kieszeniach i po chwili nieruchomieje.

- Profesorze, skoro tyle pan wywnioskował, jedynie patrząc na mnie, proszę mi powiedzieć: ile potrafi pan wydedukować z wyglądu zwłok?

Co pan ma na myśli?

- Ofiarę zabójstwa. Co mógłby mi pan powiedzieć, gdybym pokazał panu ciało?

Nie jestem pewien, czy mówi poważnie. Teoretycznie jest to możliwe, ale ja zajmuję się ludzkim umysłem. Rejestruję nawyki i język ciała; obserwuję sposób ubierania i interakcje. Zwracam uwagę na modulacje głosu i ruch oczu. Z martwego ciała tego wszystkiego nie wyczytam. Na widok zwłok żołądek podchodzi mi do gardła.

- Proszę się nie bać, ona pana nie ugryzie. W takim razie jutro rano o dziewiątej w kostnicy Westminster Mortuary. - I bez pytania wsuwa mi kartkę z adresem do wewnętrznej kieszeni

marynarki. - Potem możemy zjeść razem śniadanie - dodaje, śmiejąc się pod nosem.

Zanim zdobywam się na odpowiedź, odwraca się i odchodzi otoczony detektywami. Odwraca się w ostatniej chwili, już przy drzwiach.

- Pomylił się pan tylko w jednym wypadku.
- A mianowicie?
- Włochy. Zakochałem się w nich.

5

Na zewnątrz, na chodniku, Elisa całuje mnie w policzek.

- Przepraszam cię za to wszystko.

Znikają ostatnie z radiowozów, podobnie jak moje słuchaczki.

- To nie twoja wina.

- Wiem. Po prostu miałam ochotę cię pocałować. - Burzy mi włosy, a potem grzebie w torbie, znajduje szczotkę i przygląda mi je na nowo. Stoi przede mną, lekko nachylając moją głowę. W tej pozycji w wycięciu jej swetra widzę piersi osłonięte koronką i cień rowka między nimi.

- Ludzie zaczną gadać - droczy się ze mną.
- Nie mają o czym. - Stwierdzenie pada zbyt szybko.

Unosi lekko brwi.

Zapala papierosa i ucina płomień wieczkiem zapalniczki. Przez ułamek sekundy światło podkreśla złote cętki w zielonych oczach. Jakakolwiek fryzurę wymyśli, jej włosy pozostają nieokiełznane i wyglądają jak wzburzone po śnie. Przechyla głowę na bok i przypatruje mi się uważnie.

- Widziałam cię w wiadomościach. Byłeś bardzo dzielny.
- Umierałem ze strachu.
- Poradzi sobie - ten chłopak z dachu?
- Tak.
- A ty?

Zaskakuje mnie tym pytaniem i nie wiem, co odpowiedzieć. Wracam za nią do sali i pomagam składać krzesła. Wyłącza rzutnik i podaje mi karton z broszurami. Na przedniej ścianie pudła znajduje się reprodukcja tego samego obrazu Marii Magdaleny, który był na slajdzie.

Elisa opiera podbródek na moim ramieniu.

- Maria Magdalena jest patronką prostytutek.
- Zdawało mi się, że była nawróconą grzesznicą.
- W gnostycznych ewangeliach uważa się ją za wizjonerkę - poprawia mnie ze złością. - Nazywają ją również apostołką apostołów, bo to ona przyniosła uczniom wieść o

zmartwychwstaniu.

- I ty w to wszystko wierzysz?

- Jezus znika na trzy dni, a pierwszą osobą, która go widzi żywego, jest ladacznica. Powiedziałabym, że to całkiem znamienne. - Nie śmieje się. To nie miało być zabawne.

Podążam za nią z powrotem na frontowe stopnie; odwraca się i zamyka drzwi na klucz.

- Mam samochód. Mogę cię podrzucić do domu - proponuje, szukając kluczyków. Zakręcamy za róg i widzę jej garbusa - stoi przy parkometrze.

- Wybrałam ten obraz z jeszcze jednego powodu - mówi.

- Ponieważ namalowała go kobieta.

- Tak, ale to nie wszystko. Wybrałam go ze względu na to, co się stało z malarką. Gdy Artemisia Gentileschi miała dziewiętnaście lat, zgwałcił ją jej nauczyciel, Tassi, a potem się wszystkiego wyparł. Podczas procesu oznajmił, że Artemisia jest beznadziejną malarką i wymyśliła historię z gwałtem, ponieważ zazdrości mu talentu. Oświadczył, że jest „nienasyconą dziwką” i namówił swoich przyjaciół, żeby zeznawali przeciwko niej. Artemisia została nawet zbadana przez akuszerki, kazano im sprawdzić, czy nadal jest dziewicą. - Elisa wzdycha smętnie. - Niewiele się zmieniło przez cztery stulecia. Jest jedna różnica - teraz ofiarom gwałtu nie miażdży się kciuków obcęgami, żeby przy pomocy tortur wydobyć z nich prawdę.

Włącza radio, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać. Wyciągam się w fotelu i słucham, jak Phil Collins śpiewa „Another Day in Paradise”.

Pierwszy raz ujrzałem Elisę w obskurnym pomieszczeniu do rozmów z wychowankami w domu dziecka w Brentford, w połowie lat osiemdziesiątych. Właśnie przyjęto mnie na staż do Wydziału Zdrowia w Zachodnim Londynie jako psychologa klinicznego.

Weszła, usiadła i zapaliła papierosa, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Miała zaledwie piętnaście lat, ale jej płynne, pełne gracji i pewności siebie ruchy przyciągały wzrok i zatrzymywały go na dłużej, niż należało.

Z łokciem opartym na stole i z papierosem w odległości kilku cali od ust, patrzyła ponad moją głowę w okno, umieszczone wysoko na ścianie. Dym wplatał się w kędziory jej niesfornych włosów. Kiedyś musiała mieć złamany nos, jeden przedni ząb był wyszczerbiony. Od czasu do czasu przesuwiała językiem po nierównej krawędzi.

Elisę uwolniono z meliny - tymczasowego burdelu w piwnicy starej rudery. Drzwi były zaparte, a otwierały się tylko od zewnątrz. Elisa i jeszcze jedna nastoletnia prostytutka były więzione przez trzy doby i gwałcone przez dziesiątki mężczyzn, którym oferowano seks z nieletnimi. Sędzia umieścił Elisę w domu dziecka, gdzie większość czasu upływała jej na planowaniu ucieczek. Była za duża, żeby pójść do rodziny zastępczej, i jednocześnie za młoda, żeby się usamodzielić.

Podczas naszego pierwszego spotkania patrzyła na mnie z mieszaniną zaciekawienia i pogardy.

Nawykła do kontaktów z mężczyznami, nauczyła się nimi manipulować.

- Eliso, ile ty masz lat?

- Przecież wiesz - odparła, wskazując na teczkę w moich dłoniach. - Mogę poczekać, aż przeczytasz. - Wystawiała mnie na próbę.

- Gdzie są twoi rodzice?

- Na szczęście umarli.

Według notatek w teczce, Elisa mieszkała z matką i ojczymem w Leeds i uciekła z domu krótko po czternastych urodzinach.

Przeważnie jej odpowiedzi ograniczały się do minimum - po co używać dwóch słów, skoro wystarczy jedno? Robiła wrażenie pewnej siebie i nonszalanckiej, ale ja wiedziałem, że została głęboko zraniona. W końcu udało mi się ją poruszyć.

- Cholera, co ty wiesz?! - wrzasnęła z błyszczącymi z emocji oczami.

Trzeba było natychmiast podjąć ryzyko.

- Wydaje ci się, że jesteś kobietą, tak? Myślisz, że wiesz, jak wodzić za nos takich facetów jak ja. Ha, to się grubo mylisz! Nie jestem chodzącym banknotem pięćdziesięciofuntowym, który ma ochotę na obciążenie druta lub szybki numer w bocznej uliczce. Szkoda mojego czasu. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Jej oczy zapłonęły gniewem i zaraz przygasły, zachodząc łzami. Rozplakała się. Po raz pierwszy wyglądała i reagowała odpowiednio do swego wieku. Potoczyły się słowa przerywane szlochem.

Jej ojczym, dobrze prosperujący biznesmen w Leeds, dorobił się majątku na skupowaniu i remoncie mieszkań. Dla kobiety samotnie wychowującej dziecko, takiej jak matka Elisy, stanowił świetną partię. Mogła przeprowadzić się z córką z komunalnego mieszkania do porządnego domu z ogrodem. Elisa miała własny pokój. Poszła do szkoły podstawowej.

Którejś nocy, kiedy miała dwanaście lat, ojczym przyszedł do jej pokoju. „Tak robią dorośli”, oznajmił, zakładając jej nogi na swoje barki i zatykając dłonią usta.

- Potem był dla mnie bardzo miły - powiedziała. - Kupował mi ciuchy i kosmetyki.

Trwało to dwa lata, do czasu, kiedy Elisa zaszła w ciążę. Matka nazwała ją dziwką i kazała wyjawic, kto jest ojcem. Kiedy stała nad nią, czekając na odpowiedź, Elisa dostrzegła w drzwiach ojczyma. Przesunął palcem wskazującym po gardle.

Uciekła z domu. W kieszeni szkolnego mundurka miała adres kliniki aborcyjnej w południowym Londynie. Tam poznała pielęgniarkę, kobietę po czterdziestce z sympatyczną twarzą. Miała na imię Shirley i zaproponowała, że ją przechowa do czasu, kiedy dojdzie do siebie.

- Nie pozbywaj się mundurka.

- Dlaczego?

- Może się przydać.

Shirley „matkowała” kilku nastolatkom, które ją uwielbiały. Dawała im poczucie bezpieczeństwa.

- Jej syn to był prawdziwy złamas - stwierdziła Elisa. - Spał ze śrutówką pod łóżkiem i myślał, że może każdą z nas przelecieć. Palant! Kiedy Shirley pierwszy raz prowadziła mnie na robotę, mówiła: „Nie przejmuj się, dasz radę”. Stałam na Bayswaler Road w moim szkolnym mundurku. „Spokojnie, pytaj ich tylko, czy mają ochotę na dziewczynę” - powiedziała. - Nie chciałam zawieść Shirley. Wiedziałam, że opiekunka byłaby zła.

- Następnym razem, kiedy mnie wzięła, obsłużyłam kilku klientów ręką, ale nie mogłam się z nimi przespać. Nie wiem, dlaczego. Przełamałam się po trzech miesiącach.

Zaczęłam wyrastać z mundurka, lecz Shirley powiedziała, że mam dobre nogi. Byłam jej „złotodajnym źródłem”.

Elisa nie nazywała mężczyzn, z którymi sypiała, „frajerami”. Nie podobały jej się jakiegokolwiek sugestie, że wydają pieniądze w ciemno. Była pewniakiem. Również nie traktowała ich z pogardą, mimo że wielu z nich oszukiwało żony, narzeczone czy dziewczyny. To był zwykły interes, prosta transakcja; ona miała coś na sprzedaż, a oni chcieli to kupić.

W miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej znieczulona. Miała teraz nową rodzinę. Aż któregoś dnia porwał ją z ulicy sutener z konkurencji. Powiedział, że potrzebuje ją na jeden numer. Potem zamknął w piwnicy i zbierał przy wejściu pieniądze od mężczyzn czekających w kolejce. Rzeka skóry w najróżniejszych kolorach przepłynęła po jej ciele, wnikła w nią.

- Byłam ich „małą, białą zabaweczką do pieprzenia” - po wiedziała, gasząc kolejnego papierosa.
- A teraz znalazłaś się tutaj.
- Gdzie nikt nie wie, co ze mną zrobić.
- A ty czego chcesz?
- Żeby mnie zostawiono w spokoju.

6

Pierwsza zasada obowiązująca w Narodowym Funduszu Zdrowia brzmi: „próchno pływa”. Jeżeli ktoś wykazuje niekompetencję lub trudno z nim współpracować, awans stanowi mniej kłopotliwą opcję od zwolnienia.

Kostnicowy w Westminster Dortuary jest łysy, krępy i ma obwisłe policzki. Od pierwszej chwili czuje do mnie niechęć.

- Kto pana tu skierował?
- Jestem umówiony z inspektorem Ruizem.
- Nic mi o tym nie wiadomo. Nikt mnie nie uprzedzał o pa na przybyciu.
- Mogę na niego poczekać?
- Nie. Jedynie rodziny zmarłych mają prawo przebywać w poczekalni.

- To gdzie mam czekać?
- Na zewnątrz.

Zalutuje od niego kwasem, dostrzegam plamy potu pod pachami. Prawdopodobnie miał nocną zmianę, a teraz robi nadgodziny. Jest zmęczony i gderliwy. Normalnie współczuję ludziom pracującym na zmiany - podobnie jak odludkom i grubym dziewczynom, których nikt nie prosi do tańca. Praca przy zmarłych musi być parszywym zajęciem.

Kiedy otwieram usta, żeby coś powiedzieć, zjawia się Ruiz. Kostnicowy od nowa zaczyna swoją tyradę. Ruiz pochyla się nad biurkiem i podnosi słuchawkę.

- Posłuchaj, ważniaku. Widzę na zewnątrz z dziesiątkę samochodów przy nieopłaconych parkometrach. Staniesz się sławny wśród kolegów, kiedy pozakładają im blokady.

Kilka minut później podążam za detektywem wąskim korytarzem ze świetlówkami na suficie i pomalowaną cementową podłogą. Co jakiś czas mijamy drzwi z matowymi szybami. Jedne z nich są otwarte. Zaglądam do środka i widzę stół z nierdzewnej stali z centralnym odpływem do otworu ściekowego. Z sufitu zwisają halogenowe lampy i przewody mikrofonu.

W dalszej części korytarza natykamy się na laborantów w zielonych, medycznych fartuchach, skupionych wokół ekspresu do kawy. Żaden z nich nie podnosi wzroku.

Ruiz porusza się szybko, a mówi powoli.

- Ciało znaleziono o jedenastej rano w niedzielę, przysypane ziemią, w płytkim rowie. Piętnaście minut wcześniej anonimowy rozmówca zadzwonił do nas z budki telefonicznej, oddalonej ćwierć mili od tego miejsca. Twierdził, że jego pies wykopał rękę.

Przechodzimy przez dwuskrzydłowe drzwi z pleksiglasu i uskakujemy pod ścianę przed wózkiem popychanym przez sanitariusza. Białe płócienne prześcieradło zakrywa coś, co jak miemam, jest ciałem. Na wysokości piersi chwieje się pudełko pełne probówek z krwią i z moczem.

Wchodzimy do przedsionka z dużymi przeszklonymi drzwiami. Ruiz puka w szybę i dyżurna, siedząca przy biurku, naciska brzęczyk zwalniający zamek. Ma blond włosy z ciemnym odrostem i wyskubane brwi, cienkie jak nić dentystyczna. Pod ścianami stoją szafki na dokumenty, a nad nimi wiszą białe tablice. W drugim końcu przedsionka znajdują się spore drzwi z nierdzewnej stali, opatrzone tabliczką: WYŁĄCZNIK DLA PERSONELU.

Nagle przypomina mi się scena z czasów studiów medycznych, kiedy zemdlałem podczas pierwszych zajęć w prosektorium. Ocknąłem się, gdy podetknięto mi pod nos sole trzeźwiące. I wtedy prowadzący ćwiczenia wybrał mnie, żebym zademonstrował grupie, jak się wprowadza do brzucha stu pięćdziesięciomilimetrową igłę do biopsji wątroby. Później pogratulował mi nowego uniwersyteckiego rekordu - największej ilości uszkodzonych organów podczas jednego wkłucia. Ruiz wręcza pismo dyżurnej.

- Mam wystawić zwłoki? - pyta.
- Nie, obejrzymy je w chłodni - odpowiada Ruiz. - Ale przyda mi się papierowy worek.

Blondyna wręcza mu sporą torbę z brązowego papieru.

Ciężkie drzwi otwierają się z sykiem, jakby trzymało je podciśnienie, i Ruiz usuwa się na bok, puszczając mnie przodem. Spodziewam się zapachu formaliny - skojarzenia, zakodowane podczas studiów, łączące się z widokiem wszystkich zwłok. Zamiast tego w powietrzu unosi się słaba woń środków dezynfekcyjnych i czystości.

Ściany są z wypolerowanej stali. Dwanaście wózków stoi w równych rzędach. Metalowe krypty zajmują trzy ściany i wyglądają jak gigantyczne szuflady na dokumenty z dużymi kwadratowymi uchwytami na obie dłonie.

Dociera do mnie, że Ruiz cały czas mówi.

- ...według patologa, leżała w ziemi jakieś dziewięć, dziesięć dni. Była naga, miała jeden but i złoty łańcuszek z medalikiem ze świętym Krzysztofem na szyi. Ubrania nie znaleziono. Nie ma śladów gwałtu... - Sprawdza zawieszkę na szufladzie i łapie za uchwyt. - Myślę, że zobaczy pan, dlaczego udało nam się określić przyczynę zgonu.

Szuflada otwiera się gładko, sunąc na rolkach. Odwracam gwałtownie głowę i odskakuję do tyłu. Ruiz podaje mi papierowy worek; zginam się w pół i wymiotuję. Trudno jednocześnie mieć torsję i chwytać oddech.

Ruiz stoi nieporuszony.

- Jak pan widzi, lewa strona twarzy jest zmasakrowana, a oko całkowicie zamknięte. Ktoś nieźle się nad nią pastwił. Dlatego pokazywaliśmy szkic zamiast zdjęcia. Ma ponad dwadzieścia ran kłutych - głębokość żadnej z nich nie przekracza jednego cala. I tu się pojawia prawdziwa zagadka. Wszystkie zostały zadane przez nią. Patolog odkrył ślady wahania. Musiała zebrać odwagę, żeby ugodzić się ostrzem.

Podnosząc głowę, dostrzegam odbicie twarzy Ruiza w wypolerowanej stali. I wtedy widzę malujący się na niej strach. Musiał prowadzić mnóstwo śledztw, lecz to zabójstwo go szokuje, ponieważ nie potrafi go zrozumieć.

Mam opróżniony żołądek. Pocąc się i dygocząc z zimna, prostuję się i oglądam ciało. Nie zrobiono nic, co przywróciłoby godność tej biednej kobiecie. Jest naga, leży wyprostowana z ramionami wyciągniętymi wzdłuż boków i złączonymi nogami.

Matowa biel jej skóry sprawia, że wygląda niemal jak marmurowy posąg, tyle że ten „posąg” został zdewastowany. Piersi, ramiona i uda są pokryte szkarłatnymi i różowymi ranami. Tam, udzie skóra jest napięta, rany rozeszły się i przypominają puste oczodoły, w innych miejscach są naturalnie zamknięte i lekko „płaczą”.

Widziałem sekcje zwłok w szkole medycznej. Znam cały proces. Denatkę sfotografowano,

oczyszczono, obmyto i rozcięto od szyi po krocze. Wyjęto oraz zważono organy, sprawdzono zawartość żołądka. Płyny organiczne, płatki skóry oraz brud spod paznokci zamknięto w plastikowych woreczkach lub pod szkiełkiem mikroskopowym. Ktoś, kto był wcześniej inteligentną, energiczną, pełną życia ludzką istotą, staje się eksponatem „A”.

- Ile ma lat?

- Pomiędzy dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć.

- Skąd ta myśl, że jest prostytutką?

- Minęły prawie dwa tygodnie i nikt nie zgłosił zaginięcia. Pan wie równie dobrze jak ja, że prostytutki się przemieszczają. Znikają na całe dni lub tygodnie, by pojawić się w zupełnie innym miejscu. Niektóre z nich podążają szlakiem konferencji, inne pracują na drodze. Jeżeli ta dziewczyna miała bliskich krewnych lub przyjaciół, ktoś do tej pory zgłosiłby jej zaginięcie. Może być cudzoziemką, lecz nie mamy nic z Interpolu.

- Nie bardzo wiem, jak miałbym pomóc.

- Co pan może mi o niej powiedzieć?

Chociaż nie mogę znieść widoku opuchniętej twarzy, już odnotowuję szczegóły. Włosy obcięte krótko dla wygody; można je łatwo umyć, szybko wysuszyć i nie trzeba ciągle czesać. Uszy nie przekłute. Paznokcie krótkie i zadbane. Brak pierścionków na palcach i śladów, żeby je nosiła. Szczupła, z jasną skórą, o biodrach obfitszych od piersi. Starannie wyregulowane brwi, poza tym świeżo wydepilowane okolice bikini, bo włosy łonowe tworzą regularny trójkąt.

- Czy miała makijaż?

- Lekko pomalowane usta i kreski na powiekach.

- Muszę na chwilę przysiąść i zajrzeć do sprawozdania z sekcji.

- Znajdę jakieś puste biuro.

Dziesięć minut później siedzę sam przy biurku ze wzrokiem wbitym w stertę folderów ze zdjęciami i opasłymi teczkami z dokumentacją. Między innymi jest tu sprawozdanie z sekcji i wyniki badania krwi oraz analizy toksykologicznej.

Rzucam okiem na stronę z podsumowaniem.

CITY OF WESTMINSTER BIURO KORONERA

Protokół z sekcji zwłok.

Nazwisko: nieznane *Autopsja nr* DX-34 468

Data urodzin: nieznana *Data zgonu:* nieznana

Wiek: nieznany *Sekcja:* 10/12/2000 0915 *Płeć:* żeńska

Opis wyników anatomicznych:

1. Czternaście ran szarpanych i kłutych na piersi, brzuchu i udach, głębokości 1,2 cala, szerokość od 0,5 do 3 cali.

2. Cztery rany szarpane na lewym ramieniu.

3. Trzy rany szarpane na lewej stronie szyi i na barkach.

4. Ślady po ciosach ostrym narzędziem - ukośne, skierowane ku dołowi, charakterystyczne dla nacięć i pchnięć.

5. Ślady wahanía, przeważnie proste z towarzyszącymi głębszymi nacięciami.

6. Znaczne zasinienie i obrzęk lewej kości jarzmowej oraz lewego oczodołu.

7. Nieznaczne sińce na prawym przedramieniu i otarcia na lewym podudziu oraz prawej pięcie.

8. Jama ustna, pochwa i odbył czyste.

Wstępne badania toksykologiczne:

Nie stwierdzono obecności etanolu ani narkotyków we krwi.

Przyczyna zgonu:

Na podstawie pośmiertnego badania rentgenowskiego wykryto obecność powietrza w prawej komorze serca, wskazującą na rozległy zator ze skutkiem śmiertelnym.

Prześlizguję się wzrokiem po sprawozdaniu, szukając konkretnych informacji. Nie interesuje mnie szczegółowy opis przyczyny śmierci. Chcę znaleźć wskazówki dotyczące jej życia. Czy miała kiedyś jakieś złamania? Czy istnieją jakiegokolwiek dowody, że brała narkotyki lub że chorowała na choroby przenoszone drogą płciową? Co stanowiło jej ostatni posiłek? Ile czasu upłynęło od jedzenia do śmierci?

Ruiz nie uważa za stosowne zapukać.

- Z mlekiem, bez cukru, tak?

Stawia plastikowy kubek z kawą na biurku, po czym klepie się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosa, który istnieje wyłącznie w jego wyobraźni. Zaciska zęby.

- No i co może mi pan powiedzieć?

- Nie była prostytutką.

- Bo?

- Dziewczyny zostają prostytutkami średnio w szesnastym roku życia. Ta kobieta miała jakieś dwadzieścia pięć lat, może więcej. Nie ma śladów wieloletniej aktywności seksualnej ani dowodów na odbyte choroby weneryczne. Pośród prostitutek, szczególnie tych, które zmusza się do stosunków bez prezerwatywy, często dochodzi do aborcji, a ta dziewczyna nigdy nie była w ciąży.

Ruiz trzykrotnie stuka palcami w stół, jakby stawiał wielokropek. Chce, żebym kontynuował.

- Luksusowe prostytutki sprzedają fantazje. Przykładają wielką wagę do wyglądu i prezencji. Ta kobieta miała krótko obcięte paznokcie, chłopięcą fryzurę i dyskretny makijaż. Nosila wygodne obuwie i niewiele biżuterii. Nie stosowała drogich kremów, nie malowała paznokci. Miała starannie wydepilowane okolice bikini...

Ruiz znowu okrąża pokój z lekko rozchylonymi ustami i ściągniętymi brwiami.

- ...dbała o siebie. Ćwiczyła regularnie i zdrowo się odżywiała. Prawdopodobnie bała się utyc. Powiedziałbym, że reprezentowała przeciętny lub nieco ponad przeciętny poziom inteligencji. Była dobrze wykształcona i najprawdopodobniej pochodziła z klasy średniej.

Nie sądzę, aby mieszkała w Londynie. Ktoś zgłosiłby już zaginięcie. Takie dziewczyny nie znikają tak po prostu. Ma rodzinę i przyjaciół. Jeżeli przyjechała do Londynu na rozmowę kwalifikacyjną czy na urlop, bliscy mogą przez jakiś czas nie spodziewać się od niej wiadomości. Wkrótce jednak zaczną się martwić.

Odsuwam nieco krzesło, niepewny, czy powinienem już wstać. Co jeszcze mogę mu powiedzieć?

- Ten medalik... to nie święty Krzysztof. Według mnie to chyba jest święty Kamil. Jeśli lepiej się przyjrzeć, postać trzyma dzban i ręcznik.

- A kim on był?

- Patronem pielęgniarek.

Ten wątek budzi jego zainteresowanie. Przechyla głowę na bok i niemal widzę, jak porządkuje informacje. Kartonik zapalek w prawej dłoni otwiera się i zamyka. Otwiera i zamyka.

Przerzucam dokumenty i przebiegam wzrokiem protokół z sekcji zwłok. Jeden ustęp przyciąga moją uwagę:

Znaleziono ślady dawnych obrażeń na całej długości prawego i lewego przedramienia oraz na wewnętrznej części ud. Wygląd blizn świadczy o usiłowaniu samodzielnego zszycia ran. Rany te zostały najprawdopodobniej zadane przez samą denatkę, co wskazuje na wcześniejsze próby samookaleczeń.

- Chcę obejrzeć zdjęcia.

Ruiz podsuwa mi segregatory z grzbietami z metalowej spirali i jednocześnie oznajmia:

- Muszę zadzwonić. Być może mamy ślad w sprawie zaginięcia kobiety. Laborantka z rentgena w Liverpoolu od dwóch tygodni nie ma wiadomości od swojej współlokatorki. Wiek, wzrost i kolor włosów pasują do naszej Jane Doe. A co powiesz na tę zbieżność, Sherlocku? Tamta jest pielęgniarką.

Kiedy wychodzi, otwieram pierwszy folder ze zdjęciami i szybko przewracam strony. Kiedy oglądałem zwłoki, ramiona były ułożone wzdłuż ciała. Nie mogłem widzieć przegubów ani też wnętrza ud. Skłonność do samookaleczeń, rany klute, wszystkie zadane własnoręcznie... Zapewne to tylko zbieg okoliczności.

Na pierwszych fotografiach widnieją ogólne ujęcia terenu, pokrytego pordezewiałymi, czterdziestoczworogalonowymi beczkami, zwojami drutu i fragmentami rusztowania. Bezpośrednie ilu stanowi kanał Grand Union, lecz w głębi widzę rzadko stojące, stare drzewa, a między nimi nagrobki.

Na kolejnych zdjęciach brzegi kanału. Miejsce oznaczone niebiesko-białą policyjną taśmą, przymocowaną do metalowych słupków.

Na zdjęciach z drugiego zestawu widać rów i białą plamę, która wygląda jak porzucony karton po mleku. Na zbliżeniu okazuje się, że to wystająca z ziemi ręka z rozsuniętymi palcami. Warstwa ziemi jest powoli zdejmowana, przeszukiwana i pakowana do woreczków. W końcu ukazuje się całe ciało; jedna noga zgięta w nienaturalnej pozycji, lewe ramię przerzucone przez twarz, jakby osłaniała oczy przed światłem.

Szybko przeglądam kolejne strony, aż dochodzę do zdjęć z sekcji. Sfotografowano wszystkie zasinienia, zadrapania, obrzęki. Szukam jednej fotografii.

Jest. Odwrócone ku górze przedramiona ułożone płasko na matowo srebrnym tle stołu sekcyjnego. Podnoszę się niezgrabnie i wracam na korytarz. Lewa noga odmawia mi posłuszeństwa, więc zarzucam nią, idąc.

Dyżurna naciska brzęczyk i wpuszcza mnie do chłodni, a ja przez parę sekund wpatruję się w ścianę metalowych krypt. Czwarta z brzegu. Trzecia od dołu. Sprawdzam dane na zawieszce, łapię za uchwyt i wyciągam szufladę. Tym razem zmuszam się do patrzenia na zmasakrowaną twarz. Olśnienie przypomina iskrę, puszczającą w ruch maszynę. Wspomnienia kłębią się w głowie. Ma krótsze włosy. I przytyła, ale niewiele.

Podnoszę jej prawą rękę, odwracam i przesuwam opuszkami palców po mlecznobiałych bliznach. Na tle bladej skóry wyglądają jak wytłoczone fałdki, które pojawiają się, przeplatają i rozplývają w nicość. Wielokrotnie otwierała rany, wyciągając szwy lub robiąc nacięcia w tym samym miejscu. Skrzętnie to ukrywała, ale pewnego razu poznałem jej sekret.

- Chciał pan jeszcze raz się przyjrzeć? - w drzwiach pojawia się Ruiz.
- Tak. - Nie potrafię opanować drżenia głosu. Ruiz staje przede mną i zamyka szufladę.
- Nie powinien pan tu wchodzić sam. Należało poczekać na mnie - zwraca mi uwagę opanowanym tonem.

Bąkam słowa przeprosin i myję dłonie nad umywalką, czując na sobie jego wzrok. Muszę coś powiedzieć.

- Co z Liverpoolem? Dowiedział się pan, kim...?
- Funkcjonariusz z Wydziału Śledczego miejscowej policji wiezie współlokatorkę zaginionej do Londynu, leszcze dziś po południu dokona identyfikacji.
- Zna więc pan jej nazwisko?

Nie odpowiada, tylko wyprowadza mnie na korytarz, gdzie czekam, aż pozbiera dokumenty z sekcji i fotografie. Następnie podążam za nim płataniną podziemnych przejść aż do dwuskrzydłowych przeszklonych drzwi, które prowadzą na parking. Przez cały czas myślę; powinienem to teraz powiedzieć. Powiedzieć mu. Jednocześnie pojawia się inna natrętna myśl; to

już nie ma znaczenia. Zna jej nazwisko. Co było to było. Stara historia.

- Obiecałem panu śniadanie.
- Nie jestem głodny.
- A ja tak.

Przechodzimy pod poczerniałymi przęsłami wiaduktu kolejowego i podążamy wąską alejką. Najwyraźniej Ruiz zna wszystkie boczne uliczki. Jak na tak potężnego mężczyznę porusza się niezwykle zręcznie, omijając kałuże i psie ekskrementy.

Duże szyby w oknach kafeterii zmatowiały od pary, a może pokrywa je warstewka frytury. Kiedy wchodzimy, dźwięczy dzwonek nad naszymi głowami. W nieznośnie gorącym powietrzu wisi zapach papierosów.

Poza dwoma starszymi mężczyznami o zapadłych policzkach, w blezerach, którzy grają w szachy przy narożnym stoliku, oraz hinduskim kucharzem w fartuchu poplamionym żółtkiem w lokalu nie ma nikogo. Dochodzi południe, lecz w kafeterii śniadanie serwuje się przez cały dzień. Fasola w sosie pomidorowym, frytki, jajka sadzone, bekon i pieczarki - we wszystkich możliwych kombinacjach. Ruiz wybiera stół przy oknie.

- Co pan chce?
- Tylko kawę.
- Tutaj kawa jest beznadziejna.
- W takim razie poproszę herbatę.

Ruiz zamawia tradycyjne angielskie śniadanie oraz grzanki i dwa dzbanuszki herbaty. Następnie wsuwa rękę do kieszeni w poszukiwaniu papierosów, po czym bąka, że zapomniał telefonu.

- Wciąganie pana w tę całą historię nie sprawiło mi przyjemności - mówi.
- Ależ sprawiło.
- Może trochę. - Jego oczy zdają się uśmiechać, ale nie ma w nich samozadowolenia.

Rozdrażnienie, które zauważyłem u niego poprzedniego wieczoru, zniknęło. Jest rozluźniony i stonowany.

- Wie pan, jak zostałem inspektorem, profesorze O'Loughlin?
- Nie.

- Kiedyś awans zależał od ilości rozwiązanych spraw oraz przestępców, których się przyskrzyniło. Teraz kryterium stanowi jak najmniejsza ilość skarg oraz umiejętność utrzymania się w budżecie. Mnie mają za dinozaura. Odkąd weszła w życie Ustawa o Policji i Postępowaniu Dowodowym, policjanci mego pokroju nie znają dnia ani godziny. Obecnie mówi się o proaktywnych działaniach policyjnych. Wie pan, co to znaczy? Liczba detektywów oddelegowanych do danej sprawy zależy od wielkości nagłówków w szmatławcach. Media, a nie policjanci, prowadzą dochodzenie.

- Nie czytałem o tym zabójstwie w gazetach - zauważam.

- Bo wszyscy myślą, że ofiara była prostytutka, leżeli okaże się jakąś cholerną Florence Nightingale albo córką księcia, do stanę czterdziestu detektywów zamiast dwunastu. A nadzór nad śledztwem ze względu na „złożony charakter sprawy” przejmie osobiście Zastępca Szefa Policji. Jego biuro będzie weryfikować każde oświadczenie dla prasy oraz zatwierdzać wszelkie działania w trakcie dochodzenia.

- Dlaczego akurat pana wyznaczyli?

- Jak już mówiłem, uznali, że ofiarą jest prostytutka. „Dajcie to Ruizowi”, powiedzieli. Dobierze się do paru facetów, napędzi stracha alfonsom. Co z tego, że będą protestować. Moja teczka jest tak wypchana skargami, że Wydział Spraw Wewnętrznych przeznaczył mi osobną szufladę.

Grupka japońskich turystów zatrzymuje się na chwilę przed oknem. Spoglądają na jadłospis na czarnej tabliczce, potem na Ruiza i postanawiają iść dalej. Zjawia się śniadanie oraz nóż i widelec zawinięte w papierową serwetkę. Ruiz wyciska brunatny sos na sadzone jajka i zaczyna je kroić. Staram się nie patrzeć, jak je.

- Zdaje się, chce pan o coś zapytać - mówi pomiędzy kolejnymi kęsami.

- Jak ona się nazywa?

- Zna pan zasady. Nie wolno mi udzielać żadnych informacji, dopóki tożsamość nie będzie potwierdzona i nie zostaną powiadomieni najbliżsi krewni.

- Pomyślałem tylko... - nie kończę zdania.

Ruiz wypija łyk herbaty i smaruje grzanek masłem.

- Catherine Mary McBride. Miesiąc temu skończyła dwadzieścia siedem lat. Według jej współlokalki pojechała do Londynu na rozmowę kwalifikacyjną.

Mego szoku nie zmniejsza fakt, że z góry znałem odpowiedź. Biedna Catherine! Już wtedy powinienem mu powiedzieć. Od razu. Dlaczego muszę wszystko racjonalizować? Czemu nie mogę zwyczajnie wypowiadać myśli w chwili, gdy przychodzą mi do głowy?

Ruiz pochyla się nad talerzem i zgarnia fasolę na brzeg grzanki. Widelec nieruchomieje w drodze do otwartych ust.

- Dlaczego pan powiedział: „Biedna Catherine”?

Musiałem mówić na głos. Wyraz moich oczu dopowiada resztę. Ruiz z brzękiem odkłada widelec na talerz. W jego myśli wkrada się gniew i podejrzliwość.

- Pan ją znał.

Te słowa brzmią nie jak stwierdzenie, ale jak zarzut. Jest zły.

- Nie od razu ją rozpoznałem. Twarz na szkicu mogła pasować do wielu osób. Myślałem, że szukacie prostytutki.

- A dzisiaj?

- Miała taką obrzmiałą twarz. Wydawała się taka... taka... zmasakrowana. Nabrałem pewności, dopiero kiedy zobaczyłem blizny. Była kiedyś moją pacjentką.

Ta odpowiedź go nie zadowalała.

- Znowu pan kłamie, profesorze. Wkopię panu but w tyłek tak głęboko, że poczuje pan zapach pasty w nosie.

- Nie okłamałem pana. Po prostu chciałem mieć pewność.

Cały czas patrzy mi w oczy

- A kiedy pan zamierzał mi o tym powiedzieć?

- Powiedziałbym.

- No, jasne. - Odsuwa talerz na środek stolika. - W takim razie zacznijmy od początku.

- Dlaczego Catherine była pana pacjentką?

- Blizny na nadgarstkach i udach - umyślnie się pocięła.

- Próba samobójstwa?

- Nie.

Widzę, że Ruiz się gubi. Przechyliam się nad stolikiem i próbuję wyjaśnić, jak reagują ludzie nieprzystosowani lub tacy, którzy nie radzą sobie z nadmiarem negatywnych emocji. Jedni nadużywają alkoholu. Inni się objadają albo biją żony lub kopia kota. A zdumiewająco duży procent przykładą dłoń do gorącej kuchenki lub robi sznyty żyletką.

To ekstremalne mechanizmy obronne. Oni twierdzą, że ich psychiczne cierpienie zostaje skierowane na zewnątrz. Nadając mu fizyczny wymiar, łatwiej potrafią z nim walczyć.

- Z czym się zmagala Catherine?

- Przede wszystkim z niską samooceną.

- Gdzie pan ją poznał?

- Pracowała jako pielęgniarka w Royal Marsden Hospital. Byłem tam konsultantem.

Ruiz porusza filiżanką i wprawiając herbatę w wirujący ruch, wpatruje się w nią, jakby tam szukał odpowiedzi. Nagle odsuwa krzesło, poprawia spodnie i wstaje.

- Wie pan co, niezły z pana skubaniec. - Pięcioletni banknot ląduje na stoliku i wychodzimy. Po dziesięciu zamasztych krokach, Ruiz odwraca się do mnie. - Dobra, niech mi pan powie taką rzecz. Czy prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa, czy ta dziewczyna sama ze sobą skończyła?

- Została zamordowana.

- A więc zmuszono ją do tego - do zadania tych wszystkich ran? Poza obrażeniami twarzy nie ma żadnych śladów, że ją związano, zakneblowano lub zmuszono siłą do samookaleczenia. Potrafi pan to wyjaśnić?

Kręcę głową przecząco.

- Jest pan psychologiem! To pan powinien rozumieć świat, w którym żyjemy. Ja jestem detektywem i to przekracza moje pieprzone pojęcie.

7

O ile dobrze pamiętam, nie byłem pijany od narodzin Charlie, gdy Jock wziął na siebie obowiązek dopilnowania, żebym się urznął, bo najwyraźniej tak właśnie postępują inteligentni, rozsądni i sumienni ojcowie, kiedy zostają obdarzeni potomstwem.

Przy zakupie nowego samochodu unika się alkoholu, po przenosinach do nowego domu człowieka nie stać na drinka, lecz po przyjściu na świat nowego dziecka należy „się nawalić” albo jak to było w moim przypadku, puścić pawia w taksówce krążącej wokół Marble Arch.

Nie upiłem się nawet wtedy, gdy Jock mnie poinformował, że mam chorobę Parkinsona. Ale za to przespałem się z kobietą, która nie jest moją żoną. Kac nie trwa długo. Poczucie winy pozostaje na zawsze.

Dzisiaj w porze lunchu wypłem dwie podwójne wódki - nowość dla mnie. Miałem ochotę się upić, ponieważ nie mogę wyrzucić z pamięci widoku Catherine McBride. Nie widzę twarzy, tylko nagie ciało, odarte ze wszelkiej godności; pozbawione nawet skąpych fig czy taktownie zarzuconego prześcieradła. Chcę ją chronić. Chcę ją osłonić przed spojrzeniami ludzi.

Teraz rozumiem Ruiza - nie jego słowa, lecz wyraz twarzy. To nie był tragiczny finał jakichś wielkich emocji. Ani pospolite zabójstwo przy kuchennym zlewie, gdzie motywem jest chciwość czy zazdrość. Catherine McBride cierpiała potwornie. Każdy kolejny cios odbierał jej siły, jak banderille wbijane przez banderillero w szyję byka.

W 1987 roku amerykański psycholog nazwiskiem Daniel Wegner przeprowadził sławny eksperyment, dotyczący tłumienia myśli. Podczas testu, którego autorem mógłby być sam Dostojewski, poprosił grupę ludzi, aby nie myśleli o białym niedźwiedziu. Za każdym razem, kiedy biały niedźwiedź pojawiał się w ich myślach, musieli naciskać dzwonek. Obojętnie jak bardzo się starali, żaden z nich nie potrafił odsunąć od siebie zakazanych myśli na dłużej niż dwie minuty.

Wagner mówił o istnieniu dwóch przeciwstawnych procesów myślowych. Jednym z nich jest próba myślenia o wszystkim z wyjątkiem białego niedźwiedzia; drugi natomiast podsuwa tę myśl, którą staramy się stłumić.

Catherine Mary McBride jest moim białym niedźwiedziem. Nie mogę pozbyć się jej z myśli.

Powinienem, w porze lunchu, wrócić do domu i odwołać wszystkie popołudniowe sesje. Zamiast tego czekam na Bobby'ego Morana, który przychodzi spóźniony. Meena traktuje go szorstko i oficjalnie. Jest szósta i chce iść do domu.

- Nie chciałbym być żonaty z pańską sekretarką - mówi na wejściu. - Ona nie jest pana żoną, prawda?

- Nie.

Wskazuje mu krzesło. Jego pośladki wypełniają całe siedzenie. Poprawia mankiety płaszcza, wydaje się nieobecny i niespokojny.

- Gdzie byłeś?

- Nie, dziękuję. Właśnie piłem.

Robię przerwę, chcąc sprawdzić, czy się zorientuje, że jego odpowiedź nie ma sensu. Nie reaguje.

- Bobby, wiesz, o co cię zapytałem?

- Czy chcę kawy, czy herbaty.

- Nie.

Cień niedowierzania pojawia się na jego twarzy.

- Ale zaraz zamierzał mnie pan zapytać, czy chcę kawy, czy herbaty.

- Czytałeś więc w moich myślach? Uśmiecha się nerwowo i kręci głową.

- Wierzy pan w Boga? - pyta.

- A ty?

- Kiedyś wierzyłem.

- Co się stało?

- Nie umiałem Go odnaleźć. Podobno jest wszędzie. Nie po winien bawić się w chowanego.

- Spogląda na swoje odbicie w pociemniałej szybie.

- Bobby, jakiego Boga byś chciał - mściwego czy miłosiernego?

- Mściwego.

- Czemu?

- Ludzie powinni odpokutować za swoje grzechy. Nie po winno im się nagle wybaczać tylko dlatego, że wyrazili skruchę albo żałowali za grzechy na łożu śmierci. Jeżeli postąpimy źle, powinniśmy ponieść karę.

Ostatnie zdanie dzwoni w powietrzu jak miedziana jedno-pensówka upuszczona na stół.

- Bobby, a czego ty żałujesz?

- Niczego. - Odpowiada zbyt pośpiesznie. Wszystko w jego mowie ciała zdecydowanie temu przeczy.

- Co czujesz, kiedy wpadasz w gniew?

- Mam wrażenie, że mózg mi się gotuje.

- Kiedy ostatni raz się tak czułeś?

- Kilka tygodni temu.

- Co się wydarzyło?

- Nic.

- Kto cię rozniewał?
- Nikt.

Zadawanie bezpośrednich pytań nie ma sensu, bo je zwyczajnie blokuje. Podprowadzam go do punktu wyjścia i pozwalam, by nabrał rozpędu, jak kamień toczący się po zboczach. Znam datę - jedenasty listopada - właśnie tamtego popołudnia nie stawił się na umówione spotkanie. Pytam go, o której wstał. Co zjadł na śniadanie? Kiedy wyszedł z domu? Powoli przybliżam go do chwili, gdy stracił panowanie nad sobą. Pojechał metrem na West End i zaszedł do jubilera w Hatton Garden. Pobierają się z Arky na wiosnę. Bobby miał odebrać obrączki. Pokłócił się z jubilerem i wybiegł ze sklepu. Padał deszcz. Robiło się późno. Stał na Holborn Circus, usiłując złapać taksówkę.

W tym miejscu Bobby znowu się wycofuje i zmienia temat.

- Jak pan myśli, kto zwycięży w walce tygrysa z lwem? - pyta obojętnym głosem.
- Dlaczego o to pytasz?
- Chciałbym poznać pańskie zdanie.
- Tygrysy i lwy nie walczą ze sobą. Żyją w różnych częściach świata.
- No tak, ale gdyby ze sobą walczyły, kto by wygrał?
- To pytanie nie ma sensu, fest zwariowano.
- A czy nie tym właśnie zajmują się psychologowie - zadawaniem bezsensownych pytań?

Cała jego postawa zmienia się w trakcie tego pytania. Nagle staje się zaczepny i agresywny, celuje we mnie palcem.

- Pytasz ludzi, co by zrobili w hipotetycznych sytuacjach. Dlaczego nie spróbujesz ze mną? No, dalej! Co bym zrobił, gdy bym pierwszy zauważył, że pali się w kinie? Ugasiłbym pożar? Czy sprowadził kierownika? A może ewakuował ludzi? Dobrze wiem, co wy robicie. Uczepicie się niewinnej odpowiedzi i robicie z normalnego człowieka wariata.

- Tak myślisz?
- Ja to wiem.

Mówi o Ocenie Poczytalności. Najwyraźniej przebadano go wcześniej, choć nie ma o tym żadnej wzmianki w jego karcie. Za każdym razem, gdy wywieram na niego presję, reaguje wrogo. Czas go przycisnąć.

- Bobby, pozwól, że ci powiem, co ja wiem. Tamtego dnia coś się wydarzyło. Byłeś wkurzony. Miałeś zły dzień. Czy to jubiler? Co takiego zrobił?

Mój głos brzmi ostro i bezwzględnie. Bobby wzdryga się. Narasta w nim gniew.

- Parszywy kłamca! Źle wygrawerował obrączki. Zrobił błąd w imieniu Arky i powiedział, że to moja wina. Że ja mu tak na pisałem. Skurczybyk chciał policzyć mi dodatkowo.

- Co zrobiłeś?
- Stłukłem szybę w ladzie.

- Jak?

- Walnąłem pięścią.

Podnosi rękę, żeby mi pokazać. Na wewnętrznej stronie dłoni bladożółte i różowe przebarwienia.

- Co było potem?

Wstrząsa ramionami i kręci głową. Niemożliwe, aby się na tym skończyło. Musi być coś jeszcze. Podczas ostatniej sesji mówił, że „ją” ukarał - jakąś kobietę. To musiało się stać po wyjściu ze sklepu. Wyszedł na ulicę zły, „mózg mu się gotował”.

- Gdzie ją zobaczyłeś?

Patrzy na mnie trzepocząc powiekami.

- Wyszła ze sklepu muzycznego.

- Co wtedy robiłeś?

- Czekałem w kolejce na postoju. Padał deszcz. Wzięła moją taksówkę.

- Jak wyglądała?

- Nie pamiętam.

- Ile mogła mieć lat?

- Nie wiem.

- Powiedziałeś, że wzięła twoją taksówkę - odezwałeś się do niej?

- Chyba nie.

- Co zrobiłeś? Wzdryga się.

- Była z kimś? Spogląda na mnie.

- To znaczy? - pyta z wahaniem.

- Kto z nią był?

- Chłopiec.

- Ile miał lat?

- Pięć, może sześć.

- Gdzie był ten chłopiec?

- Ciągnęła go za rękę. A on wrzeszczał. Naprawdę, darł się jak opętany. Nie zwracała na niego uwagi. Opierał się, a ona go ciągnęła. Smarkacz nie przestawał się wydzierać. A mnie zdziwiło, dlaczego ona nic nie mówi. Jak może pozwolić, żeby tak się darł? Boli go coś, a może się przestraszył? Nikt w kolejce nie zareagował. To mnie rozgniewało. Jak mogą tak stać?

- Kto cię rozgniewał?

- Wszyscy. Rozgniewała mnie ich obojętność. Byłem zły na tę kobietę za brak zainteresowania. Byłem zły na siebie, że nienawidzę tego małego chłopca. Po prostu chciałem, żeby przestał wrzeszczeć...

- I co zrobiłeś?

Jego głos przechodzi w szept.

- Chciałem, żeby go uspokoiła. Chciałem, żeby go usłyszała. - Milknie.

- Zwróciłeś jej uwagę?

- Nie.

- Co było dalej?

Drzwi taksówki się otworzyły. Wepchnęła go do środka. Dzieciak wierzgał nogami. Wsiadła za nim i odwróciła się, żeby zatrzaskać drzwi. Jej twarz była jak maska... zupełnie bez wyrazu. Zamachnęła się i, bach! rąbnęła go łokciem prosto w twarz. Dzieciak skulił się na siedzeniu...

Bobby zawiesza głos, wyraźnie gotowy mówić dalej. Wstrzymuje się. Narasta cisza. Pozwalam, aby wypełniła mu umysł - rozlała się po wszystkich jego zakamarkach.

- Wywlokłem ją z taksówki. Chwyciłem za włosy. Przycisnąłem jej twarz do szyby. Upadła i próbowała się odturlać, ale ja dalej ją kopałem.

- Uważałeś, że wymierzysz jej karę?

- Tak.

- Zasłużyła na nią?

- Tak!

Patrzy prosto na mnie - twarz ma woskowo bladą. W tej chwili staje mi przed oczyma chłopiec w pustym kącie na placu zabaw; otyły, nadmiernie wyrosnięty, przezywany od „Tłustych Dup” i „Bek Smalcu”. Dzieciak, który stara się być niewidzialny, lecz ma pecha, rzuca się w oczy.

- Znalazłem dziś martwego ptaszka - mówi Bobby z roztargnieniem. - Miał złamany kark. Może uderzył go samochód.

- Możliwe.

- Usunąłem go z drogi. Jeszcze był ciepły. Myślisz czasem o śmierci?

- Chyba wszyscy o niej myślą.

- Niektórzy ludzie zasługują na śmierć.

- A kto powinien o tym decydować?

- Nie tacy jak ty - śmieje się gorzko.

Sesja się przedłużyła, Meena poszła już do domu, do swoich kotów. W większości okolicznych biur jest ciemno. Sprzątaczkę krążą po korytarzach i opróżniają kosze, odłupując swoimi wózkami farbę z przypadkowych listew.

Bobby też już wyszedł. A ja patrzę w pociemniały kwadrat okna i nadal mam przed oczami jego spoconą twarz, poplamioną krwią tamtej biedaczki.

Powinienem był to przewidzieć. Jest moim pacjentem, odpowiadam za niego. Wiem, że nie mogę wziąć go za rękę i przyprowadzić do gabinetu, ale to słabe pocieszenie. Bobby był bliski

płaczu, kiedy opowiadał, jak go oskarżono; bardziej żałował siebie niż tamtej kobiety, którą zaatakował.

Zmuszam się do prowadzenia niektórych moich pacjentów. Płacą dziewięćdziesiąt funtów i siedzą ze wzrokiem wbitym we własny pepek albo biadolą o problemach, o których powinni rozmawiać raczej ze swoimi partnerami. Bobby jest inny. Nie wiem, w czym rzecz. Chwilami wydaje się zupełnie bezradny, po czym nagle zaskakuje mnie pewnością siebie i inteligencją. Śmieje się nie tam gdzie trzeba, wybucha niespodziewanie, a oczy ma blade i zimne jak niebieskie szkło.

Czasami myślę, że on na coś czeka jakby się miały poruszyć góry albo planety ustawić rzędem. A kiedy to się wydarzy, powie mi, co naprawdę z nim się dzieje.

Nie mogę czekać. Muszę zrozumieć go teraz.

8

Wszystkiemu winien jest Muhammad Ali. Kiedy zapalał znicz na olimpiadzie w Atlancie, nie było na świecie pary suchych oczu.

Dlaczego płakaliśmy? Bo wielki sportowiec przemienił się w powłóczącego nogami, bełkoczącego, dygoczącego kalekę. Człowiek, który kiedyś tańczył jak motyl, teraz trząsał się jak galareta.

Sportowcy na zawsze pozostają w pamięci. Kiedy ciało zawodzi kogoś takiego jak Stephen Hawking, uważamy, że będzie mógł żyć dalej w swoim umyśle, lecz sportowiec-inwalida jest jak ptak ze złamanym skrzydłem. Gdy lataśz wysoko, upadek bardziej boli.

Jest piątek i siedzę w gabinecie Jocka. Naprawdę nazywa się doktor Emlyn Robert Owens - Szkot o walijskim nazwisku - ale dla mnie od zawsze jest Jockiem.

Ten potężny, niemal zwałisty mężczyzna o szerokich barach i byczym karku wygląda raczej na byłego boksera niż na chirurga neurologa. Na ścianach w jego gabinecie wiszą reprodukcje obrazów Salvadora Dali oraz zdjęcie Johna McEnroe z trofeum z Wimbledonu opatrzone autografem. McEnroe napisał: „Nie mówisz poważnie!”.

Jock wskazuje mi kozetkę, następnie podwija rękawy. Przedramiona ma śniade i masywne. Dlatego jego piłki są jak pociski. Gra w tenisa z Jockiem to osiemdziesiąt procent bólu. Każde odbicie wraca wycelowane dokładnie w twoje ciało. Nawet na otwartym korcie próbuje przebić człowieka na wylot.

Nasze regularne piątkowe mecze z Jockiem nie mają nic wspólnego z miłością do tenisa - tu chodzi o przeszłość. O wysoką, smukłą dziewczynę z college'u, która wybrała mnie zamiast niego. To sprawa sprzed dwudziestu lat, a dziewczyna jest moją żoną. Nadal go to wkurza.

- Jak się ma Julianne? - pyta, świecąc mi w oczy cienką jak ołówek latarką.
- Dobrze.

- Jak jej się podobały twoje wyczyny na gzymsie?
- Nadal ze mną rozmawia.
- Powiedziałeś komuś o swoim stanie?
- Nie. Mówiłeś, że mam normalnie żyć.
- Tak. Normalnie! - Otwiera teczkę i coś notuje. - Odczuwasz drżenie?
- Właściwie nie. Czasem, gdy chcę podnieść się z krzesła czy wstać z łóżka, mój mózg mówi wstawaj, a ciało nie reaguje.

Robi kolejną notatkę.

- To się nazywa „wahanie startowe”. Zawsze to mam - szczególnie kiedy w telewizji leci mecz rugby.

Przechadza się, obserwując, czy moje oczy podążają za nim.

- Jak sypiasz?
- Nie za dobrze.
- Powinieneś kupić sobie jakąś taśmę relaksacyjną. Znasz je. Niektórzy z lektorów mówią takim monotonnym głosem, że z miejsca zapada się w sen.
- Dlatego właśnie tu przychodzę.

Jock uderza mnie w kolano gumowym młoteczkim, mocniej niż to konieczne, aż podskakuję na kozetce.

- Musiałem trafić w łaskotki - mówi z sarkazmem. Odstępuje o krok. - No dobra, znasz procedurę.

Zamykam oczy i składam dłonie; kciuk z kciukiem, palec wskazujący ze wskazującym, środkowy ze środkowym i tak dalej. Już prawie mi się udaje, lecz serdeczne palce się ześlizgują. Ponawiam próbę i tym razem mijają się palce środkowe.

Jock opiera łokieć na biurku; teraz będziemy się siłować na rękę.

- Oszłamia mnie nowoczesność waszych metod - mówię, pochylając się nad blatem. Jock miażdży mi palce w uścisku.

- Jestem pewien, że robisz to dla czystej satysfakcji. Prawdopodobnie nie ma to nic wspólnego z badaniem.

- Jak odgadłeś? - pyta, kiedy napieram na jego ramię. Czuję, że czerwienieję na twarzy. Bawi się ze mną. Choć raz chciał bym pokonać skubańca.

Pogodzony z przegraną, opadam na oparcie i gimnastykuję palce. Na twarzy Jocka nie ma śladu triumfu. Bez jego zachęty wstaję i przechadzam się po gabinecie, poruszając rękami jak w marszu. Lewe ramię zwisa bezwładnie.

Jock odwija i przycina cygaro. Wodzi językiem po jego końcówce i oblizuje wargi. Zapala je, a potem przymyka powieki i pozwala, aby dym snuł się przez uśmiechnięte usta.

- Boże, jak ja czekam na pierwsze cygaro w ciągu dnia - mówi. Odprowadza wzrokiem smużki dymu wijące się aż pod sufit. Tym stwierdzeniem wypełnia ciszę, podobnie jak dym wy pełnia pomieszczenie.

- No i jak? - pytam zdenerwowany.

- Masz chorobę Parkinsona.

- To już wiem.

- Co chcesz, żebym ci powiedział?

- Coś, czego nie wiem. Przytrzymuje cygaro zębami.

- Odrobiłeś lekcje. Założę się, że potrafisz zrobić mi cały wykład; przytoczyć wszystkie teorie, programy badawcze, wy mienić znane osoby cierpiące na parkinsonizm. No, proszę, ty mi powiedz. Co mam zapisać? Jaką dietę wyznaczyć?

Niestety ma rację. Mogę mu podać numer rozdziału i wersu. W ostatnim miesiącu spędziłem wiele godzin na surfowaniu po Internecie i studiowaniu periodyków medycznych. Wiem wszystko o doktorze Jamesie Parkinsonie, angielskim lekarzu, który w 1817 roku opisał stan, który nazwał „porażeniem drżączką”. Mogę mu powiedzieć, że w Wielkiej Brytanii sto dwadzieścia tysięcy ludzi cierpi na tę chorobę. Dotyka przeważnie osoby po sześćdziesiątce, ale w jednym na siedem przypadków symptomy pojawiają się przed czterdziestką. U trzech czwartych pacjentów drżenie występuje od samego początku, pozostali mogą nie mieć go wcale.

Oczywiście, że szukałem odpowiedzi na moje pytania. A czego się spodziewałem? Tyle że nie ma żadnych odpowiedzi. Wszyscy specjaliści mówią to samo - choroba Parkinsona to jedno z najbardziej niezrozumiałych i złożonych zaburzeń neurologicznych.

- A jak tam analizy, które wykonałeś?

- Jeszcze nie ma wyników. Powinienem je dostać do końca tygodnia. Wtedy zapiszę ci leki.

- Jakie leki?

- Kompozycję.

Zaczyna wpadać w mentorski ton.

Strzepuje popiół z cygara i odchyła się na oparcie. Za każdym razem, kiedy go widzę, coraz bardziej przypomina wyglądem prezesa korporacji. Wkrótce zacznie nosić kolorowe szelki i skarpetki golfowe.

- Jak tam Bobby Moran sobie radzi?

- Nie za dobrze.

- Co się stało?

- Skopał kobietę do utraty przytomności, bo podebrała mu taksówkę.

Jock zapomina się i gwałtownie wciąga powietrze, przy czym dostaje ataku kaszlu.

- Wspaniale! Jeszcze jeden optymistyczny wynik.

To właśnie Jock przysłał Bobby'ego do mnie. Rejonowy lekarz rodzinny skierował go na badania neurologiczne, a ponieważ Jock nie znalazł żadnych fizycznych nieprawidłowości, podrzucił go mnie. Powiedział wtedy dokładnie tak: „Nie martw się, jest ubezpieczony. Naprawdę możesz na nim zarobić”.

Jock uważa, że powinienem się trzymać „prawdziwej medycyny”, kiedy nadarza się ku temu okazja, zamiast okazywać społeczną wrażliwość, która kosztuje więcej od mojej hipoteki. O ironio, na studiach był taki jak ja. Kiedy mu o tym przypominam, twierdzi, że w tamtych czasach wszystkie najładniejsze dziewczyny na uniwersytecie miały lewicowe poglądy. Był kochliwym socjalistą - wszystko, byle się tylko dobrać do miodu.

Nie umiera się z powodu choroby Parkinsona. Umiera się z nią. To jeden z banalnych aforyzmów Jocka. Świetnie by się nadawał jako slogan na nalepkę na zderzaki samochodowe, ponieważ jest prawie tak samo idiotyczny jak: „To nie broń zabija, lecz ludzie”.

Moją reakcją na tę chorobę można sprowadzić do pytania: „Dlaczego akurat ja?”, lecz spotkanie z Malcolmem na dachu Marsdena przywołało mnie do porządku. On cierpi na poważniejszą chorobę. Jego karty wygrywają.

Zacząłem podejrzewać, że coś się dzieje jakieś piętnaście miesięcy temu. Pierwszym objawem było zmęczenie. W niektóre dni czułem się tak, jakbym brnął przez błoto. Nadal grywałem w tenisa dwa razy w tygodniu i trenowałem drużynę trampkarzy Charlie. Podczas treningów byłem w stanie dotrzymać kroku ośmiolatkom i widziałem siebie jako Zinedine Zidane'a, filar drużyny, który celnie strzela bramki i sprytnie drybluje.

A potem zauważyłem, że piłka obiera inny kierunek od zamierzonego i że się potykam o własne nogi. Charlie myślała, że się wygłupiam. Julianne, że robię się leniwy. Według mnie powodem były czterdzieste drugie urodziny.

Teraz, kiedy patrzę wstecz, dostrzegam więcej sygnałów. Moje pismo stało się jeszcze bardziej nieczytelne, a dziurki do guzików zaczęły stanowić utrapienie. Wstając z krzesła, miewałem problemy, a schodząc ze schodów, trzymałem się poręczy.

Potem nastąpiła coroczna „pielgrzymka” do Walii na siedemdziesiąte urodziny mojego ojca. Zabrałem Charlie na spacer na Great Ormes Head, skąd roztacza się widok na Penrhyn Bay. Widać było odległą wyspę Puffin, dopóki wysokie, sztormowe fale na Atlantyku nie pochłonęły jej niczym ogromny biały wieloryb. Szliśmy pochyleni pod wiatr, czując na twarzy kłujące kropelki rozpylonej wody i patrzyliśmy, jak bałwany rozbijają się o głazy. Wtedy właśnie Charlie spytała:

- Tatusiu, dlaczego nie machasz lewą ręką?
- O co ci chodzi?
- Twoje ramię. Ono jakby wisi.

No tak, rzeczywiście zwisało beużyteczne wzdłuż boku. Następnego ranka ręka wydawała się funkcjonować całkiem normalnie. Nie wspomniałem o niczym Julianne ani tym bardziej rodzicom. Mój ojciec - człowiek, który oczekuje na wezwanie, aby zostać przybocznym lekarzem Boga - złażałby mnie za hipochondrię i wyśmiał na oczach Charlie. Nigdy mi nie wybaczył, że zrezygnowałem z medycyny, żeby studiować teorię zachowań i psychologię.

Tymczasem moja wyobraźnia szalała. Miałem wizje guzów mózgu i zakrzepów tętnicznych. Co będzie, jeśli przytrafi mi się niewielki wylew? A jeśli okaże się poważny? Prawie wmówiłem sobie bóle w klatce piersiowej.

Minął rok, zanim poszedłem z tym do Jocka. Do tego czasu on też zdążył zauważyć, że coś się ze mną dzieje. Wchodziliśmy do szatni klubu tenisowego i tak mocno zarzuciło mnie na prawo, że musiał przystanąć w pół kroku. Zwrócił również uwagę na moją bezwładnie zwisającą lewą rękę. Zbył to dowcipem, ale czułem, że bacznie mi się przygląda.

Nie ma testów diagnostycznych na parkinsonizm. Doświadczony neurolog, jak Jock, polega na obserwacji. Są cztery podstawowe objawy: drżenie rąk, ramion, nóg, zuchwy lub mięśni twarzy; sztywność oraz drętwienie kończyn i tułowia, powolność ruchów; chwiejność postawy lub zakłócenia równowagi i brak koordynacji ruchów.

Choroba jest nieuleczalna i ma progresywny charakter. Nie jest zakaźna i rzadko bywa dziedziczna. Istnieje mnóstwo teorii na temat przyczyn jej powstawania. Niektórzy naukowcy winią wolne rodniki, które wchodzą w reakcje z sąsiednimi cząsteczkami, powodując uszkodzenia tkanki. Inni obwiniają pestycydy i różne zanieczyszczenia w łańcuchu pokarmowym. Nie wyklucza się także czynnika genetycznego, ponieważ są ślady rodzinnych predyspozycji i może dlatego choroba jest w jakiś sposób powiązana z wiekiem.

Prawda jest taka, że może ją powodować kombinacja wszystkich tych czynników po trosze, albo... żaden z nich.

Być może powinienem być wdzięczny. Z moich doświadczeń z lekarzami (a wzrastałem blisko jednego z nich) wynika, że ustalają jasną i jednoznaczną diagnozę jedynie wtedy, gdy stoisz w gabinecie z, powiedzmy, pistoletem termicznym do kleju przytkniętym do głowy.

O wpół do piątej jestem już na dworze i przeciskam się w porannym tłumie ludzi spieszących do metra oraz na przystanki autobusowe. Idę w stronę Cavendish Square i zatrzymuję taksówkę, bo znowu zaczyna padać.

Dyżurny policjant w Holborn Police Station ma różową, starannie ogoloną twarz i „pożyczkę” zaczesaną na łysinę. Pochylony nad kontuarem, macza herbatniki w kubku z herbatą, obsypując okruszkami biust dziewczyny na trzeciej stronie czasopisma. Kiedy przechodzę przez szklane drzwi, oblizuje palce, wyciera je o koszulę i wsuwa czasopismo pod kontuar. Uśmiecha się do mnie i wtedy trzęsą mu się policzki.

Podaję wizytówkę i pytam, czy istnieje możliwość, abym obejrzał listę zarzutów przeciwko Bobby'emu Moranowi. Jego dobry humor pryska.

- Jesteśmy w tej chwili bardzo zajęci, będzie pan musiał się zadowolić moją pomocą.

Oglądam się przez ramię. Poza jakimś wymizerowanym nastolatkiem w podartych dżinsach, w adidasach i w podkoszulku z logo AC/DC, który śpi na drewnianej ławce, w komisariacie nie ma nikogo. Na podłodze walają się niedopałki, a przy metalowym koszu na śmieci kopulują plastikowe kubki.

Sierżant rozmyślnie, bez pośpiechu kieruje się do szafki z dokumentami stojącej pod ścianą w głębi pomieszczenia. Herbatnik przykleił się mu do siedzenia spodni i różowy lukier roztopił się na tyłku. Pozwalam sobie na uśmiech.

Według raportu, Bobby'ego aresztowano w centrum Londynu osiemnaście dni temu. Postawiono mu zarzuty w Sądzie Grodzkim na Bow Street, skąd wyszedł na wolność za kaucją i wyznaczono rozprawę na dwudziestego czwartego grudnia w Old Bailey. Umyślne uszkodzenie ciała jest przestępstwem z paragrafu 20 - napaść z pobiciem. Maksymalna kara wynosi pięć lat więzienia.

Zeznania Bobby'ego zajmują trzy strony maszynopisu z podwójnym odstępem, z poprawkami na marginesach. Nie ma w nich wzmianki o małym chłopcu ani o incydencie z jubilerem. Kobieta wepchnęła się w kolejkę. Z tego powodu ma pękniętą szczękę, zmiążdżoną kość jarzmową, złamany nos i trzy wybite palce.

- Gdzie znajdę opis warunków wyjścia za kaucją? Sierżant przerzuca papiery w segregatorze i przesuwa palcem po dokumencie.

- Reprezentuje go Eddie Barrett - odburkuje zde gustowany policjant. - Wybroni go prędzej, niż pan zdoła powiedzieć: po suszy szosa sucha.

Jakim sposobem Bobby dotarł do takiego prawnika jak Eddie Barrett? To najbardziej znany adwokat w kraju, geniusz autoreklamy z wielkim talentem do wygłaszania efektownych oświadczeń dla mediów.

- Ile wyniosła kaucja?

- Pięć tysiaków.

Biorąc pod uwagę możliwości Bobby'ego, kwota wydaje się zawrotna.

Spoglądam na zegarek. Jest dopiero wpół do szóstej. Telefon odbiera sekretarka Eddiego, w tle słyszę jego podniesiony głos. Przeprasza mnie i prosi, żebym poczekał. Teraz oboje krzyczą. Zupełnie jakbym słuchał scenki z Puncem i Judy. W końcu to ona podchodzi do telefonu. Eddie może mi poświęcić dwadzieścia minut.

Na Chancery Lane prędzej można dotrzeć pieszo niż taksówką. Przycisk domofonu uwalnia frontowe drzwi i wspinam się wąską klatką schodową na trzecie piętro, lawirując pomiędzy kartonami pełnymi sądowych dokumentów i teczek, które zajmują każdy wolny kawałek

powierzchni.

Eddie wprowadza mnie do gabinetu, wskazuje krzesło i jednocześnie rozmawia przez telefon. Muszę usunąć dwie teczki z aktami, żeby usiąść. Adwokat wygląda na sześćdziesiąt lat, ale zapewne ma o jakieś dziesięć mniej. Za każdym razem, kiedy widzę go w telewizji, przywodzi mi na myśl buldoga. Porusza się nawet jak buldog; ramiona prawie nieruchome i kołyszące się dupsko. Ma też wielkie siekacze, które zapewne służą do rozrywania ludzi na strzępy.

Kiedy wymieniam nazwisko Bobby'ego, wydaje się rozczarowany. Zapewne liczył na proces o błąd w sztuce lekarskiej. Odwraca się na obrotowym krześle i przegląda szufladę w szafce na segregatory.

- Co Bobby powiedział panu o napaści?

- Widział pan jego zeznania.

- Czy wspomniał o małym chłopcu?

- Nie - przerywa mi znużonym głosem. - Posłuchaj, nie chcę być niemiły, Roseanne, ale wyjaśnij mi, po jaką cholere ją z tobą rozmawiam. Bez obrazy, oczywiście.

- Nie ma sprawy. - W bezpośrednim kontakcie jest jeszcze bardziej antypatyczny. - Czy Bobby wspomniał, że jest pod opieką psychologa? - zaczynam jeszcze raz.

- Do diabła, nie! - Wyraźnie poprawia mu się humor. - Po wiedz mi o tym coś więcej.

- Przychodzi do mnie od mniej więcej pół roku. Sądzę, że wcześniej został zdiagnozowany, ale nie ma żadnych śladów w dokumentacji.

- Historia choroby umysłowej... coraz lepiej. - Odbiera dzwoniący telefon i daje mi znak, żebym kontynuował. Usiłuje prowadzić jednocześnie dwie rozmowy.

- Czy Bobby powiedział, dlaczego wpadł w szal?

- Podebrała mu taksówkę.

- To kiepski powód.

- Próbowales kiedyś złapać taksówkę na Holborn w deszczowe piątkowe popołudnie? - rechocze.

- Myślę, że chodzi tu o coś więcej. Eddie wzdycha.

- Posłuchaj, Pollyanno, nie żądam od moich klientów, aby mówili mi prawdę. Ja ich tylko bronię przed więzieniem, żeby mogli znowu popełniać te same błędy.

- Ta kobieta - jak wyglądała?

- Sądząc ze zdjęć, niezłe ją poturbował.

- Ile lat?

- Pod czterdziestkę. Ciemne włosy.

- Jak była ubrana?

- Chwileczkę. - Odkłada słuchawkę i wrzeszczy do sekretarki, żeby przyniosła mu akta Bobby'ego. Przerzuca strony, mrużąc pod nosem: - Spódnica do połowy ud, wysokie obcasy,

krótki żakiet... z tyłu liceum, z przodu muzeum, według mnie. Dlaczego pytasz?

Nie mogę mu powiedzieć. To tylko spekulacje.

- Co będzie z Bobbym?

- W tej chwili grozi mu odsiadka. Prokurator nie zmieni kwalifikacji zarzutów.

- Pobyty w więzieniu nie wyjdzie mu na dobre. Być może powinienem wystawić opinię jako psycholog. Mogę go włączyć do programu kontroli agresji.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Prośby na piśmie.

Pióro Eddiego z miejsca idzie w ruch. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak płynnie pisałem. Posuwa kartkę po blacie biurka.

- Dzięki ci za to.

- To podanie, nie nerka - odburkuje.

Nie ma ludzi bez problemów. Może to kompleks Napoleona, a może rekompensuje w ten sposób swoją brzydotę. Wyraźnie go nudzę. Temat przestał go już interesować. Pospiesznie zadaję pytania.

- Kto wpłacił kaucję?

- Nie mam pojęcia.

- A kto do ciebie zadzwonił?

- On sam.

Zanim zdążę kolejny raz otworzyć usta, przerywa mi:

- Posłuchaj, Oprah, powinienem już iść do sądu, a muszę się jeszcze wysikać. Jego świr to twój problem, ja tylko bronię żalowanego palanta. Może zajrzyj mu do głowy, sprawdź, co tam grzechocze i wtedy do mnie wróć? Życzę miłego dnia!

Julianne z Charlie oglądają telewizję na dole. Ja siedzę na podłodze w pokoju na poddaszu i przeglądam kartony z dokumentacją dawnych przypadków. Szukam zapisków dotyczących Catherine McBride. Właściwie zupełnie nie wiem, po co to robię. Może kieruje mną nadzieja, że przywracając ją do życia w moim umyśle, będę mógł ją wypytać.

Ruiz mi nie ufa. Uważa, że coś ukrywam. Powinienem mu wcześniej wszystko powiedzieć, niczego nie pomijając. To już nie ma znaczenia. Nic nie wróci życia Catherine.

Na brulionach są naklejki z zaznaczonym miesiącem i rokiem, co ułatwia poszukiwanie. Znajduję dwa notatniki w ciemnozielonych okładkach z upstrzonymi grzbietami - ślady aktywności rybików.

Na dole w gabinecie zapalam lampę i zaczynam czytać notatki. Na stronicach formatu A4 szerokie marginesy zaznaczone przy linijce, a na nich daty i godziny kolejnych wizyt. Jest tu

wszystko: ocena kondycji psychicznej, zapiski medyczne, uwagi.

Jak zapamiętałem Catherine? Widzę ją, idącą korytarzem w Marsden, w jasnoniebieskim uniformie z granatowymi wypustkami na kołnierzu i na rękawach. Macha do mnie i posyła uśmiech. Przy pasku ma łańcuszek z zawieszka do kluczy. Większość pielęgniarek chodzi w mundurkach z krótkimi rękawami, Catherine nosi długie rękawy.

Na początku była kolejną twarzą znajomą mi z korytarzy i z barku. Z chłopięcą fryzurką, wysokim czołem i z pełnymi ustami była ładna w uniseksowy sposób. Nerwowo przechylała głowę na bok i nigdy nie patrzyła na mnie obydwoma oczyma naraz. Miałem wrażenie, że często się na nią natykam, szczególnie wychodząc ze szpitala. Jakiś czas później zacząłem podejrzewać, że prowokowała te spotkania.

W końcu zapytała mnie, czy mogłaby ze mną porozmawiać. Dopiero po chwili pojąłem, że ma na myśli konsultację. Wyznaczyłem jej godzinę i zjawiała się następnego dnia w moim gabinecie.

Potem przychodziła raz na tydzień. Kładła tabliczkę czekolady na biurku i łamała ją na kawałki na srebrnej folii, jak dziecko, które rozdziela słodycze. Pomiedzy kolejnymi mentolowymi papierosami, roztopiała kostki czekolady pod językiem.

- Wiesz, że to jedyny gabinet w całym szpitalu, gdzie można palić? - zapytała.
- Pewnie dlatego odwiedza mnie tylu ludzi.

Była materialistką, cechował ją rozsądek, miała dwadzieścia lat i romans z kimś z personelu. Nie wiem z kim, ale podejrzewam, że był żonaty. Czasami mówiła: „my” i wtedy, łapiąc się na błędzie, przechodziła na liczbę pojedynczą.

Bardzo rzadko się uśmiechała. Przechylała głowę i spoglądała na mnie to jednym, to drugim okiem.

Podejrzewałem również, że wcześniej miała do czynienia z kimś takim jak ja. Zadawała bardzo precyzyjne pytania. Znała się na zbieraniu wywiadu i na kognitywnej terapii. Była zbyt młoda, żeby ukończyć psychologię, a więc musiała być pacjentką.

Mówiła, że czuje się nic niewarta i niepotrzebna. Była skłócona z rodziną, usiłowała naprawić wzajemne stosunki, a jednocześnie się bała, że „zatruje ich idealną egzystencję”.

Kiedy mówiła, ssąc kawałki czekolady, czasami pocierała przedramiona przez rękawy zakończone szczelnie zapiętymi na guziki mankietami. Czuję, że coś ukrywa, lecz czekałem, aż nabierze zaufania, żeby mi o tym powiedzieć.

Podczas czwartej sesji powoli podwinęła rękawy. Pokazując mi blizny, z jednej strony wydawała się zażenowana, a z drugiej wyzywająca i jakby zadowolona z siebie. Chciała wyrzucić na mnie wrażenie poważnym wyglądem tych blizn. Były jak mapa życia, z której umiałem czytać.

Pierwszy raz pocięła się, mając dwanaście lat. Rodzice rozwodzili się w atmosferze wzajemnej nienawiści. Tkwiła między nimi, jak szmaciana lalka, szarpana przez dwoje wojujących dzieci.

Owinęła lusterko ręcznikiem i stłukła je o narożnik biurka. Odłamkiem przecięła nadgarstek. Widok krwi wywołał dobre samopoczucie. Już nie była bezsilna.

Rodzice zapakowali ją do samochodu i zawieźli do szpitala. Przez całą drogę klócili się, które z nich zawiniło. Catherine czuła spokój i ulgę. Zatrzymano ją na noc w szpitalu. Rany przestały krwawić. Czule pogładziła nadgarstki i pocałowała je na dobranoc.

- Znalazłam coś, nad czym mogłam panować - powiedziała mi. - Decydowałam, ile zrobię nacięć i jakie będą głębokie. Ból sprawiał mi przyjemność. Pragnęłam go. Zasługiwałam na niego. Wiem, muszę mieć masochistyczne skłonności. Powinieneś widzieć mężczyzn, z którymi się zadaję. Szkoda, że nie znasz niektórych moich snów...

Nigdy nie wspomniała o pobycie w szpitalu psychiatrycznym czy uczestnictwie w grupowej terapii. Ukrywała większą część swej przeszłości, szczególnie jeśli wiązała się ona z rodziną. Bywały dłuższe okresy, kiedy Catherine udawało się powstrzymać od samookaleczeń. Ale potem wymierzała sobie karę w postaci jeszcze głębszych cięć. Wybierała ramiona i uda, bo mogła ukryć rany pod ubraniem. Odkryła również, jakie maści i opatrunki pomagają zminimalizować blizny.

Kiedy trzeba było założyć szwy, wybierała stacje pogotowia daleko od Marsden. Wolą nie ryzykować utraty pracy. Podawała fałszywe nazwisko dyżurnej pielęgniarce, a czasem udawała cudzoziemkę, która nie włada angielskim.

Wiedziała z doświadczenia, jak lekarze i pielęgniarki traktują przypadki samookaleczeń, uważając, że ci ludzie marnują ich czas i zwyczajnie chcą zwrócić na siebie uwagę. Często zakładano jej szwy bez znieczulenia. „Jeśli ból sprawia ci przyjemność, pocierp jeszcze trochę” - to popularne podejście.

Żadne z tych zachowań nie wpływało na zmianę jej postępowania. Kiedy krwawiła, opuszczało ją odrętwienie. W notatnikach zapisałam jej słowa: „Czuję się żywa. To mi przynosi ukojenie. Daje kontrolę”.

Do stron notatnika przyłgnęły ciemnobrązowe okruszki czekolady. Odłamywała kawałki i upuszczała je na kartki. Nie lubiła, kiedy pisałam. Chciała, żebym słuchał.

Żeby przerwać tę krwawą procedurę, proponowałam jej alternatywne wyjścia. Zamiast sięgać po ostre przedmioty, niech ściska w dłoni kostkę lodu, żuje papryczki chili lub wciera maść w intymne miejsce. W ten sposób ból nie pociągnie za sobą obrażeń i poczucia winy. Jeśli uda się nam przerwać krąg, być może znajdziemy inne mechanizmy samokontroli, mniej fizyczne i nie tak drastyczne.

Kilka dni później, piętnastego lipca, Catherine odszukała mnie na oddziale onkologicznym. Niosła w ramionach zwinięte prześcieradła i rozglądała się niespokojnie. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej oczu.

Dała mi znak, żeby poszedł za nią do wnęki i wtedy upuściła prześcieradła. Dopiero po chwili

zwróciłem uwagę na rękawy jej swetra. Były wypchane papierem toaletowym i ligniną. Krew sączyła się przez warstwy papieru i dzianinę.

- Proszę, nie pozwól, żeby zauważyli - powiedziała. - Tak mi przykro.
- Musisz pójść do gabinetu zabiegowego.
- Nie! Proszę! Potrzebuję tej pracy.

Tysiąc głosów w mojej głowie mówiło mi, jak powinienem się zachować. Zignorowałem wszystkie, co do jednego. Kazałem Catherine udać się do mego gabinetu i zorganizowałem nici chirurgiczne, igły, zaciski, bandaże i maść z antybiotykiem. Przy zasłoniętych oknach, za zamkniętymi na klucz drzwiami założyłem jej szwy na przedramionach.

- Dobrze sobie radzisz - zauważyła.
- Mam wprawę. - Nałożyłem maść. - Co się stało?
- Próbowałam karmić niedźwiedzie.

Nie uśmiechnąłem się. Poczula się skruszona.

- Pokłóciłam się z kimś. Nie wiem, kogo chciałam ukarać.
- Chodzi o twojego chłopaka? Zamrugęła, żeby powstrzymać łzy.
- Czym się pocięłaś?
- Żyletką.
- Była nowa? Poruszyła przecząco głową.

- No tak. Od dzisiaj, jeśli koniecznie chcesz się zranić, weź to. - Wręczyłem jej opakowanie jednorazowych skalpeli w wysterylizowanym pojemniczku. Dałem jej również bandaże, plastry i nici chirurgiczne.

- Oto moje warunki - oświadczyłem. - Jeśli upierasz się przy tych praktykach, wybieraj jedno miejsce... na wewnętrznej stronie uda.

Skinęła głową.

- Pokażę ci, jak samej zakładać szwy. Jeśli nie dasz rady, musisz iść do szpitala.

Jej oczy zrobiły się ogromne.

- Catherine, nie zamierzam ci zabraniać tych praktyk. Ani też nie poinformuję twoich przełożonych. Ale musisz robić wszystko, co w twojej mocy, aby nad sobą panować. Wierzę w ciebie. Zrewanżujesz mi się za zaufanie, nie robiąc sobie krzywdy. Jeżeli twoje postanowienie osłabnie, musisz się ze mną skontaktować. Jeśli tego nie zrobisz i znowu się potniesz, nie będę cię obwiniać ani źle o tobie myśleć. Ale też nie pobiegę ci z pomocą. Jeśli zrobisz sobie krzywdę, nie zobaczę się z tobą przez tydzień. To nie kara, tylko sprawdzian.

Widziałem, że rozważa konsekwencje. Na jej twarzy nadal malował się lęk, lecz układ ramion świadczył o uldze.

- Od dziś wyznaczamy granicę samookaleczeń, a ty bierzesz za nie odpowiedzialność - mówiłem

dalej. - Jednocześnie spróbujemy znaleźć nowe sposoby radzenia sobie z twoim problemem.

Dałem Catherine szybką lekcję szycia, używając do tego poduszki. Zażartowała, że byłbym świetną żoną. Wychodząc, objęła mnie. „Dziękuję”. Przytuliła się do mnie tak mocno, że poczułem bicie jej serca.

Po jej wyjściu siedziałem wpatrzony w nasiąknięte krwią bandaże w koszu na śmieci. Zastanawiałem się, czy kompletnie odebrało mi rozum. Oczyma wyobraźni widziałem koronera, który, trzęsąc się z oburzenia, pyta, dlaczego dałem skalpele młodej kobiecie, której sprawia przyjemność krojenie się na kawałki. Zapewne zapytałby również, czy popieram podsuwanie zapalek podpalaczom i heroiny ćpunom.

A jednak nie widziałem innego sposobu, by pomóc Catherine. Okazując zero tolerancji, wzmacniłbym tylko wiarę, że inni ludzie kontrolują jej życie i decydują za nią. Że jest nic nie warta i nie można jej ufać.

Zostawiłem jej wybór. Żywiłem nadzieję, że kiedy weźmie skalpel do ręki, zastanowi się głębiej nad tym, co ją do tego popycha, i rozważy konsekwencje. I że pomyśli o jakimś innym sposobie uporania się z sytuacją.

W następnych miesiącach doszło tylko do jednego incydentu. Jej ramiona zagoiły się. Okazało się, że całkiem zgrabnie ją pozszywałem, oczywiście jak na kogoś, kto wyszedł z wprawy.

Tutaj notatki się urywają, ale to nie koniec historii. Nadal ogarnia mnie wstyd, kiedy przypominam sobie szczegóły, bo powinienem był przewidzieć, że to nastąpi.

Catherine zaczęła bardziej dbać o wygląd. Umawiała się na sesje pod koniec zmiany i przychodziła przebrana w prywatne rzeczy. Lekki makijaż, delikatny zapach perfum. Niewinnie rozpięty guzik bluzki. Żadnej ostentacji, wszystko bardzo dyskretne. Zapytała, co robię w wolnym czasie. Koleżanka dała jej dwa bilety do teatru. Może zechcę z nią pójść?

Jest taki stary dowcip: „Kim jest psycholog? To ekspert, któremu płacisz za pytania, które twoja żona zadaje za darmo”. Wysłuchujemy problemów, odczytujemy podteksty, wzmacniamy poczucie własnej wartości, uczymy ludzi, jak mają polubić się takimi, jakimi są.

Dla kogoś takiego jak Catherine rozmowy z mężczyzną, który wysłuchuje problemów i przejmuje się nimi, były niezwykle atrakcyjne, lecz czasami łatwo pomylić taki układ z czymś bardziej intymnym.

Zupełnie mnie zaskoczyła tamtym pocałunkiem. Byliśmy w moim gabinecie w Marsden. Odepchnąłem ją zbyt raptownie. Zatoczyła się, potknęła i wylądowała na podłodze. Wzięła to za grę.

- Możesz mnie ukarać, jeśli chcesz - powiedziała.
- Nie chcę cię karać
- Jestem bardzo niegrzeczną dziewczynką.

- Nie rozumiesz.
- Ależ tak. - Zaczęła rozpinać zamek przy spódnicy.
- Catherine, popełniasz błąd. Źle zinterpretowałaś moje intencje.

W końcu mój szorstki ton otrzeźwił ją. Stała obok biurka ze spódnicą wokół kostek u nóg i z rozpiętą bluzką. Rajstopy maskowały blizny na udach. Znaleźliśmy się w kłopotliwej sytuacji - ona bardziej niż ja. Wybiegła z tuszem płynącym po policzkach, podtrzymując spódnicę w pasie.

Rzuciła pracę i opuściła Marsden, ale konsekwencje tamtej sytuacji zaciążyły nad całą moją karierą zawodową. Nie zna piekło większej furii od gniewu wzgardzonej kobiety.

10

Julianne robi ćwiczenia rozciągające w zapasowej sypialni. Każdy ranek zaczyna od pozycji yogi, której nazwa brzmi jak imiona indiańskich squaw: „Szemrzący Strumyk” spotyka „Biegnącą Sarń”.

Jako urodzony ranny ptaszek jest gotowa do działania o szóstej trzydzieści. W przeciwieństwie do mnie. Przez całą noc prześladowały mnie w snach zmasakrowane, zalane krwią twarze.

Julianne wchodzi bosą do sypialni w samej tylko górze od piżamy. Pochyla się, żeby mnie pocałować.

- Miałaś ciężką noc.

Przyciska głowę do mojej piersi i błędzi palcami wzdłuż kręgosłupa, przyprawiając mnie o drżenie. Daje w ten sposób do zrozumienia, że zna każdy centymetr kwadratowy mego ciała.

- Nie uprzedziłam cię, że Charlie śpiewa kolędy w chórze.
- Cholera! Zupełnie zapomniałem. - W czwartek przed południem na Oxford Street. - Byłem z detektywem.

- Nie przejmuj się. Wybacz ci. Okazuje się, że mały Ryan Fraser pocałował ją w autobusie w drodze do domu.

- Bezczelny gnojek.
- Nie było łatwo. Trzy koleżanki pomogły go złapać i przytrzymać. Śmiejemy się i podciągamy ją na siebie, żeby wyczuła udem erekcję.

- Zostań.

Śmiejąc się, zsuwa się z mnie.

- Nie. Mam dużo pracy.
- A może?

- Nieodpowiednia pora. Musisz oszczędzać swoich koleśków. „Kolesie” to sperma. Jakby mówiła o spadochroniarzach. Ubiera się. Białe figi suną po nogach i wpasowują na miejsce.

Potem ściąga przez głowę bluzę i wsuwa ręce w ramiączka biustonosza. Nie zaryzykuje kolejnego pocałunku. Mógłbym jej wtedy nie puścić.

Wychodzi, a ja zostaję w łóżku i słucham, jak krząta się po domu - jej stopy ledwo dotykają podłogi. Słyszę, jak nalewa wody do czajnika i zabiera mleko sprzed frontowych drzwi. A potem otwiera zamrażarkę i naciska dźwignię tostera.

Zwlekam się z łóżka, robię sześć kroków do łazienki i odkręcam kran. Bojler w piwnicy czka, w rurach coś huczy i bulgocze. Trzęsę się, stojąc na zimnych płytkach, i czekam na ślady wody. Sitko prysznicza wpada w wibrację. Boję się, że lada chwila zaczną odpadać kafelki przy kurkach.

Po dwóch prychnięciach i potężnym chluśnięciu pojawia się w obłoku pary cienki strumyczek wody, i zaraz znika.

- Bojler się znowu zepsuł! - krzyczy z dołu Julianne.

- Świetnie! Kapitalnie! Gdzieś tam hydraulik śmieje się ze mnie w kułak. Zapewne opowiada kumplom po fachu, jak udawał, że naprawia przedpotopowy bojler, i skasował tyle, że starczyłoby na dwutygodniowe wakacje na Florydzie.

Golę się pod zimną wodą nową żyletką i ani razu się nie zacinam. Może to małe zwycięstwo, niemniej godne odnotowania.

Wchodzę do kuchni i przyglądam się, jak Julianne robi kawę w dzbanku z zaparaczem i grubo smaruje dżemem grzanekę z pełnoziarnistego chleba. Zawsze czuję się jak dziecko nad moimi ryżowymi cornfleksami.

Nadal mam w pamięci dzień, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem. Była na pierwszym roku lingwistyki, na Uniwersytecie Londyńskim. Ja robiłem studia podyplomowe. Nawet własna matka nie nazwałaby mnie przystojnym. Miałem kręcone brązowe włosy, nos w kształcie gruszki i cerę, która pokrywała się piegami już przy pierwszych promieniach słońca.

Zostałem po studiach na uniwersytecie, nagrany na zaliczanie wszystkich niezagospodarowanych studentek pierwszego roku o swobodnych poglądach seksualnych, lecz w przeciwieństwie do innych niedoszłych amantów za bardzo się starałem. Nawet próby pozowania na młodego gniewnego o modnie niechlujnym wyglądzie kończyły się żałośnie. Obojętnie, ile razy przesybiałem noc na podłodze w którymś z akademików z marynarką zwiniętą pod głowę w roli poduszki, nigdy się nie pogmiotła ani nie wyplamiła. I zamiast wyglądać na zaniedbanego, zblazowanego intelektualistę, przypominałem kogoś, kto idzie na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pierwszej pracy.

- Była w tobie pasja - powiedziała mi później, po wysłuchaniu mojej tyrady przeciwko zbrodniom apartheidu na wiecu przed ambasadą Afryki Południowej na Trafalgar Square. Przedstawiła mi się w pubie, a ja nalałem jej podwójną whisky z butelki, którą rozpijaliśmy.

Jock też tam był - dawał wszystkim dziewczynom podpisywać się na T-shircie. Wiedziałem, że wypatrzy Julianne. Była nową twarzą i to w dodatku ładną. Otoczył ją w pasie ramieniem i powiedział: „- Już od samego przebywania z tobą, rosłaby mi osobowość”.

Bez śladu uśmiechu zdjęła jego rękę. „- Niestety, erekcji nie można zaliczyć do wzrostu osobowości” - odpaliła.

Wszyscy, z wyjątkiem Jocka, wybuchnęli śmiechem. I wtedy Julianne przysiadła się do mojego stolika, a ja patrzyłem na nią z zachwytem. Nigdy dotąd nie widziałem, aby ktoś tak zręcznie usadził mojego najlepszego kumpla.

Walczyłem z rumieńcem, kiedy powiedziała, że jest we mnie pasja. Roześmiała się. Pod dolną wargą zauważyłem ciemny pieg. Pragnąłem go pocałować.

Po pięciu podwójnych drinkach zasnęła przy barze. Zaniósłem ją do taksówki i zawiozłem do mego wynajętego pokoju na Islingtonie. Ułożyłem ją na materacu, a sam spałem na kanapie. Rano pocałowała mnie i podziękowała, że byłem takim dżentelmenem. A potem pocałowała jeszcze raz. Pamiętam wyraz jej oczu. Nie było w nich żądz. Nie mówiły: „Zabawmy się, zobaczymy, co z tego wyjdzie” Czytałem w jej oczach: „Zostanę twoją żoną i urodzę ci dzieci”.

Zawsze stanowiliśmy dziwną parę. Ja byłem cichy i praktyczny, nie cierpiałem hałaśliwych przyjęć, rund po pubach i powrotów do domu w weekendy. Ona, jedynaczka, córka malarza i dekoratorki wnętrz, ubierała się jak dzieci-kwiaty z lat sześćdziesiątych i widziała w ludziach wyłącznie ich dobre cechy. Julianne nie chodziła na przyjęcia - one organizowały się wokół niej.

Pobraliśmy się trzy lata później. Do tego czasu zdążyła mnie już udomowić - nauczyłem się wrzucać pranie do pojemnika, opuszczać deskę na sedesie i nie pić za dużo podczas proszonych obiadów. Julianne nie tyle mnie „oszlifowała”, co ulepiła z nowej gliny.

To byto szesnaście lat temu. A wydaje się, że wczoraj.

Julianne przesuwając gazetę w moją stronę. Jest tam zdjęcie Catherine i tytuł: „Zmasakrowana dziewczyna - siostrzenicą posła”.

Samuel McBride, Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, jest zdruzgotany brutalnym zabójstwem swej dwudziestosiedmioletniej siostrzenicy.

Posel Partii Pracy z okręgu Brighton-le-Sands był wyraźnie wstrząśnięty, kiedy przewodniczący Izby Gmin składał mu kondolencje w imieniu parlamentarzystów.

Nagie zwłoki Catherine McBride znaleziono sześć dni temu w pobliżu kanału Grand Union na Kensal Green w zachodnim Londynie. Kobieta została wielokrotnie ugodzona ostrym narzędziem.

„W tej chwili koncentrujemy się na prześledzeniu ostatnich kroków Catherine i odszukaniu osób, które mogły ją widzieć w dniach poprzedzających śmierć” - powiedział detektyw inspektor Wincent Ruiz, który prowadzi śledztwo.

„Wiemy, że trzynastego listopada przyjechała pociągiem z Liverpoolu do Londynu. Podobno była umówiona na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy”.

Catherine, której rodzice są rozwiedzeni, pracowała jako pielęgniarka środowiskowa w Liverpoolu i od wielu lat nie utrzymywała kontaktu z rodziną.

Jak powiedział nam przyjaciel rodziny: „Miała trudne dzieciństwo i wydawała się zagubiona. Ostatnio rodzina próbowała się pogodzić”.

Julianne nalewa jeszcze jedną filiżankę kawy.

- Nie sądzisz, iż to dziwne, że osoba Catherine znówu się pojawia po tych wszystkich latach?
- Co według ciebie jest dziwne?
- Sama nie wiem. - Przebiega ją lekki dreszcz. - Mieliśmy przez nią tyle problemów. O mało nie straciłeś pracy. Pamiętam, jaki byłeś zły.
- Cierpiała.
- Była mściwa.

Spogląda na zdjęcie Catherine. Fotografia z uroczystości rozdania dyplomów pielęgnarskich. Uśmiech na twarzy, uniform opinający biust i dyplom w ręce.

- A teraz wróciła. Byliśmy tam, kiedy ją znaleźli. Czy to nie dziwny przypadek? Potem policja prosi cię, żebyś pomógł zidentyfikować jej...
 - Zbieg okoliczności to kilka rzeczy, które dzieją się jednocześnie.
- Wznosi oczy do góry.
- No tak, mówisz jak prawdziwy psycholog.

11

Bobby choć raz zjawia się punktualnie. Przychodzi w roboczym ubraniu - szarej koszuli i spodniach. Na kieszonce na piersi wyszyty napis *Nevaspring*. Kolejny raz zaskakuje mnie jego wzrost.

Kończę notatki, zmagając się z literami, a potem podnoszę wzrok, żeby sprawdzić, czy jest gotowy. I wtedy uderza mnie myśl, że on nigdy nie będzie do końca gotowy. Jock ma rację - jest w nim coś kruchego i nieprzewidywalnego. Jego umysł jest pełen niedokończonych pomysłów, dziwnych faktów i strzępów rozmów.

Wiele lat temu otwarto w Soho kawiarnię „Oddballs”, która miała przyciągać wszystkich ekscentryków mieszkających na londyńskim West Endzie - długowłosych artystów, transwestytów, punków, hippisów, zwariowanych dziennikarzy i dandysów. Nic z tego nie wyszło. Zamiast nich wszystkie stoliki zajmowali zwykli urzędnicy, którzy zjawiali się masowo w nadziei, że popatrzą na cudaków. W efekcie przyglądali się sobie nawzajem.

Bobby często wspomina, że pisze w wolnym czasie, a w jego teksty są czasami wplecione literackie aluzje.

- Mogę zobaczyć coś z rzeczy, które ostatnio napisałeś? - pytam.
- Nie mówisz poważnie.
- Jak najbardziej. Zastanawia się.

- Może przyniosę jakiś kawałek następnym razem.
- Zawsze chciałeś być pisarzem?
- Odkąd tylko przeczytałem „Buszującego w zbożu”.

Serce mi zamiera. Wyobrażnia podsuwa obraz innego zbuntowanego nastolatka, który uważa, że Holden Caulfield to Nietzsche

- Identyfikujesz się z Holdenem?
- Nie! To idiota! Odczuwam ulgę.
- Dlaczego tak uważasz?
- Jest naiwny. Chce ochronić dzieci przed wejściem w dorosłość - żeby zachowały niewinność.

Nie da się. Niemożliwe. Wszyscy w końcu się demoralizujemy.

- Co ciebie zdemoralizowało?
- Ha!
- Bobby, powiedz mi więcej o swoich rodzicach. Kiedy ostatni raz widziałeś ojca?
- Miałem osiem lat. Wyszedł do pracy i nie wrócił do domu.
- Dlaczego? Bobby zmienia temat.

- Był w siłach lotniczych. Nie był pilotem. On utrzymywał ich w powietrzu. Mechanik. Był za młody, żeby brać udział w wojnie, ale nie sądzę, aby się tym przejmował. Był pacyfistą.

W dzieciństwie cytował mi Marksa, mówił, że religia to opium dla mas. A w niedzielę często zabierał mnie z Kilburn autobusem do Hyde Parku, żeby tam przeszkadzać laickim kaznodziejom, którzy wygłaszali kazania, stojąc na skrzynce.

Jeden z nich wyglądał zupełnie jak kapitan Ahab z „Moby Dicka” - miał długie siwe włosy ściągnięte w kucyk i tubalny głos. „- Pan odpłaci za grzechy wiecznym potępieniem” - zagrzymiał, patrząc prosto na mnie.

A tata odkrzyknął: „Wiesz, co różni kaznodzieję od wariata?” - Zrobił przerwę i odpowiedział: „Głosy, które słyszą”. Wszyscy parsknęli śmiechem i tylko kaznodzieja nadał się jak welonka. „Czy to prawda, że nie gardzisz żadnymi nominałami, ale najchętniej bierzesz dziesiątki i dwudziestki?” - zapytał tato.

- „Idź pan do diabła!” - wrzasnął kaznodzieja.
- „A którą drogę? Mam skrócić w prawo czy iść prosto?” Bobby odegrał dialog na głosy.

Spogląda na mnie skrepowany swym hałaśliwym zachowaniem.

- Jak ci się z nim układało?
- Był moim tatą.
- Robiliście coś wspólnie?
- Kiedy byłem mały, sadzał mnie na kierownicy roweru po między ramionami. Pedalował naprawdę szybko, a ja się śmiałem. Raz zabrał mnie na mecz Queen's Park Rangers, kiedy grali na

swoim boisku. Trzymał mnie na barana i miałem biało-niebieski szalik. Potem na Sheperd's Bush Green doszło do bójki z kibicami przeciwnej drużyny. Konna policja napierała na tłum, ale tata schował mnie pod płaszcz. Pewnie powinienem się bać, ale wiedziałem, że nic nie zwali go z nóg, nawet te konie.

Milknie i drapie się po rękach.

Każde dzieciństwo otaczają mity. Dodajemy nasze pragnienia i marzenia, aż historie z przeszłości zmieniają się w przypowieści o bardziej symbolicznym niż umoralniającym charakterze.

- Co się stało z twoim ojcem?
- To nie jego wina - broni go.
- Porzucił cię?

Bobby zrywa się z krzesła.

- Nic nie wiesz o moim ojcu! - Stoi, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. - Nigdy go nie poznasz! Tacy jak ty rujnują ludziom życie! Zerujecie na cudzym smutku i rozpacz. Zjawiacie się, gdy tylko ktoś ma kłopoty, i mówicie mu, co ma czuć. Co myśleć. Jesteście jak sępy!

Gniew opuszcza go tak samo gwałtownie, jak się pojawił. Ociera białe drobinki śliny z ust i patrzy na mnie przeprasząco. Nalewa wody do szklanki i, dziwnie spokojny, czeka na następne pytanie.

- Opowiedz mi o matce.
- Używa tanich perfum i umiera na raka piersi.
- Bardzo mi przykro. Ile ma lat?
- Czterdzieści trzy. Nie zgadza się na mastektomię. Zawsze była dumna ze swoich piersi.
- Jak byś opisał wasze wzajemne relacje?
- Dowiedziałem się o jej chorobie od znajomej z Liverpoolu. Matka tam właśnie mieszka.
- Nie odwiedzasz jej.
- Ha!

Jego twarz wykrzywia się pod wpływem gniewu, ale panuje nad sobą.

- Dobra, opowiem ci o mojej matce... - To brzmi jak wy zwanie. - Jest córką sklepikarza. Co za ironia! Zupełnie jak Margaret Thatcher. Wychowała się w spożywczym sklepiku; zmieniano jej pieluchy na ladzie, obok kasy. Kiedy skończyła cztery lata, umiała wyliczyć należne za zakupy, przyjąć gotówkę i prawidłowo wydać resztę.

Całe dni, a także w niedziele i święta pracowała w tym sklepie. Czytała czasopisma ze stojaka i marzyła o ucieczce, i o innym życiu. Kiedy pojawił się tata - w mundurze sił powietrznych - powiedział jej, że jest lotnikiem. To właśnie dziewczyny chciały słyszeć. Szybki numerok za klubem RAF-u w Marham i już była w ciąży. Bardzo prędko odkryła, że nie jest pilotem. Nie sądzę,

aby się tym przejęła... nie wtedy. Dopiero później doprowadzało ją to do pasji. Mówiła, że podstępem wpędził ją w małżeństwo.

- Ale zostali razem?

- Taa. Tata odszedł z wojska i znalazł pracę jako mechanik w Londyńskim Przedsiębiorstwie Transportu Miejskiego. Naprawiał autobusy. Potem został konduktorem na linii dziewięćdziesiąt sześć do Piccadilly Circus. Mawiał, że lubi pracować między ludźmi, ale myślę, że także imponował mu mundur. Z domu do zajezdni jeździł na rowerze.

Bobby milknie, oddając się wspomnieniom. Delikatnie sprowadzam go na ziemię i wtedy mówi, że ojciec był wynalazcą amatorem; ciągle wymyślał jakieś gadzety i urządzenia, które pozwalały oszczędzić czas.

- Ludzie mówią, że pułapki na myszy mogłyby być lepsze - o właśnie, takie rzeczy ojciec robił.

- A co na to twoja matka?

- Twierdziła, że marnuje swój czas i ich pieniądze. W jednej chwili nazywała go marzycielem i wyśmiewała wszystkie jego „głupie wynalazki”, a po chwili zarzucała, że ma zbyt przyziemne marzenia i brakuje mu ambicji.

Mruga gwałtownie i patrzy na mnie swymi dziwnie wodnistymi oczami, jakby stracił wątek. Nagle sobie przypomina, o czym mówił.

- To ona była marzycielką, a nie on. Uważała się za pięknoducha, którego otacza nudna przeciętność. Lecz choćby nie wiem jak bardzo próbowała, nigdy nie udałoby się jej, w takim miejscu jak Hendon, naśladować stylu życia artystycznej cyganerii. Nienawidziła tego miasta - płaskie domy z fasadami pokrytymi chropawym tynkiem, siatkowe firanki, tandetne ubrania, obskurne restauracje i krasnoludki w ogródkach. Ludzie w tej robotniczej dzielnicy powiadali: „pilnujemy własnego nosa”, lecz ona z tego kpiła. Dla niej wszystko było przyziemne, marne i brzydkie.

Mówi monotonna, jakby wcześniej wielokrotnie opowiadał tę historię.

- Bardzo często wieczorami ubierała się i wychodziła. Za zwyczaj siedziałem na łóżku i patrzyłem, jak się szykuje. Przymierzała różne stroje, paradując w nich przede mną jak modelka. Pozwalała mi zasuwać zamek z tyłu spódnicy i wygładzać pończochy. Nazywała mnie swoim „małym mężczyzną”.

- Jeżeli tata jej dokądś nie zabierał, wychodziła sama - do pubu czy do klubu. Miała taki wulgarny śmiech, który przyciągał uwagę. Mężczyźni odwracali głowy i patrzyli na nią. Uważali, że jest seksowna, mimo że była pulchna. Przytyła w ciąży i nigdy nie udało się jej zrzucić zbędnych kilogramów. Według niej to była moja wina. A kiedy tańczyła albo zbyt mocno się śmiała, zdarzało się jej popuścić w majtki. O to też mnie winiła.

Ostatnią uwagę wypowiada przez zaciśnięte zęby. Chwyta palcami luźną skórę na wierzchu

dłoni i skręca, jakby chciał ją oderwać. Jego sylwetka zdaje się zapadać, gdy podejmuje opowiadanie.

- Piła białe, musujące wino, bo wyglądało jak szampan. A im bardziej była pijana, tym hałaśliwiej się zachowywała. Zaczynała mówić po hiszpańsku, ponieważ, według niej, hiszpański brzmiał zmysłowo. Słyszałeś kiedyś kobietę mówiącą po hiszpańsku?

Przytakuję skinieniem głowy, myśląc o Julianne.

- Wyjścia z tatą burzyły jej „styl”. Mężczyźni nie chcieli flirtować z kobietą, której mąż stoi przy tym samym barze. Gdy była sama, wszyscy faceci skupiali się wokół niej, obejmowali ją w pół, podszczypywali. Nie było jej całe noce, wracała rano z majtkami w torebce i z pantoflami dyndającymi na palcu. Nawet nie próbowała stwarzać pozorów wierności czy lojalności. Nie zależało jej na wizerunku wzorowej żony. Pragnęła być kimś innym.

- Co na to twój tata?

Mija jakiś czas, zanim znajduje trafną odpowiedź.

- Miał z każdym dniem. Znikał po trosze. Śmierć z powodu tysiąca ran. Mam nadzieję, że ona tak właśnie skończy.

To zdanie wisi w powietrzu, ale cisza nie jest neutralna. Sprawia wrażenie, jakby ktoś przytrzymał palcem sekundową wskazówkę zegara.

- Dlaczego użyłeś tego terminu?

- Którego?

- „Śmierć z powodu tysiąca ran”.

Wykrzywia nieznacznie usta w bezwiednym uśmiechu.

- Chcę, żeby tak umierała. Powoli. W bólu. Z własnej ręki.

- Chcesz, żeby się zabiła? Nie odpowiada.

- Wyobrażasz sobie czasami jej śmierć?

- Marzę o niej.

- Jak wyglądają te marzenia?

- Przyglądam się, jak umiera.

Wlepia we mnie wodniste oczy, które są jak dwa stawy bez dna.

Śmierć z powodu tysiąca ran. W dokładnym przekładzie ze starożytnego chińskiego: „Tysiąc noży i dziesięć tysięcy kawałków”. Kobieta, którą Bobby wywlekl z taksówki, była mniej więcej w wieku jego matki i ubierała się w podobnym stylu. Poza tym z taką samą obojętnością traktowała swojego syna. Czy to niedostatecznie tłumaczy jego zachowanie? W pragnienie zrozumienia przemocy jest wpisana brutalność. Nie myśli się wtedy o białym niedźwiedziu.

Następny pacjent czeka na swoją kolej. Bobby podnosi się powoli i kieruje do drzwi.

- Widzimy się w poniedziałek - przypominam, kładąc akcent na „dniu”. Chcę, żeby zapamiętał.

Ma przychodzić regularnie.

Bobby przytakuje skinieniem głowy i wyciąga rękę ponad biurkiem, żeby uścisnąć mi dłoń. Nigdy przedtem tego nie robił.

- Pan Barrett powiedział, że pan mi może pomóc.
- Zamierzam przygotować opinię psychologiczną. Kiwa głową.
- Pan wie, że nie jestem wariatem.
- Wiem.

Puka się w czoło.

- To był głupi błąd.

Wychodzi. Moja kolejna pacjentka, pani Aylmer, już zajmuje miejsce i zaczyna opowiadać, ile razy sprawdza zamki, zanim położy się spać. Nie słucham jej. Stoję przy oknie i obserwuję Bobby'ego, kiedy wylania się z budynku i idzie w kierunku stacji metra. Stara się stawiać kroki w taki sposób, żeby omijać łączenia płyt chodnikowych.

Przystaje, gdy zauważa młodą kobietę idącą naprzeciw. Kiedy go mijają, odwraca się i odprowadza ją wzrokiem. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że zamierza za nią pójść. Spogląda najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, jakby stał przed skrzyżowaniem. Po paru sekundach przestępuje pęknięcie w chodniku i rusza w swoją stronę.

Znowu siedzę w gabinecie Jocka i słucham trajkotu o moich wynikach, którego w ogóle nie rozumiem. Jock chce jak najszybciej włączyć leki.

Nie ma jednoznacznych badań na chorobę Parkinsona. Stosuje się natomiast cały szereg testów i ćwiczeń, określających zaawansowanie objawów, Jock włącza stoper i każe mi przejść tam i z powrotem po linii z taśmy samoprzylepnej. Następnie mam zamknąć oczy i stanąć na jednej nodze.

Kiedy sięga po kolorowe klocki, mruzcę niezadowolony. To dobre dla dzieci - ustawiać klocki jeden na drugim. Najpierw próbuję prawą ręką, następnie lewą. Lewa ręka drży, zanim zacząłem, lecz kiedy podnoszę klocek, uspokaja się.

Trudniejsze jest rysowanie kropek na siatce. Celuję w środek kwadratu, ale pióro nie chce mnie słuchać. *A tam, to jakiś głupi test!*

Na koniec Jock wyjaśnia, że w przypadku chorych od początku cierpiących na drżączkę, prognozy są znacznie bardziej optymistyczne. Jest mnóstwo leków łagodzących objawy.

- Masz szansę prowadzić normalne życie - mówi, jakby czytał z podręcznika. - Hmm, może życie będzie krótsze o parę lat - uściśla, kiedy dostrzega wyraz niedowierzania na mojej twarzy.

Nie wspomina ani słowem o jakości życia.

- Badania nad rozgałęzieniami nerwów doprowadzą do przełomu - dodaje optymistycznie. - Za pięć, dziesięć lat wynajdą jakiś skuteczny środek.

- Co mam robić do tego czasu?

- Brać leki. Kochać się ze swoją zachwycającą żoną. Patrzyć, jak dorasta Charlie.

Daje mi receptę na selegilinę.

- Później będziesz musiał brać również levodopę - wyjaśnia - ale miejmy nadzieję, że uda nam się to odwlec o rok, a może i dłużej.

- Jakież objawy uboczne?

- Mogą pojawić się lekkie mdłości i kłopoty ze snem.

- Cudownie!

Jock ignoruje moją uwagę.

- Te specyfiki nie hamują postępu choroby, a jedynie maskują objawy.

- Będę więc mógł dłużej utrzymać ją w tajemnicy. Uśmiecha się smutno.

- Prędzej czy później musisz się z tym pogodzić.

- Jeśli będę tu regularnie przychodzić, umrę jako bierny palacz.

- Piękny sposób na zejście. - Zapala cygaro i wyciąga z szuflady butelkę szkockiej whisky.

- Jest dopiero trzecia.

- Pracuję według brytyjskiego czasu letniego. - I bez pytania nalewa mi drinka. - W zeszłym tygodniu odwiedziła mnie Julianne.

Czuję, że robię duże oczy.

- Czego chciała?

- Dowiedzieć się więcej na temat twego stanu zdrowia. Nie mogłem udzielić jej żadnych informacji. Tajemnica lekarska i te wszystkie bzdety. - Po chwili dodaje: - Chciała również wiedzieć, czy nie wydaje mi się, że masz romans.

- Dlaczego o to pytała?

- Myśli, że ją okłamujesz.

Wypijam łyk szkockiej i czuję, jak pali w przełyku. Jock obserwuje mnie przez zasłonę z dymu, czekając na odpowiedź. Ogarnia mnie dziwne rozczarowanie. Jak Julianne mogła pytać Jocka o takie sprawy? Dlaczego nie zwróciła się do mnie?

Jock nadal czeka na odpowiedź. Widzi moje zakłopotanie i zaczyna się śmiać, trzęsąc przy tym głową jak mokry pies.

Mam ochotę mu wygarnąć: „Nie patrz tak na mnie - to ty dwukrotnie się rozwiodłeś i latasz za kobietami o połowę młodszymi od siebie”.

- Naturalnie to nie mój interes - mówi triumfalnie. - Ale jeśli cię zostawi, chętnie ją pocieszę.

Nie żartuje. Z miejsca zacząłby koło niej węszyć.

- Bobby Moran - zmieniam czym prędzej temat. - Co o nim wiesz?

Jock kołysze szklaneczką.

- Nie więcej niż ty.

- W jego dokumentacji medycznej nie ma ani słowa o wcześniejszym leczeniu psychiatrycznym.
- Dlaczego sądzisz, że takowe przechodził?
- Cytował mi pytania z Oceny Poczytalności. Myślę, że był wcześniej badany.
- Pytałeś go o to?
- Odmówiłby rozmowy na ten temat.

Wyraz twarzy Jocka stanowi kwintesencję cichej kontemplacji, jakby wyćwiczył tę minę przed lustrem. I kiedy już mam wrażenie, że powie coś konstruktywnego, wzrusza ramionami.

- Jedno nie ulega wątpliwości, on jest nieźle popieprzony.
- Czy to opinia profesjonalisty?

Wzdycha zniecierpliwiony.

- Przeważnie mam do czynienia z nieprzytomnymi pacjentami. I takich wolę.

12

Przed domem stoi furgonetka hydraulika. Przez rozsunięte drzwi widać poukładane piętrowo na stelażach srebrzyste i miedziane elementy armatury, kształtki, syfony oraz plastikowe złączki. Na przymocowanych do boków karoserii magnetycznych tabliczkach nazwa firmy: *Dj. Morgan - Usługi Hydrauliczne i Instalacje Gazowe*. Znajduję go w kuchni; siedzi nad filiżanką herbaty i zapuszcza żurawia w dekolt bluzy Julianne. W ogrodzie jego pomocnik pokazuje Charlie, jak podbijać piłkę kolanami i stopą.

- To D.J., nasz pan hydraulik - przedstawia Julianne. Podnosi się leniwie i kiwa głową na powitanie, nie wyjmując rąk z kieszeni. Ma jakieś trzydzieści kilka lat, jest opalony i wysportowany, ciemne, błyszczące wilgotno włosy nosi zaczesane do tyłu. Wygląda jak ci fachowcy z programów telewizyjnych, którzy demonstrują, jak wyremontować czy przebudować dom. Już widzę, jak zastanawia się w duchu, co taka kobieta, jak Julianne robi z kimś takim, jak ja.

- Może pokazałaby pan mężowi to samo, co pokazał pan mnie?

Hydraulik reaguje na jej słowa najłżejszym z możliwych skinieniem głowy. Idę za nim do drzwi piwnicy, odsuwam zasuwkę. Wąskie drewniane schody prowadzą na betonową podłogę. Na ścianie umocowana słaba żarówka. Ciemne belki i ceglane mury pochłaniają całe światło.

Mieszkam w tym domu od czterech lat, a hydraulik zna piwnicę lepiej ode mnie. Z ujmującą otwartością wskazuje na różne rury nad naszymi głowami, wyjaśniając obieg instalacji gazowej i wodnej.

Zastanawiam się, czy nie zadać mu jakiegoś pytania, ale wiem z doświadczenia, że lepiej nie zdradzać ignorancji przy fachowcach. Nie jestem typem „złotej rączki”; nie interesuje mnie majsterkowanie, dzięki czemu nadal mogę policzyć do dwudziestu na palcach rąk i nóg.

D.J. szturcha bojler czubkiem roboczego buta. Wymowa tego gestu jest prosta. Chłam, rupieć, złom.

- No to, ile to będzie kosztować? - pytam, gubiąc się w połowie jego wywodu.

Powoli wypuszcza oddech i zaczyna wyliczać części wymagające wymiany. .

- Jaki koszt robocizny?

- Zależy, ile czasu to zajmie.

- A ile zajmuje?

- Nie umiem powiedzieć, dopóki nie sprawdzę wszystkich grzejników. Podnosi od niechcenia zapomniany worek gipsu, który stwardniał pod wpływem wilgoci, i odrzuca go na bok. Że by ruszyć ten worek potrzebowalibyśmy drugiego takiego jak ja do pomocy. D.J. spogląda na moje nogi. Stoję w kałuży, a woda wsiąka w rant przy zelówkach.

Mrucząc coś o utrzymaniu kosztów na niskim poziomie, wycofuję się na górę, starając się nie myśleć o ironicznym uśmiechu, na jaki zapewne hydraulik pozwolił sobie za moimi plecami. Julianne wręcza mi filiżankę letniej herbaty - resztkę z imbryka.

- No i jak?

- W porządku. Gdzie go znalazłaś? - pytam szeptem.

- Wrzucił ulotkę do skrzynki.

- Referencje? Przewraca oczyma.

- Robił Reynoldsom spod dwudziestego siódmego nową łazienkę.

Hydraulicy wnoszą narzędzia na zewnątrz i pakują do furgonetki, a Charlie wrzuca piłkę do szopy w ogrodzie. Ma włosy ściągnięte w koński ogon i policzki zaróżowione od zimna. Julianne łąja ją za zielone plamy od trawy na szkolnych rajstopach.

- Zejdą w praniu - mówi Charlie.

- Skąd wiesz?

- Zawsze schodzą.

Charlie odwraca się do mnie i obejmuje za szyję.

- Zobacz, jaki mam nos.

- Brrr! Zimny nos, gorące serce.

- Czy Sam może zostać na noc?

- Zależy. Sam to chłopiec czy dziewczyna?

- Jutro masz mecz - przypomina Julianne.

- A w następny weekend?

- Babcia z dziadkiem przyjeżdżają.

Twarz Charlie się rozpromienia, moja wydłuża. Zupełnie zapomniałem. Kandydat na przybocznego lekarza Boga wygłasza wykład na międzynarodowej konferencji medycznej. Oczywiście to będzie pełen sukces. Zaproponują mu najróżniejsze honorowe funkcje i zaproszą na konsultacje, ale on uprzejmie odmówi, bo męczą go podróże. Ja będę siedział i wysłuchiwał tego w

milczeniu, czując się tak, jakbym znowu miał trzynaście lat.

Mój ojciec jest wybitną postacią w kręgach medycznych. Nie ma obecnie podręcznika dla lekarzy, w którym nie wymieniano by jego nazwiska. Napisał wiele prac, które odmieniły sposób postępowania sanitariuszy z ofiarami wypadków oraz unowocześnił standardowe procedury obowiązujące lekarzy na polu walki.

Jego ojciec, a mój dziadek, był jednym z założycieli Naczelnej Rady Lekarskiej i jej najdłużej sprawującym swą funkcję prezesem. Chociaż zaistniał bardziej jako organizator niż chirurg, jego nazwisko nadal się liczy w historii etyki medycznej.

Takiej właśnie tradycji jestem, albo nie jestem, spadkobiercą. Po trzech córkach, byłem długo wyczekiwany synem. W związku z tym spodziewano się, że przedłużę medyczną dynastię, tymczasem ja przerwałem łańcuch. Czyli, mówiąc w powszechnie używanym żargonie, okazałem się słabym ogniwo.

Prawdopodobnie ojciec powinien to przeczuć. Mój brak zapału oraz talentu do gry w rugby powinien dać mu do myślenia. Co do jednego nie mam wątpliwości; od tamtej pory widział we mnie coraz więcej wad i uważał mnie za osobistą porażkę.

Nie potrafił zrozumieć mojej sympatii dla Gracie. Nawet nie próbowałem mu tego tłumaczyć. Ona stanowiła coś w rodzaju spuszczonego oczka w dzianinie historii rodziny, podobnie jak wujek Rosskend, zażarty przeciwnik wojny, oraz kuzyn Brian, przekreślony z powodu kradzieży damskiej bielizny w domach towarowych.

Moi rodzice nigdy nie rozmawiali o Gracie. Sam musiałem pozbierać zdawkowe informacje od kuzynów i innych dalekich krewnych, informacje, które stanowiły coś w rodzaju elementów układanki. W końcu udało mi się stworzyć ogólny obraz wydarzeń.

Podczas pierwszej wojny światowej Gracie była pielęgniarką i zaszła w ciążę ze swą młodzieńczą miłością. Chłopak zginął na polu walki. A ona, wtedy siedemnastoletnia, została niezamężna, samotna i ze złamanym sercem.

- Żaden mężczyzna nie zechce kobiety z dzieckiem - oznajmiła jej matka, wsadzając ją do pociągu do Londynu.

Gracie widziała swoje dziecko jeden, jedyny raz. Miłosierne siostry nazaretanki na Hammersmith ustawiły parawan z prześcieradła na wysokości jej pasa, aby nie widziała narodzin, ale ona zerwała zasłonę. Kiedy zobaczyła kwilącego noworodka, brzydkiego, a jednocześnie pięknego, coś w niej pękło i żaden lekarz nie był w stanie tego naprawić.

Moja cioteczna siostra, Angelina, twierdzi, że w rodzinie zachowały się fotografie Gracie z zakładów dla obłąkanych i sanatoriów. Jedno wiem na pewno - na początku lat dwudziestych wprowadziła się do domu na Richmond i mieszkała tam nadal, kiedy poszedłem na studia.

To matka zadzwoniła do mnie z wiadomością, że Gracie nie żyje. Byłem wtedy w trakcie

zimowej sesji egzaminacyjnej na trzecim roku medycyny... i oblałem tamte egzaminy. Według raportu koronera, pożar zaczął się w kuchni i szybko objął cały parter. Mimo to Gracie nie zdecydowała się wyjść.

Strażacy widzieli, jak krąży na pierwszym piętrze, zanim spłonął cały dom. Twierdzili, że mogła się wydostać przez okno na dach garażu. Skoro tak, dlaczego nie skorzystali z tej samej drogi, żeby ją uratować?

Wszystkie książki i czasopisma, a także pojemniki z farbami i barwnikami do tkanin dodatkowo podsycaly ogień. Temperatura była tak wysoka, że po pomieszczeniach z jej „skarbami” został tylko biały, pylisty popiół.

Gracie zawsze powtarzała, że będą musieli wynieść ją z tego domu w sosnowej skrzynce. Okazało się, że zmiotli ją na szufelkę.

Już wtedy wiedziałem, że nie chcę zostać lekarzem. Natomiast nie miałem pewności, co chciałbym robić w zamian. Nurtowało mnie wiele pytań, na które nie znałem odpowiedzi. Chciałem zrozumieć, dlaczego Gracie tak bardzo przerażał świat. A przede wszystkim, pragnąłem się dowiedzieć, czy można jej było pomóc.

W trakcie tamtych czterech lat, zanim zdobyłem dyplom, ojciec przy każdej nadarzającej się okazji zwracał się do mnie per „panie psychologu” i robił aluzje do kozetki lub testu Rorschacha. Natomiast kiedy w „Psychological Journal” opublikowano moją pracę dyplomową o agorafobii, nie skomentował tego faktu ani słowem, ani też nie wspominał o tym rodzinie.

Podobną ciszą kwitował kolejne etapy mojej kariery zawodowej. Po skończonym stażu w Londynie, zaproponowano mi pracę w Wydziale Zdrowia w Merseyside. Przenieśliśmy się z Julianne do Liverpoolu - miasta dumnych promów, kominów fabrycznych, wiktoriańskich pomników oraz opustoszałych zakładów.

Zamieszkaliśmy w ponurym budynku z chropawym tynkiem i kratami w oknach, który do złudzenia przypominał dom poprawczy. Ponieważ stał w Sefton Park naprzeciwko pętli autobusów, codziennie rano budził nas kaszel i charkot silników diesla, zupełnie jakby stary palacz kasłał i wypluwał flegmę do zlewu.

W Liverpoolu wytrzymałem dwa lata i ciągle myślę o wyjeździe stamtąd, jak o ucieczce. To miasto nękanie współczesnymi plagami, pełne smutnookich dzieci, robotników skazanych na wieczne bezrobocie i ludzi złych na swą biedę. Gdyby nie Julianne, być może załamałbym się pod ciężarem ich niedoli.

Jednocześnie jestem wdzięczny losowi za tamto doświadczenie, bo zrozumiałem, gdzie jest moje miejsce. Po raz pierwszy poczułem się w Londynie jak w domu. Przez cztery lata pracowałem w West Hammersmith Hospital, a potem przeniosłem się do Royal Marsden. Kiedy zostałem starszym konsultantem, moje nazwisko znalazło się na dębowej tablicy w foyer, naprzeciw

głównego wejścia. Jak na ironię, w tym samym czasie, z tej samej tablicy usunięto nazwisko ojca, co według jego słów było wynikiem „wycofania się z życia zawodowego”.

Nie wiem, czy to był zwykły zbieg okoliczności. Nie obchodzi mnie to. Dawno temu przestałem się przejmować tym, co ojciec myśli i dlaczego postępuje tak a nie inaczej. Mam Julianne i Charlie. Mam teraz własną rodzinę. Opinia jednego człowieka - nawet jego - nie ma znaczenia.

13

Niedzielne poranki i grząskie boiska wydają mi się tak samo nierozłączne jak trądzik i dojrzewanie. Właśnie tak zapamiętałem zimy z czasów dzieciństwa - po kostki w błocie, z przemarzniętymi poślądkami, uczestniczę w szkolnych rozgrywkach. Donośny głos przybocznego lekarza Boga przebija się ponad wycie wiatru: „Nie stój tam jak zamarznięta butelka sików! Podobno jesteś skrzydłowym! Ziemia się rusza szybciej od ciebie!”.

Dzięki Bogu, że Charlie jest dziewczynką! Wygląda naprawdę wdzięcznie w piłkarskim stroju, z włosami ściągniętymi w koński ogon i w spodenkach do kolan. Nie wiem, jak udało mi się zostać trenerem. Moja wiedza na temat rozgrywek jest bliska zeru; może właśnie dlatego Tygrysy nie wygrały żadnego meczu przez cały sezon. W tej grupie wiekowej nie powinny się liczyć wyniki ani tabele ligowe. To ma być rozrywka i okazja do wciągnięcia wszystkich dzieci do wspólnej zabawy. Ale jak to wytłumaczyć ich rodzicom?

Dzisiaj gramy z Lwami z Highgate i za każdym razem, kiedy wbijają nam gola, Tygrysy wracają na środek boiska, debatując, kto rozpocznie grę.

- To nie jest nasza najmocniejsza strona - usprawiedliwiam się przed trenerem naszych przeciwników. A jednocześnie mruczę pod nosem: - Chociaż jedna bramka, Tygrysy. Strzelcie chociaż jednego gola. Pokażemy im wtedy, jak się świętuje.

Po pierwszej połowie przegrywamy cztery do zera. Dzieciaki są ćwiartki pomarańczy. Chwalę ich, że świetnie grają.

- Ta drużyna jest niepokonana - kłamię jak z nut - ale dorównujecie im.

Na drugą połowę ustawiam w bramce Douglasa, bo najdalej kopie piłkę. Andrew, naszego najlepszego strzelca, przenoszę na obronę.

- Ale ja jestem napastnikiem - protestuje jęklonie.

- Dominik zagra w ataku.

Wszyscy patrzą na Dominika, który dopiero co zdążył się zorientować, w którą stronę należy biec. Chichocząc, wsuwa rękę w spodenki i łapie się za krocze.

- Nie myślcie o dryblowaniu, podaniach i strzelaniu goli - mówię im. - Po prostu wyjdźcie na boisko i kopcie piłkę najmocniej, jak potraficie.

Kiedy gra zostaje wznowiona, cała procesja rodziców częstuje mnie uwagami na temat zmiany rozstawienia. Uważają, że odebrało mi rozum. Lecz w moim szaleństwie jest metoda. W grze na

tym poziomie wszystko polega na impecie. Jeśli piłka idzie do przodu, cała akcja przesuwa się za nią. Dlatego ustawiłem najmocniej kopiącego na tyłach.

Podczas kilku pierwszych minut nic się nie zmienia. Tygrysy równie dobrze mogłyby gonić własne cienie. Lecz potem piłka trafia do Douglasa, a on posyła ją daleko na boisko. Dominik usiłuje zbiec jej z drogi i wtedy przewraca się, pociągając za sobą na ziemię obu obrońców przeciwnej drużyny. Piłka toczy się po murawie. Najbliżej niej jest teraz Charlie.

- Żadnych popisów. Po prostu strzelaj - mruczę pod nosem. Możecie oskarżyć mnie o stronniczość. Zarzucić faworyzowanie. Nie dbam o to. Piłka, perfekcyjnie kopnięta butem piłkarskim rozmiar sześć, odrywa się od ziemi, opada i wykonując gwałtowny skręt, ląduje w bramce. Radość jest tak wielka, iż postronny obserwator mógłby pomyśleć, że wygramy mecz. Zespół Lwów, szkolony naszą nową strategią, idzie w rozsypkę. Nawet Dominik zdobywa gola, kiedy piłka odbija mu się od potylicy i przelatuje ponad bramkarzem. Tygrysy wygrywają z Lwami pięć do czterech.

Największą nagrodą jest pochwała Julianne, którą trudno uznać za matkę zagorzale kibicującą swemu dziecku. Zapewne wolałaby, żeby Charlie chodziła na balet albo grała w tenisa. Wyglądając nieskazitelnie w długim czarnym płaszczu z kapturem i w gumowcach, oświadcza, że nigdy nie widziała bardziej ekscytującego sportowego spektaklu. Już sam fakt, że nazywa mecz „sportowym spektaklem” świadczy o tym, jak rzadko ogląda piłkę nożną.

Rodzice opatulają dzieci i ładują zabłocone buty do plastikowych worków. Kiedy omiatam wzrokiem boisko, dostrzegam mężczyznę, który z rękami w kieszeniach płaszcza stoi samotnie na drugim końcu murawy. Rozpoznaję sylwetkę.

- Inspektorze, co pana tu sprowadza tak wcześnie w nie dzielny poranek? Chyba nie potrzeba ruchu?

Ruiz zerka na ścieżkę do joggingu.

- Wystarczy w tym mieście zaspanych ludzi.
- Skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać?
- Sąsiedzi.

Rozwija z papierka kandyzowany owoc i wrzuca do ust, uderzając nim o zęby

- W czym mogę pomóc?

- Pamięta pan, co mówiłem podczas śniadania? Powiedziałem, że jeśli się okaże, iż ofiara to córka kogoś znanego, zamiast dwunastu detektywów przydzielą mi czterdziestu.

- Tak.

- Czy pan wie, że nasza pielęgniarzka była siostrzenicą posła z partii konserwatywnej i wnuczką emerytowanego sędziego z sądu okręgowego?

- Czytałem o jej wuju w gazetach.

- Te wszystkie hieny rzuciły się na mnie - zadawali pytania i wpychali kamery w twarz.

Pieprzony medialny cyrk.

Nie mam nic do powiedzenia, patrzę więc ponad nim na londyńskie zoo i pozwalam mu się wygadać.

- Pan jest jednym z tych bystrzaków, nie? Studia na uniwersytecie, doktorat, konsultacje... Pomyślałem sobie, że może mógłby mi pan pomóc. Chodzi o to, że znał pan tę dziewczynę, prawda? Pracował z nią. Uznałem, że pan może wiedzieć, w jakich kręgach się obracała.

- Znałem ją tylko jako pacjentkę.

- No, ale rozmawiała z panem. Opowiadała o sobie. Miała jakichś przyjaciół, chłopaków?

- Zdaje się, spotykała się z kimś ze szpitala. Możliwe, że był żonaty, bo nie chciała o nim mówić.

- Wymieniła nazwisko?

- Nie.

- Czy według pana była puszczalską?

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- Nie wiem. Takie mam wrażenie.

Odwraca się i pozdrawia skinieniem głowy Julianne, która niespodziewanie wyrasta przy nas i bierze mnie pod rękę. W kapturze na głowie wygląda jak mniszka.

- To inspektor Vincent Ruiz, o którym ci wspominałem. Zaniepokojona marszczy czoło.

- Chodzi o Catherine? - zsuwa kaptur z głowy.

Ruiz wpatruje się w nią podobnie jak większość mężczyzn. Nawet bez makijażu, perfum i biżuterii potrafi ściągać spojrzenia.

- Interesuje panią przeszłość, pani O'Loughlin? Waha się.

- To zależy.

- Znała pani Catherine McBride?

- Mieliśmy przez nią sporo zmartwień.

Ruiz rzuca mi szybkie spojrzenie, a ja czuję ucisk w okolicy żołądka.

Julianne spogląda na mnie i orientuje się, że popełniła błąd. Charlie ją woła. Ogląda się przez ramię i odwraca do Ruiza.

- Może najpierw powinien pan porozmawiać z mężem - mówi powoli. - Później do was dołączę.

Żegna go skinieniem głowy.

- Zabiorę Charlie na gorącą czekoladę - mówi i ściska mnie za ramię.

- Dobra.

Patrzymy, jak się oddala, omijając z gracją kałuże i grudy torfu. Ruiz przechyla głowę, jakby

chciał przeczytać coś, co niby mam wypisane na pagonach.

- O czym żona mówiła?

Moja wiarygodność już nie istnieje. Nie uwierzy mi.

- Catherine stwierdziła, że wykorzystałem ją seksualnie podczas hipnozy. Wycofała oskarżenie kilka godzin później, ale musiało zostać przeprowadzone śledztwo. To wszystko, to jedno wielkie nieporozumienie.

- Jak może dojść do nieporozumienia w takiej sprawie?

Tłumaczę mu, że Catherine wzięła moje zawodowe zainteresowanie za coś bardziej osobistego; opowiadam detektywowi o pocałunku i jej zakłopotaniu. Także o gniewie.

- Pan ją odtrącił?

- Tak.

- I wtedy złożyła skargę?

- Tak. Dowiedziałem się o tym dopiero, kiedy ją wycofała, niemniej przeprowadzono śledztwo. Zawieszono mnie w obowiązkach na czas dochodzenia. Kierownictwo szpitala przepytalo innych moich pacjentów.

- Wszystko z powodu jednego pisma?

- Tak.

- Rozmawiał pan z Catherine?

- Nie. Unikała mnie. Nie widziałem jej do chwili, kiedy odeszła z Marsden. Potem mnie przeprosiła. Miała nowego chłopaka i planowali razem wyjechać na północ.

- Nie był pan na nią zły?

- Byłem cholernie wściekły. Mogłem przez nią utracić prawo wykonywania zawodu. - Zdając sobie sprawę, jak brutalnie zabrzmiały te słowa, dodałem: - Ona była bardzo rozchwiana emocjonalnie.

Ruiz wyciąga notes i coś zapisuje.

- Proszę nie wyciągać z tego wszystkiego zbyt daleko idących wniosków.

- Niczego nie wyciągam, profesorze, to tylko informacje. Obaj zbieramy je tak długo, aż dwie czy trzy zaczną układać się w całość. - Przewraca kartki w notesie, uśmiechając się do mnie uprzejmie. - Zdumiewające, ile się można dowiedzieć w obecnych czasach. Żonaty. Jedno dziecko. Nie należy do żadnego kościoła. Szkoła średnia w Charterhouse, studia na Uniwersytecie Londyńskim. Licencjat i magisterium z psychologii. W 1980 roku zatrzymany na Trafalgar Square przez policję za wymalowanie swastyki na South Africa House podczas demonstracji poparcia dla uwolnienia Mandeli. Dwukrotnie złapany na przekroczeniu dozwolonej prędkości na autostradzie M40; jeden niezapłacony mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu; odmowa syryjskiej wizy w roku 1987 z powodu wcześniejszego pobytu w Izraelu. Ojciec znany lekarz. Trzy siostry,

Jedna z nich pracuje dla ONZ w agendzie zajmującej się uchodźcami. Ojciec pańskiej żony popełnił samobójstwo w 1994 roku. Pańska ciotka zginęła w pożarze domu. Ma pan prywatne ubezpieczenie medyczne, pożyczkę z banku w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, a termin zapłaty podatku za pański samochód upływa w środę. - Spogląda na mnie. - Opuściłem sobie zeznania podatkowe, ale według mnie otworzył pan prywatną praktykę, bo pański dom musiał kosztować fortunę.

Wreszcie dochodzi do sedna. Cała ta przemowa była dla mnie sygnałem. Chce pokazać, do czego jest zdolny.

- Jeżeli - ścisza głos - odkryję, że zataił pan jakieś informacje związane ze śledztwem w sprawie zabójstwa, wpakuję pana do pudła. Będzie pan mógł wypróbować swoje umiejętności, kiedy posadzę pana w jednej celi z członkiem jamajskiej mafii narkotykowej, który uważa się za Jezusa.

Zamyka notes i wsuwa go do kieszeni. Chucha w złożone dłonie, po czym dodaje:

- Dziękuję za pańską cierpliwość, profesorze.

14

Bobby Moran zastępuje mi drogę, kiedy przechodzę przez hol. W ubłoconym płaszczu i z gazetami wystającymi z kieszeni wygląda jeszcze bardziej niechlujnie niż zwykle. Zastanawiam się, czy ma za sobą nieprzespaną noc, czy też się czegoś obawia.

Mruga nerwowo pod okularami, mamrocząc słowa przeprosin.

- Muszę z panem porozmawiać. Spoglądam ponad jego głowę na ścienny zegar.

- Jestem umówiony z pacjentem.

- Proszę.

Powinienem odmówić. Nie mogę pozwolić, by ludzie zjawiali się, kiedy im się podoba. Meena będzie wściekła. Prowadziłaby gabinet idealnie, gdyby pacjenci nie przychodzili bez zapowiedzi, no i dotrzymywali umówionych terminów.

„Tak się nie pakuje walizki” - powie, a ja się z nią zgodzę, chociaż nie bardzo wiem, co ma na myśli.

Na górze każę Bobby'emu usiąść, a sam zajmuję się zmianą grafiku na rano. Wydaje się zakłopotany zamieszaniem, które spowodował. Dzisiaj sprawia takie wrażenie, jakby bardziej stąpał po ziemi, był obecny myślami.

- Pytał mnie pan, co mi się śni. - Mówi ze wzrokiem wbitym w podłogę pomiędzy swymi stopami.

- Tak.

- Chyba jest ze mną coś nie tak. Ciągłe pojawiają się te myśli.

- Jakie myśli?

- Krzywdzę ludzi w moich snach.

- W jaki sposób ich krzywdzisz?

Patrzy na mnie żałośnie.

- Staram się czuwać... Nie chcę zasnąć. Arky nalega, żebym się kładł spać. Nie może zrozumieć, dlaczego o czwartej nad ranem leżę na kanapie owinięty w kołdrę i oglądam telewizję. A to wszystko z powodu snów.

- Co z tymi snami?

- Dzieją się w nich złe rzeczy, ale to wcale nie znaczy, że ja jestem złym człowiekiem. - Siedzi teraz na brzeżku krzesła i ma rozbiegane oczy. - Jest taka dziewczyna w czerwonej sukni. Pojawia się niespodziewanie.

- W twoich snach?

- Tak. Patrzy na mnie, a właściwie przeze mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Śmieje się.

Nagle oczy Bobby'ego otwierają się szeroko, jakby poruszone niewidzialną sprężynką i równocześnie zmienia się ton jego głosu. Obraca się na krześle, ściąga usta i zakłada nogę na nogę.

- No, Bobby, nie okłamuj mnie. - Słyszę ostry kobiecy głos.

- Nie jestem paplą.

- Dotykał cię czy nie?

- Nie.

- Oj, nie to pan Erskine chce usłyszeć.

- Nie zmuszaj mnie do mówienia.

- Nie chcemy marnować czasu pana Erskine'a. Jechał taki kawał drogi...

- Wiem, po co przyjechał.

- Kotku, nie tym tonem do mnie. To niezbyt grzecznie. Bobby wsuwa dłonie do kieszeni i szura butami o podłogę.

Mówi nieśmiałym szeptem, przyciskając podbródek do piersi.

- Nie zmuszaj mnie, żebym to powiedział.

- Tylko mu powiedz i wtedy możemy pójść na kolację.

- Proszę cię, nie zmuszaj mnie...

Bobby trzęsie głową i wierci się na krześle. Otwiera oczy; widzę, że mnie poznaje.

- Wie pan, że jądra błękitnego wieloryba są większe od volkswagena garbusa?

- Nie, nie wiedziałem.

Lubię wieloryby. Łatwo je złowić i poćwiartować.

- Kim jest pan Erskine?

- A powinienem go znać?

- Wymieniłeś to nazwisko.

Kręci głową i patrzy na mnie podejrzliwie.

- Poznałeś go kiedyś?

- Urodziłem się w jednym świecie. A teraz tkwię po pachy w innym.

- Co to znaczy?

- Musiałem pozbierać to wszystko w całość, w jedną całość. Nie słucha mnie. Jego umysł pracuje na takich wysokich obrotach, że nie potrafi trzymać się jednego tematu dłużej niż parę sekund.

- Opowiadałeś o swoim śnie... o dziewczynie w czerwonej sukni. Kim ona jest?

- Po prostu dziewczyną.

- Znasz ją?

- Ma nagie ramiona. Podnosi je do góry i czesze włosy palcami. Widzę blizny.

- Jak one wyglądają?

- Nieważne.

- Ważne!

Bobby przechyla głowę i przeciąga palcami po wewnętrznej stronie rękawa koszuli od nadgarstka po łokieć. Potem znowu spogląda na mnie. Jego oczy są pozbawione wyrazu. Czyżby mówił o Catherine McBride?

- Skąd u dziewczyny wzięły się te blizny?

- Pocięła się.

- Skąd wiesz?

- Mnóstwo ludzi to robi. - Bobby odpina guziki przy mankietach i powoli podwija lewy rękaw. Odwraca dłoń wnętrzem do góry i pokazuje mi przedramię. Cienkie białe blizny, choć mało widoczne, nie pozostawiają wątpliwości.

- Są jak oznaka honoru - szepce.

- Bobby, posłuchaj mnie. - Pochylam się ku niemu. - Co stało się z dziewczyną w twoim śnie?

Oblędny strach wyziera mu z oczu.

- Nie pamiętam.

- Znasz tę dziewczynę? Kręci przecząco głową.

- Jakiego koloru ma włosy?

- Brązowe.

- A oczy? Wzrusza ramionami.

- Powiedziałeś, że krzywdzisz ludzi w swoich snach. Czy zrobiłeś coś tej dziewczynie?

Pytanie jest zbyt bezpośrednie i natarczywe. Przygląda mi się podejrzliwie.

- Czemu pan się tak we mnie wpatruje? Nagrywa to pan? Kradnie moje słowa? - Rozgląda się na boki.

- Nie.

- No to czemu pan tak na mnie patrzy? Uzmysławiam sobie, że on mówi o „masce parkinsona”.

Jock uprzedzał mnie o występowaniu takiego symptomu. Moja twarz może stać się całkowicie pozbawiona mimiki i zastygła, jak oblicze posągu na Wyspie Wielkanocnej.

Odwracam głowę i próbuję od nowa, lecz myśli Bobby'ego krążą już gdzie indziej.

- Wie pan, że jeśli napisze się rok 1961 od końca i do góry nogami to wyjdzie na to samo?

- Nie. Nie wiedziałem.

- Coś takiego można zrobić dopiero z rokiem 6009.

- Bobby, muszę więcej wiedzieć o tym śnie.

- *No comprenderas todavia lo que comprenderas en elfuturo.*

- Co to znaczy?

- To po hiszpańsku. „Teraz nie rozumiesz tego, co zrozumiesz w przyszłości”. - Nagle marszczy czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Na jego twarzy maluje się konsternacja. Nie stracił wątku - on zapomniał, co tutaj robi. Spogląda na zegarek.

- Bobby, dlaczego tu jesteś?

- Nachodzą mnie te myśli.

- Jakie myśli?

- Krzywdzę ludzi w snach. To nie jest przestępstwo. To tylko sen...

W tym samym punkcie byliśmy pół godziny temu. Zapomniał wszystko, co się działo potem.

Jest taka metoda prowadzenia przesłuchań, czasami stosowana przez CIA, która nosi nazwę techniki Alicji w krainie czarów. Polega na postawieniu świata na głowie i wypaczaniu wszystkiego, co logiczne lub znajome. Przesłuchujący zaczyna od bardzo zwyczajnie brzmiących pytań, które tak naprawdę są całkowicie pozbawione sensu. Jeżeli podejrzany próbuje na nie odpowiadać, drugi śledczy wtrąca coś równie nielogicznego i oderwanego od rzeczywistości.

W dodatku przesłuchujący co chwilę, a nawet w połowie zdania zmieniają zachowanie i sposób mówienia. Złoścą się, mówiąc przyjemne rzeczy i czarującym tonem wypowiadają groźby. Śmieją się w niewłaściwych miejscach i mówią zagadkami.

Jeśli podejrzany stara się współpracować, ignorują go, a jeśli nie, jest nagradzany - i nigdy nie wie, dlaczego. Jednocześnie przesłuchujący posuwają się do mistyfikacji - manipulują czasem, przesuwając zegar wstecz i do przodu, włączają i wyłączają światło, podają posiłki w odstępie dziesięciu godzin lub zaledwie dziesięciu minut.

Wyobraźcie sobie, że ten stan trwa przez wiele dni. Podejrzany, odcięty od świata i wszystkiego, co uważa za normalne, stara się trzymać tego, co pamięta. Może śledzić czas albo próbować przywoływać zapamiętane obrazy lub twarze. Każda z nici utrzymujących go przy zdrowych zmysłach jest po kolei zrywana, aż w końcu nie wie, co jest prawdą, a co nie.

Tak właśnie wyglądają rozmowy z Bobbym. Przypadkowe skojarzenia, pokrętne szarady i dziwaczne zagadki wydają się na tyle sensowne, że ich wysłuchuję. Z drugiej jednak strony dają się

wciągać coraz głębiej w intrygę i linia graniczna pomiędzy prawdą i fantazją zaczyna się zacierać.

Nie chce więcej rozmawiać ze mną o swoim śnie. Zbыва mnie, ilekroć go pytam o dziewczynę w czerwonej sukni. Moje milczenie nie skutkuje. Zamyka się w sobie, jest całkowicie poza zasięgiem.

Bobby coraz bardziej mi się wymyka. Poznałem go jako inteligentnego, rozmownego, wrażliwego młodego człowieka, zaniepokojonego swoim życiem. Teraz widzę go na skraju schizofrenii, z gwałtownymi snami i być może z historią choroby psychicznej.

Sądziłem, że mam nad nim kontrolę, tymczasem on w biały dzień napadł na kobietę oraz wyznał, że „krzywdzi” ludzi w snach. A co z tą dziewczyną z bliznami na rękach?

Weź głęboki oddech. Przyjrzyj się faktom. Nie dopasowuj na siłę elementów układanki. Jedna osoba na piętnaście okalecza się w jakimś momencie życia; daje to przeciętnie dwoje dzieci w klasie, cztery osoby w zatłoczonym autobusie, dwadzieścia w podmiejskim pociągu, oraz dwa tysiące na stadionie Arsenалу.

Podczas szesnastu lat pracy jako psycholog nauczyłem się zdecydowanie nie dawać wiary w matactwa pacjentów i nie słuchać głosów, które oni słyszą. Lekarz, umierający na tę samą chorobę, nikomu się nie przyda.

15

Szkota jest piękna; to solidny budynek w stylu z czasów króla Jerzego, obrośnięty wisterią. Wyspany grysem podjazd skręca za bramą i prowadzi łukiem do szerokich, kamiennych stopni. Parking wygląda jak teren wystawowy rangę rovera i mercedesa. Parkuję moje metro na ulicy za rogiem.

Szkola Charlie urządza coroczne przyjęcie połączone ze zbiórką pieniędzy na cele charytatywne i aukcją. Aulę udekorowano czarnymi i białymi balonikami, a firma cateringowa ustawiła wielki namiot na korcie tenisowym.

Pomimo informacji na zaproszeniu, że obowiązują „stroje popołudniowe”, większość matek wystroiła się w wieczorowe suknie, ponieważ nie mają zbyt wiele okazji do wyjścia z domu. Skupiły się teraz wokół ostatniej „gwiazdy telewizyjnej”, która demonstruje opaleniznę z solarium i idealne uzębienie. Tak to jest, kiedy posyła się dziecko do drogiej prywatnej szkoły. Człowiek ociera się o dyplomatów, gospodarzy teleturniejów i baronów narkotykowych.

To nasze pierwsze wieczorne wyjście od wielu tygodni. Ale nie czuję się odprężony - wręcz przeciwnie - nerwy mam napięte jak postronki. Cały czas myślę o wizycie Julianne u Jocka. W jakiś sposób wyczuła, że ją okłamałem. Kiedy powie coś na ten temat? Od czasu diagnozy chodzę przygnębiony i stronię od ludzi. Może męczy mnie poczucie winy. Bardziej prawdopodobnie czuję żal. Tak właśnie postępuję, kiedy nie chcę swych problemów przenosić na otoczenie.

Kawałek po kawałku tracę władzę nad ciałem. Jakaś część mej istoty uważa, że nie ma w tym

nic strasznego. Wszystko będzie dobrze, dopóki zachowam rozum. Ale inna część mnie już tęskni za tym, czego jeszcze nie zostałem pozbawiony.

Tak więc znalazłem się może nie tyle na rozdrożach, co w ślepych zaułku. Jestem mężem kobiety, która napawa mnie dumą, i ojcem córki, której widok, gdy przyglądam się jej, kiedy śpi, wzrusza mnie do łez. Mam czterdzieści dwa lata, właśnie się nauczyłem łączyć intuicję z wiedzą i dobrze wykonywać swój zawód. Połowa życia przede mną, najlepsza połowa. Mój umysł jest chętny, ale ciało, niestety, odmawia posłuszeństwa - lub wkrótce go odmówi. Zawodzi mnie coraz bardziej. To jedyna pewność, jaka mi pozostaje.

Aukcja na cele dobroczynne przeciąga się. Tak zwykle z nimi jest. Mistrz ceremonii, zawodowy licytator, ma po aktorsku ustawiony głos, który przebija się przez gwar i towarzyskie rozmowy. Każda klasa stworzyła dwa dzieła - przeważnie barwne kolaże złożone z pojedynczych prac. Klasa Charlie namalowała cyrk oraz panoramę plaży; stoją na niej kolorowe przebieralnie, tęcze parasole i budki z lodami.

- To idealnie pasowałyby do naszej kuchni - mówi Julianne, biorąc mnie pod ramię.

- Ile będzie kosztować wymiana instalacji? Puszczaj tę uwagę mimo uszu.

- Charlie namalowała wieloryba.

Przyglądając się uważniej, dostrzegam szarą kluchę na horyzoncie. Rysowanie nie należy do mocnych stron mojej córki, ale wiem, że kocha wieloryby.

Aukcja ujawnia w ludziach to, co w nich najlepsze i najgorsze. Jedynym, bardziej zażartym licytantem od rodziców jedynaczki jest zakochany we wnuczce, zasobny dziadek.

Licytuję do sześćdziesięciu pięciu funtów za scenę na plaży. Kiedy przy grzecznościowych brawach młotek opada na pulpit, praca zostaje sprzedana za siedemset. Zwycięską ofertę złożono przez telefon. Można by pomyśleć, że jesteśmy w cholernym Sotheby's.

Wracamy do domu po północy. Opiekunka zapomniała zapalić światło na ganku. Potykam się w ciemnościach o stertę miedzianych rur i przewracam na stopnie, tłukąc boleśnie kolano.

- D.J. pytał, czy może je tu zostawić - usprawiedliwia hydraulika Julianne. - Nie przejmuj się spodniami. Namoczę je.

- A co z moim kolaniem?

- Przeżyjesz.

Razem zaglądamy do Charlie. Na podłodze pluszaki, ustawione tyłem do łóżka, jak strażnicy strzegący fortu. Charlie śpi na boku z kciukiem przy buzi.

Myję zęby, a obok Julianne, siedząc przed toaletką, zmywa makijaż. Przygląda mi się w lustrze.

- Masz romans?

Zaskakuje mnie tym pytaniem rzuconym mimochodem. Usiłuję udawać, że go nie usłyszałem, ale jest za późno. Nieruchomieję ze szczoteczką w ustach. I to mnie zdradza.

- Czemu? Ściera tusz z rzęs.
- Ostatnio wydajesz się nieobecny.
- Mam dużo spraw na głowie.
- Ale nadal chcesz tu być?
- Oczywiście, że tak.

Cały czas obserwuje mnie w lustrze. Odwracam wzrok i płuczę szczoteczkę pod kranem.

- Już nie rozmawiamy ze sobą - mówi.

Wiem, co nastąpi. Do czego zmierza. Za chwilę zrobi wykład o moim braku umiejętności komunikacyjnych. Uważa, że skoro jestem psychologiem, powinienem umieć rozmawiać o moich odczuciach i analizować to, co się dzieje. Niby dlaczego? Całe dni spędzam, grzebiąc w cudzych umysłach. Kiedy wracam do domu, najbardziej skomplikowaną rzeczą, o jakiej mam ochotę myśleć, jest nauka tabliczki mnożenia z Charlie.

Julianne ma inny charakter. Jest wylewna. Dzieli się refleksjami i wszystko roztrząsa. Rzecz nie w tym, że nie chcę się wywnętrzać. Boję się, że nie będę umiał przestać.

Usiłuję zbić ją z tropu.

- Kiedy jest się małżeństwem tyle lat, co my, nie trzeba dużo rozmawiać - zaczynam niezbyt przekonująco. - Możemy czytać w naszych myślach.

- Czyżby? O czym teraz myślę? Udaję, że nie słyszę.
- Jest nam razem dobrze. Ten stan nazywa się zażyłością.
- Która rodzi lekceważenie.
- Nie!

Otacza mnie ramionami i sunąc dłońmi po piersi, splata je w pasie.

- Po co dzielić życie z drugą osobą, skoro nie można z nią rozmawiać o istotnych sprawach? - Kładzie głowę na moich plecach. - Tak właśnie postępują małżeństwa. To zupełnie normalne. Wiem, że cierpisz. Że się boisz. Że się martwisz... o Charlie... o mnie... co będzie, kiedy choroba się rozwinie, ale, Joe, nie możesz stawać między nami a światem. Nie ochronisz nas przed czymś takim.

Suszy mnie w ustach i czuję początek kaca. To nie argument - tylko kwestia percepcji. Wiem, że jeśli nie odpowiem, Julianne wypełni ciszę.

- Co cię tak przeraża? Nie jesteś umierający.
- Wiem.
- Pewnie, że to niesprawiedliwe. Nie zasługujesz na taki los. Ale popatrz na to, co masz - śliczny dom, dobrą pracę, kochającą żonę i córkę, która wielbi ziemię, po której stąpasz. Jeżeli to nie równoważy innych problemów, to wszyscy mamy poważny kłopot.
- Nie chcę niczego zmieniać. - Nienawidzę słabego tonu w moim głosie.

- Nic nie musi się zmieniać.

Widzę, że mnie obserwuje. Szuka znaków. Drżenie tu, przykurcz tam.

- Czy to boli? - pyta niespodziewanie.

- Co?

- Kiedy sztywnieją ci nogi albo nieruchomieje ramię.

- Nie.

- Tego nie wiedziałam. - Wsuwa mi dłoń w rękę i zamyka na niej moje palce. Potem odwraca mnie tak, by mogła patrzeć mi w oczy. - Czy to cię krępuje?

- Czasami.

- Może powinieneś być na jakiejś specjalnej diecie?

- Nie.

- A gimnastyka?

- Według Jocka przydałaby się, ale nie powstrzyma postępu choroby.

- Nie wiedziałam - szepce. - Powinieneś był mi powiedzieć. Opiera się o mnie mocniej i dotyka ustami ucha. Kropelki wody na jej policzkach wyglądają jak łzy. Gładzę ją po głowie.

Jej dłonie zsuwają się po mojej piersi. Rozpięty suwak, delikatna pieszczota palców; smak jej języka; jej oddech w moich płucach...

Potem, kiedy leżymy w łóżku, przyglądam się, jak jej piersi drżą przy każdym uderzeniu serca. Po raz pierwszy od sześciu lat kochaliśmy się, nie zaglądając wcześniej do kalendarzyka.

Dzwoni telefon.

- Profesor O'Loughlin?

- Tak.

- Szpital Charing Cross. Przepraszam, że pana budzę. - Głos lekarza brzmi młodo i wyczuwam w nim znużenie. - Czy Bobby Moran jest pańskim pacjentem?

- Tak.

- Policja znalazła go leżącego na chodniku na moście Hammersmith. Bobby prosi, żeby pana ściągnąć.

16

Julianne przewraca się na bok, kładzie głowę na mojej poduszce, podciągając kołdrę.

- Co się dzieje? - pyta sennie.

- Kłopoty z pacjentem. - Naciągam bluzę dresową na pod koszulek i rozglądam się za dzinsami.

- Chyba się tam nie wybierasz?

- Niedługo wrócę.

O tej porze nad ranem dojazd na Fulham zajmuje mi kwadrans. Zaglądam przez oszklone wejście do szpitala i widzę czarną sprzątaczkę, która wykonuje dziwaczny walc, posuwając po

podłódze mopa i wiadro. W recepcji siedzi strażnik. Wskazuje mi drogę do Izby Przyjęć.

W poczekalni, za wahadłowymi drzwiami z szybami z pleksiglasu, siedzi parę osób; sprawiają wrażenie zmęczonych i poirytowanych. Dyżurna pielęgniarka jest zajęta. W korytarzu pojawia się młody lekarz i wdaje się w sprzeczkę z brodatym mężczyzną okrytym kocem, który przyciska do czoła zakrwawiony kawałek materiału.

- Będzie pan czekał całą noc, jeśli pan zaraz nie usiądzie - grozi lekarz. Po czym odwraca się i patrzy na mnie.

- Jestem profesor O'Loughlin.

Mija chwila, zanim kojarzy moje nazwisko. Wreszcie kojarzy.

Lekarz ma znamię biegnące wzdłuż szyi, które zasłania postawionym kołnierzem fartucha.

Kilka minut później podążam za nim pustymi korytarzami, mijając po drodze wózki na bieliznę i nosze.

- Nic mu się nie stało?

- Ma trochę zadrapań i sińców. Może wyleciał z samochodu albo spadł z roweru.

- Przyjęliście go na oddział?

- Nie. Ale nie wyjdzie stąd bez pańskiej konsultacji. Cały czas opowiada coś o zmywaniu krwi ze swoich rąk. Dlatego za trzymałem go na obserwację w separacie. Nie chcę, żeby denerwował innych pacjentów.

- Wstrząśnienie mózgu?

- Nie. Jest bardzo pobudzony. Policjanci sądzili, że może być niedoszłym samobójcą. - Lekarz ogląda się na mnie przez ramię. - Czy pana ojciec jest chirurgiem?

- Emerytowanym.

- Byłem kiedyś na jego prelekcji. Robi wrażenie.

- Tak. Jako wykładowca.

Separatka ma na wysokości twarzy małe okienko do podglądu. Patrzę na Bobby'ego; siedzi na krześle wyprostowany, obie stopy oparte na podłódze. Ma na sobie zabłocone dzinsy, flanelową koszulę i zielony wojskowy szynel. Skubie rękaw, pociągając za luźną nitkę. Przekrwione oczy patrzą nieruchomo. Wpatruje się w przeciwległą ścianę, jakby rozgrywał się tam jakiś niewidzialny dramat, widoczny wyłącznie dla niego. Nie odwraca się, kiedy wchodzę.

- Bobby, to ja, profesor O'Loughlin. Wiesz, gdzie jesteś? Kiwa głową.

- Powiesz mi, co się stało?

- Nie pamiętam.

- Jak się czujesz?

Wzrusza ramionami, nadal na mnie nie patrzy. Ściana jest bardziej interesująca. Wyczuwam woń potu i wilgotnego ubrania. Jest jeszcze jakiś inny, znany mi zapach, ale nie potrafię go

zidentyfikować. Jakby lekarstwa.

Co robiłeś na moście Hammersmith?

- Nie wiem. - Głos mu drży. - Przewróciłem się.
- Co zapamiętałeś?

- Położyłem się z Arky do łóżka, a potem... Czasami nie mogę być sam. Zdarza się panu coś takiego? Ja mam to cały czas. Snuję się po domu krok w krok za Arky. Chodzę za nią i bez przerwy jej opowiadam o sobie. Mówię, co myślę...

Wreszcie przenosi na mnie spojrzenie. Przestraszone. Puste. Miałem już kiedyś okazję widzieć taki wzrok. Jednego z moich pacjentów, strażaka, prześladowają krzyki pięcioletniej dziewczynki, która zginęła w płonącym samochodzie. Uratował jej matkę i brata oseska, ale nie mógł wrócić po nią w płomienie.

- Słyszysz pan czasem wiatraki? - pyta Bobby.

- Jaki odgłos wydają?

- Szczękają metalicznie, ale kiedy wiatr jest naprawdę silny, skrzydła szybko się obracają i wtedy powietrze jęczy z bólu. - Przebiega go dreszcz.

- Do czego potrzebne są wiatraki?

- Wszystko napędzają. Jeśli przyłoży się ucho do ziemi, można je usłyszeć.

- Co rozumiesz przez „wszystko”?

- Oświetlenie, fabryki, kolej. Bez wiatraków nic by nie działało.

- Czy te wiatraki są bogiem?

- Nic pan nie wie - zbywa mnie lekceważąco.

- Widziałeś kiedykolwiek wiatraki?

- Nie. Tylko je słyszę.

- Jak myślisz, gdzie one są?

- Na środku oceanu, na ogromnych platformach, takich jak wiertnicze. Ciągają energię ze środka ziemi - z jej jądra. Zużywamy za dużo energii. Marnujemy ją. Dlatego musimy gasić światła i oszczędzać prąd. Inaczej zakłócimy równowagę. Za dużo wyciągniemy ze środka i wytworzy się próżnia. Dojdzie do implozji świata.

- Dlaczego pobieramy za dużo energii?

- Zgas światła, prawa, lewa, prawa, lewa. Rób, co trzeba. -

Salutuje. - Kiedyś byłem praworęczny, ale nauczyłem się używać lewej... Ciśnienie wzrasta. Czuję wyraźnie.

- Gdzie?

Klepie się po głowie.

- Dotknąłem jądra. Ogryzek jabłka. Z piasku babka. Wie pan, że proporcjonalnie warstwa

atmosfery ziemskiej jest cieńsza od skórki jabłka?

Bawi się w rymowanki - typowy objaw u psychotyków. Proste szarady i gry słów pomagają łączyć przypadkowe myśli.

- Czasami śni mi się, że siedzę uwięziony we wnętrzu wiatraka - mówi. - Kręci się tam mnóstwo zębatych kół, wirują ostrza i młoty uderzają w kowadła. Taką muzykę grają w piekle.

- Czy to jeden z twoich sennych koszmarów? Zniża głos do konspiracyjnego szeptu:

- Niektórzy z nas wiedzą, co się dzieje.

- A co?

Odwraca się, patrząc na mnie z gniewem. Oczy mu płoną. A potem dziwny uśmiech przebiega przez jego twarz.

- Wiesz, że teraz można szybciej dolecieć statkiem kosmicznym na Księżyc niż kiedyś przejechać Anglię dyliżansem?

- Nie, tego nie wiedziałem. Wzdycha triumfalnie.

- Co robiłeś na moście Hammersmith?

- Leżałem, nasłuchując wiatraków.

- Kiedy przywieźli cię do szpitala, cały czas powtarzałeś, że chciałeś zmyć krew z rąk.

Pamięta, ale nie reaguje.

- Skąd się wzięła krew na twoich rękach?

- To normalne nienawidzić. Po prostu się o tym nie mówi. To normalne, że chce się zranić ludzi, którzy nas zranili...

Mówi bez związku.

- Zraniłeś kogoś?

- Zbierasz wszystkie krople nienawiści do butelki. Kap, kap, kap... Nienawiść nie paruje jak płyny. Jest oleista. A potem, któregoś dnia, butelka się napęnia.

- Co się wtedy dzieje?

- Trzeba ją opróżnić.

- Bobby, skrzywdziłeś kogoś?

- Jak inaczej można się pozbyć nienawiści? - Szarpie mankiety flanelowej koszuli, poplamione czymś ciemnym.

- Bobby, czy to krew?

- Nie, olej. Nie słuchałeś, co mówiłem? To było o oleju. - Podnosi się i robi dwa kroki w stronę drzwi. - Czy teraz mogę wrócić do domu?

- Myślę, że powinienesz zostać tu jakiś czas - staram się przybrać obojętny ton.

Przygląda mi się podejrzliwie.

- Czemu?

- Wieczorem przeszedłeś coś w rodzaju załamania nerwowego albo zaniku pamięci. Być może miałeś wypadek, albo się przewróciłeś. Myślę, że należy wykonać kilka badań i poddać cię obserwacji.

- W szpitalu?

- Tak.

- Na oddziale ogólnym?

- Na psychiatrycznym. Jest czujny.

- Ni cholery! Chcesz mnie zapuszkować!

- Będziesz tam dobrowolnie. Możesz wyjść, kiedy tylko ze chcesz.

- To podstęp! Myślisz, że jestem stuknięty! - krzyczy na mnie. Chce wybiec, ale coś go powstrzymuje. Może zbyt wiele we mnie zainwestował?

Nie dysponuję prawnymi możliwościami, żeby go zmusić. Nawet gdybym miał podstawy, nie mogę go umieścić w szpitalu psychiatrycznym ani zatrzymać na obserwację. Psychiatrzy, lekarze i sądy mają takie prawo, my, skromni psychologowie, nie. Bobby może wyjść.

- Ale będę mógł dalej do pana przychodzić? - pyta.

- Tak.

Zapina płaszcz i kiwa głową z aprobatą. Idę z nim korytarzem i razem zjeżdżamy windą.

- Zdarzały ci się wcześniej takie absencje? - pytam.

- Co znaczy „absencje”?

- Zaniki pamięci, kiedy czas zdaje się nie istnieć.

- Miałem coś takiego miesiąc temu.

- Pamiętasz, jaki to był dzień? Przytakuje skinieniem głowy.

- Musiałem wylać nienawiść.

Frontowe drzwi szpitala są otwarte. Bobby zatrzymuje się na stopniach i odwraca się, żeby mi podziękować. Znowu czuję ten zapach. Już wiem. To chloroform.

17

Chloroform jest bezbarwną cieczą, o gęstości o połowę mniejszej od wody, przypomina zapachem eter i jest czterdzieści razy słodszy od trzciny cukrowej. Ważny rozpuszczalnik organiczny, używany głównie w przemyśle.

Szkocki lekarz, sir James Simpson z Edynburga, jako pierwszy użył go do narkozy w roku 1847. Sześć lat później angielski lekarz, John Snow, podał go królowej Wiktorii podczas porodu ósmego dziecka, księcia Leopolda.

Maseczka lub kawałek materiału nasączone kilkoma kroplami chloroformu zazwyczaj wywołują narkozę w ciągu kilku minut. Pacjent budzi się po dziesięciu, piętnastu minutach, oszołomiony, ale bez mdłości czy wymiotów. Stosowanie chloroformu jest wysoce niebezpieczne, powoduje

zatrzymanie akcji serca w 3000 przypadków...

Zamykam encyklopedię, odstawiam na półkę i robię notatkę dla siebie. Dlaczego ubranie Bobby'ego Morana pachniało chloroformem? Do czego mógł potrzebować rozpuszczalnika czy też środka znieczulającego? O ile dobrze pamiętam, chloroform wchodzi w skład niektórych leków na kaszel i kremów łagodzących swędzenie, ale nie w takich ilościach, aby wydzielać tak intensywny zapach.

Bobby wspomniał, że pracuje jako goniec. Może dostarcza rozpuszczalniki. Zapytam go podczas następnego sesji, o ile będzie obecny duchem.

Z dołu dochodzi łomot. D.J. i jego pomocnik nadal reperują bojler w piwnicy. Wygląda na to, że całą naszą instalację wodno-kanalizacyjną zakładał jakiś maniak z fiołem na punkcie wyginania rur. Nasze ściany wyglądają w przekroju jak nowoczesna rzeźba. Bóg jeden wie, ile za to wszystko zabolimy.

W kuchni nalewam kawę i siadam obok Charlie przy stole. Trzyma książkę z biblioteki opartą o pudełko płatków, (a opieram poranną gazetę o karton soku pomarańczowego).

Charlie prowadzi pewną grę - naśladuje każdy mój gest. Kiedy odgryzam kęs grzanki, robi to samo. Kiedy wypijam łyk kawy, podnosi do ust filiżankę z herbatą. Nawet przechyla głowę w taki sam sposób jak ja, gdy usiłuję przeczytać kawałek tekstu, który ginie w złożeniu gazety.

- Nie bierzesz już marmolady? - pyta, machając mi dłonią przed twarzą.
- Nie. Przepraszam.
- Odleciałeś z elfami.
- Przesyłają ci pozdrowienia.

Julianne wyłania się z pralni, odgarniając kosmyk włosów z czoła. W tle słychać dudnienie suszarki. Kiedyś razem zasiadaliśmy do śniadania - piliśmy kawę zaparzoną w dzbanku i wymienialiśmy się stronami porannej gazety. Teraz jada w biegu.

Załadowuje zmywarkę i kładzie przede mną tabletkę.

- Co się stało w szpitalu?
- Jeden z moich pacjentów miał wypadek. Będzie dobrze. Chmurzy się.
- Miałeś ograniczyć wyjazdy na wezwania.
- Wiem. Tylko ten raz, wyjątkowo.

Odgryza kęs z ćwiartki grzanki i pakuje drugie śniadanie Charlie do pudełka. Czuję, że się wyperfumowała, zauważam również, że ma na sobie nowe dżinsy i swój najlepszy żakiet.

- Dokąd się wybierasz?
- Mam seminarium o rozumieniu Islamu. Obiecałeś, że do czwartej wrócisz do domu, żeby być przed Charlie.
- Nie dam rady. Jestem umówiony. Jest na mnie zła.

- Ktoś musi być w domu.
- Postaram się wrócić przed piątą.
- Dobrze. Zobaczą, czy uda mi się załatwić opiekunkę.

Dzwonię do Ruiza z gabinetu. W tle słyszę buczenie jakichś urządzeń i szum wody. Jest nad rzeką albo przy strumieniu.

W tej samej chwili, gdy się przedstawiam, słyszę charakterystyczne kliknięcie. Ciekawe, czy nagrywa naszą rozmowę.

- Mam pytanie w związku z Catherine McBride.
- Taak?
- Ile miała kłutych ran?
- Dwadzieścia jeden.
- Czy patolog odkrył ślady chloroformu?
- Czytał pan raport.
- Nie było w nim żadnej wzmianki na ten temat.
- Dlaczego chce pan to wiedzieć?
- Prawdopodobnie to nic ważnego. Wzdycha.

- Zawrzyjmy umowę. Niech pan nie wydzwania do mnie, żeby pytać o pierdoły, a ja anuluję panu ten niezapłacony mandat za parkowanie.

Zanim zdążyłem przeprosić za zawracanie głowy, słyszę, jak ktoś go woła. Wyburkuje ironiczne podziękowanie i rozłącza się. Ten facet ma dar komunikowania się godny właściciela zakładu pogrzebowego.

Fenwick wsuwa głowę do poczekalni, zerkając na swój złoty rolex. Idziemy razem na lunch do jego ulubionej restauracji na Mayfair. To jedno z tych miejsc opisywanych w niedzielnych dodatkach do gazet, ponieważ szef kuchni ma temperament, jest przystojny i chodzi z supermodelką. Według słów Fenwicka, w tej restauracji bywa wiele znanych osób, ale najwyraźniej nigdy nie przychodzą, kiedy akurat ja tam jestem. Chociaż nie, raz zdarzyło mi się widzieć Petera O'Toole'a. Fenwick mówił o nim „Peter” takim tonem, jakby byli starymi kumplami.

Dzisiaj Fenwick sili się na wyjątkową uprzejmość. W drodze do restauracji pyta o Julianne i o Charlie. Potem czyta na głos cały jadłospis, dodając komentarz do każdego z dań, jakbym sam nie mógł sobie przeczytać. Kiedy wybieram wodę mineralną zamiast wina, wydaje się rozczarowany.

- Nie piję alkoholu do lunchu - wyjaśniam.
- Bardzo nietowarzysko.
- Niektórzy ludzie pracują po południu.

Podchodzi kelner i Fenwick instruuje go szczegółowo, jak mają przygotować mu danie, łącznie ze wskazówkami co do temperatury piekarnika i wybicia mięsa przed smażeniem. Jeżeli kelner ma

choć odrobinę rozsądku, te instrukcje nigdy nie dotrą do kuchni.

- Czy nikt ci nigdy nie mówił, iż nie należy denerwować osoby, która przygotowuje posiłek? - pytam.

Fenwick spogląda na mnie ze zdziwieniem.

- Nieważne - mówię. - Najwyraźniej nie urabiałeś sobie rąk po łokcie na studiach.

- Chłopie, miałem stypendium.

- Typowe!

Fenwick rozgląda się po restauracji, wypatrując znanych twarzy. Nie bardzo rozumiem, jaki jest cel tych wspólnych lunchów. Zazwyczaj przekonuje mnie, żebym zainwestował w nieruchomości lub założył firmę biotechnologiczną. Nie zna wartości pieniędzy, albo, co bardziej prawdopodobne, nie wie, jak mało ludzie zarabiają i jak bardzo mają obciążone hipoteki.

Prawdopodobnie Fenwick jest ostatnią osobą, którą normalnie poprosiłbym o radę, ale jest pod ręką, a konwersacja zamiera.

- Zadam ci hipotetyczne pytanie - odzywam się, składając i rozkładając serwetkę. - Co byś zrobił, gdybyś miał pacjenta, który być może popełnił poważne przestępstwo?

Fenwick wydaje się zaniepokojony. Ogląda się przez ramię, jakby się obawiał, że ktoś może nas podsłuchać.

- Masz na to jakieś dowody? - szepce.

- Właściwie, nie... raczej przecucie.

- Jak bardzo poważne jest to przestępstwo?

- Nie wiem. Być może najpoważniejsze.

Fenwick nachyla się ku mnie i zakrywa usta dłonią. Trudno o bardziej jednoznaczną pozę.

- Stary, musisz zgłosić policji.

- A co z tajemnicą lekarską? To podstawowa sprawa w mojej pracy. Jeżeli pacjent nie darzy mnie zaufaniem, nie jestem w stanie mu pomóc.

- W takich wypadkach tajemnica lekarska nie obowiązuje. Pamiętasz precedens Tarasoffa?

Tarasoff był studentem, który zabił swoją byłą dziewczynę. Rzecz się działa w Kalifornii na początku lat sześćdziesiątych. Podczas sesji terapeutycznych wyznał psychologowi, że zamierza ją zabić. Rodzice zamordowanej dziewczyny oskarżyli psychologa o zaniedbanie i proces wygrali.

Fenwick nie przestaje mówić, skrzydełka nosa drgają mu nerwowo.

- Masz obowiązek ujawnić poufne informacje, jeśli pacjent wykazuje wiarygodne intencje wyrządzenia poważnej krzywdy trzeciej osobie.

- To prawda, lecz co robić, jeśli pacjent nie formułował gróźb pod adresem konkretnej osoby?

- Sądzę, że to nie ma znaczenia.

- Niestety, ma. Naszym obowiązkiem jest chronić potencjalne ofiary jedynie w takich

wypadkach, gdy pacjent zwerbalizował groźby i wymienił konkretną osobę.

- Dzielisz włos na czworo.
- Wcale nie.
- Czy pozwolimy zabójcy włóczyć się po ulicach?
- Nie wiem, czy jest zabójcą.
- Nie powinniśmy zostawić tego policji?

Może Fenwick ma rację, ale co będzie, jeśli wyciągam mylne wnioski? Zapewnienie dyskrecji stanowi integralną część psychologii klinicznej. Jeżeli ujawnię szczegóły z moich sesji z Bobbym bez jego zgody, złamię z tuzin przepisów. Mogą mi grozić sankcje zawodowe, a nawet sprawa w sądzie.

Na ile jestem przekonany, że Bobby stwarza zagrożenie? Zaatakował kobietę w taksówce. Poza tym te psychotyczne opowieści o wiatrakach i sny o dziewczynie.

Fenwick wysącza wino i zamawia następny kieliszek. Widzę, że z zadowoleniem słucha tej sensacyjnej historii. Odnoszę wrażenie, że ludzie niezbyt często proszą go o rady.

Zjawia się nasze jedzenie i konwersacja schodzi na bardziej swojskie tematy. Fenwick opowiada mi o swoich ostatnich inwestycjach i planach na wakacje. Wyczuwam, że ku czemuś zmierza, lecz nie wie, jak zacząć, aby gładko naprowadzić rozmowę na właściwy temat. Wreszcie przy kawie nie wytrzymuje.

- Joe, chciałbym cię o coś zapytać. Nie należę do facetów, którzy proszą o przysługi, ale jest taka jedna sprawa, o którą chciałbym cię prosić.

Automatycznie wyteżam mózg, kombinując, jak mu odmówić. Nie przychodzi mi na myśl ani jedna sytuacja, w której Fenwick mógłby potrzebować mojej pomocy.

Zakłopotany Fenwick kilkakrotnie zaczyna to samo zdanie. W końcu wyjaśnia, że zaręczył się z Geraldine, swoją wieloletnią dziewczyną.

- Bardzo się cieszę! Moje gratulacje! Przerzywa mi, unosząc dłoń.

- No więc pobieramy się w czerwcu, ślub odbędzie się w West Sussex. Jej ojciec ma tam posiadłość. Chciałbym cię prosić... no... jak to powiedzieć... znaczy się... będę zaszczycony, jeśli zgodzisz się zostać moim świadkiem.

Na ułamek sekundy ogarnia mnie strach, że zaraz wybuchnę śmiechem. Ledwo znam Fenwicka. Od dwóch lat przyjmujemy w sąsiadujących gabinetach, ale poza okazjonalnym wspólnym lunchem nigdy nie utrzymywaliśmy towarzyskich kontaktów, nie zagraliśmy w golfa ani w tenisa. Jak przez mgłę pamiętam Geraldine z gwiazdkowego przyjęcia w firmie. Do tamtej chwili podejrzewałem, że Fenwick jest zatwardziałym kawalerem, lwem salonowym w starym stylu.

- Na pewno masz kogoś, kto...

- Hmm, tak, oczywiście. Przyszło mi na myśl... no... pomyślałem... - Fenwick mruga nerwowo i

wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy.

I wtedy doznaję olśnienia. Ten niesłychanie zarozumiały Fenwick, który rzuca mimochodem nazwiska znanych ludzi i pnie się po szczeblach kariery, nie ma żadnych przyjaciół. Z jakich innych powodów akurat mnie wybrałby na świadka?

- Oczywiście - mówię. - Jeśli jesteś przekonany... Fenwicka ogarnia takie podniecenie, że mam wrażenie, iż chce mnie uściskać. Wyciąga rękę ponad stołem, chwyta moją dłoń i potrząsa nią gorączkowo. Uśmiecha się przy tym tak żałośnie, że gotów jestem zabrać go do domu jak bezpańskiego psa. W drodze powrotnej wymyśla różne rzeczy, które moglibyśmy robić razem, łącznie z urządzeniem wieczoru kawalerskiego.

- Moglibyśmy wykorzystać twoje talony za wykłady u królowych nocy - podsuwa zażenowany.

Nagle przypomina mi się lekcja, jaką zapamiętałem z pierwszego dnia pobytu w szkole z internatem, w wieku ośmiu lat. Pierwsze przedstawia się dziecko z najmniejszą ilością przyjaciół. Fenwick jest takim chłopakiem.

18

Elisa, ubrana w jedwabne tajlandzkie kimono, otwiera mi drzwi. W świetle sączącym się zza jej pleców widać zarys sylwetki pod materiałem. Usiłuję skupić wzrok na twarzy, lecz zdradza mnie wyraz oczu.

- Czemu tak późno? Spodziewałam się ciebie dużo wcześniej.

- Korki.

Przygląda mi się w drzwiach, jakby nie do końca przekonana, czy wpuścić mnie do środka. Wreszcie odwraca się, a ja podążam za nią korytarzem, wpatrzony w jej kołyszące się biodra.

Elisa mieszka w starej drukarni zaadaptowanej na mieszkanie na Landbroke Grove, niedaleko kanału Grand Union. Drewniane belki i wsporniki łączą się i przecinają, tworząc coś w rodzaju pomniejszonej wersji wnętrza chaty z czasów Tudorów.

Jest tu mnóstwo starych dywaników i stylowych mebli, które Elisa ściągnęła z Yorkshire po śmierci matki. Jej dumę i radość stanowi dwuosobowa kanapka z epoki elżbietańskiej z rzeźbionymi nóżkami i podłokietnikami. Siedzi na niej sztywno z tuzin lalek z porcelanowymi, delikatnie pomalowanymi twarzami, jakby czekały na zaproszenie do tańca.

Elisa nalewa mi drinka, po czym usadawia się na sofie i zapraszająco poklepuje miejsce koło siebie. Widząc moje wahanie, robi zabawną minę.

- Czułam, że coś jest nie tak. Zazwyczaj dostaję całusa w policzek.

- Przepraszam.

Śmieje się i zakłada nogę na nogę. Odczuwam niepokojące telepanie w środku.

- Chryste, ale jesteś spięty. Przyda ci się masaż.

Pociąga mnie na kanapę, wsuwa się za moje plecy i masuje palcami napięte mięśnie pomiędzy łopatkami. Opasuje mnie nogami, czuję na plecach miękką wypukłość włosów łonowych.

- Nie powinienem tu przychodzić.
- Więc dlaczego przyszedłeś?
- Chciałem cię przeprosić. To moja wina. Zrobiłem coś, czego nie powinienem.
- Nic się nie stało.
- Nie masz mi za złe?
- Niezły z ciebie ogier.
- Nie chcę patrzeć na to w tych kategoriach.
- W takim razie, co to było? Zastanawiam się przez chwilę.
- Mieliśmy przelotny romans.
- Aż tak romantycznie to nie było - śmieje się. Zażenowany podkurczam palce u stóp,
- Co z tobą? - pyta.
- Uważam, że nie zachowałem się wobec ciebie w porządku.
- Czy wobec żony?
- Też.
- Nigdy mi nie powiedziałeś, dlaczego tamtego wieczoru byłeś taki zdenerwowany.
- Zastanawiałem się nad swoim życiem i podobnymi sprawami - wzruszam ramionami.
- Nad życiem?
- I śmiercią.
- Jezu, jeszcze jeden!
- O co ci chodzi?

- Żonaty facet po czterdziestce, który nagle zaczyna dumać, o co w tym wszystkim chodzi. Bez przerwy miałam z takimi do czynienia. Gawędziarze! Powinnam ich podwójnie kasować. Byłabym dziś bogatą kobietą.

- Nie w tym rzecz.
- W takim razie, w czym?
- A gdybym ci powiedział, że jestem nieuleczalnie chory? Kończy masaż kark i odwraca mnie,

bym patrzył jej w twarz.

- Czy to właśnie mi mówisz? Nagle zmieniam zdanie.
- Nie, wygłupiam się.

Elisa się oburza. Uważa, że nią manipuluję.

- Wiesz, jaki masz problem?
- Jaki?
- Przez całe życie jesteś chronionym gatunkiem. Zawsze ktoś roztaczał nad tobą opiekę.

Najpierw matka, później szkoła z internatem, potem uniwersytet, a na koniec się ożeniłeś.

- Jaki stąd wniosek?

- Za łatwo ci wszystko przychodzi. Nigdy nie przytrafiło ci się nic złego. Złe rzeczy dzieją się u innych ludzi, a ty zbierasz ich kawałki, lecz sam nigdy się nie rozpadłeś. Pamiętasz nasze drugie spotkanie?

Przytakuję skinieniem głowy. - A pamiętasz, co mi powiedziałaś?

Wysilam pamięć. To było w areszcie na Holloway. Elisa została oskarżona o umyślne uszkodzenie ciała po tym, jak zraniła dwóch nastolatków nożem sprężynowym. Miała dwadzieścia trzy lata i awansowała do pracy w agencji towarzyskiej na Kensington, która wysyłała pracownice do Europy i na Bliski Wschód.

Któregoś wieczoru dostała zlecenie do hotelu na Knights-bridge. Nie знаła klienta. Kiedy tylko weszła do pokoju, coś ją zaniepokoiło. Zazwyczaj jej klientami byli mężczyźni w średnim wieku. Tym razem trafił się nastolatek. Na ławie stał z tuzin pustych butelek po piwie.

Zanim zdążyła zareagować, z łazienki wyłoniło się sześciu młodzieńców. Jeden z nich obchodził osiemnastkę. - Nie będę się pieprzyć z wami wszystkimi. Wybuchnęli śmiechem.

Po pierwszym gwałcie przestała walczyć. Błagała, żeby pozwolili jej odejść i jednocześnie starała się sięgnąć do kieszeni płaszcza, przesuwając się z wyciągniętą ręką niepostrzeżenie po łóżku. Brali ją po dwóch. Reszta czekała na swoją kolej - oglądając mecz Manchesteru United z Chelsea w programie „Mecz dnia”.

Elisa z trudem chwytała oddech. Śluz z nosa mieszał się ze łzami. W końcu namacała płaszczyk i w kieszeni zacisnęła rękę na nożu.

Ryan Giggs przejmując piłkę przy linii środkowej i biegnie na lewy skraj boiska... Dłonie zaciskały się na podskakującej głowie Elisy. Steve Clarke usiłuje zablokować Giggsa, ale on się przebija... Klamra paska wciskała się w jej pierś, brzuch uderzał o czoło... Mark Hughes biegnie na stanowisko, odciągając dwóch obrońców, Giggs dośrodkowuje. Cantona strzela z woleja. Siatka w bramce nadeła się. Policzki Elisy też. Uwalnia usta i szepce: - Koniec.

Dźgnęła nożem w pośladek chłopaka przed sobą. Jego wrzask wypełnił pokój. Potem odwróciła się błyskawicznie i wbiła nóż w udo napastnika z tyłu.

Kiedy odskoczył, przeturlała się, chwyciła butelkę za szyjkę i uderzyła nią o kant nocnej szafki. Z nożem w jednej ręce i stłuczoną butelką w drugiej, stanęła po przeciwnej stronie łóżka.

Ostrze miało zaledwie dwa cale, więc żadna z ran nie była zbyt głęboka. Z foyer hotelu Elisa zadzwoniła na policję. Rozważyła swoje szansę i doszła do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Została poddana przesłuchaniu. W trakcie rozmowy z policją każdemu z chłopaków towarzyszył adwokat. Ich zeznania były identyczne.

Elisie postawiono zarzut umyślnego uszkodzenia ciała, tymczasem jej napastnicy dostali

reprimendę od sierżanta w komisariacie. Sześciu młodym mężczyznom - bogatym, uprzywilejowanym, z łatwym startem życiowym gwałt uszedł całkiem bezkarnie.

Kiedy przetrzymywano ją w areszcie na Holloway, poprosiła o widzenie ze mną, konkretnie ze mną. Chociaż była już starsza, pozostała tak samo krucha. Siedziała na plastikowym krześle z głową przechyloną na bok i włosami opadającymi na twarz. Wyszczerbiony ząb był już wyrównany.

- Myślisz, że mamy wpływ na to, jak potoczy się nasze życie? - zapytała mnie.

- Do pewnego stopnia.

- Czyli na ile?

- Do chwili, kiedy zacznie się dziać coś, co jest poza naszą kontrolą; pijany kierowca nie zatrzyma się przed znakiem „stop”, w losowaniu padną właściwe numery lub zaczną się w nas dzielić złośliwe komórki rakowe.

- Więc mamy wpływ jedynie na błahe sprawy?

- Jeśli się nam poszczęści. Weźmy na przykład greckiego dramatopisarza Ajschylosa. Zginął, kiedy orzeł, biorąc jego łysą głowę za skałę, upuścił na nią żółwia. Nie sądzę, aby się tego spodziewał.

Roześmiała się. Miesiąc później przyznała się do winy i została skazana na dwa lata więzienia. Pracowała w więziennej pralni. Kiedy wzbierał w niej gniew lub gorycz na to, co się stało, otwierała suszarkę, wsuwała głowę do wewnątrz i krzyczała na całe gardło, a krzyk odbijał się od ciepłych, srebrzystych ścian wielkiego bębna i eksplodował w jej głowie.

Czy to właśnie mam sobie przypomnieć? Moje zwięzłe podsumowanie, dlaczego przytrafia nam się jakieś gówno? Elisa zsuwa się z kanapy i drepcę po pokoju w poszukiwaniu papierosów.

- Czyli przyszedłeś, żeby mi oznajmić, że więcej nie będzie my się bzykać.

- Tak.

- Chciałeś mi to powiedzieć przed czy po pójściu do łóżka?

- Mówię poważnie.

- Wiem. Przepraszam.

Papieros zwisa z kącika jej ust, kiedy poprawia pasek kimona. Przez ułamek sekundy widzę mały, twardy sutek. Nie umiem powiedzieć, czy jest zła, czy zawiedziona. A może jej to nie obe-szło.

- Przeczytasz moje pismo do Home Office, kiedy skończę? - pyta.

- Oczywiście.

- A jeśli znowu poproszę cię o prelekcję?

- Jestem do dyspozycji.

Kiedy wychodzę, całuje mnie w policzek. Nie mam ochoty wyjść. Lubię to mieszkanie z

wyblakłymi dywanikami, porcelanowymi lalkami, maleńkim kominkiem i łóżem z kolumnkami. Ale przecież ja już zanikam.

Mój dom jest pogrążony w ciemnościach i tylko na parterze poświata sączy się przez zasłony w oknach salonu. Powietrze wewnątrz jest ciepłe. Było napalone w kominku. Czuję zapach węgla drzewnego.

Żar dogasa w palenisku. Kiedy sięgam do wyłącznika, moja lewa ręka drży. Widzę zarys głowy i ramion w fotelu przy oknie. Ręce wsparte na szerokich podłokietnikach. Czarne buty na wypolerowanej drewnianej podłodze.

- Musimy porozmawiać. - Ruiz nie kwapi się, żeby wstać.

- Jak pan wszedł?

- Żona pozwoliła mi tu zaczekać.

- Czym mogę służyć?

- Niech pan przestanie ze mną pogrywać. - Wychyla się do przodu w krąg światła. Twarz ma poszarzałą i znużony głos. - Zapytałem patologa o chloroform. Nie sprawdzili za pierwszym razem. Gdy ktoś zostaje tyle razy ugodzony nożem, nie szuka się innych śladów aż tak dokładnie. - Odwraca się i patrzy w ko minek. - Skąd pan wiedział?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie przyjmuję takiej odpowiedzi. Chcę wiedzieć.

- To były spekulacje... przypuszczenia.

- Przypuśćmy, że powie mi pan, na jakiej podstawie?

- Tego nie mogę zrobić.

Jest na mnie zły. Rysy, dotąd rozmyte ze zmęczenia, zaostrzają się.

- Profesorze O'Loughlin, jestem detektywem starej daty. Uczęszczałem do państwowej szkoły średniej, a stamtąd po szedłem prosto do policji. Nie skończyłem studiów i nie przeczytałem zbyt wielu książek. Weźmy takie komputery. Guzik się na nich znam, ale doceniam ich użyteczność. To samo dotyczy psychologii. - Zniża głos. - Za każdym razem, kiedy prowadzę śledztwo, słyszę, czego mi nie wolno. Mówi mi się, że nie mogę wydać zbyt dużo pieniędzy, zakładać podsłuchu na pewne telefony, przeszukać niektórych domów. Są tysiące rzeczy, których mi nie wolno - i to wszystko mnie wkurza.

Dwukrotnie już pana ostrzegałem. Odmówił mi pan informacji istotnych dla śledztwa, jeszcze raz pan to zrobi, a obrócę to wszystko - wskazuje na pokój, na dom, na moje życie - w perzynę.

Nie przychodzi mi na myśl współczująca odpowiedź, żeby go rozbroić. Co mu powiem? Że mam pacjenta Bobby'ego Morana, który być może jest, albo nie jest, na krawędzi schizofrenii. Skopał kobietę do nieprzytomności, bo wyglądała jak jego matka - którą najchętniej widziałby martwą. Sporządza listy. Słyszy wiatraki. Jego ubranie pachnie chloroformem. Nosi kartkę z liczbą

dwadzieścia jeden wypisaną setki razy - akurat tyle ran zadała sobie Catherine McBride...

Jeśli mu to wszystko powiem - prawdopodobnie mnie wyśmieje. Nic konkretnego nie łączy Bobby'ego z Catherine, a jednocześnie naśle na niego tabun detektywów, którzy będą pukać do jego drzwi, grzebać w przeszłości i przy okazji wystraszą narzeczoną i jej synka.

Bobby będzie wiedział, że to ja ich do niego wysłałem. Już mi nie zaufa. Nie zaufa nikomu takiemu jak ja. Jego podejrzenia się potwierdzą. Wyciągnął rękę po pomoc, a ja go zdradziłem.

Rozgoryczenie i uraza wiszą w powietrzu jak zapach węgla drzewnych. Ruiz nakłada płaszcz i kieruje się do wyjścia. Moje lewe ramię drży. Teraz albo nigdy. Zdecyduj się.

- Kiedy przeszukiwał pan mieszkanie Catherine... czy ona miała czerwoną suknię?

Ruiz reaguje jak rażony piorunem. Wykonuje półobrót i robi krok w moją stronę.

- Skąd pan wie?

- Czy tej sukni brakuje?

- Tak.

- Sądzi pan, że mogła ją mieć na sobie, kiedy zniknęła?

- Możliwe.

Stoi we framudze otwartych drzwi. Oczy ma przekrwione, lecz patrzy czujnie. Na przemian zamyka dłoń w pięść i prostuje palce. Ma ochotę rozszarpać mnie na kawałki.

- Niech pan przyjdzie jutro do mego gabinetu. Mam tam teczkę. Nie może jej pan wynieść. Nie wiem nawet, czy to ma jakieś znaczenie, ale muszę ją komuś pokazać.

19

Niebieski skoroszyt z glansowanego bristolu leży przede mną na biurku. Zamyka się go, wplatając tasiemkę w płaskie kółko. Cały czas przewlekam i wyciągam tasiemkę.

Do gabinetu wchodzi Meena, zerkając za siebie nerwowo. Przechodzi przez całe pomieszczenie i dopiero przy biurku szepce:

- W poczekalni jest jakiś mężczyzna o podejrzanym wyglądzie. Pyta o pana.

- Spokojnie, Meeno. To detektyw. Otwiera szeroko oczy ze zdziwienia.

- Och! Nie przedstawił się. Tylko coś...

- Burknął?

- Tak.

- Możesz go wprowadzić. - Daję jej znak, żeby podeszła bliżej. - Za jakieś pięć minut zadzwoni do mnie i przypomnij, że idę na ważne zebranie.

- Jakie zebranie?

- Po prostu ważne.

Meena patrzy na mnie potępiająco i kiwa głową.

Ruiz z twarzą jak kowadło ignoruje moją wyciągniętą dłoń i zostaję z ręką zawieszoną w

powietrzu, jakbym kierował ruchem. Siada rozparty w fotelu i prostuje nogi, pozwalając połom płaszcza rozchylić się na boki.

- To tu pan pracuje, profesorze? Bardzo ładnie. - Rozgląda się dokoła niby pobieżnie, ale ja wiem, że rejestruje każdy szczegół. - Ile kosztuje wynajęcie takiego gabinetu?

- Nie wiem. Jestem jednym ze współników.

Drapie się po podbródku, a potem szuka w kieszeni gumy do żucia. Rozwija ją powoli.

- Czym właściwie zajmują się psychologowie?

- Pomagamy ludziom, których psychikę uszkodziły wydarzenia z ich życia. Ludziom cierpiącym na zaburzenia osobowości, problemy seksualne, fobie.

- Wie pan, jak według mnie to wygląda? Zaatakowany człowiek leży na ulicy i krwawi, a dwaj psycholodzy przechodzą obok i jeden mówi do drugiego: „Poszukajmy tego, który to zrobił - na pewno potrzebuje pomocy”.

Uśmiecha się bez śladu rozbawienia w oczach.

- Częściej pomagam ofiarom niż sprawcom.

Ruiz wzrusza ramionami i wrzuca do kosza papierek od gumy.

- Przejdźmy do rzeczy. Skąd pan wiedział o czerwonej sukni?

Spoglądam na skoroszyt i odwiązuję tasiemkę.

- Za kilka minut zadzwoni telefon. Będę musiał wyjść, ale proszę zostać. Myślę, że w moim fotelu będzie panu wygodniej. - Otwieram teczkę Bobby'ego. - Kiedy pan skończy i będzie miał ochotę o czymś porozmawiać, jestem na drinku po przeciwnej stronie ulicy. Nie mogę omawiać konkretnego pacjenta czy przypadku - poklepuję teczkę Bobby'ego dla pod kreślenia słów. - Wolno mi jedynie mówić ogólnie o zaburzeniach osobowości i o zachowaniach psychotyków oraz psychopatów. Będzie mi o wiele łatwiej, jeśli weźmie pan to pod uwagę.

Ruiz składa dłonie jak do modlitwy i puka o wargi wskazującymi palcami.

- Nie lubię gier.

- To nie gra. Zrobimy tak, jak mówię, bo inaczej nie będę mógł panu pomóc.

Dzwoni telefon. Meena zaczyna przemowę, ale nie daje jej dokończyć. Już wychodzę z gabinetu.

Słońce świeci, a niebo jest niebieskie. Pogoda bardziej jak w maju niż w połowie grudnia. Taki jest Londyn - od czasu do czasu funduje mieszkańcom piękny dzień, aby przypomnieć, że nie najgorzej się tu mieszka.

Dlatego właśnie Anglicy należą do największych optymistów na świecie. Przytrafia nam się jeden piękny, upalny tydzień i pamięć o nim podsyca nadzieję przez całe lato. Zawsze powtarza się to samo. Nadchodzi wiosna, a my kupujemy podkoszulki, kostiumy kąpielowe i zwiewne szatki, licząc na sezon, który nigdy nie nadchodzi.

Ruiz znajduje mnie przy barze, trzymam szklanekę wody mineralnej w dłoni.

- Dziś pan stawia - oznajmia. - Wezmę małe piwo.

W barze tłoczno, jak zwykle w porze lunchu. Ruiz podchodzi do czterech mężczyzn, siedzących przy stoliku w rogu przy dużym oknie. Wyglądają na gości, ale mają dobrze skrojone garnitury i jedwabne krawaty.

Detektyw pokazuje im odznakę policyjną, trzymając ją nieco poniżej stołu.

- Panowie, przepraszam za kłopot, ale jestem zmuszony za rekwirować ten stolik ze względu na obserwację tego banku, o tam.

Wskazuje za okno i wszyscy czterej, jak na komendę, odwracają głowy.

- Nie tak otwarcie!

Szybko odwracają się z powrotem.

- Mamy podstawy podejrzewać, że zaplanowano napad. Widzicie tego człowieka w pomarańczowej kamizelce na rogu?

- Zamiatacza ulic? - upewnia się któryś z nich.

- Taak. To jeden z moich najlepszych wywiadowców. Podobnie jak ekspedientka w sklepie z bielizną sąsiadującym z bankiem. Potrzebuję ten stolik.

- Oczywiście.

- Jasne.

- Czy możemy w czymś pomóc? Dostrzegam błysk w oku Ruiza.

- Hmm, normalnie tego nie robię, nie korzystam z pomocy cywili jako tajnych agentów, ale brakuje mi ludzi. Moglibyście się, panowie, rozdzielić i obstać narożniki. Wmieszać się w tłum. Patrzeć, czy nie nadjeżdża samochód z czterema mężczyznami w środku.

- Jak się mamy skontaktować?

- Dacie znać zamiataczowi.

- Czy jest jakieś hasło? - pyta jeden z nich. Ruiz przewraca oczyma.

- To operacja policyjna, a nie jakiś pieprzony film z Bondem. Kiedy wychodzą, Ruiz zajmuje krzesło najbliżej okna i ustawia szklankę na podkładce. Siadam naprzeciwko z moją wodą mineralną.

- Tak czy owak zwolniliby stolik - mówię, nie mogąc się zdecydować, czy Ruiz lubi głupie kawały, czy też nie lubi ludzi.

- Czy Bobby Moran zabił Catherine McBride? - pyta, ocierając wierzchem dłoni pianę z ust.

Pytanie jest subtelne jak celny rzut cegłą.

- Nie mogę rozmawiać o konkretnych pacjentach.

- Czy przyznał się, że ją zabił?

- Nie mogę wyjawić, co mi powiedział lub czego nie powiedział.

Oczy Ruiza giną w płątaniu zmarszczek, sylwetka nagle tężeje. Niespodziewanie wypuszcza

oddech i posyła mi chyba coś w rodzaju uśmiechu. Wyraźnie brakuje mu wprawy.

- Opisz mi pan człowieka, który zabił Catherine McBride?

Wreszcie do niego dotarło. Usuwam z myśli Bobby'ego i staram się nakreślić portret zabójcy Catherine, opierając się na tym, co wiem o tym morderstwie. Mam za sobą tydzień bezsennych nocy spędzonych na myśleniu niemal wyłącznie o tej sprawie.

- Ma pan do czynienia z psychopatą z dewiacją seksualną - zaczynam, nie poznając własnego głosu. - Zabójstwo Catherine świadczy o perwersyjnych skłonnościach.

- Nie było śladu napaści seksualnej.

- W tym wypadku nie należy myśleć o typowym gwałcie czy podobnym przestępstwie na tle seksualnym. To o wiele bardziej ekstremalny przypadek dewiacji seksualnej. Tego mężczyznę trawi pragnienie dominacji i zadawania bólu. W swoich fantazjach zniewala, obezwładnia, dominuje, torturuje i zabija. W tym, co się stało, niektóre z tych pragnień zostały wprowadzone w czyn.

Niech pan prześledzi jego postępowanie. Porwał ją z ulicy lub zwabił i namówił, żeby z nim poszła. Nie zależało mu na szybkim, brutalnym stosunku w jakimś ciemnym zakamarku, po którym „ucisza się” ofiarę, żeby nie rozpoznała sprawcy. On chciał ją złamać - krok po kroku niszczyć jej wolę, aż stanie się uległą, przerażoną zabawką w jego rękach. Nawet to go nie zadowalało. Pragnął całkowicie ją zdominować; nagiąć do swej woli do tego stopnia, żeby sama się torturowała... Obserwuję Ruiza. Czekam, kiedy się pogubi.

- Prawie mu się udało, lecz nie do końca złamał Catherine. Tliła się w niej odrobina oporu. Była pielęgniarką. Wiedziała, gdzie wbijać nóż, żeby szybko umrzeć, nawet jeśli ostrze było krótkie. Kiedy cierpienie stało się nie do zniesienia, przecięła arterię szyjną. To spowodowało zator. Umarła w ciągu paru minut.

- Skąd pan o tym wie?

- Trzy lata studiów medycznych.

Ruiz wpatruje się w szklanekę piwa, jakby sprawdzał, czy stoi centralnie na podkładce. Gdzieś w oddali biją kościelne dzwony.

- Mężczyzna, którego szukamy - ciągnę dalej - jest samotny, społecznie nieprzystosowany i niedojrzały seksualnie.

- To co pan mówi, pasuje do nastolatka.

- Nie. On nie jest nastolatkiem. Jest starszy. Mnóstwo młodych mężczyzn ma z początku takie problemy, ale tylko jeden osobnik na wielu obarcza winą otoczenie za swą samotność i seksualne frustracje. Gorycz i gniew narastają po każdym odrzuceniu. Czasami ktoś taki wini konkretną osobę. A czasem nienawidzi całą grupę ludzi.

- Nienawidzi wszystkich kobiet.

- Możliwe, lecz ja sędzę, iż bardziej trawi go nienawiść do konkretnego typu kobiet. I chce taką

kobietę ukarać. Snuje fantazje i czerpie z nich przyjemność.

- Dlaczego wybrał Catherine McBride?
- Nie wiem. Być może wyglądała jak ktoś, kogo chciał ukarać. Może wykorzystał okazję.

Catherine znalazła się w jego zasięgu, więc nagiął fantazje do jej wyglądu i ubioru.

- Czerwona suknia.
- Kto wie.
- Czy mógł ją znać?
- Niewykluczone.
- Motywy?
- Zemsta. Chęć podporządkowania. Zaspokojenie seksualne.
- Mam wybrać?
- Nie. Wszystko razem.

Ruiz nieruchomieje, chrząka i wyjmując z kieszeni notes w marmurkowej okładce.

- Kogo w takim razie szukam?
- Mężczyzny między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Mieszka sam, otoczony przez

ludzi, którzy pojawiają się i znikają - może w pensjonacie albo na parkingu dla przyczep.

Możliwe, że ma żonę lub przyjaciółkę. Przeciętnie inteligentny. Silny fizycznie, ale jeszcze silniejszy psychicznie. Potrafi zapanować nad pragnieniami seksualnymi czy gniewem, żeby nie stracić kontroli do końca. Umie trzymać emocje na wodzy. Ma pewną wiedzę na temat kryminalistyki. Nie chce, aby go złapano.

To ktoś, kto z powodzeniem potrafi prowadzić podwójne życie. Znajomi, rodzina i współpracownicy nie mają najmniejszego pojęcia, co dzieje się w jego umyśle.

Sądzę, że ma skłonności sadomasochistyczne. Takie upodobania nie biorą się znikąd. Ktoś go musiał wprowadzić w te sprawy - prawdopodobnie w dość łagodną wersję. W jego umyśle rozwinęły się ponad poziom nieszkodliwych zabaw. Zdumiewa mnie jego pewność siebie. Nie ma oznak strachu czy zdenerwowania typowego dla kogoś, kto robi coś takiego po raz pierwszy.

Milknę. Wargi mi zdrętwiały i zaschły w ustach. Wypijam łyk wody. Ruiz patrzy na mnie z przygnębieniem i siedząc wyprostowany, co jakiś czas coś notuje. Mój głos znowu przebija się przez gwar.

- Nikt z dnia na dzień nie staje się sadystą, przynajmniej nie tak wprawnym. Organizacje w rodzaju KGB latami trenują swoich wywiadowców, aby osiągnęli perfekcję. Znamienne jest sto pień samokontroli i wyrafinowanie. Coś takiego przychodzi z doświadczeniem. To morderstwo nie wygląda na pierwszy raz.

Ruiz odwraca się i zapatrzony w okno, rozważa w myślach moje słowa. Nie wierzy mi.

- Bzdury!

- Dlaczego?
- Nic z tego nie pasuje do Bobby'ego Morana.

Ma rację. To wszystko się nie klei. Bobby jest za młody na tak rozwinięty sadyzm. Jest zanadto nieobliczalny i chwiejny. Bardzo wątpię, czy znalazłby w sobie dość siły psychicznej i wrogości, aby całkowicie zdominować i podporządkować sobie kogoś takiego, jak Catherine. Fizycznie, tak, ale nie psychicznie. Z drugiej jednak strony, Bobby cały czas mnie zaskakuje; udało mi się zaledwie dotknąć jego psychiki. Ukrywa przede mną szczegóły lub wyjawia je w taki sposób, w jaki w bajkach znaczy się ślad okruszkami chleba.

Bajki? Właśnie tak to wszystko brzmi według Ruiza. Podniósł się z krzesła i lawiruje pośród ludzi, przechodząc w stronę baru, a oni szybko ustępują mu z drogi. Jego aura przypomina migające światło, które każe zrobić mu przejście.

Już zaczynam żałować swoich słów. Powinienem trzymać się od tego wszystkiego z daleka. Czasami żałuję, że nie potrafię wyłączyć umysłu, że muszę bez przerwy przyglądać się i analizować. Lepiej byłoby skupić się na małym wycinku świata, zamiast obserwować, jak ludzie się porozumiewają, jak ubierają, co wkładają do wózków w supermarketach, jakimi samochodami jeżdżą, jakie zwierzęta wybierają, jakie czasopisma kupują i które programy telewizyjne oglądają. Chciałbym przestać obserwować.

Ruiz wraca z kolejnym małym piwem i szklaneczką whisky. Trzyma w ustach palący płyn, jakby chciał splukać zły posmak.

- Naprawdę pan myśli, że ten facet to zrobił?
- Nie wiem.

Obejmuje palcami szklanekę i odchyła się na oparcie.

- Mam się mu przyjrzeć?
- Jak pan uważa.

Ruiz demonstruje niezadowolenie głośnym sapnięciem. Nadal mi nie ufa.

- Wie pan, po co Catherine przyjechała do Londynu? - pytam.
- Według słów współlokatorki, była umówiona na rozmowę kwalifikacyjną. Nie znaleźliśmy żadnej korespondencji - prawdopodobnie wzięła ją ze sobą.

- A wykaz rozmów telefonicznych?

- Z domowego telefonu nie dzwoniła do nikogo, kto by nas interesował. Miała komórkę, ale aparat zniknął.

Ruiz podaje suche fakty, nie komentując ich ani nie ubarwiając. Historia Catherine niewiele odbiega od tego, co sama mi opowiedziała podczas sesji. Rodzice rozwiedli się, kiedy miała dwanaście lat. Wpadła w złe towarzystwo, wahała się i brała narkotyki. Gdy miała piętnaście lat, spędziła sześć tygodni w prywatnym szpitalu psychiatrycznym w West Sussex. Rodzina ukrywała

ten fakt z oczywistych powodów. Wybór zawodu pielęgniarki wydawał się punktem zwrotnym w jej życiu. Nadal miała problemy, ale potrafiła uporać się z nimi.

- Co się z nią działo, gdy odeszła z Marsden? - pytam.
- Wróciła do Liverpoolu i zaręczyła się z marynarzem z marynarki handlowej. Rozstali się.
- Podejrzewacie go?
- Nie. Jest w Bahrajnie.
- Są jacyś podejrzani? Ruiz unosi brew.
- Ochotnicy mile widziani. - Uśmiecha się cierpko i dopija piwo. - Czas na mnie.
- Co teraz?
- Każę ludziom przekopać wszystko, co się da, na temat Bobby'ego Morana. Jeżeli znajdę jakiegokolwiek powiązania z osobą Catherine, poproszę go grzecznie o pomoc w dochodzeniu.
- Nie wymieni pan mojego nazwiska? Ruiz spogląda na mnie pogardliwie.
- Proszę się nie obawiać, profesorze. Pana dobro jest dla mnie sprawą pierwszorzędnej wagi.

20

Moja matka ma ładną twarz z wdzięcznie zadartym nosem i proste włosy, które, odkąd sięgam pamięcią, zawsze tak samo czesze - zakłada je za uszy, przytrzymując srebrnymi spinkami.

Niestety po ojcu odziedziczyłem kręcone włosy. Gdy tylko urosną o pół cala za dużo, w żaden sposób nie dają się okiełznać i wyglądam jak podłączony do prądu.

Wszystko w wyglądzie mojej matki mówi o jej statusie żony lekarza - poczynając od plisowanych spódnic i jednobarwnych bluzek, na butach na płaskich obcasach kończąc. Niewolnica nawyków, zabiera torebkę nawet na spacer z psem.

Urządzenie wystawnej kolacji na dwanaście osób zajmuje jej tyle czasu co ugotowanie jajka. Organizuje również przyjęcia w ogrodzie, szkolne festyny, poczęstunki w kościele, kwesty na cele charytatywne, kiermasze rzeczy używanych, marsze dobroczynne, chrzciny, wesela oraz pogrzeby. Pomimo tych wszystkich umiejętności przeszła przez życie bez martwienia się o stan konta, podejmowania decyzji inwestycyjnych i wyrażania publicznie politycznych poglądów. Te sprawy zostawia ojcu.

Ilekcroć zastanawiam się nad życiem matki, bulwersuje mnie świadomość, że zmarnowała talent i nie wykorzystała szansy. Jako osiemnastolatka dostała się bez egzaminu na wydział matematyki na uniwersytecie w Cardiff. W wieku dwudziestu jeden lat napisała pracę magisterską, po której walczyły o nią amerykańskie uniwersytety. Tymczasem co ona zrobiła? Wyszła za mąż za mojego ojca i wybrała życie, w którym kultywuje konwenanse i ciągle godzi się na kompromisy.

Lubię sobie wyobrazić, że jak Shirley Valentine ucieka z greckim kelnerem albo pisze namiętny romans. Któregoś dnia, ni stąd, ni zowąd, odrzuci rozsądek, samodyscyplinę i poprawność. Zatańczy boso na łące pełnej stokrotek lub wybierze się na wędrowkę w Himalaje. To mile myśli. Z

pewnością lepsze od wyobrażania sobie, jak się starzeje, wysłuchując komentarzy ojca, rzucanych w ekran telewizora, oraz czytając listy, które wypisuje do gazet.

Właśnie tym się ojciec w tej chwili zajmuje - pisze list. Kiedy jest u nas, czyta wyłącznie „Guardiana”, a ten „czerwony szmatławiec”, jak go nazywa, dostarcza mu materiału przynajmniej na tuzin listów.

Matka z Julianne ustalają w kuchni jutrzejsze menu. W jakimś momencie, w ciągu ostatniej doby, zapadła decyzja, że przy niedzielnym obiedzie spotka się cała rodzina. Przychodzą dwie moje siostry z mężami i poważnymi dziećmi. Tylko Rebecca się wymigała. Siedzi w Bośni na misji ONZ. Szczęściara.

W ramach sobotniego sprzątnia muszę przenieść tonę rur z holu do piwnicy. Potem mam zgrabić liście, naoliwić huśtawkę i przywieźć dwa worki węgla z pobliskiej stacji benzynowej. Julianne udaje się po zakupy, a Charlie z dziadkami idą zobaczyć świątecznie oświetloną Oxford Street.

Moim drugim obowiązkiem jest zakup choinki - niewdzięczne zadanie. Jedyne naprawdę zgrabne drzewka to te w reklamach. Jeżeli chcesz znaleźć takie w rzeczywistości, niechybnie spotka cię rozczarowanie. Twoja choinka zawsze będzie się przechylać w lewo albo w prawo. Będzie za gęsta u podstawy, lub wybijała w okolicy wierzchołka. Będzie mieć za duże prześwity pomiędzy gałęziami lub niesymetryczne boki. Nawet jeśli jakimś cudem uda ci się znaleźć idealne drzewko, nie zmieścisz go w samochodzie, a więc musisz przymocować je sznurkiem do bagażnika na dachu i zanim znajdzie się w domu, gałęzie zdążą się połamać lub powyginać. Przepychasz się z choinką przez drzwi, pocąc się obficie i kłując twarz igłami tylko po to, żeby usłyszeć wkurzające pytanie, które pamiętasz z poprzednich lat: „Nie mogłeś znaleźć nic lepszego?”.

Charlie ma zaróżowione z zimna policzki i niesie w objęciach torby z połyskliwego papieru z nowymi ubraniami i parą butów.

- Dostałam buty na obcasach. Tato! Na obcasach!
- Jak wysokich?
- Tylko tyle. - Rozsuwa kciuk i palec wskazujący.
- A ja myślałem, że jesteś chłopczycą - drocę się z nią.
- Nie są różowe - broni się z powagą. - I nie dostałam ani jednej sukienki.

Przyboczny lekarz Boga nalewa sobie szkockiej i jest poirytowany, bo matka zamiast pobiec po lód, rozmawia z Julianne. Charlie gorączkowo otwiera torby. Nagle nieruchomieje.

- Choinka! Jaka śliczna!

Z trudem powstrzymuję się, żeby nie poczęstować jej całą historią o tym, jak to znajomy z greckich delikatesów na Chalk Farm Road powiedział mi o facecie, który zaopatruje w choinki „połowę Londynu”, sprzedając je prosto z platformy trzytonowej ciężarówki.

Cały interes wydawał mi się nieco szemrany, ale postanowiłem się tym nie przejmować. Chciałem zdobyć idealny okaz - no i właśnie taka jest ta choinka - perfekcyjny stożek pachnący świerkiem, z prostym pniem i równo rozłożonymi gałęziami.

Odkąd wróciłem do domu, co rusz zaglądam do salonu i zachwycam się drzewkiem. Julianne powoli zaczyna mieć dość, bo co chwilę pytam:

- Czyż ta choinka nie jest piękna? - licząc na entuzjastyczną reakcję.

Przyboczny lekarz Boga dzieli się ze mną pomysłem na zlikwidowanie korków w centrum Londynu. Czekam, kiedy pochwali drzewko. Nie chcę mu nic sugerować. Opowiada, że zakazałby wjazdu samochodom dostawczym poza wyznaczonymi godzinami. Następnie zaczyna narzekać, że kupujący poruszają się zbyt ślamazarnie i sugeruje wprowadzenie systemu tras szybkiego i wolnego ruchu.

- Kupiłem dziś choinkę - przerywam, nie mogąc już dłużej wytrzymać. Milknie i ogląda się przez ramię. Potem przystaje, przygląda się bardziej wnikliwie, obchodzi drzewko z obu boków. Na koniec odsuwa się, żeby lepiej ocenić symetrię.

Chrząka i pyta:

- To najlepsza, jaką mieli?

- Nie! Było mnóstwo ładniejszych. Całe setki! To jedna z najbrzydszych. Beznadzieja, najniższa półka. Zrobiło mi się jej żal. Dlatego ją przyniosłem do domu. Przygarnąłem najlichszą choinkę.

- Nie jest aż taka zła. - Wydaje się zaskoczony.

- Jesteś nie do podrobienia - mruczę pod nosem, nie wy trzymując z nim dłużej w jednym pokoju. Dlaczego rodzice po trafia sprawić, że czujemy się jak smarkacze, nawet kiedy siwieją nam skronie i mamy dług hipoteczny porównywalny z zadłużeniem Trzeciego Świata?

Wycofuję się do kuchni i robię sobie dzin z tonikiem, przy czym spora porcja alkoholu wychlapuje się na blat szafki. Ojciec jest u nas od dziesięciu godzin, a ja już muszę się napić. Na szczęście jutro zjawia się posiłki.

W koszmarach sennych w czasach dzieciństwa zawsze uciekałem przed potworem czy wściekłym psem, a może neandertalczykiem bez przednich zębów z uszami jak kalafiory. Budziłem się, gdy już miałem zostać złapany. I wcale nie czułem się bezpieczniej. Na tym polega problem z koszmarami. Nic się nie wyjaśnia. Budzimy się zawieszeni w powietrzu, albo tuż przed wybuchem bomby, albo całkiem nadzy w jakimś publicznym miejscu.

Od pięciu godzin leżę w ciemnej sypialni. Za każdym razem, kiedy myślę o czymś przyjemnym i zaczynam odpływać w sen, zrywam się przerażony. Przypomina to oglądanie tandetnego horroru, wręcz żałośnie głupiego, w którym od czasu do czasu trafia się scena mrożąca krew w żyłach.

Przede wszystkim staram się nie myśleć o Bobbym Moranie, ponieważ myśli o nim prowadzą do

Catherine McBride, a w te rewiry nie chcę zabłądzić. Zastanawiam się, czy policja przymknęła Bobby'ego, czy może go obserwuje. Wyobraźnia podsuwa mi obraz furgonetki z ciemnymi szybami zaparkowanej przed jego domem.

Ludzie nie domyślają się, że są śledzeni, dopóki coś ich nie zastanowi lub nie zauważą czegoś dziwnego. Jednak Bobby nie działa na tych samych falach co większość ludzi. Wychwytuje inne sygnały. Psychotyk potrafi uwierzyć, że telewizor do niego mówi, i będzie się zastanawiał, dlaczego robotnicy reperują linię telefoniczną po drugiej stronie ulicy albo czemu przed domem stoi furgonetka z zaciemnionymi szybami.

Może nic takiego się nie dzieje. Może dzięki całej tej nowoczesnej technologii Ruiz jest w stanie znaleźć wszystko, czego potrzebuje, wyszukując nazwisko Bobby'ego w bazie danych

oraz sprawdzając tajne informacje, które, według wyznawców teorii spiskowej, rząd przechowuje na temat każdego obywatela.

- Przestań o tym myśleć. Po prostu zaśnij - szeptce Julianne. Wyczuwa, kiedy się czymś martwię. Odkąd urodziła się

Charlie, nie przespałem porządnie jednej nocy. Po jakimś czasie można do tego przywyknąć. A teraz biorę tabletki, które jeszcze pogarszają sprawę.

Julianne leży na boku z kołdrą zamotaną między udami i jedną ręką na poduszce tuż przy twarzy. Charlie śpi dokładnie w takiej samej pozycji. Obie oddychają niemal bezgłośnie i nie wiercą się w łóżku. Zupełnie jakby nie chciały zostawiać śladów stóp w swoich snach.

W niedzielny poranek cały dom wypełnia zapach jedzenia oraz gwar kobiecych rozmów. Ja mam napalić w kominku i zamieść stopnie przed domem. Zamiast tego wymykam się do kiosku po prasę.

Wracam do gabinetu, odkładam na bok dodatki oraz kolorowe magazyny i zaczynam szukać informacji o Catherine. Już mam usiąść, kiedy spostrzegam, że jedna z wylupiastookich rybek Charlie pływa w akwarium brzuchem do góry. Przez chwilę łudzę się nadzieją, że to jakaś sprytna rybia sztuczka, ale kiedy przyglądam się bliżej, stwierdzam, że wcale nie wygląda na okaz zdrowia. Ma szare plamki na łuskach - objaw grzyba atakującego egzotyczne ryby.

Dla Charlie śmierć jest poważnym przeżyciem. W krajach bliskowschodnich mają chociaż krótszy okres żałoby. Trzymam rybkę w garści i wpatruję się w biedactwo. Zastanawiam się, czy Charlie uwierzy, że ryba tak po prostu zniknęła. Moja córka ma zaledwie osiem lat. Z drugiej strony nie wierzy już w świętego Mikołaja i wielkanocnego zajączka. Jak mogłem wychować ją na taką cyniczkę?

- Charlie, mam niedobłą wiadomość. Jedna z twoich zło tych rybek znikła.
- Jak mogła zniknąć?
- Hmm, szczerze mówiąc, nie żyje. Bardzo mi przykro.

- Gdzie jest?
- Nie chcesz jej zobaczyć, prawda?
- Chcę.

Rybka jest ciągle w mojej dłoni, którą ukrywam w kieszeni. Wyjmuję i otwieram dłoń, a ten gest kojarzy mi się bardziej z magiczną sztuczką niż z chwilą godną powagi.

Julianne, jako osoba dobrze zorganizowana, ma cały zapas pudełek po butach i woreczków ściąganych tasiemką, które przechowuje na takie właśnie śmiertelne wypadki w rodzinie. Pod czujnym spojrzeniem Charlie, zakopuję rybkę o wyłupiastych oczach pod śliwą w sąsiedztwie chomika Harolda, myszki zwanej „Myszka” oraz pisklęcia wróbla, które zderzyło się w locie z szybą w drzwiach od tarasu i złamało kark.

Około południa zbiera się cała rodzina poza moją najstarszą siostrą Lucy, jej mężem Ericem oraz trójką dzieci, których imion nie potrafię zapamiętać, ale wiem, że kończą się na głoskę: „i” - zdaje się, że jest to: Debbie, Jimmy i Bobby. Przyboczny lekarz Boga chciał, żeby Lucy dała pierworodnemu imię po nim. Podobał mu się pomysł, aby w trzecim pokoleniu też znalazł się „Joseph”. Lucy postawiła na swoim i nazwała syna inaczej - chyba Andy czy Gary, a może Freddy.

Oni zawsze się spóźniają. Eric jest kontrolerem ruchu lotniczego i nie znam drugiego bardziej roztargnionego człowieka. Przeróżające. Nie pamięta, gdzie mieszkamy, i zawsze, kiedy do nas jada, dzwoni i pyta o wskazówki. Jakim cudem potrafi utrzymać osobno w powietrzu dziesiątki samolotów? Za każdym razem, gdy rezerwuję lot z Heathrow, mam ochotę zadzwonić wcześniej do Lucy i zapytać, czy Eric ma dyżur.

Moja druga siostra jest w kuchni ze swoim nowym mężczyzną, Simonem, specjalistą od prawa karnego, który współpracuje z jednym z tych seriali telewizyjnych, demaskujących pomyłki sądowe. Sprawa rozwodowa Patricii szczęśliwie dobiegła końca i teraz świętują z Simonem, pijąc szampana.

- Nie wydaje mi się, że należało z tego powodu otwierać bollingera - zauważa ojciec.
- A dlaczego nie? - pyta Patricia i pociąga spory łyk, zanim znikną bąbelki.

Postanawiam ratować Simona. Nikt nie zasługuje na to, aby w ten sposób zostać wprowadzonym do naszej rodziny. Zabieram kieliszki do salonu i ucinamy sobie pogawędkę. Simon ma pocziwą, okrągłą twarz i co rusz klepie się po brzuchu jak święty Mikołaj z domu towarowego.

- Przykro mi z powodu twego Parkinsona - mówi. - Paskudna sprawa.

Serce spływa mi do żołądka.

- Kto ci powiedział?
- Patricia.
- Skąd wiedziała?

Nagle orientuje się, że popełnił gafę i zaczyna mnie przepraszać. W tym miesiącu miałem sporo

ciężkich chwil, ale nic nie przygnębiło mnie aż tak bardzo jak to współczucie ze strony zupełnie obcego faceta, który na dodatek pije moją whisky.

Kto jeszcze wie?

Dzwonek do drzwi. Eric, Lucy i dzieciaki z imionami kończącymi się na „i” wpadają do domu; żywiołowe uściski dłoni, pocałunki w policzki. Lucy spogląda na mnie i zaczyna jej drżeć dolna warga. Zarzuca mi ręce na szyję, wyczuwam piersią, że dygocze.

- Joe, tak mi przykro. Tak bardzo przykro.

Mój podbródek opiera się na jej głowie. Eric wyciąga rękę i kładzie mi ją na ramieniu, jakby był papieżem i udzielał mi błogosławieństwa. Chyba nigdy nie byłem taki zażenowany.

Reszta wieczoru ciągnie się jak czterogodzinny wykład z socjologii. Kiedy mam dość odpowiadania na pytania o zdrowie, uciekam do ogrodu, gdzie Charlie bawi się z dziećmi Lucy. Pokazuje im, gdzie zakopaliśmy rybkę. Nareszcie przypominam sobie ich imiona - to Harry, Perry i Jenny.

Harry dopiero uczy się chodzić i w pikowanym kombinezonie oraz ciepłej czapce wygląda jak miniaturowy chłopak z reklam Michelina. Podrzucam go do góry, a on zanosi się śmiechem. Pozostałe dzieciaki czepiają się moich nóg, udając, że jestem potworem. Spostrzegam Julianne, która przez drzwi tarasu wpatruje się w nas tęsknym wzrokiem. Wiem, o czym myśli. Po obiedzie przenosimy się do salonu i wszyscy chwalał choinkę oraz keks mojej matki.

- Zagrajmy w „Zgadnij, kim jestem” - proponuje Charlie, z buzią oblepioną okruszkami. Nie słyszy zbiorowego jęku. Już wręcza wszystkim papier oraz długopisy i jednocześnie tłumaczy na jednym oddechu zasady zabawy. - Musicie pomyśleć

O kimś sławnym. Nie musi być prawdziwy. To może być postać z kreskówki albo gwiazda filmowa. Można nawet wybrać Lassie...

- Zabrałaś mi moją postać. Piorunuje mnie spojrzeniem.

- Nie pokazujcie nikomu, co napisaliście. Potem przyklejcie paperek do czoła jakiejś innej osobie. Będzie musiała zgadnąć, kim jest.

Robi się całkiem wesoło. Przyboczny lekarz Boga nie może pojąć, dlaczego wszyscy się zaśmiewają na widok kartki na jego czole. Jest Marudą z „Królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków”.

Gdy zaczynam się dobrze bawić, rozlega się dzwonek u drzwi

1 Charlie biegnie je otworzyć. Lucy i Patricia zaczynają zbierać filiżanki i talerzyki.

- Pan nie wygląda jak policjant - mówi Charlie.

- Jestem detektywem.

- Czy to znaczy, że ma pan odznakę?

- Chcesz zobaczyć?

- Może powinnam.

Ruiz sięga do wewnętrznej kieszeni, kiedy przychodzi mu w sukurs.

- Uczulamy ją, żeby była ostrożna - usprawiedliwiam córkę.

- Bardzo mądrze. - Uśmiecha się do Charlie i od razu wygląda piętnaście lat młodziej. Przez moment wydaje mi się, że za chwilę wzburzy jej włosy, ale teraz już ludzie tego nie robią.

Ruiz spogląda poza mnie w głąb holu i przeprosza za najście.

- Mogę w czymś pomóc?

- No, właśnie - bąka i klepie się po kieszeniach, jakby w płaszczu szukał odpowiedzi na moje pytanie.

- Zechce pan wejść?

- Jeśli można.

Prowadzę go do gabinetu i proponuję, żeby zdjął płaszcz. Zapiski na temat Catherine ciągle leżą na biurku, tak jak je zostawiłem.

- Odrabia pan lekcje?

- Po prostu chcę mieć pewność, że nic mi nie umknie.

- I co?

- Nie umknie.

- Może ja bym to osądził?

- Nie w tym wypadku. - Zamykam bruliony i odkładam je na bok.

Obchodzi biurko, wodzi spojrzeniem po tytułach w biblioteczkę, ogląda fotografie i pamiątkową nargile z Syrii.

- Gdzie on był?

- Słucham?

- Pan powiedział, że Catherine nie jest pierwszą ofiarą tego zabójcy, w takim razie gdzie on był wcześniej?

- Ćwiczył.

- Na kim?

- Nie wiem.

Teraz Ruiz stoi przy oknie i patrzy na ogród. Unosi ramiona, a wykrochmalony kołnierzyk koszuli wrzyna się mu w szyję na wysokości uszu. Korci mnie, żeby spytać, czego się dowiedział o Bobbym, ale uprzedza mnie:

- Czy zabije ponownie?

Nie chcę odpowiedzieć na to pytanie. Hipotetyczne sytuacje są ryzykowne. Detektyw wyczuwa, że się wycofuję i nie pozwala, abym się wywinął. Muszę coś powiedzieć.

- W tej chwili nadal myśli o Catherine i o tym, jak umarła. Kiedy te wspomnienia przybędną,

może rozejrzeć się za nową ofiarą, żeby zaspokoić swoje fantazje.

- Skąd ta pewność?

- Działa niespiesznie i z rozmysłem. Nie stracił panowania nad sobą ani nie dał się ponieść złości czy pożądaniu. Planował wszystko na chłodno, z wyrachowaniem, czerpiąc z tego niemal euforyczną przyjemność.

- Gdzie są inne ofiary? Dlaczego ich nie znaleźliśmy?

- Może nie ustaliliście powiązań.

Ruiz wzdryga się i prostuje ramiona. Stwierdzenie, że mógł przeoczyć jakiś istotny szczegół, jest dla niego obrażą. Jednocześnie nie zamierza ryzykować postępu śledztwa z powodu wybujałej ambicji. Chce zrozumieć.

- Szuka pan wskazówek w metodzie i symbolach, ale można je znaleźć wyłącznie poprzez porównanie zbrodni. Niech pan odnajdzie inną ofiarę, a wtedy być może zarysuje się wzór postępowania.

Ruiz zgrzyta zębami, jakby chciał je zetrzeć. Co więcej mogę mu powiedzieć?

- Morderca zna teren. Zakopanie zwłok Catherine zajęło mu sporo czasu. Wiedział, że w okolicy nie ma domów z widokiem na tę część kanału. Wiedział również, że wieczorem nikt nie korzysta ze ścieżki holowniczej.

- Czyli mieszka w pobliżu.

- Albo mieszkał.

Ruiz sprawdza, jak te fakty pasują do jego teorii, waży ich znaczenie. Z parteru dobiegają odgłosy świętującej rodziny. Ktoś spuścił wodę w toalecie. Jakies dziecko płacze ze złości.

- Ale dlaczego wybrał takie uczęszczane miejsce. Mógł ją przecież ukryć gdzieś na pustkowiu?

- On jej nie ukrył. Pozwolił wam znaleźć Catherine.

- Dlaczego?

- Może jest dumny ze swego dzieła, a może przemycza zapo wiedź.

Ruiz robi zde gustowaną minę.

- Że też panu odpowiada taka robota. Jak można spokojnie żyć ze świadomością, że takie świrusy chodzą na wolności? Jak można grzebać w ich głowach? - Splata ramiona i wsuwa dłoń pod pachy. - A może czerpie pan z tego przyjemność?

- O co chodzi?

- Niech pan sam mi to powie. Bawi pana odgrywanie detektywa? Podsuwanie mi jednych akt i ukrywanie innych? Wydzwanianie z pytaniami. Sprawia to panu frajdę?

- Ja... ja nie prosiłem, żeby mnie w to wciągać. Cieszy go mój gniew. W ciszy słyszę śmiechy na dole.

- Chyba czas na pana.

Przygląda mi się z satysfakcją i z poczuciem fizycznej przewagi, po czym bierze płaszcz i schodzi po schodach. Wyczerpany, czuję, jak spływa ze mnie energia.

Przy drzwiach Ruiz stawia kołnierz płaszcza i ogląda się na mnie.

- Na polowaniu, profesorze, są lisy i psy, oraz ci, co polowa nie sabotują. Do której kategorii pan należy?

- Nie wierzę w polowanie na lisy.

- Czyżby? Lisy też nie wierzą.

Kiedy goście się rozjeżdżają, Julianne wysyła mnie na górę do łazienki, a potem do łóżka. Jakiś czas później czuję, jak się wsuwa do łóżka. Cofa się i mości, aż przytula się do mnie. Jej włosy pachną jabłkami i cynamonem.

- Jestem zmęczony - szepczę.

- To był długi dzień.

- Nie o tym mówię. Myślę, że przydałaby się odmiana.

- Na przykład?

- Po prostu, odmiana.

- Uważasz, że to rozsądne?

- Moglibyśmy pojechać na wakacje. Wyjechać do Kalifornii. Zawsze o tym mówiliśmy.

- A co z twoją pracą... szkołą Charlie?

- Jest młoda. O wiele więcej nauczy się, podróżując przez pół roku, niż siedząc w szkole...

Julianne odwraca się i podpira na łokciu tak, żeby mogła na mnie patrzeć.

- Skąd ten pomysł?

- Znikąd.

- Kiedy to wszystko się zaczęło, mówiłeś, że nie chcesz nic zmieniać. Że w przyszłości nic nie musi się zmienić.

- Wiem.

- A potem przestałeś ze mną rozmawiać. Nie dopuszczasz mnie do swoich problemów i nagle wyskakujesz z czymś takim!

- Przepraszam. Po prostu jestem zmęczony.

- Nie, tu chodzi o coś więcej. Wyjaśnij mi.

- Uderzyła mnie myśl, że powinienem coś więcej przeżyć. Czytasz o ludziach, których życie jest pełne zdarzeń i szalonych przedsięwzięć i myślisz sobie, do diaska, powinienem więcej rzeczy zobaczyć, poznać. I dlatego pomyślałem o podróży.

- Dopóki jeszcze czas?

- Tak.

- A więc chodzi o Parkinsona?
- Nie... nie umiem tego wyjaśnić... zostawmy to.
- Nie chcę niczego zostawiać. Pragnę, żebyś był szczęśliwy. Ale nie mamy pieniędzy - ta hipoteka i wymiana rur. Sam mówiłeś. Może latem uda nam się pojechać do Kornwalii...
- Taak. Masz rację. Miło będzie w Kornwalii. - Siłę się na entuzjastyczny ton, ale wiem, że nic z tego nie wychodzi. Julianne obejmuje mnie w pasie ramieniem i podciąga się bliżej. Czuję na szyi jej ciepły oddech.
- Przy odrobinie szczęścia mogę do tego czasu być w ciąży - szepce. - Nie możemy się zanadto oddalać.

21

Boli mnie głowa i drapie w gardle. Może to kac. A może grypa. Według tego, co piszą w gazetach, połowę kraju rozłożył jakiś egzotyczny wirus z Pekinu czy z Bogoty - jednego z tych miejsc, skąd nikt nie przyjeżdża bez jakiegoś zjadliwego drobnoustroju.

Dobra wiadomość - zażywanie selegine nie wywołuje u mnie żadnych dostrzegalnych skutków ubocznych, poza bezsennością, która już wcześniej mi dokuczała. Zła - lekarstwo zdecydowanie nie łagodzi objawów.

O siódmej rano dzwonię do Jocka.

- Skąd wiesz, że nie działa? - pyta zły, że go zbudziłem.
- Nie widzę różnicy.
- No i o to chodzi. Ono nie likwiduje objawów, tylko nie po zwała im się pogłębiać.
- No dobrze.
- Wykaż cierpliwość i odpręż się. Łatwo mu mówić.
- Ćwiczysz? - pyta.
- Tak - kłamię.
- Wiem, że dziś poniedziałek, ale może masz ochotę zagrać w tenisa? Potraktuję cię łagodnie.
- Kiedy?
- Spotkamy się w klubie o szóstej.

Julianne przejrzy mnie na wylot, ale przynajmniej nie będę siedział w domu. Mam prawo do dezercji po wczorajszym dniu.

Moją pierwszą pacjentką jest młoda baletnica o gracji gazeli, z żółtymi zębami oraz recesją dziąseł typową dla zapamiętałej bulemiczki. Potem zjawia się Margaret ze swoim pomarańczowym kołem ratunkowym w objęciach. Pokazuje wycinek z gazety o moście, który runął w Izraelu. Z miny czytam: „A nie mówiłam!”. Następne pięćdziesiąt minut upływa mi na przekonywaniu jej, aby się zastanowiła, ile mostów jest na świecie i ile z nich się zapada.

Przed trzecią stoję przy oknie i wypatruję Bobby'ego. Ciekawe, czy przyjdzie. Podskakuję, gdy

nagle słyszę za sobą jego głos. Stoi w drzwiach i pociera rękami o boki, jakby coś z nich usuwał.

- To nie moja wina - mówi.
- Co takiego?
- Cokolwiek pan myśli, ja tego nie zrobiłem.
- Skopałeś kobietę do nieprzytomności.
- Tak. I to wszystko. Nic więcej. - Światło odbija się od zło tych oprawek jego okularów.
- Taka wrogość nie bierze się znikąd.
- Nie rozumiem.
- Jesteś inteligentnym, młodym człowiekiem. Wiesz, o czym mówię.

Czas na konfrontację; muszę sprawdzić, jak się zachowa, poddany presji.

- Jak długo jesteś moim pacjentem? Sześć miesięcy. Nie po jawiłeś się przez połowę tego okresu. Spóźniasz się na sesje, przychodzisz niezapowiedziany i wyciągnąłeś mnie z łóżka

0 czwartej nad ranem...

Mruga gwałtownie. Przemawiam takim uprzejmym tonem, że nie ma pewności, czy go krytykuję, czy nie.

- ...a nawet kiedy tu jesteś, zmieniasz temat i lawirujesz. Co starasz się ukryć? Czego się boisz?

Przyciągam bliżej moje krzesło. Niemal dotykamy się kolanami. Zupełnie jakbym patrzył w oczy zbitemu psu, który nie ma dość rozumu, żeby odwrócić wzrok. Niektóre aspekty jego funkcjonowania są dla mnie zrozumiałe - przede wszystkim te w przeszłości - ale teraźniejszość pozostaje zagadką. Kim się stał?

- Powiem ci, co myślę, Bobby. Według mnie, bardzo zależy ci na sympatii ludzi, lecz nie potrafisz jej zdobyć. Jest tak od dawna. Widzę chłopca, bystrego i wrażliwego, który każdego wieczoru nasłuchuje odgłosu roweru ojca, gdy ten wjeżdża przez bramę. A kiedy ojciec wchodzi do domu, w swoim mundurze konduktora, chłopiec nie może się doczekać, aby usłyszeć jego opowieści i pomóc mu w warsztacie.

Ojciec jest zabawny, łagodny, błyskotliwy i pomysłowy. Jawią mu się wizje dziwnych, a jednocześnie wspaniałych wynalazków, które zmieniają świat. Robi szkice na kawałkach papieru

I buduje prototypy w garażu. Chłopak obserwuje go podczas pracy i czasami w nocy zwija się w kłębek na kupce strużyn, za sypiając przy odgłosie tokarki.

Lecz ojciec znika. Najważniejsza osoba w jego życiu, jedyna, na której naprawdę mu zależy, opuszcza go. Matka, niestety, nie rozumie i nie dostrzega podłoża jego smutku. Uważa go za słabeusza i marzyciela, takiego, jakim był ojciec. Chłopiec nigdy nie potrafi sprostać jej oczekiwaniom.

Nie spuszczam wzroku z Bobby'ego, wypatruję oznak buntu czy sprzeciwu. Jego gaiki oczne poruszają się jak podczas snu, ale jakimś cudem skupia spojrzenie na mnie.

- ... chłopiec jest niezwykle bystry i inteligentny. Ma wyczuloną wrażliwość i bardzo intensywnie przeżywa emocje. Zaczyna uciekać od matki. Jest za mały i brakuje mu odwagi na ucieczkę z domu. Zamiast tego wycofuje się w wyobraźnię. Tworzy świat, o istnieniu którego nikt nie ma pojęcia. Świat, w którym jest popularny i potężny; gdzie może karać i nagradzać. W tym świecie nikt go nie wyśmiewa ani nie poniża. Na wet matka. Ją również, podobnie jak wszystkich, ma u swych stóp. Jest Clintem Eastwoodem, Charlesem Bronsonem i Sylwestrem Stallone; wszystkimi trzema naraz. Jest obrońcą. Mścicielem. Sędzią. Ławą przysięgłych. Katem. Może wymierzać sprawiedliwość według własnych zasad. Może skosić z karabinu maszynowego całą szkolną drużynę rugby albo przybić do drzewa na boisku szkolnego rozrabiakę...

Oczy Bobby'ego błyszczą pod wpływem wspomnień i skojarzeń - światła i cieni z przeszłości. Kąciki ust drżą.

- Co dzieje się z tym chłopcem, kiedy dorasta? Zaczyna cierpieć na bezsenność. Zdarzają się okresy, kiedy brak snu szarpie mu nerwy i sprawia, że widzi wszystko w krzywym zwierciadle. Wyobraża sobie, że ludzie szpiegują go i spiskują przeciwko niemu. W bezsenne noce sporządza tajne listy i sekretne kody do tych list.

Chce schronić się z powrotem w świecie wyobraźni, lecz coś mu nie pozwala. Nie może tam wrócić, ponieważ ktoś otworzył przed nim inne możliwości, lepsze, bardziej ekscytujące - bo prawdziwe!

Bobby mruga i szczypie skórę na wierzchu dłoni.

- Słyszałeś kiedyś powiedzenie: „Co dobre dla jednych, może okazać się złe dla innych”? - pytam go.

Przytakuje niemal bezwiednie.

- Można je odnieść do naszej seksualności oraz różnic w zainteresowaniach i gustach. Chłopiec dorasta i kosztuje czegoś, co go podnieca i zarazem niepokoi. To jego sekret, który budzi w nim poczucie winy. Zakazana przyjemność. Boi się, że przez ten dreszczyk podniecenia, płynący z zadawania bólu, stanie się zbrodniarzem.

Bobby kręci głową, jego oczy w soczewkach okularów wydają się ogromne.

- Jednak potrzebowałeś kogoś, kto cię w to wprowadził - przewodniczki. I właśnie o tym mi, Bobby, nie powiedziałaś. Kim była ta szczególna dziewczyna, która otworzyła ci oczy? Co czułaś, kiedy zadawałaś jej ból?

- Pan jest zboczony!

- A ty kłamiesz. - Nie mogę pozwolić mu na zmianę tematu tu. - Jak było za pierwszym razem? Nie chciałaś dać się na mówić na te zabawy? Sprowokowała cię. Co mówiła? Naigrywała się z ciebie? Wyśmiewała?

- Przestań! Dostyć! Zamknij się!

Zaciska dłonie na mankietach płaszcza i zakrywa uszy. Ale ja wiem, że słucha. Moje słowa sączą się w zakamarki jego mózgu i wypełniają go jak lodowata woda.

- Ktoś zasiał ziarno. Nauczył cię delektować się uczuciem, jakie daje dominacja... zadawanie bólu. Z początku chciałeś się powstrzymać, ale ona żądała więcej. A potem zauważyłeś, że nie możesz przestać. Cieszyło cię to! Nie chciałeś się zatrzymać.

- Dość! Zamknij się!

Bobby kołysze się na brzeżku krzesła. Usta mu obwisły i już na mnie nie patrzy. Prawie go dostałem. Moje palce wciskają się w pęknięcia jego psychiki. Jedno potwierdzenie, choćby najmniejsze, wystarczy, żeby przełamać jego opór. Niestety moja historia dobiegła końca. Nie znam wszystkich szczegółów. Wymknie mi się, jeżeli przesadzę.

- Bobby, kto to był? Czy nazywała się Catherine McBride. Wiem, że ją znałeś. Gdzie się spotkaliście? Czy to było w szpitalu? Bobby, w szukaniu pomocy nie ma nic wstydliwego. Wiem, że byłeś wcześniej badany. Czy Catherine przebywała w szpitalu jako pacjentka czy pielęgniarka? Sądzę, że była pacjentką.

Bobby skubie grzbiet nosa, pociera miejsce, gdzie opierają się okulary. Sięga powoli do kieszeni spodni, a mnie niespodziewanie ogarniają wątpliwości. Usiłuje namacać coś palcami. Jest o osiemdziesiąt funtów cięższy ode mnie i dwadzieścia lat młodszy. Drzwi znajdują się w drugim końcu gabinetu. Nie dobiegnę do nich przed nim.

Dłoń Bobby'ego wynurza się z kieszeni. Zastygam, wpatrzony w jego rękę. Wyjmuje białą chustkę do nosa i rozkłada ją na kolanach. A potem zdejmuje okulary i metodycznie czyści oba szkła, trzymając materiał pomiędzy kciukiem i wskazującym palcem. Może celebrując tę czynność, chce zyskać na czasie.

Ogląda okulary pod światło, szuka smug. Następnie patrzy ponad nimi prosto na mnie.

- Wymyślił pan te bzdury na poczekaniu, czy kombinował przez cały weekend?

Napięcie znika, jak powietrze z dziurawego pontonu. Prze-szarżowałem. Mam ochotę go zapytać, w którym miejscu popełniłem błąd, ale on mi tego nie powie. Pokerzysta nie zdradza, dzięki czemu rozpoznał blef. Musiałem być blisko, ale to przypomina komunikat NASA, w którym informują, że Mars Polar Lander osiągnął cel, bo rozbił się i zaginął na wyznaczonej planecie.

Straciłem zaufanie Bobby'ego. W dodatku wie, że się go obawiam, a to nie stanowi dobrej podstawy relacji pomiędzy pacjentem i terapeutą. Co też mi przyszło do głowy? Nakręciłem go jak mechaniczną zabawkę, a teraz muszę wypuścić go z rąk.

22

Białe audi jedzie wzdłuż Elgin Avenue i zwalnia na mojej wysokości. Z rakiętą tenisową pod pachą i z guzem wielkości grejpfruta na udzie kuśtykam dalej chodnikiem. Za kierownicą siedzi Ruiz. Wygląda na to, że jest gotowy jechać za mną do samego domu, rozwijając prędkość czterech

mil na godzinę.

Zatrzymuję się i odwracam. Detektyw przechyla się, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera.

- Co się panu stało?
- Kontuzja sportowa.
- Nie sądziłem, że tenis jest aż tak niebezpieczny.
- Bo nie grał pan nigdy z moim partnerem.

Wsiadam do samochodu. Wnętrze pachnie nikotyną i jabłkowym odświeżaczem powietrza. Ruiz zawraca i kieruje się na zachód.

- Dokąd jedziemy?
- Na miejsce przestępstwa.

Nie pytam, po co. Wszystko w jego zachowaniu podpowiada mi, że nie mam wyboru. Temperatura spadła do ciut powyżej zera i mgła zasnuwa uliczne światła. W oknach migają kolorowe lampki, a wieńce z plastikowych liści imitujących ostrokrzew zdobią frontowe drzwi.

Jedziemy Harrow Road i skręcamy w Scrubs Lane. Jakies pół mili dalej droga wznosi się i opada na Mitrę Bridge, który przecina kanał Grand Union oraz linię kolejową Paddington. Ruiz zatrzymuje się i gasi silnik. Wysiada z samochodu i czeka, aż uczynię to samo. Udo mam zdrętwiałe po celnym odbiciu Jocka. Rozcieram je ostrożnie i utykając, idę w kierunku mostu.

Ruiz zatrzymuje się przy ogrodzeniu zakończonym kolczastym drutem. Chwyta się metalowego słupka i przerzucając ciężar ciała, wskakuje na betonowy murek z boku mostu. Nadal trzymając się słupka, przechodzi na drugą stronę. Potem odwraca się i czeka na mnie.

Ścieżka holownicza jest pusta, pobliskie zabudowania ciemne i opustoszałe. Odnoszę wrażenie, że jest o wiele później niż w rzeczywistości - jak nad ranem, gdy świat wydaje się bardziej samotny, a łóżka znacznie cieplejsze.

Ruiz idzie przede mną z pochyloną głową i rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie. Wydaje się pełen skrywanego gniewu. Mniej więcej pięćset jardów dalej po prawej stronie biegną tory. W mdłym świetle mającą hangary pracowników obsługi kolei.

Tabor kolejowy przycupnął nieruchomo na placu przeładunkowym.

Niespodziewanie z wielkim łoskotem przejeżdża pociąg. Huk odbija się od blach hangarów i betonowej cembrowiny kanału; mam wrażenie, że jesteśmy w tunelu.

Ruiz niespodziewanie zatrzymuje się na ścieżce. Niemal wpadam na niego.

- Czy cokolwiek wydaje się panu znajome?

Wiem dokładnie, gdzie jesteśmy. Zamiast lęku czy smutku, czuję wyłącznie gniew. Jest późno, przemarzałem, a przede wszystkim mam dość drwiących spojrzeń Ruiza spod uniesionych brwi. Jeśli chce coś powiedzieć, niech to z siebie wykrztusi i pozwoli mi wrócić do domu.

- Widział pan zdjęcia.

- Tak.

Ruiz podnosi rękę i przez moment mam wrażenie, że chce mnie uderzyć.

- Niech pan tam spojrzy. Wzdłuż ściany tamtego budynku w dole.

Podążam wzrokiem za ruchem jego wyciągniętej ręki i natrafiam na mur. Ciemniejszy pas w tle to niewątpliwie rów, gdzie znaleziono ciało. Nieco na lewo nad jego ramieniem widzę zarysy drzew i nagrobków na cmentarzu Kensal Green. Pamiętam, jak stojąc na wzniesieniu, obserwowałem policjantów wykopujących ciało Catherine.

- Dlaczego tu jestem? - pytam, czując wewnętrzną pustkę.

- Niech pan użyje wyobraźni - jest pan w tym dobry.

Jest zły i z jakiegoś powodu mnie o to obwinia. Niezbyt często mam do czynienia z ludźmi o tak intensywnym sposobie demonstrowania emocji - z wyjątkiem obsesyjnych maniaków. Znałem podobne typy w czasach szkolnych; подростков, którzy za wszelką cenę pragnęli udowodnić, że są twardzielami i nigdy nie przestawali walczyć. Zbyt wiele chcieli udowodnić, mając na to za mało czasu.

- Dlaczego tu jestem?

- Bo mam do pana parę pytań. - Nie patrzy na mnie. - I chcę opowiedzieć co nieco o Bobbym Moranie.

- Nie mogę rozmawiać o moich pacjentach.

- Musi pan tylko słuchać. - Kiwa się, przestępując z nogi na nogę. - Niech mi pan uwierzy na słowo, to będzie fascynujące. - Postępuje dwa kroki w stronę kanału i spluwa do wody. - Bobby Moran nie ma przyjaciółki ani narzeczonej o imieniu Arky. Mieszka w pensjonacie w północnej części Londynu z grupą azylantów, oczekujących na przyznanie mieszkań komunalnych. Jest bezrobotny, nie pracuje od prawie dwóch lat. Firma Nevaspring nie istnieje; nie jest nigdzie zarejestrowana.

Jego ojciec nigdy nie był w lotnictwie - ani jako mechanik, ani jako pilot, ani w żadnym innym charakterze. Bobby dorastał w Liverpoolu, a nie w Londynie. Rzucił szkołę w wieku piętnastu lat. Uczył się potem wieczorowo i pracował jakiś czas w zakładzie pracy chronionej w Lancashire. Nie znaleźliśmy historii choroby umysłowej ani nie natrafiliśmy na ślady hospitalizacji.

Ruiz mówiąc, przechadza się tam i z powrotem. Jego oddech skrapla się w powietrzu i snuje za nim jak para za lokomotywą.

- Mnóstwo ludzi dobrze się o nim wyraża. Według gospody ni jest schludny i czysty. Opiera go i nie przypomina sobie, aby którekolwiek z jego ubrań pachniało chloroformem. Jego dawny szef z zakładu pracy chronionej nazwał go „zwalistym poczciwcem”.

I to właśnie mnie dziwi, profesorze. Nic z tego, co pan mówił, nie pasuje do Bobby'ego. Rozumiem, że można się mylić co do paru szczegółów. Wszyscy popełniamy błędy. Ale ja mam

wrażenie, że pan mówił o zupełnie innej osobie.

- To nie może być on. - Mój głos jest ochrypły.

- To samo pomyślałem. I dlatego dokładnie sprawdziłem Bobby'ego. Potężny gość, wzrost sześć stóp i dwa cale, nadwaga, okulary lenonki - nasz chłopaczek. A potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego opowiadał te wszystkie kłamstwa swojemu psychoterapeucie, który usiłował mu pomóc. To nielogiczne,

prawda?

- Coś ukrywa?

- Być może. Ale on nie zabił Catherine McBride.

- Skąd ta pewność?

- Z tuzin ludzi uczęszczających z Bobbym na kursy wieczorowe może zaświadczyć, że był z nimi tamtego wieczoru, kiedy ona zaginęła.

Nogi uginają się pode mną.

- Profesorze, czasami trochę wolno kumam. Moja mamuśka zwykła mawiać, że urodziłem się o dzień za późno i nigdy te go nie nadrobiłem. Ale rzecz w tym, że zawsze docieram do celu. Tylko potrzebuję na to więcej czasu niż bystrzy ludzie. - Mówi to bardziej z goryczą niż z triumfem.

Widzi pan, postawiłem sobie pytanie: Dlaczego Bobby Mo-ran wymyślił te wszystkie kłamstwa? A potem pomyślałem: A jeśli wcale ich nie wymyślił? A może to pan kłamał? Mógł pan przecież zmyślić całą tę historię, żeby odwrócić moją uwagę.

- Nie mówi pan poważnie.

- Skąd pan wiedział, że Catherine McBride przecięła arterię szyjną, żeby przyspieszyć śmierć?

Nie było o tym mowy w raporcie z autopsji.

- Studiowałem medycynę.

- A chloroform?

- To ja panu o tym powiedziałem.

- Właśnie. Poczytałem sobie co nieco. Czy pan wie, że wystarczy nasączyć maskę czy szmatkę zaledwie kilkoma kroplami chloroformu, żeby pozbawić człowieka przytomności? Trzeba wiedzieć, jak się do tego zabrać. O kilka kropli za dużo i ofiara przestaje oddychać. Dusi się.

- Prawdopodobnie zabójca posiadał podstawową wiedzę medyczną.

- Też mi to przyszło do głowy. - Ruiz przechodzi na asfalt, żeby nie marzły mu stopy. Bezdomny kot, który wędruje wzdłuż ogrodzenia zakończonego kolczastym drutem, spłoszony naszymi głosami przywiera do ziemi. Obaj czekamy na jego dalszą reakcję, bacznie go obserwujemy, ale on nie zamierza się ruszyć.

- Skąd pan wiedział, że była pielęgniarką? - pyta Ruiz.

- Miała medalik.
- A ja myślę, że pan ją od razu rozpoznał. Cała reszta to tylko pozory.
- Nie.
- Znał pan również jej dziadka. - Ton Ruiza staje się chłodny. - Sędziego McBride.
- Tak.
- Dlaczego pan o tym nie wspomniał?
- Nie sądziłem, że to istotne. To było wiele lat temu. Psycholodzy często występują w sądzie rodzinnym. Opiniujemy dzieci i rodziców. Sąd korzysta z naszych wskazówek.
- Jaki był?
- Miał swoje wady, ale był uczciwym sędzią. Szanowałem go.

Ruiz silił się na serdeczniejszy ton, ale jego uprzejma powściągliwość jest sztuczna.

- Wie pan, co naprawdę trudno, mi zrozumieć? - pyta. - Dlaczego zwlekał pan tak długo z wyjawieniem, że znał pan Catherine McBride i jej dziadka, natomiast tak chętnie opowiadał mi te pieprzone bzdury o osobie nazwiskiem Bobby Moran. Nie, zaraz, przepraszam, przecież pan nie rozmawia o swoich pacjentach, mam rację? Pan tylko, jak dzieci w szkole, bawi się w zgadywanki. No cóż, to gra dla dwóch, w takim razie zabaw my się... - Uśmiecha się; widzę jedynie białe zęby i ciemne oczy. - Chce pan wiedzieć co robiłem przez ostatnie dwa tygodnie? Przeszukiwałem kanał. Ściągnęliśmy pogłębiarki i otworzyliśmy śluzy. Paskudna robota. Trzy stopy śmierdzącego mułu i szlamu. Znaleźliśmy ukradzione rowery, wózki sklepowe, podwozie, kołpaki, dwie pralki, opony, prezerwatywy i ponad cztery tysiące używanych strzykawek. I wie pan, co jeszcze zna leźliśmy?

Kręcę przecząco głową.

- Torebkę Catherine McBride i jej telefon komórkowy. Trochę potrwało, zanim udało nam się wysuszyć te rzeczy. Potem musieliśmy sprawdzić zapis rozmów. I wtedy odkryliśmy, że

ostatni telefon wykonała do pańskiego gabinetu. Trzynastego listopada, o osiemnastej trzydzieści siedem. Dzwoniła z pubu, niedaleko stąd. Osoba, z którą była umówiona, nie pojawiła się. Według mnie, zadzwoniła, aby zapytać, dlaczego.

- Skąd ta pewność? Ruiz uśmiecha się.

- Znaleźliśmy również jej terminarz. Tak długo leżał w wodzie, że kartki zdążyły się posklejać, a atrament rozmyć. Chłopaki z kryminalnej musieli go starannie wysuszyć i ostrożnie porozdzielać strony. Za pomocą elektronicznego mikroskopu odczytali ślady atramentu. Zdumiewające są te obecne możliwości.

Ruiz pochyla się ku mnie, nasze oczy dzieli zaledwie parę cali. Moment jak u Agathy Christie: czas na monolog w salonie.

- W terminarzu przy dacie trzynastego listopada Catherine zrobiła notatkę. Zapisała nazwę

hotelu Grand Union. Zna go pan?

Kiwam głową.

- To o milę stąd, przy kanale, w pobliżu pańskiego klubu tenisowego. - Wskazuje ruchem głowy kierunek. - A u dołu tej samej strony napisała nazwisko. Sądzę, że zamierzała spotkać się z tą osobą. Wie pan, czyje to było nazwisko?

Kręcę głową.

- Niech pan zgaduje. Czuję ucisk w piersi.

- Moje?

Ruiz nie pozwala sobie na żaden triumfalny gest. To dopiero początek. Widzę błysk kajdanków, wyciąganych z kieszeni. W pierwszej chwili mam ochotę się roześmiać, ale w następnej sekundzie przesywa mnie chłód i zbiera mi się na wymioty.

- Aresztuję pana pod zarzutem popełnienia zabójstwa. Ma pan prawo zachować milczenie, a jednocześnie ostrzegam, że wszystko, co pan powie, zostanie spisane i może służyć jako dowód...

Metalowe bransoletki zatrząskują się na moich nadgarstkach. Ruiz zmusza mnie do rozstawienia nóg i dokładnie mnie przeszukuje, posuwając się od kostek u nóg w górę.

- Chce pan coś powiedzieć?

Dziwne rzeczy przychodzą na myśl w chwilach takich, jak ta. Niespodziewanie dźwięczą mi w uszach słowa ojca, które wypowiadał za każdym razem, gdy wpadałem w kłopoty: „Nic nie mów, chyba że to, co masz do powiedzenia, jest lepsze od ciszy”.

KSIĘGA DRUGA

Często w oczach świata jesteśmy kryminalistami
nie tylko z powodu popełnionych zbrodni,
ale również dlatego, że wiemy, jakie zbrodnie popełniono.

Człowiek iv żelaznej masce

Tak długo wpatruję się w ten sam kwadrat światła, że gdy zamykam oczy, nadal go widzę; świeci mi pod powiekami. Okno jest wysoko na ścianie ponad drzwiami. Od czasu do czasu słyszę kroki na korytarzu. Klapka judasza odsuwa się i czyjeś oczy wpatrują się we mnie. Po kilku sekundach klapka opada, a ja znowu patrzę na okno.

Nie wiem, która godzina. Zmuszono mnie do zamiany zegarka, paska i sznurowadeł na szary koc, który w dotyku bardziej przypomina papier ścierny niż wełnę, jedyny regularny odgłos stanowi ciurkanie wody z rezerwuaru w sąsiedniej celi.

Od czasu, kiedy zwieziono ostatnich pijaków, panuje względna cisza. To musiało być w porze zamykania lokali - gdy ostatni goście przysypiają w nocnym autobusie albo wdają się w szarpaninę z taksówkarzem i lądują w policyjnej suce. Jeszcze słyszę, jak któryś z tych nieszczęśników kopie w drzwi celi i wykrzykuje: „Ja go, kurwa, nawet nie dotknąłem!”.

Moja cela ma długość sześciu kroków, a szerokość dwóch. Jest tu muszla klozetowa, zlew i prycza. Na wszystkich ścianach widać namalowane, wydrapane oraz wyżłobione napisy i rysunki, mimo że usilnie próbowano je pokryć warstwą farby.

Nie wiem, dokąd poszedł Ruiz. Prawdopodobnie w ciepłej pościeli śni o tym, jak uczynić świat bardziej bezpiecznym miejscem. Pierwsze przesłuchanie trwało zaledwie kilka minut. Kiedy oznajmiłem, że życzę sobie obecności adwokata, poradził: „Lepiej postaraj się o cholernie dobrego”.

Większość znajomych prawników nie odbiera telefonów o tej porze. Zadzwoń więc do Jocka i wyrwałem go ze snu. W tle usłyszałem pełen pretensji damski głos.

- Skąd dzwonisz?
- Z komisariatu na Harrow Road.
- Co tam robisz?
- Zostałem aresztowany.
- Ha! - Tylko w Jocku taka wiadomość mogła wzbudzić podziw.
- Chcę cię prosić o przysługę. Zadzwoń do Julianne i po wiedz jej, żeby się o mnie nie martwiła. Powiedz, że pomagam policji w dochodzeniu. Zrozumie.
- Dlaczego nie powiesz jej prawdy?
- Jock, proszę, nie pytaj. Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

Od tamtej pory krążę po celi. Przystaję. Siadam. Drepczę. Siadam na muszli. Otepiło mnie zdenerwowanie, a może działa lekarstwo. Ruiz uważa, że coś ukrywam, że nie powiedziałem całej prawdy. Retrospekcja ma drobiazgowy charakter. W tej chwili moje błędy dzielą się i mnożą w głowie, walcząc o pierwsze miejsce z pytaniami.

Mówi się o grzechu zaniedbania. Co to oznacza? Kto decyduje o tym, czy coś jest grzechem? Wiem, że wchodzę w obszary semantyki, lecz sądząc ze sposobu, w jaki ludzie moralizują i wyciągają wnioski, można by pomyśleć, że prawda jest materialna i konkretna; że zanim ustali się, iż coś jest prawdą, można to *zważyć* i zmierzyć.

Lecz prawda tak nie wygląda. Gdybym miał jutro opowiedzieć tę samą historię, różniłaby się od dzisiejszej. Przemilczałbym szczegóły i zracjonalizowałbym swoje postępowanie. Prawda jest kwestią semantyki, czy nam się to podoba, czy nie.

Nie rozpoznałem Catherine ze szkicu. A ciało, które widziałem w kostnicy, bardziej przypominało zdewastowanego manekina niż ludzką istotę. Minęło pięć lat. Powiedziałem Ruizowi, kim jest, gdy tylko nabrałem pewności. Tak, mogłem uczynić to wcześniej, ale on już znał jej nazwisko.

Nikt nie lubi przyznawać się do błędów. Wszyscy niechętnie przyznajemy, że istnieją rozbieżności pomiędzy tym, co powinniśmy robić, a tym, co naprawdę robimy. Więc albo zmieniamy sposób postępowania, albo przekonania. Szukamy usprawiedliwień, interpretujemy nasze zachowanie w taki sposób, aby postawić się w bardziej korzystnym świetle. W mojej branży to zjawisko określa się terminem dysonansu kognitywnego. W moim przypadku ta prawidłowość nie działa. Wewnętrzny głos - można go nazwać głosem sumienia, duszy czy też anioła stróża, szeptem na okrągło: „Kłamczuch, kłamczuch, aż się z portek kurzy...”.

Ruiz ma rację. Tkwie po uszy w szambie.

Kładę się na wąskiej pryczy i czuję, jak sprężyny wrzynają mi się w plecy.

Wezwanie nowego faceta mojej siostry do komisariatu rano, o szóstej trzydzieści stanowi dziwny dowód akceptacji w rodzinie. Nie znam wielu adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych. Zazwyczaj mam do czynienia z prawnikami z Sądu Koronnego, którzy traktują mnie albo jak swego najlepszego kumpla, albo jak ohydztwo, które przykleiło im się do buta, w zależności od tego, jaką ekspertyzę przedstawiam w sądzie.

Simon zjawia się po godzinie. Ani słowa o Patricii, żadnych uprzejmości na temat niedzielnego obiadu. Daje mi znak, żebym usiadł i przysuwa sobie krzesło. To oficjalna wizyta.

Cele znajdują się piętro niżej. Teraz musimy być w pobliżu głównego pomieszczenia komisariatu. Czuję zapach kawy i słyszę klekot maszyny do pisania. W pokoju widzeń okna są zasłonięte żaluzjami. Paski nieba zaczynają się rozjaśniać.

Simon otwiera dyplomatkę i wyjmuje niebieski folder oraz duży prawniczy notes. Zdumiewa mnie, jak dobrze potrafi łączyć aparycję świętego Mikołaja z manierami prawnika.

- Musimy dokonać pewnych ustaleń. Chcą jak najszybciej rozpocząć przesłuchania. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Czuję, jak trzepocą mi powieki. O co mu chodzi? Oczekuje, że się wypowiadam?

- Chcę, żebyś jak najprędzej mnie stąd wyostał - oznajmiam zbyt obcesowo.

Zaczyna wyjaśniać, że policja ma ustawowo zagwarantowane prawo dokonywania zatrzymań na czterdzieści osiem godzin i w tym czasie musi albo postawić zarzuty, albo wypuścić podejrzanego, o ile nie zostanie wcześniej uwolniony nakazem sądu.

- Czyli mogę tu spędzić dwie doby?

- Tak.

- Przecież to idiotyczne!

- Znałeś tę dziewczynę?

- Tak.

- Umówiłeś się z nią tamtego wieczoru, kiedy zginęła?

- Nie.

Simon robi notatki. Pochyliła się nad brulionem, pisze coś rozstrzelonymi literami i podkreśla niektóre słowa.

- To samograj - oznajmia. - Musisz jedynie dostarczyć alibi na trzynastego listopada.

- Nie mogę tego zrobić.

Simon posyła mi znużone spojrzenie, jak nauczyciel, który nie dostaje zadowolającej odpowiedzi. Następnie strzepuje pyłek z rękawa marynarki, jakby demonstracyjnie bagatelizował problem. Na koniec podnosi się energicznie i dwukrotnie puka do drzwi, dając znak, że zakończył rozmowę.

- To wszystko?

- Tak.

- Nie spytasz mnie, czy ją zabiłem? Wydaje się zmieszany.

- Swoje wyznania zostaw dla ławy przysięgłych, ale módl się, żebyś nie dotarł przed ich oblicze.

Drzwi zamykają się za adwokatem, lecz pomieszczenie jest nadal wypełnione tym, co po sobie zostawił - rozczarowaniem, szczerością i zapachem wody po goleniu.

Pięć minut później policjantka prowadzi mnie korytarzem do pokoju przesłuchań. Zdarzało mi się kiedyś bywać w takich miejscach. Na początku kariery zawodowej jako mąż zaufania uczestniczyłem w przesłuchaniach nieletnich.

Stół i cztery krzesła zajmują większość pomieszczenia. W kącie stoi duży magnetofon z możliwością rejestrowania czasu nagrania. Ściany i parapety są puste. Po wejściu do pokoju policjantka natychmiast zajmuje miejsce przy drzwiach i unika mojego wzroku.

Zjawia się Ruiz w towarzystwie młodszego i wyższego detektywa, o pociągłej twarzy i krzywych zębach. Za nimi podąża Simon.

- Kiedy dotknę twego łokcia, masz zamilknąć - szepce mi do ucha.

Kiwam głową na zgodę.

Ruiz, nie zdejmując kurtki, zajmuje miejsce naprzeciw mnie. Pociera dłonią zarost na podbródku.

- Odbywa się drugie formalne przesłuchanie profesora Josepha Paula O'Loughlina, podejrzanego o zabójstwo Catherine Mary McBride - wypowiada to zdanie ze względu na włączony magnetofon.

- Podczas przesłuchania obecni są: detektyw inspektor Vincent Ruiz, detektyw sierżant John Keebal oraz adwokat doktora O'Loughlina, mecenas Simon Koch. Jest godzi na ósma czternaście.

Policjantka sprawdza, czy wypowiedź się nagrała. Skinieniem głowy daje znak Ruizowi. On kładzie na stole obie ręce i splata palce. Patrzy prosto na mnie i milczy przez moment, a ja muszę przyznać, że ta cisza jest wielce wymowna.

- Gdzie pan przebywał wieczorem trzynastego listopada tego roku?

- Nie pamiętam.

- Czy był pan w domu z żoną?

- Nie.

- A więc jednak co nieco pan pamięta - zauważa z sarkazmem.

- Tak.

- Czy pracował pan tamtego dnia?

- Tak.

- O której pan opuścił gabinet?

- O szesnastej miałem wizytę u lekarza.

Szczegółowe pytania padają jedno za drugim. Ruiz usiłuje mnie przyszpilić. Wie równie dobrze jak ja, że kłamać jest o wiele trudniej, niż mówić prawdę. Diabeł tkwi w szczegółach. Im bardziej się w nie zagłębiamy, tym trudniej pozostać konsekwentnym. Kłamstwo przypomina kaftan bezpieczeństwa - krępuje możliwości ruchu, opinając nas coraz ciaśniej.

W końcu pyta o Catherine. Zerkam na Simona, ale on nic nie mówi. Jak dotąd ani razu się nie odezwał. Podobnie jak młodszy detektyw, który siedzi obok Ruiza, nieco z tyłu.

- Czy znał pan Catherine McBride?

- Tak.

- Gdzie pan ją poznał?

Opowiadam całą historię - o samookaleczeniach i sesjach terapeutycznych; o tym, jak zdawała się czynić postępy i jak w końcu opuściła Marsden. Dziwnie się czuję, mówiąc o przypadku klinicznym. Mój głos jest nieco napastliwy, jakbym zanadto się starał ich przekonać.

Kiedy dobiegam do końca opowieści, odwracam otwarte dłonie na znak, że to już wszystko. Widzę swoje odbicie w oczach Ruiza. Czeka na więcej.

- Dlaczego nie poinformował pan władz szpitala o problemach Catherine?

- Było mi jej żal. Uznałem, że byłoby szkoda, gdyby tak od dana pielęgniarka straciła pracę.

Kto by na tym skorzystał?

- Czy to jedyny powód?
- Tak.
- Czy miał pan romans z Catherine McBride?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek odbył pan z nią stosunek?
- Nie.
- Kiedy pan z nią rozmawiał po raz ostatni?
- Pięć lat temu. Nie pamiętam dokładnej daty.
- Dlaczego Catherine dzwoniła do pańskiego gabinetu tam tego wieczoru, kiedy zginęła?
- Nie wiem.
- Mamy zapis pozostałych połączeń, z którego wynika, że w ciągu dwóch tygodni poprzedzających śmierć dwukrotnie wybrała pański numer.
- Nie potrafię tego wyjaśnić.
- Pańskie nazwisko figuruje w jej terminarzu.

Wzruszam ramionami Kolejna zagadka. Ruiz uderza otwartą dłońią o stół i wszyscy, łącznie z Simonem, podskakujemy na krzesłach.

- Spotkał się pan z nią tamtego wieczoru.
- Nie.
- Wywabił pan ją z hotelu Grand Union.
- Nie.
- Torturował ją pan.
- Nie.

- Bzdury! - wybucha. - Celowo zataił pan informacje i przez trzy tygodnie chronił własny tyłek, kierując śledztwo na fałszywe tory, byle odsunąć od siebie podejrzenia.

Simon dotyka mego ramienia. Chce, żebym milczał. Nie zwracam na niego uwagi.

- Nie dotknąłem jej. Nie widziałem się z nią. Niczego na mnie nie macie!
- Chcę porozmawiać z moim klientem. - Simon interweniuje bardziej zdecydowanie.

Do diabła tam! Moja cierpliwość się wyczerpała.

- Jaki niby miałbym powód, żeby zabijać Catherine?! - krzyczę. - Macie moje nazwisko w terminarzu, telefon do gabinetu, ale brakuje motywu. Zróbcie, co do was należy. Znajdźcie dowody, zanim zaczniecie mnie oskarżać.

Młodszy detektyw wykrzywia twarz w uśmiechu. Orientuję się, że nie jest dobrze. Ruiz otwiera zieloną teczkę, która leży przed nim na stole. Wyjmuje z niej fotokopię jakiegoś dokumentu i posuwa ją w moją stronę.

- To pismo z dziewiętnastego kwietnia, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Jest zaadresowane do przełożonej pielęgniarek w Royal Marsden Hospital. W tym piśmie Catherine McBride oskarża pana o napaść seksualną w gabinecie na terenie szpitala. Według niej pan ją zahipnotyzował i w czasie snu hipnotycznego dotykał jej piersi i manipulował przy bieliźnie...

- Wycofała skargę. Już to panu mówiłem.

Moje krzesło przewraca się z łomotem i wtedy uzmysławiam sobie, że zerwałem się z miejsca. Młodszy detektyw okazuje się szybszy ode mnie. Jest mego wzrostu i tylko czeka na okazję, aby interweniować.

Ruiz sprawia wrażenie bardzo zadowolonego.

Simon przytrzymuje mnie za ramię.

- Profesorze O'Loughlin... Joe... radzę się uspokoić.
- Nie widzisz, co oni robią? Przekręcają fakty...
- Zadają zasadne pytania.

Przeszywa mnie strach. Ruiz ma motyw. Simon podnosi moje krzesło. Patrzą tępo w ścianę, jestem odrętwiały ze zmęczenia. Moja lewa ręka drży. Obaj detektywi wpatrują się w nią w milczeniu. Siadam i wsuwam dłoń między kolana, ażeby opanować drżączkę.

- Gdzie pan był wieczorem, trzynastego listopada.
- Na West Endzie.
- Z kim?
- Z nikim. Upiłem się. Akurat dostałem złą wiadomość na temat swego zdrowia.

To zdanie zawisa w powietrzu jak rozdarta pajęczyna, która szuka punktu zaczepienia. Simon ożywia się pierwszy i wyjaśnia, że cierpię na chorobę Parkinsona. Mam ochotę mu przerwać. To moja sprawa. Nie życzę sobie współczucia.

Ruiz nie traci refleksu.

- Czy jednym z symptomów nie jest utrata pamięci?

Tak bardzo mi ulżyło, że mam ochotę się roześmiać. Nie chciałem być uprzywilejowany.

- Gdzie dokładnie pan pił? - dąży Ruiz.
- W różnych pubach i winiarniach.
- Gdzie?
- Na Leicester Square, w Covent Garden...
- Może pan wymienić nazwy niektórych z tych lokali? Kręcę głową.
- Czy ktoś może to potwierdzić?
- Nie.
- O której pan wrócił do domu?
- Nie poszedłem do domu.

- Gdzie pan spędził noc?

- Nie pamiętam.

Ruiz zwraca się do Simona.

- Panie Koch, czy może pan pouczyć klienta...

- Mój klient jednoznacznie poinformował mnie, że nie pamięta, gdzie spędził noc. Jest świadomy, że nie wpływa to korzystnie na jego położenie.

Twarz Ruiza jest nieprzenikniona. Spogląda na zegarek, po czym wyłącza magnetofon. Przesłuchanie skończone. Przebiegam wzrokiem po twarzach moich rozmówców, zastanawiając się, co dalej. Czy już po wszystkim?

Do pokoju wraca młoda funkcjonariuszka.

- Samochody gotowe? - pyta Ruiz.

Policjantka przytakuje skinieniem głowy i przytrzymuje drzwi. Ruiz wychodzi, a młody detektyw zatrzaskuje kajdanki na moich nadgarstkach. Simon chce zaprotestować i wtedy dostaje do ręki nakaz rewizji. Adres wydrukowany wielkimi literami widnieje po obu stronach kartki. Jadę do domu.

Moje najwyraźniejsze wspomnienia z dzieciństwa, związane z okresem bożonarodzeniowym, to jasełka w St. Mark Anglican School, w których grałem jednego z trzech królów. Utkwiły mi w pamięci, bo Russell Cochrane, grający Dzieciątko, tak bardzo się denerwował, że popuścił w majtki i zmoczył przód błękitnej szaty Matki Boskiej, czyli Jenny Bond, bardzo ładnej madonny, którą tak to rozzłościło, że zepchnęła Russella z kolan, aż poleciał głową w dół, po czym kopnęła go w krocze.

Publiczność zareagowała chóralnym śmiechem, który został zagłuszony przez bolesne wycie Russella. Przedstawienie się rozsypało i trzeba było przed czasem opuścić kurtynę.

Jednak to, co rozegrało się na zapleczu, jeszcze bardziej przypominało farsę. Ojciec Russella, potężny mężczyzna z głową w kształcie pocisku, był sierżantem policji i czasami przychodził do szkoły z pogadankami o bezpieczeństwie na jezdni. Dopadł Jenny Bond za sceną i zaczął wygrażać, że zamknie ją za napaść. Ojciec Jenny wybuchnął śmiechem. I to był błąd. Sierżant Cochrane natychmiast zakuł go w kajdanki i poprowadził go przez Stafford Street do komisariatu. Pan Bond spędził noc w areszcie.

Wiadomość o naszych jasełkach dostała się do prasy krajowej. „Ojciec Matki Boskiej aresztowany” - donosił tytuł artykułu w „The Sun”. „Dzieciątko dostało kopniaka w klejnoty!” - napisano w „The Star”.

Powracam myślami do tamtych wydarzeń z powodu Charlie. Czy zobaczy mnie w kajdankach w otoczeniu policjantów? Co wtedy pomyśli o swoim ojcu?

Nieoznakowany samochód policyjny wyjeżdża z podziemnego parkingu na podjazd. Simon

siada obok mnie i nakrywa mi głowę płaszczem. Przez wilgotną wełnę prześwieca błysk fleszy i blask telewizyjnych reflektorów. Nie wiem, ilu fotoreporterów i kamerzystów zgromadziło się przed komisariatem. Słyszę liczne głosy i czuję, że samochód przyspiesza.

Na Marylebone Road ruch uliczny gęstnieje, posuwamy się w żółtym tempie. Odnoszę wrażenie, że piesi zwalniają i odprowadzają nas wzrokiem. Jestem przekonany, że mi się przypatrują - zastanawiają się, co robię na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu.

- Mogę zadzwonić do żony? - pytam.
- Nie.
- Nie wie, że jedziemy.
- No właśnie.
- Ale ona nie wie, że mnie aresztowano.
- Należało ją poinformować.

Nagle przychodzi mi na myśl gabinet. Mam na dziś poumawianych pacjentów. Trzeba poprzesuwać terminy.

- Czy mogę zatelefonować do mojej recepcjonistki? Ruiz odwraca się i spogląda przez ramię.
- Gabinet też przeszukamy.

Chcę zaprotestować, ale Simon dotyka mojego łokcia.

- To rutynowa procedura - szepce, starając się nadać głosowi uspokajający ton.

Kawalkada złożona z trzech policyjnych samochodów wjeżdża na środek naszej drogi, blokując ulicę z obydwu końców. Otwierają się drzwi i detektywi wysypują się z aut, przy czym część z nich kieruje się boczną ścieżką do ogrodu za domem.

Julianne otwiera frontowe drzwi. Na rękach ma różowe gumowe rękawice. Kiedy odgarnia na bok grzywkę, odrobina pianki przywiera do jej włosów. Detektyw podaje jej nakaz. Nie patrzy na niego. Jest skupiona na mnie. Widzi kajdanki i wyraz mojej twarzy. Jej oczy robią się ogromne pod wpływem zaskoczenia i lęku.

- Zatrzymaj Charlie w domu! - wołam. Spoglądam na Ruiza.
- Nie przy mojej córce. Proszę. - Przybieram błagalny ton. Jego wzrok pozostaje beznamiętny, lecz sięga do kieszeni po kluczyki do kajdanków. Dwaj detektywi biorą mnie pod rękę.

- Joe, co się dzieje? Co ty... - dopytuje się Julianne, ignorując policjanta, który przepycha się obok niej przez drzwi.

- Oni myślą, że mam coś wspólnego ze śmiercią Catherine.
- Jak? Dlaczego? To idiotyczne. Pomagałeś im w śledztwie. Na piętrze coś spada i tłucze się. Julianna spogląda w górę i z powrotem przenosi wzrok na mnie.

- Co oni robią w naszym domu? - Jest na krawędzi łez. - Joe, co ty zrobiłeś?

W drzwiach salonu dostrzegam buzię Charlie. Znika szybko, kiedy Julianne się odwraca.

- Siedz w pokoju, mloda damo! - nakazuje warknięciem, bardziej przestraszona niż zła.

Frontowe drzwi są szeroko otwarte, ktokolwiek będzie przechodził, może zajrzeć do środka i zobaczyć, co się tu odbywa. Słyszę, jak na górze policjanci otwierają szafki i szuflady, podnoszą materace i rozsuwają łóżka. Julianne jest rozdarta. Chce chronić dom przed zdemolowaniem, lecz jeszcze bardziej zależy jej na moich wyjaśnieniach. A ja nie mam nic do powiedzenia.

Detektywi wprowadzają mnie do kuchni, a tam natykam się na Ruiza, który przez drzwi na taras obserwuje ogród. Mężczyźni łopatami i motykami ryją mój trawnik. D.J. z papierosem przyklejonym do warg stoi oparty o huśtawkę Charlie. Przygląda mi się przez zasłonę z dymu, w jego oczach dostrzegam bezczelne zaciekawienie. Lekki uśmiezek błąka się mu w kącikach ust - jakby patrzył na właściciela porsche, któremu wlepiają mandat.

Odwraca się leniwie i upuszcza tłący się niedopałek na zwirową alejkę. Następnie pochyla się i rozcina plastik, którym jest owinięty grzejnik.

- Rozmawialiśmy z waszymi sąsiadami - wyjaśnia Ruiz. - Zakopywał pan coś w ogrodzie.

- Welonkę.

Ruiz jest całkowicie zbity z tropu.

- Słucham?

Julianne kwituje śmiechem tę absurdalną sytuację. Znaleźliśmy się w skeczu Monty Pythona.

- Zakopał złotą rybkę Charlie - wyjaśnia. - Pod śliwą, obok chomika Harolda.

Kilku detektywów za naszymi plecami nie może opanować chichotu. Ruiz ma marsową minę. Wiem, że nie powinienem go drażnić, ale śmiech sprawia mi ulgę.

2

Twarda jak beton prycza uwiera mnie w biodro i w bark. Od kiedy się położyłem, krew pulsuje mi w uszach, a umysł galopuje. Pragnę pogрузić się w kojącej pustce. Zamiast tego prześladowają mnie groźne myśli rozdmuchane przez wyobraźnię.

Do tej pory Ruiz przesłuchał już Julianne. Zapytał, gdzie byłem trzynastego listopada. Powiedziała mu, że spędziłem noc z Jockiem. Nie wie, że to kłamstwo. Powtórzyła informację, którą usłyszała ode mnie.

Ruiz przepytą również Jocka, a on powie, że tamtego dnia opuściłem jego gabinet o piątej. Zapraszał mnie na drinka, lecz podziękowałem. Powiedziałem, że wracam do domu. Te wersje do siebie nie pasują.

Julianne przesiedziała cały wieczór w komisariacie z nadzieją, że się ze mną zobaczy. Ruiz zezwolił jej na pięciominutowe widzenie, ale ja nie mogłem stanąć z nią twarzą w twarz. Wiem, że to ohydne. Domyślam się, że jest przestraszona, zagubiona, zła i bardzo się martwi. Po prostu oczekuje wyjaśnień. Chce usłyszeć ode mnie, że wszystko będzie dobrze. Bardziej się boję konfrontacji z nią niż Ruiza. Jak wyjaśnię historię z Elisą? Jak mam to naprawić?

Julianne zapytała, czy nie dziwi mnie, że policja prosi o pomoc w identyfikacji zwłok kobiety, której nie widziałem pięć lat. Gładko jej wytłumaczyłem, że to jest zbieg okoliczności, że po prostu kilka rzeczy dzieje się naraz. W tej chwili zbiegi okoliczności zdają się kumulować. Czy Bobby trafił do mnie jako pacjent przez przypadek? Albo czemu Catherine zadzwoniła do mego gabinetu wieczorem w dniu swojej śmierci? Gdzie kończy się zbieg okoliczności, a zaczyna logiczny ciąg zdarzeń?

Nie wpadam w paranoję. Nie widzę kątem oka przyczajonych cieni ani nie czuję wokół siebie złowieszczygo spisku. Niemniej dzieje się tu coś poważniejszego od sumy poszczególnych wydarzeń.

Z tą myślą zapadam w sen. Budzę się gwałtownie w środku nocy; dyszę ciężko i serce mi wali. Nie widzę, kto czy co mnie ściga, lecz wiem, że tu jest i obserwuje, czeka i naigrawa się ze mnie.

Każdy dźwięk potęguje się w surowej celi. Leżę i nasłuchuję skrzypienia sprężyn w pryzkach, ciurkania wody w rezerwuarach, mamrotania pijaków przez sen i odgłosu kroków strażników na korytarzu.

Dzisiaj jest ten dzień. Albo zostanę postawiony w stan oskarżenia, albo mnie wypuszczą. Powinienem odczuwać większy niepokój i bardziej to przeżywać. Tymczasem czuję się nieobecny i zdystansowany od tego, co się dzieje. Przemierzam celę, myśląc, jakie dziwne bywa życie. Weźmy wszystkie zakręty losu, zbiegi okoliczności, niefortunne przypadki, pomyłki i nieporozumienia. Nie jestem zły ani rozgoryczony. Wierzę w system. Wkrótce się przekonają, że poszlaki przeciwko mnie są zbyt słabe. Będą zmuszeni mnie wypuścić.

Zadziwia mnie to optymistyczne nastawienie, zwłaszcza biorąc pod uwagę mój z natury cyniczny stosunek do świata oraz opinię na temat wymiaru sprawiedliwości. Porządni ludzie dostają po głowie każdego dnia. Widziałem tego dowody. To nie ulega kwestii. A jednak nie boję się, że coś takiego mi się przytrafi.

Winie o to moją matkę i jej niezachwianą wiarę w osoby reprezentujące władzę, takie jak policjant, sędzia czy polityk. Wychowała się na wsi w okolicy Cotswolds, gdzie posterunkowy z miasteczka objeżdżał teren na rowerze, znał wszystkich mieszkańców z nazwiska i załatwiał większość kolizji z prawem w pół godziny. Był uosobieniem uczciwości i sprawiedliwości. Moja matka nigdy nie zmieniła poglądów na temat policji, pomimo regularnych doniesień o preparowaniu dowodów, łapówkarstwie i fałszowaniu zeznań. „Bóg stworzył więcej ludzi dobrych niż złych” - mawia, jakby istota rzeczy leżała w liczbie ludności. A jeśli ten argument staje się wielce nieprzekonujący, dodaje: „Dostaną za swoje na tamtym świecie”.

Otwiera się kłapa w dolnej części drzwi i do celi wjeżdża drewniana taca. Dostaję sok pomarańczowy w plastikowej butelce, jakąś szarą breję, chyba jajecznicę, oraz dwie kromki, którymi pomachano nad tosterem. Odsuwam tacę na bok i czekam na Simona.

Wygląda bardzo zabawnie w jedwabnym krawacie ze wzorem w liście ostrokrzewu i srebrne dzwoneczki. Zapewne podobny krawat dostanę od Charlie na gwiazdkę. Zastanawiam się, czy Simon był kiedykolwiek żonaty i czy ma dzieci.

Nie może zostać dłużej; musi iść do sądu. Z te czki wystają mu pukle peruki z końskiego włosia. Policja zażądała próbki krwi i włosów, oznajmia. Nie ma problemu. Starają się również o pozwolenie na przesłuchanie moich pacjentów, lecz sędzia odmówił dostępu do kartoteki. Bardzo słusznie.

Najważniejsza wiadomość dotyczy dwóch telefonów, które Catherine wykonała do mego gabinetu. Niech Bóg błogosławi Meenę i jej bawełniane skarpetki za to, że powiedziała detektywom, iż to ona rozmawiała z Catherine na początku listopada.

Zupełnie zapomniałem o poszukiwaniach nowej recepcjonistki. Meena umieściła ogłoszenie w „Guardianie”, w sekcji „Praca w zawodach medycznych”. Była tam mowa o doświadczonej asystentce medycznej lub kandydatce z wykształceniem pielęgniarstkiem. Wpłynęło ponad osiemdziesiąt podań.

- Meena dokonała wstępnej selekcji, zostawiając na liście dwanaście nazwisk - wyjaśniam Simonowi, coraz bardziej pod ekscytowany.

- Catherine znalazła się na liście.

- Tak. Być może. Rzeczywiście. To by wyjaśniało te telefony. Meena będzie zorientowana. - Czy Catherine wiedziała, że ubiega się o posadę recepcjonistki u mnie? Meena musiała wy mienić moje nazwisko. Może Catherine chciała mnie zaskoczyć? A może uważała, że nie dopuszczę jej do rozmowy kwalifikacyjnej.

Simon chwyta krawat pomiędzy wskazujący i środkowy palec i udaje, że go odcina.

- Dlaczego kobieta, która oskarżyła cię o molestowanie seksualne, chce zostać twoją recepcjonistką? - pyta tonem pro kuratora.

- Nie molestowałem jej.

Pozostawia to stwierdzenie bez komentarza. Spogląda na zegarek i zamyka teczkę.

- Uważam, że nie powinieneś odpowiadać policji na więcej pytań.

- Dlaczego?

- Bo coraz bardziej się pogrążasz.

Simon zarzuca płaszcz i pochyla się, żeby zetrzeć smużkę kurzu ze lśniącego jak lustro czarnego buta.

- Zostało im jeszcze osiem godzin. Jeśli nie wypłynie nic nowego, wieczorem znajdziesz się w domu.

Leżę na pryczy z rękami pod głową i patrzę w sufit. W narożniku ktoś napisał: „Dzień bez słońca jest jak... noc”. Do sufitu musi być jakieś dwanaście stóp. Jak udało mu się sięgnąć tak

wysoko?

Dziwna sprawa takie odcięcie od świata. Nie mam pojęcia, co się działo w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Zastanawiam się, co mi umknęło. Na szczęście moi rodzice zdążyli wyjechać do Walii. Charlie zacznie ferie zimowe; bojler będzie naprawiony, Julianne zapakuje prezenty i położy je pod choinkę... Jock odkurzy swój strój świętego Mikołaja i uda się na coroczny obchód dziecięcego oddziału. No i pozostaje jeszcze Bobby – co u niego?

Po południu zostaję ponownie wezwany do pokoju przesłuchań. Czekają tam Ruiz i ten sam detektyw w stopniu sierżanta. Simon wchodzi zaspany po wspinaczce po schodach. Trzyma w dłoni kanapkę w plastikowym pojemniczku i butelkę soku pomarańczowego.

- Późny lunch - usprawiedliwia się. Włączają magnetofon.

- Profesorze O'Loughlin, proszę mi pomóc - odzywa się Ruiz z przymilnym uśmiechem. - Czy to prawda, że zabójcy często powracają na miejsce zbrodni?

Do czego zmierza? Spoglądam na Simona; daje znak, że powinienem odpowiedzieć.

- „Zabójca z podpisem” czasami powraca, lecz przeważnie są to historie wysane z palca.

- Co to znaczy „zabójca z podpisem”?

- Każdy zabójca ma indywidualny sposób postępowania. To coś w rodzaju śladu na miejscu zbrodni, podpisu. Sposób związania ofiary czy pozbycia się ciała. Niektórzy z nich czują nieodpartą potrzebę powrotu na miejsce zabójstwa.

- Dlaczego?

- Istnieje mnóstwo prawdopodobnych hipotez. Być może chcą w wyobraźni jeszcze raz przeżyć to, co zrobili, albo poszukać pamiątki. Niektórych gnębi poczucie winy lub zwyczajnie chcą trzymać się w pobliżu.

- Dlatego porywacze często pomagają w poszukiwaniach?

- Tak.

- A podpalacze uczestniczą w gaszeniu pożaru? Przytakuję skinieniem głowy. Sierżant udaje posąg z Wyspy

Wielkanocnej. Ruiz otwiera teczkę i wyjmuje kilka zdjęć.

- Gdzie pan był w niedzielę, dwudziestego czwartego listo pada?

A więc o to chodzi - to trzyma w zanadrzu.

- Odwiedziłem moją cioteczną babkę. Iskierki podniecenia zapalają się w jego oczach.

- O której godzinie?

- Przed południem.

- Gdzie ona mieszka?

- Na cmentarzu Kensal Green. Prawda go rozczarowuje.

- Mamy ujęcia pańskiego samochodu na parkingu, zarejestrowane za pomocą telewizji

przemysłowej. - Posuwa po blacie biurka fotografie, na których podaje karton z liśćmi w wyciągnięte ramiona Charlie.

Ruiz wyciąga z teczki kolejną kartkę.

- Pamięta pan, w jaki sposób odkryliśmy ciało?

- Mówił pan, że pies je wygrzebał.

- Rozmówca nie podał nazwiska ani numeru kontaktowego. Zatelefonował z budki przy wejściu na cmentarz. Czy widział pan kogoś w pobliżu?

- Nie.

- Czy korzystał pan z budki telefonicznej? On chyba nie sugeruje, że to ja dzwoniłem?

- Stwierdził pan, że zabójca musi dobrze znać tamten teren.

- Tak.

- Jak by pan opisał swoją znajomość okolicy?

- Panie inspektorze, sądzę, że wiem, do czego pan zmierza. Nawet gdybym rzeczywiście zabił Catherine i zagrzebał przy kanale, czy naprawdę pan myśli, że sprowadziłbym córkę i żonę, żeby patrzyły, jak ją odkopujecie?

Ruiz z trzaskiem zamyka teczkę.

- Tu ja zadaję pytania - warczy. - A pan ma na nie odpowiadać.

- Prawdopodobnie wszyscy powinniśmy ochłonąć – wtrąca Simon.

Ruiz przechyla się ku mnie ponad stołem tak blisko, że widzę wyraźnie naczynka na jego nosie. Jestem gotów przysiąc, że on oddycha przez pory skóry.

- Czy jest pan skłonny porozmawiać ze mną bez obecności prawnika?

- O ile wyłączy pan magnetofon.

Simon oponuje i chce porozmawiać ze mną na osobności. Na zewnątrz, na korytarzu dochodzi między nami do szczerzej wymiany poglądów. Oznajmia, że jestem głupi. A ja się z nim zgadzam. Lecz jeśli Ruiz zdecyduje się mnie wysłuchać, może przekonam go, aby jeszcze raz przyjrzał się uważnie Bobby'emu.

- Chcę, żeby odnotowano, iż ci to odradzałem.

- Nie przejmuj się, Simon. Nikt nie będzie mieć do ciebie pretensji.

Ruiz czeka na mnie. Zapalony papieros leży na popielniczce. Wpatruje się w niego z uwagą, obserwując, jak się spala. Szary popiół tworzy krzywą wieżę, którą zburzy najlżejszy powiew.

- Myślałem, że pan rzucił.

- Rzuciłem. Lubię popatrzeć.

Popiół rozsypuje się i Ruiz odstawia popielniczkę na bok. Przywołuje mnie skinieniem głowy.

Pomieszczenie wydaje się dużo większe, gdy jesteśmy tylko we dwóch. Ruiz odsuwa się z krzesłem i opiera nogi na stole.

Czarne półbuty mają znoszone obcasy. Na kostce nad skarpetką smuga z czarnej pasty do butów.

- Zanieśliśmy pańskie zdjęcie do wszystkich barów i winiarni na Leicester Square i Charing Cross - oznajmia. - Żaden barman ani barmanka nie pamiętają pana.

- Łatwo mnie zapomnieć.

- Dzisiaj spróbujemy jeszcze raz. Może ktoś sobie coś przy pomni. Chociaż osobiście wątpię. Nie sądzę, że był pan na West Endzie.

Nie reaguję.

- Również pokazaliśmy pańską fotografię stałym bywalcom hotelu Grand Union. Nikt nie pamięta, żeby tam pana widział. Zapamiętali Catherine. Według niektórych facetów wyglądała naprawdę elegancko. Jeden z nich chciał jej postawić drinka, ale powiedziała, że jest z kimś umówiona. Czy chodziło o pana?

- Nie.

- A więc o kogo?

- Nadal uważam, że o Bobby'ego Morana.

Ruiz ciężko wzdycha i zanosi się suchym kaszlem.

- Nie rezygnuje pan, prawda?

- Catherine nie umarła tamtego wieczoru, kiedy zaginęła. Jej ciała nie znaleziono przez jedenaście dni. Ktokolwiek ją torturował, dał sobie dużo czasu na złamanie jej ducha - może na wet kilka dni. Bobby mógł to zrobić.

- Nic na niego nie wskazuje.

- Myślę, że on ją znał. Ruiz śmieje się ironicznie.

- Między tym, co robimy, istnieje duża różnica. Pan opiera swoje wnioski na przesłankach i empirycznych modelach. Parę łez wylanych nad nieszczęśliwym dzieciństwem i jest pan gotowy kierować pacjenta na dziesięcioletnią terapię. Ja zajmuję się faktami, a w chwili obecnej wszystkie wskazują na pana.

- A co z intuicją? Tak zwanym „nosem”? Myślałem, że detektywi cały czas się tym kierują.

- Nie, kiedy starają się o aprobatę budżetu na inwigilację.

Siedzimy w ciszy, mierząc przepaść między nami. Ruiz odzywa się pierwszy:

- Rozmawiałem wczoraj z pana żoną. Stwierdziła, że ostatnio jest pan trochę „nieobecny”. Zaproponował pan rodzinny wyjazd do... Stanów. Ten pomysł pojawił się nagle. Nie potrafi ła wyjaśnić, skąd.

- To nie ma nic wspólnego z Catherine. Chciałem zobaczyć trochę świata.

- Zanim będzie za późno. - Jego głos łagodnieje. - Proszę mi opowiedzieć o Parkinsonie. Taka wiadomość musi zwalić z nóg, szczególnie jeśli się ma ładną żonę, małą córkę i kwitną cą karierę

zawodową. Ile lat panu ubędzie? Dziesięć, dwadzieścia?

- Nie wiem.

- Założę się, że taka rewelacja może faceta wkurzyć. Pracuje pan z ludźmi chorymi na raka.

Proszę mi powiedzieć czy oni są rozgoryczeni i czują się oszukani?

- Niektórzy z nich, tak.

- Jestem pewien, że część z nich ma ochotę rozwalić ten świat w drobny mak. Zastanawiają się, dlaczego im właśnie przytrafił się taki gówniany los. Jak człowiek reaguje w takiej sytuacji? Schodzi pokornie, czy pomstuje? Można wyrównać rachunki i poszukać zadośćuczynienia. Nie ma nic złego w domaganiu się odrobiny surowej sprawiedliwości, jeśli nie ma innych wyborów.

Chce mi się śmiać z tych niezdarnych prób psychoanalizy.

- Tak właśnie pan postąpiłby, inspektorze? - Dopiero po chwili Ruiz orientuje się, że go oceniam. - Sądzi pan, że wstąpiłby w pana duch bojownika o sprawiedliwość?

Na moment pojawia się w jego oczach zwątpienie, lecz nie pozwala mu się zagościć tam na stałe. Chce mówić dalej; zmienić temat, ale najpierw ja muszę skorygować jego poglądy na temat ludzi przewlekle lub śmiertelnie chorych. Zgadza się, niektórzy z nich pragną odreagować frustrację wynikającą z bezzadności i braku nadziei. Lecz gorycz i gniew szybko przemijają. Zamiast uzalać się nad sobą, łapią wrogi wiatr w żagle i prą do przodu. Postanawiają cieszyć się każdą chwilą, jaka im została; czerpać z życia, ile się da.

Ruiz zsuwa nogi na podłogę i opierając płasko dłonie na stole, dźwiga się z krzesła.

- Chciałem oskarżyć pana o zabójstwo - mówi, nie patrząc na mnie - ale prokurator uważa, że mam za mało dowodów. Ma rację, lecz ja też ją mam. Będę tak długo szukał, aż ich znajdę więcej. To tylko kwestia czasu. - Patrzy w jakieś odległe miejsce.

- Pan mnie nie lubi, prawda? - pytam.

- Nieszczególnie.

- Dlaczego?

- Bo uważa mnie pan za tępego, ordynarnego prostaka, który nie czyta książek i myśli, że teoria względności ma coś wspólnego z hodowlą.

- To nieprawda.

Wzrusza ramionami i sięga do klamki.

- Ile z tego wszystkiego ma podłoże osobiste? - pytam.

- Niech pan sobie nie pochlebia - odburkuje przez niedomknięte drzwi.

Ta sama młoda funkcjonariuszka, którą widziałem kilkakrotnie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, wręcza mi teraz raketę tenisową i paczkę z zegarkiem, portfelem, obrączką i sznurowadłami. Muszę przeliczyć pieniądze, włącznie z bilonem, i podpisać odbiór depozytu.

Zegar ścienny w komisariacie pokazuje godzinę dwudziestą pierwszą czterdzieści pięć. Jaki to dzień? Środa. Za siedem dni święta. Na kontuarze stoi mała srebrna choinka udekorowana tanimi ozdóbkami z oklapłą gwiazdą na czubku. Na ścianie z tyłu transparent z napisem: „Pokój ludziom dobrej woli”.

Policjantka ofiaruje się zawołać taksówkę. Czekam w komisariacie, aż taksówkarz wywoła mnie klaksonem. Jestem zmęczony, brudny i zalutuję starym potem. Powinienem jechać prosto do domu, jednak kiedy wsuwam się na tylne siedzenie, opuszcza mnie odwaga. Mam ochotę polecić taksówkarzowi, aby jechał w przeciwnym kierunku. Nie chcę stanąć przed Julianne. W jej przypadku semantyka na nic się nie zda. Tu potrzebna jest szczerza prawda.

Nikogo w życiu tak nie kochałem, jak jej - przynajmniej do narodzin Charlie. Nic nie usprawiedliwia dopuszczenia się wobec niej oszustwa. Wiem, co ludzie by powiedzieli. Nazwaliby to klasycznym przypadkiem paranoi wieku średniego. Dobiegłem czterdziestki i z powodu lęku przed śmiercią zrobiłem skok w bok. Albo złożyliby to na karb rozczulania się nad sobą. Tego samego dnia, kiedy dowiedziałem się o mojej postępującej chorobie neurologicznej, przespałem się z inną kobietą - nachapałem się seksu i uniesień, zanim ciało odmówi mi posłuszeństwa.

Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co się stało. To nie był przypadek ani chwila zapomnienia. To był błąd. Zwykły seks. To były łzy, sperma i inna kobieta.

Jock właśnie przekazał mi tamtą złą wiadomość. Siedziałem u niego w gabinecie jak skamieniały. Ogromny krwistoczerwony motyl musiał uderzyć skrzydłami o Amazonkę, bo wibracje zwały mnie z nóg.

Jock zaproponował wspólne wyjście na drinka. Powiedziałem „nie”. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. Włóczyłem się po West Endzie, zaglądałem do barów, usiłując się czuć jak każdy przeciętny człowiek, który wypija kilka drinków, żeby odreagować.

Z początku wydawało mi się, że chcę być sam. Potem uzmysłowiłem sobie, iż muszę z kimś pogadać. Z kimś spoza mego idealnego życia; z kimś, kto nie zna Julianne ani Charlie, ani nikogo spośród moich przyjaciół czy rodziny. I tak wylądowałem przed drzwiami Elisy. To nie był przypadek. Ja ją wybrałem.

Najpierw po prostu rozmawialiśmy. Przez wiele godzin. (Julianne prawdopodobnie uznałaby, że to czyni moją zdradę jeszcze gorszą, bo w grę nie wchodziło jedynie nienasycone samcze pożądanie). O czym rozmawialiśmy? O wspomnieniach z dzieciństwa. O ulubionym sposobie spędzania wakacji.

O szczególnych piosenkach. A może o żadnej z tych rzeczy. Słowa nie grały roli. Elisa widziała, że cierpię, lecz nie pytała o powód. Wiedziała, że albo powiem, albo nie. Dla niej to nie stano wiło różnicy.

Nie bardzo pamiętam, co się potem stało. Pocałowaliśmy się. Elisa pociągnęła mnie na siebie.

Jej pięty uderzały o moje plecy. Poruszała się powoli, wchłaniając mnie. Jęknąłem, szczytując. I ból puścił.

Zostałem przez noc. Drugi raz to ja ją wziąłem. Rzuciłem Elisę na łóżko i wbijałem się w nią, aż biodra jej podskakiwały i falowały piersi. Kiedy było po wszystkim, chusteczki higieniczne, wilgotne od spermy, zaścielały podłogę jak opadłe liście.

Dziwna sprawa; spodziewałem się, że będzie mnie zżerać poczucie winy albo nachodzić wątpliwości. Normalne samopoczucie nie wchodziło w grę. Byłem przekonany, że Julianne przejrzy mnie na wylot. Nie musi wyczuć zapachu na moim ubraniu ani zauważyć szminki na kołnierzyku. Odgadnie intuicyjnie, co zrobiłem, tak jak intuicyjnie zdaje się wiedzieć o mnie wszystko.

Nigdy nie uważałem się za ryzykanta czy kogoś, kogo podnieca balansowanie na skraju przepaści. Na uniwersytecie, zanim poznałem Julianne, miałem jedną czy dwie przelotne przygody. Wtedy to się wydawało naturalne. Jock miał rację - lewicujące dziewczyny łatwiej zaciągnąć do łóżka. To było co innego.

Taksjarsz chętnie się mnie pozbywa. Stoję na dróżce i patrzę na mój dom. Jedyne światło pali się w kuchni, w oknie przy bocznej ścieżce.

Wsuwam klucz w zamek. Wchodząc, widzę w prostokącie światła sylwetkę Julianne na końcu korytarza. Stoi w drzwiach kuchni.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? Odebrałabym cię...
- Nie chciałem, żeby Charlie przychodziła do komisariatu.

Nie widzę wyrazu jej twarzy. Głos brzmi naturalnie. Odkładam sprzęt do tenisa i podchodzę do niej. Jej krótko obcięte włosy są potargane, oczy podpuchnięte z braku snu. Kiedy chcę ją objąć, wymyka się. Ledwo może na mnie patrzeć.

Nie chodzi jedynie o kłamstwo. Ściągnąłem policjantów do jej domu; otwierali szafki, zaglądali pod łóżka, grzebali w jej osobistych rzeczach. Nasi sąsiedzi widzieli mnie w kajdankach. Rozryto nasz ogród. Była przesłuchiwana i wypytywano ją o nasze intymne sprawy. Wiele godzin czekała na próżno w komisariacie z nadzieją, że się ze mną zobaczy - i to nie policja odmówiła widzenia, lecz ja. Na domiar złego nie wykonałem ani jednego telefonu, nie przekazałem ani jednej wiadomości, która pomogłaby jej to wszystko zrozumieć.

Zerkam na kuchenny stół; pokrywa go sterta rozrzuconych gazet. Wszystkie otwarte na podobnych stronach. „Psycholog aresztowany w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa McBride” - głosi jeden z tytułów. „Zatrzymano znanego psychoanalityka” - informuje inny. Są moje zdjęcia - siedzę na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu z głową nakrytą płaszczem Simona. Wyglądam na winnego. Zakryjcie płaszczem głowę Matce Teresie i też będzie wyglądać na winną. Dlaczego podejrzani to robią? Zdecydowanie lepiej by wyglądali, z uśmiechem machając

do gapiów.

Opadam na krzesło i przeglądam artykuły. Jedna z gazet umieściła moje zdjęcie zrobione aparatem z teleobiektywem, gdy kucam na dachu Marsden spięty pasami bezpieczeństwa z Malcolmem. Obok drugie, z głową zakrytą płaszczem. Ręce w kajdankach leżą na kolanach. Komunikat jest jasny - od bohatera do zera.

Julianne napełnia wodą elektryczny czajnik i sięga po dwa kubki. Ma na sobie ciemne legginsy i obszerny sweter, który kupiłem jej na Camden Market. Powiedziałem, że jest dla mnie, ale z góry wiedziałem, co będzie. Zawsze pożyczła moje swetry. Mówi, że lubi ich zapach.

- Gdzie Charlie?

- Śpi. Dochodzi jedenasta.

Kiedy woda wrze, napełnia oba kubki i wrzuca torebki z herbatą. Czuję zapach mięty. Julianne ma całą półkę najróżniejszych ziołowych herbat. Siada naprzeciwko mnie. Patrzy na mnie bez śladu emocji. Powolnym ruchem nadgarstków rozkłada dłonie. Nieznacznym gestem daje znak, że czeka na wyjaśnienia.

Chcę powiedzieć, że to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem, ale boję się, iż zabrzmiałoby zbyt banalnie. Opowiadam więc całą historię, przynajmniej tyle, ile sam wiem. Mówię, że Ruiz uważa, iż mam coś wspólnego z zabójstwem Catherine, bo moje nazwisko figurowało w jej terminarzu, który wyłowili z kanału, i że Catherine przyjechała do Londynu na rozmowę kwalifikacyjną, starając się o posadę mojej recepcjonistki. Nic o tym nie wiedziałem. Meena dokonała wstępnej selekcji. Catherine musiała przypadkiem natrafić na moje ogłoszenie.

Julianne ubiega mnie.

- Nie mogli cię aresztować tylko z tego powodu.

- Nie. Z wykazu rozmów telefonicznych wynika, że dzwoniła do mego gabinetu w wieczór zabójstwa.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie. Byłem umówiony na wizytę u Jocka. Właśnie wtedy powiedział mi o... no wiesz.

- Kto odebrał telefon?

- Nie wiem. Meena wyszła do domu wcześniej. Opuszczam oczy, uciekając przed jej wzrokiem.

- Dokopali się do skargi o molestowanie seksualne. Uważa ją, że miałem z nią romans, że groziła zniszczeniem mojej kariery zawodowej i rozbiciem naszego małżeństwa.

- Przecież ona wycofała skargę.

- No tak, ale rozumiesz, jak to wygląda.

Julianne odsuwa kubek na środek stołu i podnosi się z krzesła. Odczuwam lekką ulgę, bo jej wzrok przestaje skupiać się na mnie. Nawet nie patrząc na nią, wiem, co teraz robi - stoi przy wysokim oknie i wpatruje się w odbitą w szybie postać mężczyzny przy stole, którego, jak sądziła,

dobrze zna.

- Powiedziałeś mi, że byłeś z Jockiem. Powiedziałeś, że się upiliście. Wiedziałam, że kłamiesz.

Od początku wiedziałam.

- Upiłem się, ale nie z Jockiem.
- Z kim byłeś? - Pytanie jest krótkie, ostre i celne. To cała Julianne - spontaniczna i konkretna,

otwarta i precyzyjna w wyrażaniu myśli.

- Spędziłem noc z Elisą Velasco.
- Spałeś z nią?
- Tak.
- Uprawiałeś seks z prostytutką?
- Ona już nie jest prostytutką.
- Miałeś prezerwatywę?
- Julianne, posłuchaj mnie. Ona od lat nie uprawia prostytucji.
- Czy... miałeś... prezerwatywę?

Każde słowo zostaje dobitnie wyartykułowane. Stoi nade mną. W oczach ma łzy.

- Nie.

Uderza mnie, biorąc zamach całym ciałem. Zarzuca mną w bok, łapię się za policzek. Mam w ustach smak krwi i dzwoni mi w uszach.

Julianne kładzie mi dłoń na udzie.

- Za mocno cię uderzyłam? - pyta cicho. - Nie mam wprawy.
- Nic mi nie jest - uspokajam ją.

Uderza ponownie, tym razem jeszcze mocniej. Łąduje na czworakach, gapiąc się na deski podłogi.

- Ty egoistyczny, głupi, tchórzliwy, obleśny, zakłamany sukinsynu! - Potrząsa obolałą ręką. Jestem teraz nieruchomym celem. Biję mnie zdrową ręką, łomocze pięścią po plecach.

- Z prostytutką! - krzyczy. - Bez prezerwatywy! A potem wracasz do domu i pieprzysz się ze mną!

- Nie! Proszę cię! Nie rozumiesz...
- Wynoś się stąd! Nie chcę cię w tym domu! Więcej mnie nie zobaczysz. Ani Charlie!

Kucam na podłodze, żaloszny i śmieszny. Julianne odwraca się i wychodzi do holu. Zbieram się z podłogi i podążam za nią do salonu, rozpaczliwie pragnąc dostrzec jakiś znak, że to nie jest ostatnie słowo.

Znajduję ją klęczącą przed choinką z sekatorem w dłoni. Ścięła z góry jedną trzecią drzewka. Teraz wygląda jak duży zielony kłosz.

- Przepraszam. Nie reaguje.

- Proszę, wysłuchaj mnie.

- Po co? Co mi powiesz? Że mnie kochasz? Że tamto z nią nic nie znaczy? Że z nią się pieprzyłeś, a ze mną kochałeś?

Na tym właśnie polega trudność scysji z Julianne. Wyrzuca z siebie tyle oskarżeń naraz, że trudno na nie wszystkie odpowiedzieć zbiorowo. W czasie, kiedy usiłujesz posegregować zarzuty, ona już bombarduje kolejną serią.

Teraz płacze na dobre. W świetle lampy łyzy połyskują na jej policzkach jak koraliki.

- Popeniłem błąd. Kiedy Jock powiedział mi o Parkinsonie, potraktowałem to jak wyrok śmierci. Wszystko miało się zmienić - wszystkie nasze plany. Cała przyszłość. Wiem, że mówiłem coś odwrotnego. To nieprawda. Po co obdarowywać mnie życiem, a potem zsyłać chorobę? Czy po to dana mi jest radość oraz piękno twoje i Charlie, żeby mi to odebrać? To zupełnie jakby w jednej chwili pokazać komuś, jakie może być życie, a w drugiej oznajmić, że to się nigdy nie zdarzy.

Klękam przy niej, niemal dotykamy się kolanami.

- Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć. Potrzebowałem czasu, żeby wszystko przemyśleć. Nie mogłem z tym pójść do rodziny ani do przyjaciół, którzy litowaliby się nade mną, częstowali krzepiącymi mowami i bohaterskimi uśmiechami. Dlatego znalazłem się u Elisy. Jest obca, a zarazem darzy mnie przy jaźnią. To właśnie w niej cenię.

Julianne ociera łyzy rękawem swetra i patrzy w kominek.

- Nie zamierzałem się z nią przespać. Jakoś samo tak wyszło. Żałuję, że nie mogę tego cofnąć. Nie mamy romansu. To była jedna noc.

- A Catherine McBride? Sypiałeś z nią?

- Nie.

- Dlaczego więc chciała zostać twoją recepcjonistką? Czemu sądziła, że ją zatrudnisz po tym wszystkim, co przez nią przeszliśmy?

- Nie wiem.

Julianne spogląda na swą obolałą dłoń, a potem na mój policzek.

- Joe, czego ty chcesz? Pragniesz być wolny? Czy o to chodzi? Chcesz samotnie się z tym zmagać?

- Nie chcę pociągnąć ciebie i Charlie za sobą.

Mój rzewny ton doprowadza ją do pasji. Zaciska pięści w przypiływie irytacji.

- Dlaczego ty zawsze musisz być taki cholernie pewny siebie? Czemu nie potrafisz zwyczajnie się przyznać, że potrzebujesz pomocy? Wiem, że masz dość. Rozumiem, że czujesz się zmęczony. Ale dowiedz się, że my wszyscy też mamy dość i jesteśmy zmęczeni. Mam dość lekceważenia i zmęczyło mnie spychanie na margines. Chcę, żebyś sobie poszedł.

- Ale ja cię Kocham.

- Wyjdź!

Jej wzrok jest zimny i nieugięty.

- Może ciągle cię Kocham, Joe, ale w tej chwili nie mogę na ciebie patrzeć.

4

Kiedy po wszystkim (pakowanie, wyjście z domu, jazda taksówką) ląduję na progu Jocka, czuję się zupełnie tak samo, jak pierwszego dnia w szkole z internatem. Porzucony. Powraca jedno wspomnienie, wyraziste i bardzo realistyczne; stoję na stopniach przed Charterhouse, ojciec ściska mnie na pożegnanie, a z mojej piersi wyrывa się szloch. „Nie przy matce” - szepce ojciec.

Odwraca się, odchodzi i szepce do matki: „Nie przy chłopcu”, kiedy ona osusza oczy chusteczką.

Jock twierdzi, że poczuje się lepiej, jeśli wezmę prysznic, ogolę się i zjem porządny posiłek. Zamawia do domu hinduskie jedzenie z pobliskiej restauracji, lecz zasypiam na sofie, zanim je dostarczą. Je sam.

W smugach światła, sączących się przez żaluzje, widzę przy zlewie stos aluminiowych tacek umazanych przy brzegach pomarańczowym i żółtym sosem. Pilot od telewizora uwiera mnie w kręgosłup, pod głową mam tygodniowy program telewizyjny. Nie wiem, jakim cudem udało mi się zasnąć.

Co rusz powracam myślami do Julianne i tego jej spojrzenia. To nie było rozczarowanie. Smutek jest za małym słowem. Wyglądała tak, jakby coś w niej zamarzło. Bardzo rzadko się kłócimy. Julianne potrafi się spierać z wielkim żarem i zaangażowaniem. Jeśli chcę być zbyt sprytny albo nie reaguję, oskarża mnie o arogancję i dostrzegam urazę w jej oczach. Tym razem widziałem w nich wyłącznie pustkę. Bezkres smagany wiatrem, na którym człowiek może zginąć, zanim go pokona.

Jock nie śpi. Słyszę, jak śpiewa pod prysznicem. Usiłuję opuścić nogi na podłogę, lecz nic się nie dzieje. Na moment oblatuje mnie strach, że dopadł mnie paraliż. Po chwili orientuję się, że przygniata je ciężar pledów. Koncentruję się i nogi opornie reagują.

Daje o sobie znać bradykineza. Stres jest istotnym czynnikiem w chorobie Parkinsona. Powinienem dużo spać, regularnie ćwiczyć i unikać zmartwień. No, jasne!

Jock mieszka w dużym apartamentowcu z widokiem na Hampstead Heath. W foyer czuwa odźwierny, który, gdy pada deszcz, rozpina nad wchodzącymi parasol. Nosi liberię i zwraca się do wszystkich per „szanowna pani” i „szanowny panie”. Kiedyś Jock i jego druga żona zajmowali całe piętro, ale od rozwodu stać go jedynie na mieszkanie z jedną sypialnią. Musiał również sprzedać swojego harleya i oddać żonie letni dom w Cotswolds. Ilekroć widzi jakiś luksusowy samochód, twierdzi, że musi należeć do Natashy.

„Z perspektywy czasu widzę, że to nie były żony napawały mnie lękiem, ale teściowe” - mawia. Od rozwodu stał się, jakby to ujął Jeffrey Bernard, kimś w rodzaju przelotnego gościa, który w

porze kolacji zagląda przez okno, lub muchą na ścianie cudzych małżeńskich sypialni.

Nasza znajomość sięga czasów o wiele bardziej zamierzchłych niż studia na uniwersytecie. Ten sam położnik, w tym samym szpitalu, przyjął nas na świat tego samego dnia, w odstępie zaledwie ośmiu minut. Ten fakt miał miejsce osiemnastego sierpnia, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku w Szpitalu Położniczym Queen Charlotte's na Hammersmith. Nasze matki dzieliły pokój i położnik musiał biegać tam i z powrotem między parawanami.

Ja urodziłem się pierwszy. Jock miał taką ogromną głowę, że się zaklinował i trzeba go było wyciągać kleszczami. Do dziś zdarza mu się żartować, że pojawił się jako drugi i usiłuje to nadrobić. W rzeczywistości konkurencja z nim to nie żarty. W przedszkolu chyba szliśmy łeb w łeb. Obserwowaliśmy się nawzajem i pozostawaliśmy czujni.

Fakt, że urodziliśmy się niemal jednocześnie, a potem spotkaliśmy się dopiero po dziewiętnastu latach, dowodzi odrębności indywidualnych doświadczeń. Julianne mówi, że to los nas ze sobą zetknął. Może ma rację. Poza tym, że ten sam doktor trzymał nas do góry nogami i dał klapsa w pupę, niewiele nas łączy. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego zostaliśmy przyjaciółmi. Co ja wnosiłem do spółki? Jock był znaną postacią w kampusie, zawsze zapraszano go na najlepsze prywatki i wrywał najładniejsze dziewczyny. Moje profity były oczywiste, ale co on z tego miał? Może właśnie to „coś”, co nas do siebie przyciąga, ludzie nazywają „dobrą chemią”.

Od dawna mamy różne poglądy dotyczące polityki, a czasem także moralności, lecz jednocześnie łączy nas wiele wydarzeń z przeszłości. Jock był świadkiem na moim ślubie, ja na jego obu. Przechowujemy klucze do naszych mieszkań i kopie naszych testamentów. Wspólne przeżycia tworzą silne więzy, ale to nie jedyny powód.

Jock, który obnosi się ze swymi prawicowymi poglądami, tak naprawdę jest człowiekiem o wielkim sercu i więcej pieniędzy wydał na dobroczynność niż na którąś z byłych żon. Co roku organizuje zbiórkę funduszy na Great Ormond Street i od piętnastu lat nie opuścił ani jednego londyńskiego maratonu. W zeszłym roku pchał szpitalne łóżko, na którym jechała grupka „niegrzecznych” pielęgniarek w pończochach z podwiązkami. Bardziej przypominał Benny Hilla niż doktora Kildare'a.

Jock wyłania się z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem. Drepcze na bosaka przez hol do kuchni. Słyszę, jak otwiera i zamyka lodówkę. Kroi pomarańcze i włącza sokowirówkę przemysłowych rozmiarów. Jego kuchnia jest wyposażona w mnóstwo najróżniejszych gadżetów. Ma młynek do kawy i urządzenie do jej przesiewania oraz coś, co wyglądem bardziej przypomina pocisk armatni niż ekspres. Jock może robić gofry, maślane bułeczki, naleśniki oraz przyrządzać jajka na tuzin sposobów.

Teraz ja zajmuję łazienkę. Lustro jest zaparowane. Rogiem ręcznika wycieram na środku kółko mniej więcej wielkości twarzy. Wyglądam na wyczerpanego. Na prawym policzku odbiły mi się

wyeksponowane pozycje z programu telewizyjnego na środowy wieczór. Trę twarz wilgotną frotką.

Na parapecie kolejne gadżety, a wśród nich maszynka na baterie do wycinania włosów z nosa, której dźwięk przypomina buczenie oszalałej pszczoły uwięzionej w butelce. Stoi tam również z tuzin szamponów. To mi przypomina dom. Zawsze się śmieję, że „mazidla i powidla” Julianne zajmują każdy wolny centymetr powierzchni w naszej łazience. Wreszcie pośród tych wszystkich kosmetyków znajduję jednorazową maszynkę do golenia, piankę oraz dezodorant w sztyfcie. Niestety, wyciągnięcie tych przedmiotów grozi efektem domina dla wszystkich pojemników w łazience.

Jock wręcza mi szklanekę soku pomarańczowego i siedzimy w milczeniu zapatrzeni w ekspres do kawy.

- Mogę do niej zadzwonić w twoim imieniu - proponuje. Kręcę głową.

- Mógłbym powiedzieć, że snujesz się tu z kąta w kąt z nie szczęśliwą miną... smętny... zagubiony... zrozpaczony.

- To niczego nie zmienia.

Pyta o kłótnię. Chce wiedzieć, co ją tak wkurzyło. Aresztowanie, nagłówki w gazetach czy kłamstwo?

- Kłamstwo

- Tak się domyślałem.

Chce poznać szczegóły. Nie mam ochoty się w nie zagłębiać, ale opowiadanie idzie mi coraz składniej w miarę, jak stygnie kawa. Być może Jock ułatwi mi zorientowanie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Kiedy dochodzę do momentu oglądania zwłok Catherine w kostnicy, uderza mnie myśl, że on też mógł ją znać. Znal o wiele więcej pielęgniarek w Marsden ode mnie.

- Taa, zastanawiałem się nad tym - mówi - ale zdjęcie w gazecie nic mi nie mówiło. Policja chciała wiedzieć, czy spędziłeś ze mną tamten wieczór, kiedy zginęła - dodaje.

- Przepraszam cię za to.

- Gdzie byłeś? Wzruszam ramionami.

- A więc to jednak prawda. Zrobiłeś skok w bok.

- To nie tak.

- Chłopie, zawsze nie jest tak.

Jock zachowuje się jak uczeń i usiłuje wyciągnąć ze mnie wszystkie „pieprzne szczegóły”. Robi się marudny, kiedy nie ustępuje.

- Właściwie dlaczego nie powiedziałeś policji, gdzie byłeś?

- Woląłem tego nie robić.

Przez moment ma rozczarowaną minę, ale dalej nie naciska. Zamiast tego zmienia taktykę i robi

mi wyrzuty, że go wcześniej nie powiadomiłem. Jeśli chciałem, żeby mi zapewnił alibi, powinienem był go uprzedzić.

- A gdyby Julianne mnie zapytała? Mogłem cię wydać. Poza tym powiedziałbym policji, że byłeś ze mną, zamiast pakować cię w to szambo.

- Powiedziałeś prawdę.

- Dla ciebie bym skłamał.

- A jeśli ją zabiłem?

- I tak bym dla ciebie skłamał. Ty dla mnie zrobiłbyś to samo. Zaprzeczam ruchem głowy.

- Nie skłamałbym dla ciebie, gdybym podejrzewał, że kogoś zabiłeś.

Nasze spojrzenia krzyżują się i przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Potem Jock wybucha śmiechem i wzrusza ramionami.

- Nigdy nie wiadomo.

5

Przechodząc przez hol biurowca, w którym znajduje się mój gabinet, czuję na sobie spojrzenia recepcjonistki i strażników. Wjeżdżam windą na górę i zastaję Meenę przy biurku oraz pustą poczekalnię.

- Gdzie się wszyscy podziali?

- Odwołali wizyty.

- Wszyscy?

Pochyliam się nad biurkiem i spoglądam na dzisiejszą listę. Wszystkie nazwiska przekreślone na czerwono. Wszystkie, oprócz Bobby'ego Morana.

- Pani Lilley zmarła matka - mówi dalej Meena. - Hannah Barrymore ma grypę. Zoe musi przypilnować dzieci siostry...

Wiem, że stara się poprawić mi samopoczucie. Wskazuję na nazwisko Bobby'ego i polecam je skreślić.

- Nie dzwonił.

- Zaufaj mi.

Pomimo szczerých wysiłków Meeny, w gabinecie nadal panuje bałagan. Wszędzie widoczne ślady rewizji, w wielu miejscach dostrzegam grafitowy proszek, używany do zdejmowania odcisków palców.

- Nie wzięli żadnych akt, ale niektóre z nich są przemieszane. Mówię jej, żeby się nie przejmowała. Dokumenty nie będą potrzebne, jeśli stracę pacjentów. Meena stoi w drzwiach, szukając jakichś słów, które podniosłyby mnie na duchu.

- Czy to przeze mnie miał pan kłopoty?

- Co masz na myśli?

- Ta dziewczyna, która się ubiegała o pracę... ta, którą za mordowano... czy powinnam ją była potraktować inaczej?

- Absolutnie nie.

- Znał ją pan?

- Tak.

- Przykro mi ze względu na pana.

Pierwszy raz ktoś uznał, że śmierć Catherine mogła mnie zasmucić. Wszyscy zachowują się tak, jakbym był pozbawiony wszelkich uczuć. Może uważają, że inaczej pojmuję smutek albo potrafię go kontrolować. Jeśli tak, to się mylą. Moja praca polega na zbliżaniu się do pacjentów. Poznają ich najskrytsze lęki i sekrety. Relacja zawodowa przemienia się w osobistą. Inaczej być nie może.

Pytam Meenę o Catherine. Jaki miała głos przez telefon? Czy pytała o mnie? Policja zabrała jej dokumenty i podanie o pracę, ale Meena zachowała kserokopię jej CV.

Przynosi ją i przebiegam wzrokiem list motywacyjny i pierwszą stroną CV. Problem z życiorysami polega na tym, że nie mówią nic istotnego. Szkoły, egzaminy, studia, przebieg pracy zawodowej - żadna z tych informacji nie ujawnia charakteru ani temperamentu danej osoby. Zupełnie jakby oceniać wzrost na podstawie koloru włosów.

Ciągle jeszcze jestem zajęty czytaniem, kiedy dzwoni telefon w recepcji. Z nadzieją, że to Julianne, odbieram, zanim Meena zdąży go przełączyć. Głos w słuchawce jest jak huragan o sile 10 stopni w skali Beauforta. Eddie Barrett puszcza wiązkę malowniczych inwektyw. Szczególnie dopisuje mu wyobraźnia, kiedy zaczyna się rozwodzić, co zrobi z moim dyplomem doktorskim w przypadku braku papieru toaletowego.

- Posłuchaj, ty wielce kształcony doktorzku od świrów, składam na ciebie skargę do Brytyjskiego Towarzystwa Psychologicznego, Rady Etyki i do Rejestru Biegłych Sądowych Zjednoczonego Królestwa. A Bobby Moran wytoczy ci proces o zniesławienie, złamanie tajemnicy lekarskiej i o co jeszcze się da. To hańba! Powinni ci odebrać prawo wykonywania zawodu! A mówiąc bardziej konkretnie, jesteś dupkiem!

Nie daję mi dojść do słowa. Za każdym razem, kiedy spodziewam się przerwy w tyradzie, on nie przestaje mówić. Może właśnie w ten sposób wygrywa tyle procesów - tak długo nawija, że nikt nie ma szansy wtrącić choćby słowo.

To prawda, nie mam nic na swoją obronę. Złamałem więcej zawodowych wytycznych i zasad postępowania, niż potrafię zliczyć, ale postąpiłbym tak samo jeszcze raz. Bobby Moran jest sadystą i notorycznym kłamcą. Niemniej gnębi mnie poczucie straty. Zawodząc zaufanie pacjenta, otworzyłem drzwi i przestąpiłem próg miejsca, które powinno pozostać poza zasięgiem. A teraz czekam, kiedy te drzwi rąbną mnie w tyłek.

Eddie rozłącza się, a ja tępo wpatruję się w telefon. Naciskam guzik prostego wybierania

numerów. Na automatycznej sekretarce nagrany głos Julianne. Czuję skurcz w jelitach. Życie bez niej wydaje się nie do pomyślenia. Nie mam pojęcia, co chcę powiedzieć. Usiłuję nadać głosowi pogodne brzmienie, bo podejrzewam, że Charlie może słyszeć wiadomość. W rezultacie mówię jak święty Mikołaj. Dzwonię jeszcze raz i zostawiam kolejną wiadomość. Ta druga wypada jeszcze gorzej.

Rezygnuję z dalszych prób i biorę się za porządkowanie kartotek. Policjanci opróżnili szafki, sprawdzając, czy przypadkiem nie ukryłem czegoś w głębi szuflad. Podnoszę wzrok i widzę głowę Fenwicka w drzwiach. Stoi na korytarzu, oglądając się nerwowo przez ramię.

- Ja na słówko, stary.

- Tak?

- Okropna sprawa z tym wszystkim. Chcę ci tylko powiedzieć „głowa do góry”, no, wiesz. Nie daj się tym szujom.

- Dzięki, Fenwick. Przeszępuje z nogi na nogę.

- Paskudna historia. Cholera. Jestem pewien, że zrozumiesz. Ten cały zły rozgłos i to wszystko... - Wygląda żałośnie.

- Fenwick, o co ci chodzi?

- Stary, biorąc pod uwagę okoliczności, Geraldine zasugerowała, że może lepiej, abyś nie był moim świadkiem. Co by inni faceci powiedzieli? Strasznie mi przykro. Głupio tak kopać leżącego.

- W porządku. Życzę szczęścia.

- No dobra. Ummm... mmm... No to już sobie pójdę. Do zobaczenia na zebraniu po południu.

- Na jakim zebraniu?

- Rany, nikt ci nie powiedział? O kurde! - Oblewa się rumieńcem.

- Nie.

- Cóż, to naprawdę nie moja sprawa... - Mamrocze coś pod nosem i potrząsa głową. - Wspólnicy zwołali zebranie na czwar tą. Niektórzy z nas, ja oczywiście do nich nie należę, niepokoją się, jak to wszystko wpłynie na praktykę. Niezdrowy rozgłos i tym podobne historie. Nalot policji i watahy reporterów zadających pytania niczego dobrego nie wróżą. Rozumiesz.

- Naturalnie - uśmiecham się przez zaciśnięte zęby. Fenwick wycofuje się z drzwi. Meena rzuca mu takie spojrzenie, które każe mu czym prędzej zniknąć.

Nie ma polubownych rozwiązań. Moi szanowni koledzy będą dyskutować o moim udziale w spółce - chodzi o wykluczenie. Liczą na moją rezygnację. Padną starannie dobrane słowa, a rozmowa z głównym księgowym dyskretnie zamknie sprawę. Chrząnąć to wszystko!

Fenwick jest już w połowie korytarza.

- Powiedz im, że zaskarżę spółkę, jeśli spróbują mnie wy rzucić! - wołam za nim. - Nie złożę rezygnacji!

Spojrzenie Meeny mówi mi, że się ze mną solidaryzuje. Widzę w nim coś jeszcze, jakby współczucie. Nie nawykłem, aby się nade mną litowała.

- Chyba powinnaś pójść do domu - mówię. - Nie ma sensu, abyś tu siedziała.
- A kto będzie odbierał telefony?
- Nie spodziewam się żadnych telefonów.

Meena zbiera się do wyjścia dwadzieścia minut; przekłada papiery na biurku i co rusz rzuca mi niespokojne spojrzenie, jakby łamała jakąś zasadę sekretarskiej lojalności. Gdy zostaję sam, zamykam żaluzje, odsuwam na bok nieposegregowane teczki i zagłębiam się w fotelu.

Jakie lustro stłukłem? Pod jaką drabiną przeszedłem? Nie wierzę w Boga ani w los czy w przeznaczenie. Może działa tu zasada rachunku prawdopodobieństwa? Może Elisa miała rację? Zbyt łatwo mi się żyło. Wygrywałem przy każdym istotnym rzucie monetą, a teraz szczęście się odwróciło.

Starożytni Grecy zwykli mawiać, że Fortuna była bardzo piękną dziewczyną o kręconych włosach, przechadzającą się między ludźmi. Może miała na imię Karma. To kapryśna kochanka, roztropna kobieta, dziwka i kibic Manchester United. Kiedyś należała do mnie.

Kiedy idę do Covent Garden - pada. W restauracji otrząsam płaszcz i podaję go kelnerce. Kropelki deszczu spływają mi po czole. Elisa, otulona ciepłym czarnym płaszczem z futrzanym kołnierzem przychodzi kwadrans później. Pod spodem ma granatową bluzeczkę na cienkich ramiączkach i odpowiednio dobraną mini spódnicę. Rajstopy są ciemne, ze szwem. Osusza twarz papierową serwetką i przeczesuje włosy palcami.

- Teraz nigdy nie noszę parasolki.
- Dlaczego?
- Miałam kiedyś taką z rzeźbioną rączką. W trzonku był sztylet... na wszelki wypadek. Widzisz, jak mnie wyszkoliłeś? - Śmieje się i pociąga usta pomadką. Korci mnie, żeby dotknąć palcami czubka jej języka.

Trudno zdefiniować uczucie, jakie towarzyszy człowiekowi, kiedy siedzi w restauracji z taką piękną kobietą. Mężczyźni przyglądają się Julianne, lecz Elisa wzbudza w nich prawdziwy głód, ich trzewia drżą, a serca łomoczą. Jest w niej jakaś wysublimowana, spontaniczna i naturalna zmysłowość. Jakby poddała swą seksualność procesowi rafinacji, filtracji i destylacji do tego stopnia, iż mężczyźni są w stanie uwierzyć, że wystarczy jedna kropla, aby ich zaspokoić na całe życie.

Elisa ogląda się za siebie przez ramię i momentalnie przyciąga uwagę kelnera. Zamawia sałatkę nicejską, ja wybieram penne carbonara.

Zazwyczaj towarzystwo Elisy dodaje mi pewności siebie, lecz dziś czuję się stary i zużyty jak sękaty drzewo oliwne o szorstkiej korze. Elisa mówi szybko i wolno je, wybierając kawałki

tuńczyka i krążki czerwonej cebuli.

Chociaż pozwalam jej mówić, odczuwam rozpacz i zniecierpliwienie. Od dzisiaj muszę zacząć się ratować. Elisa nie przestaje mi się przypatrywać. Jej oczy są jak lustro w lustrach. Przeglądam się w nich. Włosy przykleiły mi się do czoła. Sypiam po parę godzin na dobę i mam wrażenie, że ten stan trwa od tygodni.

Elisa przeprasza za „paplaninę”. Sięga ponad stołem i ściska mnie za rękę.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Waham się i po chwili zaczynam z namysłem - opowiadam o aresztowaniu i o śledztwie w związku z zabójstwem. Kiedy opisuję każdy z pogrążających mnie faktów, jej oczy chmurzy niepokój.

- Dlaczego im nie powiedziałeś, że spędziłeś noc ze mną? - pyta. - Mnie to nie przeszkadza.

- To nie takie proste.

- Ze względu na twoją żonę?

- Nie. Ona wie.

Elisa wzrusza ramionami, co dokładnie oddaje jej poglądy na małżeństwo. Nie ma nic przeciwko niemu jako instytucji, bo zawsze dostarczało jej najlepszych klientów. Żonaci mężczyźni byli milej widziani od kawalerów, bo częściej się kąpali i lepiej pachnieli.

- Więc co cię powstrzymało, żebyś powiedział o tym policji?

- Chciałem najpierw porozumieć się z tobą.

Śmieje się, bo to zabrzmiało tak staromodnie. Czuję, że się czerwienię.

- Zanim cokolwiek powiesz, chcę, żebyś się dobrze zastanowiła - przestrzegam ją. - Jeśli się przyznam, że spędziłem noc z tobą, znajdę się w bardzo trudnej sytuacji. Istnieje kodeks postępowania... etyka zawodowa. Jesteś moją byłą pacjentką.

- Ale to było wieki temu.

- Nie szkodzi. Znajdą się ludzie, którzy zechcą to wykorzystać przeciwko mnie. Już jestem uważany za odmienca z powodu pracy z prostytutkami i programów dokumentalnych w telewizji. A teraz szykują się do ataku w związku z tą sprawą... i dowiedzą się o tobie.

Oczy jej błyszczą.

- Nie muszą. Pójdę na policję i złożę zeznanie. Powiem im, że byłeś ze mną. Nikt więcej nie musi o tym wiedzieć.

Zbieram w sobie resztki uprzejmości, jakie mi jeszcze pozostały, lecz moje słowa nadal brzmią brutalnie.

- Pomyśl, co będzie, jeśli zostanę oskarżony. Będziesz mu siała zeznawać w sądzie. Prokurator stanie na głowie, żeby podważyć moje alibi. Jesteś byłą prostytutką. Byłaś oskarżona o umyślne uszkodzenie ciała. Siedziałaś w więzieniu. Poza tym byłaś moją pacjentką. Poznałem cię, kiedy

miałaś zaledwie piętnaście lat. Obojętnie, ile razy powiemy, że chodzi o jedną noc, i tak będą myśleć, że to trwało dłużej... - Spływa ze mnie cała energia, kiedy wbijam widelec w makaron.

Błyska zapalniczka Elisy. Ogień odbija się w jej oczach, które już zdają się płonąć. Nigdy nie widziałem jej tak blisko utraty kontroli nad emocjami.

- Sam zdecyduj - mówi cicho. - Ja chętnie złożę zeznanie. Nie boję się.

- Dziękuję.

Siedzimy w milczeniu. Po chwili wyciąga rękę ponad stołem i po raz drugi ściska mą dłoń.

- Nie powiedziałeś mi dotąd, dlaczego tamtego wieczoru byłeś taki poruszony.

- To już nie ma znaczenia.

- Czy twoja żona bardzo się przejęła?

- Tak.

- Poszczęściło jej się, że ma ciebie. Chyba zdaje sobie z tego sprawę.

6

Kiedy otwieram drzwi gabinetu, wyczuwam czyjaś obecność. Zegar z chromowaną tarczą, wiszący nad szafką na akta, wskazuje wpół do czwartej. Przed biblioteczką zastaję Bobby'ego Morana. Jakby nagle wyrósł spod ziemi.

Odwraca się gwałtownie. Nie wiem, który z nas jest bardziej zaskoczony.

- Pukałem. Nikt nie odpowiedział. - Opuszcza głowę. - Byliśmy umówieni - dodaje, czytając w mych myślach.

- Nie powinieneś się raczej umówić z adwokatem? Słyszałem, że chcesz mnie oskarżyć o zniesławienie, naruszenie tajemnicy lekarskiej i o co jeszcze się da.

Jest wyraźnie zmieszany.

- Pan Barrett mówi, że powinienem to zrobić. Uważa, że mógłbym dostać dużo pieniędzy. - Przepycha się obok mnie i staje przed biurkiem. Jest bardzo blisko. Czuję zapach frytury i cukru. Wilgotne włosy przylgnęły mu do czoła, układając się w postrzępioną grzywkę.

- Po co przyszedłeś?

- Chciałem się z panem zobaczyć. - W jego głosie pobrzmiwa jakaś niebezpieczna nuta.

- Nie potrafię ci pomóc, Bobby. Nie byłeś ze mną szczery.

- A pan jest zawsze uczciwy?

- Staram się.

- Jak? Mówiąc policji, że zabiłem tamtą dziewczynę? Bierze z mego biurka szklany przycisk do papieru i waży go w prawej, a potem w lewej dłoni. Podnosi go do światła.

- Ta kula jest z kryształu?

- Odłóż to, proszę.

- Czemu? Boi się pan, że mogę trzasnąć tym pana w głowę?

- Może byś usiadł?

- Pan pierwszy. - Wskazuje mi fotel. - Dlaczego pan został psychologiem? Tylko niech pan mi nie opowiada, niech zgadnę... o dominującym ojcu i nadopiekuńczej matce. A może był jakiś ponury rodzinny sekret? Krewny, który zaczął wyć do księżyca, albo ukochana cioteczka, którą trzeba było zamknąć w zakładzie?

Nie podejrzewa, jak bliski jest prawdy, nie dam mu tej satysfakcji.

- Nie jestem tu po to, aby o mnie rozmawiać. Bobby zerka na zegar poza mną.

- Jak pan mógł powiesić dyplom? To jakiś żart! Jeszcze trzy dni temu miałem na pana temat zupełnie inne zdanie. A teraz chce pan stanąć w sądzie i mówić sędziemu czy ma mnie za mknąc czy nie. Kto panu daje prawo rujnować czyjeś życie? Pan mnie nie zna.

Słuchając go, odnoszę wrażenie, że po raz pierwszy mam do czynienia z prawdziwym Bobbym Moranem. Upuszcza przycisk na biurko, kula toczy się powoli i spada mi na kolana.

- Zabiłeś Catherine McBride?

- Nie.

- Znałeś ją?

Patrzy mi prosto w oczy.

- Niezbyt to panu wychodzi, co? Spodziewałem się czegoś więcej.

- To nie jest gra.

- Nie. To coś znacznie poważniejszego. Przyglądamy się sobie w milczeniu.

- Bobby, wiesz, kogo nazywa się notorycznym kłamcą? - przerywam ciszę. - To ktoś, kto w każdej sytuacji posuwa się do kłamstwa, zamiast mówić prawdę, niezależnie od okoliczności.

- Podobno tacy jak pan potrafią rozpoznać, kiedy ktoś kłamie.

- To nie zmienia faktu, kim jesteś.

- Ja tylko przekreśliłem kilka imion i nazw miejsc, a resztę pan sam źle zinterpretował.

- A Arky?

- Zostawiła mnie pół roku temu.

- Mówiłeś, że pracujesz.

- Powiedziałem, że jestem pisarzem.

- Potrafisz snuć opowieści.

- Teraz pan się ze mnie wyśmiewa. Wie pan, co jest nie tak z takimi jak pan? Nie potraficie się powstrzymać, żeby nie wsadzać łap w czyjąś psychikę i nie zmieniać sposobu patrzenia na świat. Odgrywanie Boga, majstrujecie przy cudzym życiu...

- Kto to są ci „tacy jak ja”? Do kogo wcześniej chodziłeś?

- Nieważne - zbywa mnie. - Wszyscy jesteście tacy sami. Psychologowie, psychiatrzy,

psychoterapeuci, kabaliści, szamani...

- Byłeś w szpitalu. To tam poznałeś Catherine McBride?

- Bierze mnie pan za idiotę?

Jest bliski utraty kontroli, ale szybko się reflektuje. Brak u niego wszelkich objawów fizjologicznych towarzyszących kłamstwu - nie ulega zmianie wielkość źrenic i porów skóry, jej kolor oraz oddech pacjenta. Bobby jest jak pokerzysta z kamienną twarzą.

- Wszystko, co w życiu robiłem, każda napotkana osoba - wszystko, co dobre, złe i brzydkie ma znaczenie - przemawia z satysfakcją. - Jesteśmy sumą składowych albo składową sum. Pan mówi, że to nie jest gra, lecz to nieprawda. Zło kontra dobro. Białe kontra czarne. Niektórzy ludzie są pionkami, inni królami.

- A kim ty jesteś? - pytam. Zastanawia się.

- Kiedyś byłem pionkiem, ale doszedłem do końca szachownicy. Teraz mogę być wszystkim.

Bobby wzdycha i wstaje. Rozmowa zaczyna go nudzić. Sesja trwa dopiero pół godziny, ale wyraźnie ma dość. Nie powinniśmy byli zaczynać. Eddie Barrett zbierze dziś żniwo.

Odprowadzam Bobby'ego do recepcji. Jakaś część mnie pragnie, żeby został. Chcę potrząsnąć tym drzewem i zobaczyć, co spadnie z gałęzi. Chcę prawdy.

Bobby czeka na windę. Drzwi rozsuwają się.

- Życzę szczęścia!

Odwraca się i patrzy na mnie zdziwiony.

- Nie potrzeba mi szczęścia. - Lekko uniesione kąciki ust stwarzają pozory uśmiechu.

Siadam z powrotem przy biurku i patrzę na puste krzesło. Moją uwagę przyciąga jakiś drobiazg na podłodze. Wygląda jak mała, rzeźbiona figurka szachowa. Podnosząc go, widzę, że to wieloryb wycięty z drewna, zawieszka do kluczy z kółkiem przymocowanym do grzbietu miniaturową śrubką. Tego typu breloczki widuje się czasem przy dzieciennych plecaczkach czy torbach na ramię.

Musiał wypaść Bobby'emu. Mogę go jeszcze dogonić. Mogę zadzwonić do holu i poprosić strażników z parteru, żeby go zatrzymali. Spoglądam na zegar. Dziesięć po czwartej. Na górze zaczyna się zebranie. Nie chcę tu tkwić.

Dzięki swej budowie Bobby jest widoczny w tłumie. Przewyższa wszystkich o głowę i przechodnie zdają się rozstępować, żeby zrobić mu przejście. Pada deszcz. Wsuwam ręce w kieszenie płaszcza. Otwieram i zaciskam palce na obłym drewnianym wielorybie.

Bobby zmierza do stacji metra na Oxford Circus. Jeśli będę się trzymał w miarę blisko, istnieje szansa, że nie zgubię go w labiryncie pasażerów. Nie wiem, co mną kieruje. Zapewne potrzeba mi odpowiedzi zamiast zagadek. Chcę się dowiedzieć, gdzie i z kim mieszka.

Niespodziewanie znika mi z oczu. Walczę z chęcią puszczenia się biegiem. Idę dalej miarowym krokiem, mijając po drodze sklep monopolowy. Dostrzegam Bobby'ego przy ladzie. Wstępuję do

biura podróży, dwa wejścia dalej. Dziewczyna w czerwonej spódniczce, białej bluzce z krawatem w ukośne paski posyła mi uśmiech.

- Czym mogę służyć?
- Chciałem się tylko rozejrzeć.
- Za miejscem, gdzie można przeczekać zimę? Biorę do ręki folder Karaibów.
- No właśnie.

Bobby mija wystawę. Oddaję folder dziewczynie.

- Proszę wziąć - proponuje.
- Może w przyszłym roku.

Bobby idzie trzydzieści jardów przede mną. Ma bardzo charakterystyczną sylwetkę. Jest pozbawiony bioder, wygląda, jakby ktoś ukradł mu pośladki. Zawsze nosi wysoko podciągnięte spodnie z ciasno zapiętym paskiem.

Tłum na schodach wiodących w podziemia na stację metra gęstnieje. Bobby ma przy sobie bilet. Do wszystkich automatów biletowych kolejki. Na Oxford Circus przecinają się trzy linie metra - jeśli go teraz zgubię, mam do wyboru sześć kierunków. Przepycham się wśród ludzi, głuchy na ich pretensje. Chwytam się kołowrotu, podciągam na rękach i przerzucam nogi ponad barierką. Popelniam wykroczenie - wchodzę na stację bez biletu. Ruchome schody suną powoli w dół. Z tuneli zawiewa ciężkie powietrze tłoczone przez przejeżdżające pociągi.

Na peronie linii Bakerloo, biegnącej w kierunku północnym, Bobby przeciska się przez tłum aż na sam koniec platformy. Idę za nim, chcąc trzymać się blisko. W każdej chwili może się obejrzeć i mnie zobaczyć. Czterech czy pięciu uczniów, żywe szalki Petriego z hodowlą trądziku i łupieżu, popycha się i siłuje dla zabawy. Pozostali podróżni w milczeniu patrzą gdzieś w dal.

Podmucha wiatr i łomot. Nadjeżdża kolejka. Drzwi rozsuwają się. Niesiony tłumem wchodzę do wagonu. Kątem oka widzę Bobby'ego. Drzwi zasuwały się automatycznie, pociąg szarpie i nabiera rozpędu. Wokół zaduch mokrej wełny i starego potu. Bobby wysiada na Warwick Avenue. Na dworze już pociemniało. Ulicami suną czarne taksówki; ich opony robią więcej hałasu niż silniki. Stacja znajduje się zaledwie sto jardów od kanału Grand Union i jakieś dwie mile od miejsca, gdzie znaleziono ciało Catherine.

Przy tak małej liczbie przechodniów muszę zwiększyć odległość. Teraz Bobby jest zaledwie zarysem sylwetki. Mijając betoniarkę na ścieżce, zataczam się na bok i wpadam w kałużę. Zawodzi mnie poczucie równowagi.

Idę Blomfield Road biegnącą wzdłuż kanału, do momentu, kiedy Bobby wchodzi na kładkę na końcu Formosa Street. Reflektory oświetlają wieżę kościoła anglikańskiego. Rozpylona mgła wokół smug światła wygląda jak opadający brokat. Bobby siada na ławce i długo wpatruje się w kościół. Przywieram do drzewa, stopy drętwieją mi z zimna.

Co on tu robi? Może mieszka gdzieś w pobliżu. Zabójca Catherine musiał dobrze znać okolice kanału; nie poznał ich z planu miasta czy podczas przypadkowego spaceru. Czuł się tu swobodnie. To był jego teren. Wiedział, gdzie ukryć ciało, żeby zbyt szybko go nie odnaleziono. Nie wyróżniał się z otoczenia. Nie wyglądał na obcego.

Bobby nie mógł spotkać się z Catherine w hotelu. Można uznać to za pewnik, o ile Ruiz dobrze wykonał swoją robotę, na pewno pokazał zdjęcie Bobby'ego obsłudze hotelowej i gościom, a Bobby nie należy do ludzi, których łatwo się zapomina.

Catherine wyszła z pubu sama. Osoba, która miała się z nią spotkać, nie zjawiała się. Po przyjeździe do tego miasta zatrzymała się u znajomych na Shepherd's Bush. Za daleko na spacer z pubu do domu. Co zrobiła? Rozejrzała się za taksówką? A może poszła w stronę Westbourne Park Station? Stamtąd tylko trzy przystanki dzieliły ją od Shepherd's Bush. W takim wypadku musiałaby przejść przez most nad kanałem.

Po drugiej stronie drogi znajduje się zajezdnia London Transport. Często kursują tu autobusy; jedne wjeżdżają do zajezdni, inne z niej wyjeżdżają. Musiała spotkać tego kogoś na moście. Szkoda, że nie zapytałem Ruiza, w której części kanału znaleźli jej terminarz i telefon komórkowy.

Catherine miała pięć stóp wzrostu i ważyła sto trzydzieści cztery funty. Chloroform działa po kilku minutach, lecz ktoś o posturze i sile Bobby'ego bez trudu mógł ją obezwładnić. Zapewne wyrywała się, krzyczała. Nie należała do potulnych osób, które poddają się bez walki.

O ile moje podejrzenia, że ją znał, są słuszne, mógł nie potrzebować chloroformu, przynajmniej do czasu, gdy Catherine zorientowała się, że grozi jej niebezpieczeństwo i usiłowała uciec.

Co nastąpiło później? Niełatwo przenieść ciało. Może przeciągnął je na ścieżkę holowniczą? Nie, potrzebował kryjówki.

Musiał wcześniej ją przygotować. Mieszkanie, dom? Sąsiedzi bywają wścibscy. Wzdłuż kanału stoi sporo opuszczonych budynków fabrycznych. Czy zaryzykował i skorzystał ze ścieżki holowniczej? Pod mostami czasem nocują bezdomni albo pary wyznaczają sobie tu schadzki.

Jak cień przesuwają się obok mnie wąska łódź. Silnik pracuje tak cicho, że ledwo słyszę warkot. Jedyne światło pali się przy kole sterowym. Rzuca czerwoną poświatę na twarz sternika. Zastanawiam się. Na pośladkach i włosach Catherine znaleziono ślady oleju maszynowego i ropy.

Wyglądam zza drzewa. Ławka jest pusta! Cholera! Dokąd poszedł? Przy końcu kościoła dostrzegam sylwetkę poruszającą się wzdłuż barierki. Nie jestem pewien, czy to on. Umysł nakazuje mi biec, ale nogi odmawiają posłuszeństwa. Potykam się i padam jak długi. Niczego sobie nie złamałem. Tylko duma została zraniona.

Utykając, ruszam przed siebie i docieram do węgła kościoła, tam gdzie barierka zakręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Postać nadal jest na ścieżce, tylko teraz wyraźnie przyspiesza. Wątpię, czy uda mi się utrzymać odległość.

Co on robi? Czyżby mnie zauważył? Truchtam mozolnie, od czasu do czasu tracąc go z oczu. Wątpliwości osłabiają moje zdecydowanie. Co będzie, jeśli nagle się zatrzyma? Może na mnie czeka? Nad sobą mam sześciopasmowy łuk autostrady Westway, wsparty na potężnych betonowych słupach. Światła samochodowych reflektorów połyskują zbyt wysoko, żeby liczyć na czyjąkolwiek pomoc.

Słyszę chlupnięcie i stłumiony krzyk. Ktoś wpadł do kanału. Bije rękami o wodę. Rzucam się biegiem. Widzę niewyraźny zarys sylwetki pod mostem. W tym miejscu brzegi kanału są wyższe, a kamienne ściany czarne i oślizłe.

Usiłuję zrzucić płaszcz. Prawa ręka zaplątuje się w rękawie, potrząsam nią, aż ją uwalniam.

- Tutaj! Do mnie! - krzyczę.

Nie słyszy mnie. Nie umie pływać.

Strząsam buty z nóg i skaczę. Wpadam w lodowatą wodę i zachłystuję się. Wykrztuszam wodę przez usta i nos. Trzy wymachy ramion i jestem przy tonącym. Obejmuję go od tyłu i holuję, pilnując, aby głowa wystawała ponad wodę. Przemawiam do niego łagodnie, uspokajam. Obiecuję, że znajdziemy miejsce, umożliwiające wyjście na brzeg. Mokre ubranie ciągnie go w dół.

Odpywam od mostu.

- Tutaj sięgniesz do dna. Tylko trzymaj się przy brzegu. - Wdrapuję się po kamiennej cembrowinie, wlekąc go za sobą.

To nie Bobby. U mych stóp leży, kaszląc i charcząc, jakiś biedny włóczęga, cuchnący piwem i wymiocinami. Obmacuję jego głowę, kark i kończyny, żeby sprawdzić, czy nie doznał jakiegoś urazu. Twarz ma wymazaną śluzem z nosa i łzami.

- Co się stało?

- Jakiś popieprzony świrus wepchnął mnie do kanału! Spałem sobie w najlepsze i nagle lecę w powietrze. - Klęczy pochylony i kiwa się jak falująca podwodna roślina. - Powiadam ci, nie jest tu już bezpiecznie. To cholerna dżungla... Czy on zabrał mój koc? Jeśli tak, możesz mnie wrzucić z powrotem.

Koc został pod mostem, leży na prowizorycznym legowisku ze spłaszczonych kartonów.

- A są moje zęby?

- Nie mam pojęcia.

Klnie i zbiera swoje rzeczy, zazdrośnie przyciskając je do piersi. Proponuję, że wezwę karetkę albo policję, ale nie chce widzieć ani jednych, ani drugich. Natomiast ja trzęsę się z zimna i mam wrażenie, że wraz z powietrzem wdycham odłamki szkła.

Odnajduję mój płaszcz i buty, daję mu namoknięty banknot dwudziestofuntowy i radzę, żeby poszukał miejsca, gdzie może się wysuszyć. Prawdopodobnie kupi sobie butelczynę i rozgrzeje się od środka. Chlupocze mi w butach, kiedy wspinam się schodami na most. Na rogu stoi hotel Grand

Union.

W ostatniej chwili uderza mnie pewna myśl.

- Jak często tu nocujesz?! - wołam, przechylając się przez barierkę.

- Tylko wtedy, gdy u Ritza nie mają wolnych miejsc. Jego głos odbija się echem o kamienny łuk.

- Czy widziałeś kiedyś wąską łódź przycumowaną pod mostem?

- Nieee. Cumują kawałek dalej.

- A kilka tygodni temu?

- Wolę niczego nie pamiętać. Pilnuję własnego nosa.

Nie kwapi się do dalszej rozmowy. A ja nie mam prawa go naciskać. Niedaleko stąd mieszka Elisa. Zastanawiam się, czy nie zapukać do jej drzwi, lecz i bez tego dość już narobiłem jej kłopotów.

Po dwudziestu minutach udaje mi się zatrzymać taksówkę. Taksówkarz nie chce mnie zabrać, boi się, że zrujnuję mu tapicerkę. Proponuję dodatkowe dwadzieścia funtów. Tłumaczę, że to tylko woda. Założę się, że trafiły mu się gorsze przypadki.

Jocka nie ma w domu. Jestem taki skonany, że zsuwam buty i padam na łóżko. Nad ranem słyszę zgrzyt klucza w zamku. Podpity kobiecy chichot i stukot zrzucanych butów. Potem komentarze na temat gadżetów Jocka.

- Poczekaj, aż zobaczysz, co mam w sypialni - mówi Jock, wywołując tym jeszcze głośniejszy śmiech.

Zastanawiam się, czy są tu gdzieś zatyczki do uszu.

Jest jeszcze ciemno, kiedy pakuję sportową torbę i przyczepiam wiadomość do mikrofalówki. Na dworze zamiatarka czyści rynsztoki. Jak okiem sięgnąć, nie widać ani jednego opakowania po hamburgerach.

Jadąc przez miasto, wyglądam przez tylną szybę. Dwukrotnie zmieniam taksówki. Podejmuję gotówkę w dwóch bankomatach, a następnie łapię autobus na Euston Road.

Czuję się tak, jakbym powoli wychodził z narkozy. W ostatnich dniach mój umysł nie rejestrował wielu szczegółów. Co gorsza, przestałem słuchać intuicji.

Nie powiem Ruizowi o Elisie. Nie powinna się znaleźć w krzyżowym ogniu pytań na miejscu dla świadka. Jeśli to tylko możliwe, oszczędzę jej tych przeżyć. A kiedy wszystko się skończy - i nikt się o niej nie dowie - może uda mi się nadal wykonywać mój zawód.

Bobby Moran miał coś wspólnego ze śmiercią Catherine McBride. Jestem o tym przekonany. Jeśli policja nie wzięła go pod lupę, ja muszę to zrobić. Zwykle ludzie potrzebują motywu, aby zabić, a nie żeby pozostać na wolności. Nie dam się zamknąć w więzieniu. Nie pozwolę oderwać się od rodziny.

Na Euston Station przeglądam szybko zawartość torby. Oprócz zmiany bielizny mam notatki Bobby'ego Morana, życiorys Catherine McBride, telefon komórkowy i tysiąc funtów w gotówce. Zapomniałem zabrać zdjęcie Charlie i Julianne.

Płacę gotówką za bilet kolejowy. W ciągu piętnastu minut, jakie zostały do odjazdu pociągu, kupuję szczoteczkę i pastę do zębów, ładowarkę do telefonu oraz jeden z tych turystycznych ręczników, które wyglądają jak irchowe ściereczki.

- Macie parasole? - pytam z nadzieją. Sprzedawca patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym prosił o karabin maszynowy.

Wsiadam do pociągu z kawą z automatu w dłoni i zajmuję dwuosobowe siedzenie przodem do kierunku jazdy. Torbę stawiam przy sobie i nakrywam ją płaszczem.

Pusty peron przesuwa się za oknem, po chwili w taki sam sposób znikają północne przedmieścia Londynu. Wagon przechyla się na osiach, gdy pociąg z dużą szybkością wchodzi w zakręty. Mijamy małe stacyjki o pustych peronach, gdzie pociągi chyba się już nie zatrzymują. Jeden czy dwa samochody stoją zaparkowane na długoterminowym parkingu; lokalizacja tak pozbawiona racji bytu, że prawie spodziewam się zobaczyć wąż podłączony do rury wydechowej i bezwładne ciało przewieszane przez kierownicę.

W mojej głowie tłucze się mnóstwo pytań. Catherine ubiegata się o pracę recepcjonistki u mnie. Dwukrotnie zadzwoniła do Meeny i przyjechała do Londynu w przeddzień rozmowy kwalifikacyjnej.

Po co dzwoniła do gabinetu tamtego wieczoru? Kto odebrał telefon? Czy po zastanowieniu postanowiła mnie nie zaskakiwać? Czy chciała odwołać spotkanie? Może ktoś wystawił ją do wiatru i chciała pójść na drinka? A może chciała przeprosić mnie za sprawienie tylu kłopotów?

Wszystko to tylko domniemania. A jednak szczegóły układają się w logiczną całość. Można się na nich oprzeć. Wszystko pasuje w tej historii - poza jednym - osobą Bobby'ego.

Jego płaszcz pachniał chloroformem. Miał plamy z oleju silnikowego na mankietach. W raporcie z sekcji zwłok jest wzmianka o oleju. „Wszystko przez ten olej”, powiedział Bobby. Wiedział, że miała dwadzieścia jeden klutych ran? Zaprowadził ją na tamto miejsce, gdzie zaginęła?

Może wykorzystuje mnie do zbudowania obrony, która oprze się na niepoczytalności. Odgrywając „szalonego”, może uniknąć dożywocia. Umieszczą go w szpitalu więziennym w rodzaju Broadmoor. Potem pozytywną reakcją na terapię wprawi w zdumienie więziennego psychiatrę. W ciągu pięciu lat może znaleźć się na wolności.

Coraz bardziej przypominam go sposobem myślenia. Buduję intrygę, opierając się na zbiegach okoliczności. Nie wolno mi nie doceniać Bobby'ego. Bawił się ze mną w kotka i myszkę. Nie wiem, dlaczego.

Od czegoś muszę zacząć swoje poszukiwania. Niech na początek to będzie Liverpool. Wyjmuję

kartotekę Bobby'ego i zaczynam czytać. Otwieram nowy zeszyt, robię notatki rozstrzelonym piśmem - nazwa szkoły podstawowej, numer linii autobusowej, na której jeździł ojciec, klub, gdzie chadzali rodzice...

W tych sprawach też mógł mnie okłamać, Jednak coś mi mówi, że to nie były kłamstwa. Myślę, że zmienił niektóre imiona i nazwy miejsc, ale nie wszystkie. Zdarzenia i emocje, jakie mi opisywał, były autentyczne. Muszę znaleźć nitki prawdy i dojść po nich do środka pajęczyny.

7

Na lśniącą białą tarczę zegara, na Limę Street Station, masywne czarne wskazówki ustawiły się na jedenastej godzinie. Szybkim krokiem przechodzę przez halę, mijając po drodze bufet z kawą i publiczne toalety. Grupka nastolatek, spowita w kłęby papierosowego dymu, prowadzi rozmowę o natężeniu stu dziesięciu decybeli.

Temperaturę tutaj obniża o jakieś pięć stopni wiatr wiejący prosto znad Morza Irlandzkiego. Mam wrażenie, że lada chwila na horyzoncie zamajaczy lodowiec. Po drugiej stronie ulicy widzę St George's Hall. Transparenty z reklamą najnowszej retrospektywy Beatlesów łopoczą na wietrze.

Mijam dwa duże hotele na Limę Street i rozglądam się za czymś skromniejszym w bocznych uliczkach. W pobliżu uniwersytetu natrafiam na Albion. W holu leży wydeptany dywan, na półpiętrze rozłożyła się iracka rodzina. Małe dzieci zerkają na mnie nieśmiało zza spódnicy matki. Mężczyzn nie widać w pobliżu.

Mój pokój znajduje się na drugim piętrze. Wystarcza w nim miejsca na podwójne łóżko oraz szafę, w której drzwi przytrzymuje druciany wieszak. Na umywalce, pod kranem, plama z rdzy w kształcie kropli. Zasłony zaciągają się do połowy, na parapecie ślady po zgaszonych papierosach.

Przez moje życie przewinęło się niewiele pokoi hotelowych, jestem za to wdzięczny losowi. Z jakiegoś powodu atmosfera osamotnienia i smutku stanowi część ich wystroju.

Naciskam guzik pamięci w mojej komórce i wysłuchuję melodyjnego tonu automatycznego wybierania numeru. Automatyczna sekretarka przemawia do mnie głosem Julianne. Wiem, że ona słucha. Widzę ją. Podejmuję nieudolną próbę przeprosin i proszę, żeby odebrała telefon. Mówię, że to ważne.

Czekam... i czekam...

Podnosi słuchawkę. Serce podchodzi mi do gardła.

- Co jest takie ważne? - Głos ma oschły.
- Chcę z tobą porozmawiać.
- Nie jestem gotowa do rozmów.
- Daj mi szansę się wytłumaczyć.
- Joe, miałeś ją dwa dni temu. Zapytałam cię, dlaczego przespałeś się z prostytutką i

dowiedziałam się, że łatwiej ci z nią rozmawiać niż ze mną... - Głos jej się łamie. - Wniosek z tego, że beznadziejna ze mnie żona.

- U ciebie wszystko jest perfekcyjnie zaplanowane. Całe życie - dom, Charlie, szkoła - wszystko działa jak w zegarku. Tylko ja funkcjonuję... nie tak jak należy... przynajmniej już tak nie będzie.

- I to moja wina?

- Nie, nie to miałem na myśli.

- No cóż, wybacz, że tak bardzo się starałam. Stworzyłam nam dobry dom. Wydawało mi się, że jesteśmy szczęśliwi. Tobie się udało, Joe, masz swoją pracę i pacjentów, którzy patrzą w ciebie jak w obraz. Ja miałam tylko nas. Poświęciłam całą resztę i kochałam to. Kochałam ciebie. A teraz ty zatrujesz wodę w studni.

- Nie rozumiesz, że to, co mam, wszystko zniszczy?

- Nie, Joe, nie składaj winy na chorobę. Ty to zrobiłeś.

- To była jedna noc - mówię płaczliwie.

- Nie! To była inna kobieta! Całowałeś ją tak jak mnie. Pieprzyłeś się z nią! Jak mogłeś?

Nawet szlochając i kipiąc gniewem, pozostaje boleśnie wymowna. Jestem egoistyczny, niedojrzały, pokretny i okrutny. Zastanawiam się, które z tych określeń do mnie nie pasuje. Poddaję się.

- To był błąd - mówię słabym głosem. - Przepraszam.

- Joe, to nie wystarczy. Złamałeś mi serce. Wiesz, ile czasu będę musiała czekać na wyniki testu na AIDS? Trzy miesiące!

- Elisa jest czysta.

- Skąd wiesz? Spytałeś ją, zanim postanowiłeś nie użyć prezerwatywy? Proszę cię, kończmy już..

- Poczekaj! Proszę! Jak Charlie?

- W porządku.

- Co jej powiedziałaś?

- Że jesteś zdradzieckim skurwysynem i słabym, żalonym, zapatrzonym w siebie dupkiem.

- Nie zrobiłaś tego.

- Nie. Ale miałam ochotę.

- Nie będzie mnie w mieście przez parę dni. Policja może pytać, gdzie jestem. Dlatego lepiej, jeśli ci nie powiem.

Nie odpowiada.

- Zawsze możesz skontaktować się ze mną przez komórkę. Zadzwoń, proszę. Uściskaj mocno Charlie ode mnie. Będę kończyć. Kocham cię.

Rozłączam się szybko ze strachu przed ciszą w słuchawce.

Wychodząc, zamykam drzwi i wpycham ciężki klucz głęboko do kieszeni spodni. Na schodach dwukrotnie macam się po kieszeni. Zamiast na klucz, natrafiam na wieloryba Bobby'ego. Przesuwam po nim palcami.

Na zewnątrz podmuchy lodowatego wiatru popychają mnie po Hanover Street ku Albert Docks. Liverpool kojarzy mi się z torebką starej kobiety pełną bibelotów, różnych drobiazgów i niedojedzonych paczuszek kandyzowanych owoców. Edwardiańskie puby stoją przycupnięte tuż przy niebosiężnych katedrach i biurach w stylu art deco, które wyglądają, jakby nie mogły się zdecydować, który kontynent wybrać. Niektóre z bardziej współczesnych budynków tak szybko popadły w ruinę, że wyglądają jak salony bingo nadające się już tylko do rozbiórki.

Giełda Bawełny na Old Hali Street jest dumną pamiątką po czasach, gdy Liverpool stanowił centrum międzynarodowego handlu bawełną i zaopatrywał w surowiec przemysł włókienniczy w hrabstwie Lancashire. Kiedy w roku 1906 otwarto giełdę, w gmachu zainstalowano telefony, elektryczne windy, zsynchronizowane elektryczne zegary oraz bezpośrednią linię telegraficzną z giełdą nowojorską, która była wtedy w powijakach. Obecnie, między innymi, mieści się tu archiwum, gdzie przechowuje się trzydzieści milionów metryk narodzin, zgonów i ślubów mieszkańców Lancashire.

Dziwna zbieranina ludzi czeka w kolejce do katalogów - wycieczka szkolna, amerykańscy turyści poszukujący dalekich krewnych, starsze, nobliwe panie w tweedowych spódnicach, tropiciele dokumentów spadkowych i łowcy fortun.

Ja mam swój cel. Wydaje się on całkiem realistyczny. Stoję w kolejce do tomisk oznakowanych kolorami, gdzie mam nadzieję znaleźć wpis z datą narodzin Bobby'ego. Z jego pomocą dotrę do metryki, która z kolei dostarczy mi danych na temat jego rodziców - imion, nazwisk, miejsc zamieszkania i zawodów.

Tomy stoją na metalowych półkach uporządkowane według miesięcy i lat. Każdy rocznik z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jest podzielony na cztery księgi z nazwiskami ułożonymi alfabetycznie. O ile Bobby podał mi prawdziwy wiek, będę musiał przejrzeć tylko cztery księgi.

To powinien być rok 1980. Nie znajduję tam Bobby'ego ani Roberta Morana. Zabieram się za lata sąsiednie, przeglądając tomy wstecz do roku 1974 oraz wprzód do rocznika 1984. Coraz bardziej zawiedziona zaglądam do notatek. Zastanawiam się, czy Bobby mógł zmienić pisownię nazwiska albo prawnie dokonać jego zmiany na inne. Jeśli tak, to sprawa wygląda beznadziejnie.

Proszę w recepcji o wypożyczenie książki telefonicznej. Nie mam pojęcia, czy ujmuje ludzi moim uśmiechem, czy też ich przerażam. „Maska Parkinsona” jest nieprzewidywalna.

Bobby zmyślił adres szkoły, do której uczęszczał, lecz być może podał jej prawdziwą nazwę. W Liverpoolu są dwie szkoły imienia St Mary - tylko jedna z nich jest podstawówką. Spisuję numer

telefonu i znajduję zaciszny kąt w foyer, skąd mogę zadzwonić. Sekretarka ma liverpoolski akcent i mówi jak bohaterka filmów Kena Loacha.

- Szkoła jest zamknięta na ferie zimowe - informuje mnie. -Nie powinnam w ogóle tu być. Akurat porządkowałam biuro.

Wymyślam historyjkę o chorym przyjacielu, który pragnie odnaleźć kolegów z klasy. Szukam kronik lub zdjęć klasowych z połowy lat osiemdziesiątych. Sekretarka podejrzewa, że w szkolnej bibliotece jest tego cały regał. Proponuje, abym zadzwonił po Nowym Roku.

- Nie mogę tak długo czekać. Mój przyjaciel jest ciężko chory. Zbliża się Boże Narodzenie.
- Mogłabym sprawdzić - ofiaruje się współczująco. - Jakiego rocznika pan szuka?
- Nie jest całkiem pewien.
- Ile lat ma pański przyjaciel?
- Dwadzieścia dwa.
- Jak się nazywa?
- Myślę, że wtedy mógł nosić inne nazwisko. Dlatego muszę obejrzeć zdjęcia. Rozpoznam go.

W jednej chwili staje się nieufna. Jej podejrzliwość wzrasta, gdy proponuję, że zajdę do szkoły. Chce najpierw porozumieć się z dyrektorką. A najlepiej, żeby napisał podanie i przesłał je pocztą.

- Nie mam czasu. Mój przyjaciel...
- Przykro mi.
- Proszę poczekać! Może pani to dla mnie sprawdzić? Na żywa się Bobby Moran. Mógł nosić okulary. Rozpoczął naukę gdzieś około 1985 roku.

Waha się. Po długiej przerwie proponuje, żeby zadzwonił za dwadzieścia minut.

Wychodzę na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Przy bramie stoi mężczyzna z poczeriałym straganiarskim wózkiem.

- Pieeczoone kaaasztaany! - woła co rusz, a jego okrzyki brzmią nostalgicznie jak nawoływanie mew.

Podaje mi brunatną torebkę, a ja siadam na stopniach i obieram ciepłe kasztany z osmolonych łupin.

Moje najmilsze wspomnienia z Liverpoolu łączą się z jedzeniem. Ryba z frytkami i curry w piątkowe wieczory. Rolada z dżemem, pudding z bułki z masłem przekładanej bakalią, biszkopt z melasą, kielbasa z ziemniakami puree... Lubiłem też tutejszych ludzi - mieszaninę katolików, protestantów, muzułmanów, Irlandczyków, Afrykanów i Chińczyków - wszystkich tych szalenie dumnych spryciarzy, którzy nosili serce na dłoni i tą samą dłonią wycierali nos.

Tym razem sekretarka ze szkoły jest mniej powściągliwa. Najwyraźniej rozbudziłem jej ciekawość. Wciągnęła się w moje poszukiwania.

- Przykro mi, ale nie znalazłam żadnego Bobby'ego Morana. Jest pan pewien, że nie chodzi o

Bobby'ego Morgana? Uczył się u nas od 1985 do 1988 roku. Odszedł w trzeciej klasie.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. - Jej głos brzmi niepewnie. - Nie było mnie wtedy tutaj. Rodzinna tragedia?

Ale jest ktoś, kogo mogę zapytać - dodaje. - Jedna nauczycielka.

Zapisuje nazwę mego hotelu i obiecuje zostawić wiadomość.

Wracam do regałów z książkami o grzbietach oznakowanych kolorami i raz jeszcze przeglądam nazwiska. Dlaczego Bobby opuścił jedną literę? Chciał zerwać z przeszłością czy ukryć tożsamość?

W trzecim tomie znajduję wpis: Robert John Morgan. Urodzony: 24.09.1980 w Liverpool University Hospital. Matka: Bridget Elsie Morgan (z domu: Aherne). Ojciec: Leonard Albert Edward Morgan (marynarz floty handlowej).

Nadal nie mam pewności, czy to jest Bobby, lecz prawdopodobieństwo jest duże. Wypełniam różowy druczek, żeby zamówić odpis pełnej metryki urodzin. Urzędnik w okienku ma ostro zarysowany podbródek i duże dziurki w nosie. Przesuwa druk z powrotem w moją stronę.

- Nie podał pan powodu.

- Badam historię rodziny.

- A gdzie adres do korespondencji?

- Odbiorę u państwa.

Nie patrząc na mnie, przybija na druku pieczęć wielkości pięści.

- Proszę przyjść po Nowym Roku. W poniedziałek zamyka my na okres świąt.

- Ale ja nie mogę tak długo czekać. Wzrusza ramionami.

- Pracujemy do południa w poniedziałek. Niech pan spróbuje.

Dziesięć minut później opuszczam budynek giełdy z kwitkiem w kieszeni. Trzy dni. Nie mogę tyle czekać. Gdy dochodzę do końca ulicy, mam już gotowy nowy plan.

Budynek redakcji „Liverpool Echo” wygląda zupełnie jak kostka Rubika. W foyer pełno emerytów na jednodniowej wycieczce. Każdy z nich ma torbę z pamiątkami i plakietkę z nazwiskiem.

Młoda recepcjonistka siedzi na wysokim stołku za kontuarem z ciemnego drewna. Jest drobna z bladą cerą i oczyma o barwie curry. Po jej lewej ręce znajdują się drzwi otwierane kartą magnetyczną, oddzielające recepcję od wind.

- Jestem profesor Joseph O'Loughlin i chciałbym skorzystać z państwa biblioteki.

- Bardzo mi przykro, ale zbiory gazet nie są ogólnodostępne. Na kontuarze obok niej stoi duży bukiet kwiatów.

- Śliczne - chwałę.

- Niestety nie dla mnie. To redaktorka z działu mody dostaje prezenty.

- Jestem pewien, że panią też rozpieszczą. Wie, że flirtuję, ale przyjmuje to ze śmiechem.

- A gdybym chciał zamówić zdjęcie? - pytam.
- Trzeba wypełnić jeden z tych formularzy.
- A jeśli nie znam ani daty, ani nazwiska fotoreportera? Wzdycha.
- Panu wcale nie chodzi o zdjęcie, prawda? Kręcę głową.
- Szukam nekrologu.
- Z jakiego okresu?
- Sprzed mniej więcej czternastu lat.

Każę mi zaczekać, a sama dzwoni na górę. Potem pyta, czy mam coś, co wyglądałoby oficjalnie, na przykład przepustkę lub wizytówkę. Wsuwa ją w plastikową okładkę i przypina mi do koszuli.

- Bibliotekarka wie, że pan przyjdzie. Jeśli ktokolwiek zapyta, proszę powiedzieć, że szuka pan materiałów do medycznego artykułu.

Wjeżdżam windą na czwarte piętro i podążam korytarzami. Od czasu do czasu mijam duże pokoje redakcyjne z przeszkłonymi drzwiami. Idę pewnym krokiem z pochyloną głową. Chwilami nogi odmawiają mi posłuszeństwa i zarzucam nimi sztywno, jakby były w ortopedycznych butach.

Bibliotekarka jest po sześćdziesiątce, ma farbowane włosy i okulary połówki zawieszona na łańcuszku na szyi. Na kciuk prawej ręki nałożyła gumowy napastrzek do przewracania stron. Jej biurko otaczają dziesiątki kaktusów.

Dostrzega moje spojrzenie.

- Powietrze tutaj jest za suche dla roślin - wyjaśnia. - Wilgoć zniszczyłaby farbę drukarską.

Długie stoły są założone gazetami. Ktoś wycina artykuły i układa je starannie na sterty. Ktoś inny czyta każdy z nich, zaznaczając pisakiem nazwiska i fragmenty. Trzecia osoba, korzystając z tych danych, wpina artykuły w odpowiednie segregatory.

- Mamy zafoliowane roczniki sprzed stu pięćdziesięciu lat - wyjaśnia bibliotekarka. - Wycinki tak długo nie mogą przetrwać. Rozpadają się przy brzegach i w końcu kruszą na pył.

- Myślałem, że obecnie wszystko trzyma się w komputerze.

- Dopiero od ostatnich dziesięciu lat. Zeskanowanie wszystkich woluminów jest zbyt kosztowne. Mamy je na mikrofilmach.

Włącza komputer i pyta, czego potrzebuję.

- Szukam nekrologu, który ukazał się około 1988 roku. Leonard Albert Edward Morgan...

- Imiona po naszym starym królu.

- Zdaje się, że był konduktorem w autobusie. Być może mieszkał albo pracował na Heyworth Street.

- To w Everton - mówi, stukając dwoma palcami w klawiaturę. - Większość miejskich autobusów zaczyna lub kończy bieg na Pier Head albo Paradise Street.

Zapisuję tę informację w notesie. Staram się, żeby litery były duże i wyraźne. Przypominają mi

się czasy przedszkolne - rysowałem ogromne litery na tanim papierze kredkami, które niemal opierały się o moje ramię.

Bibliotekarka wprowadza mnie w labirynt regałów, które sięgają od podłogi aż po spryskiwacze na suficie. W końcu docieramy do biurka z blatem porysowanym ostrzami nożyków. Na środku stoi przeglądarka do mikrofilmów. Naciska klawisz i urządzenie zaczyna szumieć. Kolejnym przyciskiem włącza żarówkę i na ekranie pojawia się kwadrat światła.

Wręcza mi sześć pudełek z filmami z okresu od stycznia do czerwca 1988 roku. Nawija pierwszy film na szpulki, naciska klawisz przewijania, przyspiesza, gdy przesuwały się strony, które mnie nie interesują. Wie intuicyjnie, w którym miejscu obraz zatrzymać. Wskazuje szpalte z ogłoszeniami, a ja zapisuję numer strony z nadzieją, że będzie się powtarzać w każdym codziennym wydaniu.

Przeciągam palcem po spisie alfabetycznym w poszukiwaniu litery „M”. Upewniwszy się, że nie ma tam żadnego Morgana, przewijam film i mam już następny dzień... a po nim kolejny. Ustawianie ostrości jest żmudne i muszę ją co rusz regulować. Czasem muszę przesuwać podkładkę, bo kolumny uciekają z ekranu.

Kiedy kończę przeglądać pierwszą partię, odbieram od bibliotekarki kolejne sześć pudełek. Gazety z okresu Bożego Narodzenia mają więcej stron i przeglądanie ich zajmuje więcej czasu. Gdy dochodzę do listopada 1988 roku, mój niepokój wzrasta. A jeśli tego tu nie ma? Od ciągłego pochylania się dostałem przykurczu mięśni między łopatkami. Pieką mnie oczy.

Przesuwam film na kolejny dzień. Znajduję nekrologi. Przez kilka sekund sunę wzdłuż strony, zanim dociera do mnie, co widziałem. Cofam się w tamto miejsce, jest! Przyciskam palcem nazwisko, jakbym się bał, że może zniknąć.

Lenny A. Morgan, lat 55, zmarł w sobotę, 10 grudnia, na skutek poparzeń w wyniku eksplozji w Carnegie Engineering Works. Pan Morgan, popularny konduktor autobusu z Grenn Lane Depot w Stanley, był w przeszłości marynarzem floty handlowej oraz znanym działaczem związkowym. Pozostawił po sobie siostry Ruth i Louise oraz dwóch synów: dziesięcioletniego Dafyda, i ośmioletniego Roberta. Msza żałobna zostanie odprawiona o godzinie trzynastej w St James Church w Stanley. Rodzina prosi, aby datki zebrane podczas mszy zostały przekazane na wsparcie Socjalistycznej Partii Robotniczej.

Cofam się do gazet sprzed tygodnia. Na pewno umieszczono doniesienia o takim wypadku. Znajduję artykuł u dołu piątej strony. Tytuł głosi: „Pracownik ginie podczas wybuchu w zajezdni”.

Liverpoolski konduktor poniósł śmierć w wyniku wybuchu w Carnegie Works w sobotę po południu. Lenny Morgan, lat 55, doznał poparzeń 80% ciała, kiedy sprzęt spawalniczy spowodował zapłon gazu. Wybuch i pożar poważnie uszkodziły warsztat i zniszczyły doszczętnie dwa autobusy.

Lenny Morgan został odwieziony do Rathbone Hospital, gdzie zmarł wieczorem, nie odzyskawszy

przytomności. Liverpoolski koroner bada przyczyny eksplozji.

Przyjaciele i współpracownicy uczcili wczoraj pamięć Lenny'ego Morgana, wspominając go jako konduktora cieszącego się ogromną popularnością wśród pasażerów z powodu oryginalnego sposobu bycia. „Lenny miał zwyczaj przebierać się w okolicy Bożego Narodzenia za świętego Mikołaja i zabawiał pasażerów, śpiewając kolędy”, powiedział jego bezpośredni przełożony, Bert McMullen.

O piętnastej zwijam mikrofilm, pakuję go do pudełka i dziękuję bibliotekarce za pomoc. Nie pyta mnie, czy znalazłem to, czego szukałem. Jest zbyt pochłonięta naprawianiem grzbietu tomu, który ktoś upuścił na podłogę.

Przejrzałem gazety z dwóch następnych miesięcy, lecz nie znalazłem ani słowa więcej o wypadku. Przecież musiano przeprowadzić dochodzenie. Zjeżdżając windą, przerzucam notatki. Czego szukam? Jakiegoś powiązania z Catherine. Nie wiem, gdzie dorastała, ale jej dziadek na pewno pracował w Liverpoolu. Intuicja podpowiada mi, że Bobby zetknął się z nią albo w domu dziecka, albo w szpitalu psychiatrycznym.

Bobby nie wspominał o bracie. Zakładając, że Bridget urodziła Bobby'ego, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat, Dafyrd został zaadoptowany, albo, co bardziej prawdopodobne, Lenny był wcześniej żonaty i miał syna z pierwszego małżeństwa.

Lenny miał też dwie siostry, lecz znam tylko ich panieńskie nazwisko, co utrudnia poszukiwania. Nawet jeśli nie powychodziły za mąż, ile kobiet o nazwisku Morgan może być w liverpoolskiej książce telefonicznej? Nie chcę iść tym tropem w moich poszukiwaniach.

Wychodząc na zewnątrz obrotowymi drzwiami, jestem tak zatopiony w myślach, że robię dwa okrążenia, zanim znajdę się na dworze. Schodzę ostrożnie po schodach, prostuję się i idę w kierunku Limę Street.

Muszę przyznać, chociaż niechętnie, że te poszukiwania sprawiają mi satysfakcję. Mam motywację. Mam misję do spełnienia. Klienci, którzy zrobili zakupy tuż przed zamknięciem sklepów, wypełniają pasaże i czekają na autobusy. Kusi mnie, żeby odszukać przystanek dziewięćdziesiątka szóstki i zobaczyć, dokąd zajadę. Szczęśliwe trafy są dla ludzi lubiących niespodzianki. Wolę więc złapać taksówkę i kazać się zawieźć do zajezdni Green Lane.

8

Mechanik w jednej brudnej ręce trzyma gaźnik, a drugą wskazuje mi kierunek. Pub nazywa się Tramway Hotel, a Bert McMullen zazwyczaj przesiaduje przy barze.

- Jak go rozpoznam?

Mechanik z rechem odwraca się i pochyla nad wnętrzościami autobusu.

Bez większego trudu odnajduję Tramway Hotel. Na tablicy na zewnątrz ktoś nabazgrał kredą: „Pijąc piwo, nigdy nie powiesz, «chce mi się pić»”. Wchodzę do słabo oświetlonej sali z zdeptaną

podłogą i meblami z surowego drewna. Czerwona żarówka nad barem wypełnia wnętrze różową poświatą, jak w burdelu na Dzikim Zachodzie. Ściany udekorowane czarnobiałymi zdjęciami tramwajów i archaicznych autobusów oraz plakatami reklamującymi muzykę „na żywo”.

Idąc powoli w stronę baru, naliczyłem ośmiu gości, łącznie z kilkoma podrostkami, którzy grają w bilard we wnęce przy toaletach. Staję przy dystrybutorach do piwa i czekam, aż barman, któremu nie należy przeszkadzać, zechce łaskawie podnieść wzrok znad „Racing Post”.

Bert McMullen siedzi przy końcu baru. Pogniecioną tweedową marynarkę z latami na łokciach zdobią różne plakietki i znaczki; wszystkie tematycznie związane z autobusami. W jednej dłoni trzyma papierosa, w drugiej pustą szklankę do piwa. Obraca ją w palcach, jakby odczytywał jakiś niewidoczny napis wytrawiony w szkłe.

- Czego się gapisz? - warczy na mnie.

Krzaczaste wąsy zdają się wyrastać mu prosto z nosa, drobinki piany wiszą na ich siwych i czarnych końcach.

- Przepraszam, nie zamierzałem się przyglądać. Proponuję, że postawię mu piwo. Odwraca się na stołku i przypatruje mi się uważnie. Jego oczy, podobne do przezroczystych szklanych kulek, zatrzymują się na moich stopach.

- Ile te buty kosztowały?

- Nie pamiętam.

- Mniej więcej. Unoszę ramiona.

- Ze sto funtów. Trzęsie głową z pogardą.

- Nie dotknąłbym ich nawet kijem. Dwadzieścia mil w ta kich nie przejdiesz, a już się rozsypią.

- Nadal wpatruje się w moje buty. Kiwa na barmana. - Hej, Phil, popatrz no na te buty!

Phil przechyla się nad barem i ogląda moje stopy.

- Jak się takie nazywają?

- Mokasyny - odpowiadam bezwiednie.

- No, nie! - Obaj mężczyźni spoglądają na siebie z niedowierzaniem. - Jak można nosić buty, które nazywają się mokasyny? - dziwi się Bert. - Trzeba nie mieć rozumu.

- To włoskie buty - wyjaśniam, jakby to miało jakieś znaczenie.

- Włoskie! A co złego jest w angielskich butach? Jesteś Indiańcem?

- Nie.

- Ale nosisz indiańskie buty. - Bert przybliży twarz do mojej. Czuję zapach duszonej fasoli. - Założę się, że ktoś, kto nosi takie buty, nie przepracował porządnie ani jednego dnia w życiu. Chłopie, chodzi się w trzewikach z metalową skuwką na nosku i z wzmocnioną piętą. Takie buty jak twoje nie przeżyły by w robocie jednego dnia.

- Chyba że on siedzi za biurkiem - wtrąca barman. Bert przygląda mi się czujnie.

- Należysz do gangu marynarek?
- Co to znaczy?
- To tacy, co nigdy nie zdejmują marynarki.
- Pracuję wystarczająco ciężko.
- Głosujesz na laburzystów?
- To nie powinno cię obchodzić.
- Do kościoła chodzisz?
- Jestem agnostykiem.
- Ag- pieprzonym czym?
- Agnostykiem.
- Jezuniu! Dobra, ostatnia szansa. Kibicujesz wielkiemu Liverpoolowi? - Żegna się.
- Nie.

Wzdycha z obrzydzeniem.

- Spadaj do domu, mamunia czeka z kolacją.

Spoglądam badawczo to na jednego, to na drugiego. Problem z liverpoolczykami polega na tym, że nigdy nie wiadomo, czy żartują, czy mówią poważnie, dopóki nie potną ci twarzy rozbitą szklanką.

Bert mruga na barmana.

- Niech postawi mi piwo, ale długo tu nie siedzi. Ma pięć minut, żeby zniknąć.

Phil szczyrzy do mnie zęby. W uszy ma powtykane jeden przy drugim srebrne kolczyki i wisiorki.

Stoliki w pubie stoją wzdłuż ścian, na środku jest wolna przestrzeń do tańca. Nastolatki nadal grają w bilard. Jedyna dziewczyna między nimi, wyglądająca na niepełnoletnią, ma na sobie obcisłe dzinsy i krótki podkoszulek, który nie zasłania brzucha. Wyrastki popisują się przed nią, lecz nietrudno wyłuskać wśród nich jej chłopaka. Napakowany na siłowni, wygląda jak ropień, który lada chwila pęknie.

Bert odprowadza wzrokiem pęcherzyki gazu w szklance guinnessa. Mijają minuty. Czuję, jak robię się coraz mniejszy. W końcu przytyka szklankę do ust, a jabłko Adama podskakuje mu przy każdym łyku.

- Chciałem porozmawiać o Lennym Morganie. Pytałem w zajezdni. Powiedzieli, że byliście kolegami.

Nie okazuje żadnych emocji.

- Wiem, że zginął w pożarze - ciągnę dalej. - Wiem również, że pracowaliście razem. Chcę się dowiedzieć, co się właściwie stało.

Bert zapala papierosa.

- Nie rozumiem, czemu cię to obchodzi.
- Jestem psychologiem. Syn Lenny'ego wpadł w kłopoty. Usiłuję mu pomóc. - Słyszę własne słowa i mam lekkie poczucie winy. Czy naprawdę o to mi chodzi? Chcę pomóc?
- Jak on ma na imię?
- Bobby.
- Pamiętam go. W wolne dni Lenny zabierał go ze sobą do pracy. Siedział w tyle autobusu i dawał kierowcy sygnał dzwonkiem. Co takiego zrobił?
- Pobił kobietę. Grozi mu wyrok.
- Zdarza się - uśmiecha się ironicznie. - Spytaj moją panią. Przyłożyłem jej raz czy dwa, ale ona wali mocniej ode mnie. Ra no już nikt o tym nie pamięta.
- Ta kobieta odniosła poważne obrażenia. Bobby wywłókł ją z taksówki i skopał do nieprzytomności na ruchliwej ulicy.
- To była jego dupa?
- Nie. Nawet jej nie znał.
- Po czyjej jesteś stronie?
- Oceniam go.
- Czyli, że chcesz mu dołożyć?
- Chcę pomóc.

Bert reaguje prychnięciem. Światła samochodów z ulicy ślizgają się po ścianach.

- To wszystko mnie guzik obchodzi, synu, ale nie rozumiem, co Lenny ma z tym wspólnego. Nie żyje od czternastu lat.

- Utrata ojca może wywołać szok. Kto wie, czy to nie wyjaśnia paru rzeczy.

Bert rozważa moje słowa w milczeniu. Wiem, że uprzedzenia walczą w nim z intuicją. Nie podobają mu się moje buty. Nie odpowiada ubranie. Nie lubi obcych. Ma ochotę warknąć i przyłożyć mi z czoła, ale potrzebuje pretekstu. Kolejny duży guinness przesądza sprawę.

- Wiesz, jak wygląda mój ranek? - pyta. Kręcę głową.

- Leżę godzinę w łóżku i tak nawala mnie kręgosłup, że nie mogę nawet sięgnąć po papierosa. Gapię się w sufit i myślę, co będę dzisiaj robił. To samo co zawsze: zwlokę się z łóżka, pokuśtykam do łazienki, a stamtąd do kuchni, a po śniadaniu przyczłapię tutaj i będę siedział na tym stołku. A wiesz, dlaczego tak jest?

Znowu kręcę głową.

- Bo odkryłem tajemnicę zemsty. Przeżyć skurczybyków, leszcze zatańczę na ich grobach. Weź taką Maggie Thatcher. Zniszczyła klasę robotniczą w tym kraju. Pozamykała kopalnie, porty i fabryki. A teraz sama rdzewieje jak te, tam, statki. Nie dawno miała wylew. Nieważne, czy jesteś niszczycielem, czy małą łódeczką - zawsze w końcu przeżre cię sól. A jak ona zdechnie, wysikam

się na jej grób.

Sączy piwo do dna, jakby chciał splukać niesmak w ustach. Kiwam na barmana. Napęlnia kolejną szklanke.

- Czy Bobby przypominał wyglądem ojca?

- Niece. Był tłusty. Nosił okulary. Uwielbiał Lenny'ego; łąził za nim jak psiak; biegał na posyłki i przynosił mu herbatę. Gdy Lenny po pracy przyprowadzał go tutaj, mały siedział na ze wnątrz z lemoniadą, a Lenny wypijał kilka piw. Potem sadzał go na rower i jechali do domu.

Bert się rozkręca.

- Lenny był wcześniej marynarzem. Ramiona miał całe w tatuażach. Mało się odzywał, ale jeśli udało się go namówić, to opowiadał historie tych tatuaży, jak się dorobił każdego z nich. Wszyscy lubili Lenny'ego. Ludzie uśmiechali się, wymawiając jego imię. Był świetnym facetem. Czasami się takich wykorzystuje...

- Co masz na myśli?

- Weź jego żonę. Nie pamiętam, jak miała na imię. Była irlandzką katoliczką, sprzedawała w sklepie. Miała wielkie biodra i spuszczała majtki na zawołanie. Słyszałem, że przespał się z nią tylko raz. Ale nie on to opowiadał, był dżentelmenem. Ona zaszła w ciążę i powiedziała Lenny'emu, że to jego dziecko. Każdy inny na jego miejscu byłby podejrzliwy, a Lenny z miejsca się z nią ożenił. Kupił dom - wydał na niego wszystkie pieniądze, jakie zarobił na morzu. Wszyscy wiedzieliśmy, jaka była ta jego pani. Strasznie puszczałska. Połowa remizy pewnie ją przeleciała. Miała ksywę „numer dwadzieścia dwa” - to najbardziej uczęszczana linia.

Bert rzuca mi smutne spojrzenie, strzepując popiół z rękawa. Opowiada, jak Lenny, który z początku naprawiał silniki diesla w warsztacie, zgodził się na obniżkę płacy, żeby wyjechać na trasy. Pasażerowie uwielbiali jego zabawne czapki i przyśpiewki układane na poczekaniu. Kiedy w finałach piłkarskich mistrzostw świata w 1981 roku Liverpool pobił Real Madryt, Lenny pomalował włosy na czerwono i udekorował autobus papierem toaletowym.

Według Berta, Lenny wiedział o wyskokach żony. Obnosiła się ze swą niewiernością - chodziła w minispódniczkach i w butach na wysokich obcasach. Każdego wieczoru szła na tańce do Empire Ballroom albo do Graftonu.

Bert bez ostrzeżenia wymachuje ramionami, jakby chciał komuś przyłożyć; jego twarz wykrzywia grymas bólu.

- Był za miękki - miał zbyt miękkie serce i był naiwny. Gdy by z nieba leciała zupa, Lenny stałby z widelcem w dłoni. Niektórym kobietom należy się lanie. Zabrała mu wszystko... serce, dom, synka. Inny mężczyzna byłby ją zabił. Większość mężczyzn nie jest taka jak Lenny. Wycykała go ze wszystkiego. Wyssała mu duszę. Wydawała na miesiąc sto funtów więcej niż on zarabiał. Ciągnął dwie zmiany i jeszcze zajmował się domem. Nieraz słyszałem, jak prosił ją przez

telefon: „Zostaniesz w domu dziś wieczorem, kochanie?”. A ona tylko się z niego śmiała.

- Dlaczego jej nie zostawił? Wzrusza ramionami.

- Chyba był zaślepiony. A może mu zagroziła, że zabierze dzieciaka. Lenny nie był mięczakiem. Widziałem raz, jak wyrzucił z autobusu czterech chuliganów, bo naprzykrzali się pasażerom. Umiał sobie poradzić. Tylko z nią jakoś nie potrafił.

Bert milknie. Dopiero teraz widzę, że w barze przybyło klientów i wzmógł się hałas. W narożniku rozkłada się zespół muzyczny przygrywający na piątkowej potańcówce. Ludzie mi się przyglądają; zastanawiają się, co tu robię. Trudno zachować anonimowość, kiedy jest się odmieńcem.

Czerwone światła zaczynają się kołysać, podobnie się dzieje z deskami podłogi. Staralem się pić równo z Bertem; dotrzymać mu kroku.

Pytam o wypadek. Bert wyjaśnia, że czasami Lenny przychodził do warsztatu w weekendy i pracował nad swymi wynalazkami. Szef przymykał oko. Autobusy jeździły w wolne dni, ale warsztat nie działał.

- Co wiesz o spawaniu? - pyta.

- Niewiele.

Odstawia piwo i bierze dwie podkładki. Potem tłumaczy, jak łączy się dwa kawałki metalu za pomocą wysokiej temperatury. Można ją uzyskać dwoma sposobami. Za pomocą elektrod łukowych, gdzie przy niskim napięciu i wysokim natężeniu prądu temperatura iskry dochodzi do jedenastu tysięcy stopni Fahrenheita. Albo używając palnika acetylenowo-tlenowego, w którym płomień powstały w wyniku spalania mieszaniny acetyleny, lub zwykłego gazu z czystym tlenem, topi metal.

- Nie ma żartów z takim sprzętem - mówi Bert. - Ale Lenny był jednym z najlepszych spawaczy, jakich w życiu widziałem. Kumpole powiadali, że umiałby zespawać dwa kawałki papieru.

- Zawsze przestrzegaliśmy w warsztacie zasad bezpieczeństwa. Łatwopalne ciecze były przechowywane w osobnym pomieszczeniu. Wszystko, co mogło się zająć ogniem, trzymaliśmy w odległości przynajmniej trzydziestu pięciu stóp od stanowiska spawacza. Zakrywaliśmy studzienki ściekowe i mieliśmy pod ręką gaśnice.

- Nie wiem, co Lenny budował. Co poniektórzy żartowali, że rakiety, żeby wysłać żonę w kosmos. Wybuch przewrócił ośmiotonowy autobus. Zbiornik z acetylenem wybił dziurę w dachu. Znaleźli go sto jardów dalej. Lenny wylądował przy zamkniętych drzwiach. Tylko piersi nie miał spalonej. Wychodziło na to, że musiał leżeć na brzuchu, kiedy dosięgnął go płomień, z przodu koszula była tylko trochę osmalona.

- Wyciągnęło go kilku kierowców. Do dziś nie wiem, jak im się to udało przy tej temperaturze i

tym wszystkim... Pamiętam, jak mówili, że buty Lenny'ego dymiły, a jego skóra skwierczała. Był przytomny, ale nie mógł mówić. Nie miał warg. Dobrze, że tego nie widziałem. I tak śni mi się ten wypadek po nocach. - Bert odstawia szklanekę i wydaje urywane westchnienie.

- Czyli to był wypadek?

- Tak z początku wyglądało. Wszyscy sądzili, że zbiornik z acetylenem zajął się od iskry z palnika. Może wąż się przetarł albo doszło do jakiejś awarii. A może w zbiorniku, którym spawał, zgromadził się gaz.

- Co masz na myśli, mówiąc: „z początku”?

- Kiedy zdjęli Lenny'emu koszulę, znaleźli napis na jego piersi. Podobno wszystkie litery miały dokładnie jeden cal - ale według mnie to niemożliwe, kiedy się pisze do góry nogami i od prawej strony do lewej. Palnikiem wypalił na skórze słowo: „Wybacz”. Jak już wspominałem, był małomówny.

9

Nie pamiętam, jak wyszedłem z Tramwayu. Po ośmiu dużych piwach straciłem rachubę. Uderza mnie zimne powietrze i ląduję na czworakach, opróżniając żołądek na gruz i żużel w bezludnym zaułku.

Miejsce wygląda na prowizoryczny parking dla bywalców pubu. W lokalu ciągle gra zespół country and western. Wykonują własną wersję piosenki Williego Nelsona o matkach, które nie powinny pozwolić dzieciom wyrosnąć na kowbojów.

Kiedy się dźwigam, zostaję popchnięty i wpadam prosto w oleistą kałużę. Nade mną stoi czworo nastolatków z pubu.

- Masz forszę? - pyta dziewczyna.

- Spadaj!

Kopniak jest wycelowany w moją głowę, ale nie trafia celu. Drugi jest celny, dostaję w brzuch. Jelita wykonują wolte i znowu wymiotuję. Chwytam haust powietrza i usiłuję zebrać myśli.

- Jezu, Baz, mówiłeś, że nic się nikomu nie stanie! - odzywa się dziewczyna.

- Zamknij się głupia! Żadnych imion!

- Pieprz się!

- Spadajmy - przekonuje trzeci o imieniu Ozzie, który jest leworęczny i popija rum z colą.

- Nie zaczynaj, pacanie. - Baz miażdży go spojrzeniem. Ktoś wyciąga mi portfel z kieszeni marynarki.

- Żadnych kart, tylko gotówka - instruuje Baz.

Jest starszy. Ma ponad dwadzieścia lat i swastykę wytatuowaną na szyi. Podnosi mnie bez wysiłku i przysuwa twarz do mojej. Czuję odór piwa, orzeszków ziemnych i nikotyny.

- Posłuchaj, czopie! Nie jesteś tu mile widziany. Popchnięty, ląduję na płocie z siatki zakończonej kolczastym drutem. Baz wyrasta tuż przede mną. Jest trzy cale niższy ode mnie i zwałisty jak beczka. W dłoni połyskuje nóż.

- Chcę dostać z powrotem mój portfel. Jeżeli go oddasz, nie złożę doniesienia - mówię.

Wybuchają śmiechem.

- Czy wyglądam, jakbym się przestraszył? - pyta, przedrzeźniając mnie.

- Wyszliście za mną z pubu. Widziałem, jak graliście w bilard. Przegrałeś ostatnią partię przez czarną bilę.

Dziewczyna poprawia okulary na nosie. Ma mocno obgryzione paznokcie.

- Baz, co on mówi?

- Zamknij się! Do jasnej cholery, nie wymawiaj mojego imienia! - Zamierza się na nią, ale studzi go jej ostre spojrzenie. Cisza przeciąga się. Jestem już zupełnie trzeźwy.

- Denny, powinnaś była posłuchać intuicji - zwracam się do dziewczyny.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Skąd wiesz, jak mam na imię?

- Jesteś Denny i masz jakieś trzynaście, może czternaście lat, czyli nie jesteś pełnoletnia. To Baz, twój chłopak, a tamci mają na imię Ozzie i Carl...

- Stul pysk!

Baz silnym pchnięciem rzuca mnie na plot. Czuje, że traci grunt pod nogami.

- Denny, na pewno tego chcesz? Co powie mama, kiedy przyjdzie po ciebie policja? Ona myśli, że jesteś u koleżanki, prawda? Nie lubi, jak włóczysz się z Bazem. Uważa go za nieudacznika bez przyszłości.

- Baz, niech on przestanie. - Denny przykładła dłoń do ust.

-Stul pysk!

Wszyscy milczą. Obserwują mnie. Robię krok w stronę Baza.

-Rusz swoje szare komórki, Baz - szepczę. - Chcę tylko z powrotem mój portfel.

-Oddaj mu ten pieprzony portfel. Chcę iść do domu - wtrąca się Denny na krawędzi łez.

Ozzie odwraca się do Carla.

-Chodźmy!

Baz nie wie, co robić. Mógłby mnie pociąć na plasterki, ale jest teraz sam. Pozostali oddalają się; widzę ich rozkołysane sylwetki, słyszę salwy śmiechu.

Baz popycha mnie na płot, przykładając nóż do szyi i przysuwa twarz do mojej, Jego zęby zaciskają się na małżowinie usznej. Gorąca białość. Ból. Odwraca głowę w bok, splota w kałuże i odpycha mnie od siebie.

- Mała pamiątka od Bobby'ego!

Ociera usta z krwi. Robi wymach i kopie w drzwi zaparkowanego samochodu. Siedzę w kałuży, trzymając się płotu, portfel leży u moich stóp. W oddali, po drugiej stronie Mersey, widzę migające światelka nawigacyjne na wierzchołkach przemysłowych dźwigów.

Powoli prostuję się i podnoszę. Ugina się pode mną prawa noga i opadam na kolana. Krew ciepłą struzką spływa po szyi.

Kulejąc docieram do głównej drogi, ale ani śladu samochodów. Oglądam się za siebie przez ramię w obawie, że mogą wrócić. Pół mili dalej natrafiam na dyspozytornię mini taksówek z kratami w oknach i w drzwiach. Wnętrze jest przesycone dymem z papierosów i zapachem jedzenia na wynos.

-Co się panu stało? - pyta przez kraty gruby mężczyzna. Zerkam na moje odbicie w szybie. Brakuje mi dolnego kawałka ucha, a kołnierzyk koszuli nasiąkł krwią.

- Napadli mnie.

- Kto?

- Smarkacze.

Otwieram portfel. Pieniądze są... niczego nie brakuje.

Gruby facet przewraca oczami; już się mną nie przejmuje. Dla niego jestem pijakiem, który wdał się w bójkę. Wzywa przez radio taksówkę i każe mi czekać na zewnątrz. Rozglądam się nerwowo po ulicy, wypatrując Baza.

Pamiętka! Bobby ma uroczych przyjaciół. Dlaczego nie zabrali pieniędzy? O co tu chodzi? Może chcieli mnie ostrzec. Liverpool jest na tyle duży, żeby się w nim zgubić, i jednocześnie na tyle mały, by zostać zauważonym, zwłaszcza jeśli zacznie się zadawać pytania.

Opadam na tylne siedzenie mazdy 626, zamykam oczy i pozwalam uspokoić się sercu. Pot między łopatkami ostygł i sztywnieje mi kark.

Minitaksówka wyrzuca mnie przed szpitalem uniwersyteckim, gdzie czekam godzinę na założenie szwów. Stażysta, wycierając mi twarz papierowym ręcznikiem, pyta, czy powiadomiłem policję. Kłamię, mówiąc, że tak. Nie chcę, aby Ruiz dowiedział się, gdzie jestem.

Aplikują mi dawkę paracetamolu, żeby uśmierzyć ból, i idę przez miasto aż do Pier Head. Przybija ostatni prom z Birkenhead. Powietrze drży od wibracji silników. Światła kładą się połyskliwymi żółtymi i czerwonymi plamami. Patrzę na wodę i wydaje mi się, że widzę ciemne kształty. Ciała. Spoglądam jeszcze raz - zniknęły. Czemu ja zawsze szukam ciał?

Jako dziecko czasami pływałem z siostrami łódką po Tamizie. Któregoś dnia znalazłem worek z pięcioma martwymi kociętami. Patricia kazała mi go zostawić. Krzyczała na mnie. Rebecca chciała zajrzeć do środka. Podobnie jak ja nigdy nie widziała zwłok, poza robakami i jaszczurkami.

Wytrzepałem zawartość worka i kocięta potoczyły się po trawie. Ich mokre futerka były najęzone. Brzydziłem się ich i jednocześnie budziły moją ciekawość. Miały miękkie futra i ciepłą

krew. Nie różniły się tak bardzo ode mnie.

Później, jako nastolatek, wyobrażałem sobie, że umrę przed trzydziestką. To było w samym środku zimnej wojny, gdy świat balansował na krawędzi, był na łasce jakichś szaleńców z Białego Domu czy też z Kremla, ponieważ któregoś z nich mogła najść ochota, aby sprawdzić „do czego jest ten guzik”.

Od tamtej pory wahadło mojego wewnętrznego zegara przeznaczenia huśtało się gwałtownie, zupełnie jak w prawdziwym czasomierzu. Ślub z Julianne rozbudził mój optymizm, narodziny Charlie jeszcze go pogłębiły. Ze spokojem myślałem o sędziwym wieku, kiedy nadejdzie czas, żeby zastąpić plecaki walizkami na kółkach, bawić się z wnukami, zanudzać je nostalgicznymi opowieściami, wynajdywać ekscentryczne zajęcia dla zabicia czasu...

Teraz przyszłość jawi się inaczej. Zamiast pociągającej drogi ku nowym doświadczeniom, widzę trzęsące się, jękające, oślinione widowisko na wózku inwalidzkim. „Czy naprawdę musimy dziś odwiedzić tatę?”, zapyta Charlie. „Przecież dla niego to bez różnicy, czy przyjdziemy, czy nie”.

Pod powiewami zimnego wiatru zaczynam szczekać zębami, odrywam się więc od barierki. Schodzę z nabrzeża spokojny, bo wiem, że już się nie zgubię. A jednocześnie czuję się bezbronny. Zagrożony.

Recepcjonistka w Albion Hotel robi na drutach i poruszając ustami, bezgłośnie liczy oczka. Stłumiony śmiech wydobywa się gdzieś spod jej stóp. Raczy mnie zauważyć dopiero wtedy, gdy kończy rząd. Podaje mi kartkę. Jest na niej nazwisko i numer telefonu nauczycielki Bobby'ego ze szkoły St Mary's. Zajmę się tym rano.

Schody wydają się bardziej strome niż przedtem. Jestem zmęczony i pijany. Pragnę jedynie paść na łóżko i zasnąć.

Wyrywa mnie ze snu własny ciężki oddech. Przesuwam ręką po prześcieradle, szukając Julianne. Zawsze się budzi, kiedy krzyczę przez sen. Kładzie mi dłoń na piersi i uspokaja szeptem.

Biorę kilka głębokich wdechów, czekam, aż serce zwolni rytm, a potem wstaję z łóżka i podchodzę na palcach do okna. Na ulicy, poza furgonetką rozwożącą gazety, nie ma nikogo. Ostrożnie dotykam ucha i czuję szorstkie szwy.

Na poduszce jest krew.

Uchylają się drzwi. Bez pukania. Bez ostrzegawczych kroków. Jestem pewien, że zamknąłem je na klucz. Do wewnątrz wsuwa się dłoń; długie palce, czerwone paznokcie. A polem pojawia się twarz z różem na policzkach i szminką na ustach. Kobieta jest blada i szczupła, ma jasne, krótko obcięte włosy.

- Ćśśśś!

Za jej plecami rozlega się śmiech.

- Cholera jasna, będziesz ty cicho?

Sięga do kontaktu. Jestem ciemnym kształtem na tle okna.

- Ten pokój jest zajęty.

Kiedy krzyżują się nasze spojrzenia, zaskoczona rzuca soczyste przekleństwo. Za nią stoi duży, niechlujny mężczyzna w źle uszytym garniturze i trzyma rękę pod jej bluzką.

- Aleś mnie wystraszył - mówi, odpychając jednocześnie jej rękę. Mężczyzna z pijackim uporem wpycha ją z powrotem.

- Jak tu weszliście?

- Przez pomyłkę. - Wznosi oczy przepaszająco.

- Drzwi były zamknięte na klucz.

Zaprzecza ruchem głowy. Jej przyjaciel zagląda ponad jej ramieniem.

- Co on robi w naszym pokoju?

- To jego pokój, ty głupku! - Lekko uderza go w pierś wieczorową torebką naszywaną srebrnymi cekinami i zaczyna wypychać go z pokoju.

Zamykając drzwi, odwraca się i uśmiecha.

- Masz ochotę na towarzystwo? Mogę go spławić.

Jest tak przeraźliwie chuda, że widzę zarys kości klatki piersiowej nad biustem.

- Nie, dzięki.

Wzrusza ramionami podciąga rajstopy pod mini spódnicą. Drzwi zamykają się; słyszę jeszcze, jak skradają się korytarzem i idą schodami do góry.

Na chwilę ogarnia mnie gniew. Czy naprawdę zapomniałem przekręcić klucz? Byłem pijany, może nawet doznałem lekkiego wstrząsu mózgu.

Jest dopiero po szóstej. Julianne i Charlie muszą jeszcze spać. Wyjmuję komórkę, włączam ją i wpatruję się w świecące w ciemnościach okienko. Nie ma żadnych wiadomości. To moja pokuta... zasypiam i budzę się, myśląc o żonie i córce.

Siedzę na parapecie i patrzę na jaśniejące niebo. Gołębie wznoszą się ponad dachy i kołują. Przypomina mi się Varanasi w Indiach, gdzie sępy krążą wysoko ponad pogrzebowymi stosami, czekając, aż zwęglone szczątki popłyną Gangesem. Varanasi jest przygnębiającym miastem slumsów z zapadającymi się domostwami i zezowatymi dziećmi, gdzie jedyną piękną rzeczą są barwne sari i kołyszące się biodra kobiet.

Czekam do siódmej, żeby zadzwonić do Julianne. Odbiera mężczyzna. W pierwszej chwili myślę, że wybrałem zły numer, ale rozpoznaję głos Jocka.

- Właśnie o tobie myślałem - grzmi w słuchawkę. W tle słyszę Charlie.

- Czy to tata? - pyta. - Mogę z nim porozmawiać? Proszę. Jock nakrywa dłonią słuchawkę, lecz mimo to nadal go słyszę. Wysyła ją po Julianne. Mała buntuje się, ale idzie.

Jock tokuje radośnie.

- Jock, co tam robisz? - przerywam mu. - Wszystko w po rządku?

- Twoje rury nadal są do niczego.

Co on wie o moich pieprzonych rurach? Schładza ton, dostosowując go do mojego. Widzę, jak zmienia mu się wyraz twarzy.

- Ktoś próbował się włamać. Julianne się trochę wystraszyła. Nie chciała być sama w domu. Zaproponowałem, że zostanę.

- Kto? Kiedy?

- Prawdopodobnie jakiś narkoman. Wszedł frontowymi drzwiami. Hydraulicy zostawili je otwarte. D.J. naszedł go w gabinecie i pognał za nim na ulicę. Ale zgubił go przy kanale.

- Czy coś zginęło?- Nie.

Słyszę kroki na schodach. Jock nakrywa słuchawkę ręką.

- Mogę porozmawiać z Julianne? Wiem, że tam jest.

- Mówi, że nie.

Ogarnia mnie gniew. Jock ponownie wpada w żartobliwy ton.

- Ona chce wiedzieć, dlaczego dzwoniłeś do jej matki o trzeciej nad ranem.

Pamiętam jak przez mgłę; wykręciłem numer, a ona lodowatym tonem udzieliła mi reprimendy. Po czym odłożyła słuchawkę.

- Daj mi porozmawiać z Julianne.

- Nic z tego, stary. Ona nie czuje się najlepiej.

- Co to znaczy?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Trochę kiepsko się czuje.

- Czy to coś poważnego?

- Nie. Jest w dobrej kondycji. Dokładnie ją przebadalem. - Podjudza mnie. Skutecznie.

- Daj jej tę cholerną słuchawkę...

- Joe, nie masz prawa wydawać mi poleceń. W ten sposób tylko pogarszasz sprawę.

Chętnie trzasnąłbym go pięścią w ten jego żołądek po stu „brzuszkach” dziennie. Słyszę charakterystyczne kliknięcie. Ktoś podniósł słuchawkę w gabinecie, Jock się nie orientuje.

Silę się na pojednawczy ton i mówię, że zadzwonię później. Rozłącza się, a ja czekam, nasłuchując.

- To ty, tato? - pyta nerwowo Charlie.

- Jak się masz, skarbie?

- Dobrze. Kiedy wracasz do domu?

- Nie wiem. Musimy z mamą wyjaśnić parę spraw.

- Pokłóciliście się?

- Skąd wiesz?

- Kiedy mama jest na ciebie zła, nie powinnam jej pozwolić się cesać.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Czy to była twoja wina?

- Tak.

- To czemu jej nie przeprosisz? Zawsze mi każesz to robić, kiedy pokłóczę się z Taylorem Jonesem.

- Nie wydaje mi się, aby tym razem to załatwiło sprawę. Wyraźnie się nad tym zastanawia. Widzę nawet, jak w skupieniu przygryza dolną wargę.

- Tato?

- Tak.

- Hmm... umm... chcę cię o coś zapytać. Chodzi o... no... - zaczyna i nie kończy.

Proponuję, żeby ułożyła pytanie w myślach i dopiero wtedy je zadała.

- W gazecie było zdjęcie... ktoś z głową nakrytą płaszczem - wyrzuca z siebie wreszcie. - Niektóre dzieci w szkole... gadają.

Lachlan O'Brien powiedział, że to ty. Nazwałam go kłamcą. A wczoraj wieczorem wyciągnęłam jedną z gazet z kosza na śmieci. Mama je wyrzuciła. Przemyciłam ją na górę do mojego pokoju.

- Przeczytałaś artykuł?

- Tak.

Czuję skurcz w okolicy żołądka. Jak wytłumaczyć ośmiolatce bezpodstawne aresztowanie i mylne ustalenie tożsamości? Nauczyliśmy Charlie ufać policji. Takie pojęcia jak sprawiedliwość i uczciwość są ważne - nawet na placu zabaw.

- To pomyłka, Charlie. Policja się pomyliła.

- To za co mama jest na ciebie zła?

- Bo popełniłem błąd. Zupełnie inny. Nie ma on nic wspólnego z policją ani z tobą.

Milczy. Niemal słyszę, jak myśli.

- Co jest mamie? - pytam.

- Nie wiem. Słyszałam, jak mówiła do wujka Jocka, że się spóźnia.

- Z czym się spóźnia?

- Nie powiedziała. Mówiła tylko, że się spóźnia.

Proszę ją, żeby powtórzyła wszystko dokładnie, słowo w słowo. Charlie nie rozumie, dlaczego. Zasycha mi w ustach. Nie tylko z powodu kaca. W tle słyszę głos Julianne nawołujący Charlie.

- Muszę iść - szepce Charlie. - Wracaj szybko do domu.

Natychmiast się rozłącza, nie dając mi szansy na pożegnanie.

W pierwszym odruchu chcę ponownie wykręcić numer. Będę tak długo wydzwaniał, aż Julianne ze mną porozmawia. Czy „spóźnia się” znaczy to, co myślę, że znaczy? Żołądek podchodzi mi do

gardła, w głowie mam pustkę.

Gdybym wsiadł do pociągu, za trzy godziny byłbym w domu. Mógłbym czekać na progu, aż zdecyduje się ze mną porozmawiać. Może na tym właśnie jej zależy - żeby wrócił czym prędzej i o nią walczył.

Czekaliśmy sześć lat. Julianne nigdy nie przestała wierzyć. To ja straciłem nadzieję.

10

Kiedy wchodzę do sklepu, pobrzękuje dzwonek nad głową. Aromat olejków eterycznych, wonnych świec i ziołowych kompresów wypełnia mi nozdrza. Wąskie półki z ciemnego drewna zajmują całą ścianę od podłogi po sufit. Tłoczą się na nich trociczki, mydełka, flakoniki z olejkami i szklane klosze wypełnione różnościami - od pumeksu po wodorosty.

Zza przepierzenia wynurza się postawna kobieta. Ma na sobie barwny spięty pod szyją kaftan, który rozchyła się na obfitym biuście. Sznury koralików wplecione we włosy grzechoczą, postukując o siebie w rytm jej kroków.

- Proszę, proszę śmiało - zachęca, przyzywając mnie skinieniem dłoni.

To Louise Elwood. Poznają ten głos, słyszałem go przez telefon. U niektórych ludzi głos idzie w parze z wyglądem. Tak jest w jej przypadku. Ma głęboki, niski, tubalny głos. Podzwaniają bransolety, kiedy podaje mi rękę. Na czole pomiędzy brwiami przylepiona czerwona kropka.

- O ho ho - mówi, ujmując dłonią mój podbródek. - W samą porę. Te oczy. Zmętniałe. Matowe. Nie najlepiej sypiasz, prawda? Toksyny w krwi. Za dużo czerwonego mięsa. Może także lekka alergia. Co się stało z twoim uchem?

- Nadgorliwy fryzjer. Unosi brew.

- Rozmawialiśmy przez telefon - wyjaśniam. - Jestem profesor O'Loughlin.

- Typowe! Spójrz tylko na siebie! Lekarze i naukowcy to najgorsi pacjenci. Nigdy nie słuchają własnych rad.

Ze zdumiewającą zwinnością wykręca pirueta i krząta się w głębi sklepu. Ani na chwilę nie przestaje mówić. Nic nie wskazuje na obecność mężczyzny w jej życiu. Dzieci na zdjęciach przyczepionych do tablicy to zapewne siostrzenice i siostrzeńcy. Ma kota birmańskiego (tu i ówdzie sierść), szufladę pełną czekolady (cynfolia na podłodze) i gustuje w romansach („Córka pastora", Catherine Cookson).

W małym pomieszczeniu za przepierzeniem wystarcza miejsca na trzy krzesła, stolik i blat z wpuszczonym zlewem. Do pojedynczego kontaktu podłącza się na zmianę elektryczny czajnik i radio. Na środku stolika leży kobiece czasopismo otwarte na krzyżówce.

- Ziołowa herbata?

- Ma pani kawę?

- Nie.
- W takim razie poproszę herbatę.

Sięga po tuzin różnych mieszanek. Kiedy kończy wymieniać rodzaje herbat, zapominam nazwy kilku pierwszych.

- Rumianek.
- Doskonały wybór. Łagodzi stres i usuwa napięcie. - Robi przerwę. - Pan w to nie wierzy, prawda?

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ziołowe herbaty tak ładnie pachną, a smakują tak mdło.

Śmieje się. Całe jej ciało się trzęsie.

- Mają subtelny smak. Harmonizują z naszym organizmem. Węch jest najbardziej wyczulonym zmysłem. Reakcje dotykowe mogą rozwinąć się wcześniej i osłabnąć jako ostatnie, lecz zapach jest najszybciej odbierany przez mózg.

Stawia dwie małe porcelanowe filiżanki i napełnia wrzątkiem ceramiczny imbryk. Dwukrotnie przecedzą liście przez srebrne sitko, zanim podsuwa mi filiżankę.

- Czyli nie wróży pani z fusów?
- Coś mi się zdaje, profesorze, że pan ze mnie kpi. - Nie czuje się obrażona.
- Piętnaście lat temu uczyła pani w St Mary's.
- Pokuta za grzechy.
- Czy pamięta pani chłopca o nazwisku Bobby Morgan?

- Naturalnie.

- Co pani zapamiętała?

- Był całkiem bystry, a jednocześnie trochę zakompleksiony z powodu wyglądu. Niektórzy chłopcy wyśmiewali się z niego, bo był słabym sportowcem, natomiast miał bardzo ładny głos.

- Prowadziła pani chór?

- Tak. Kiedyś zasugerowałam, żeby brał lekcje śpiewu, ale jego matka nie była osobą zbyt komunikatywną. Widziałam ją w szkole tylko raz. Przyszła ze skargą, że Bobby ukradł jej pieniądze z portmonetki, wziął na wycieczkę do liverpoolskiego muzeum.

- A ojciec?

Spogląda na mnie z lekkim zdziwieniem. Najwyraźniej jest coś, co według niej powinienem wiedzieć. Teraz się zastanawia, czy powinna mówić dalej.

- Ojciec Bobby'ego nie miał wstępu do szkoły - zaczyna. - Zakaz wystawił sąd, kiedy Bobby był w drugiej klasie. Czy Bob by o tym nie wspomniał?

- Nie.

Kręci głową. Koralki podskakują.

- To ja wszczęłam alarm. Bobby dwukrotnie, w odstępie kilku tygodni posiusiał się w klasie. Potem pobrudził spodnie i ukrywał się przez większość dnia w toalecie. Był bardzo zdenerwowany. Kiedy spytałam go, co się z nim dzieje, nie chciał powiedzieć. Zaprowadziłam go do pielęgniarki. Znalazła spodnie na przebranie. Wtedy właśnie zauważyła pręgi na nogach. Jakby był bity.

Pielęgniarka postąpiła zgodnie z obowiązującą procedurą i poinformowała o tym wicedyrektorę, a ona z kolei zgłosiła ten fakt do wydziału opieki społecznej. Znam ten cały proces na pamięć. Sprawę przejął kurator. Poszło zgłoszenie do dyrekcji rejonu. Nastąpiła reakcja domina - badania lekarskie, przesłuchania, podejrzenia, zaprzeczenia, rozpatrywanie przypadku, szukanie dowodów zagrożenia, skierowania na czasowy pobyt w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym, apelacje - wszystko poszło lawinowo.

- Proszę mi opowiedzieć o nakazie sądowym.

Pamięta tylko parę szczegółów. Podejrzenie o wykorzystywanie seksualne, którego ojciec się wyparł. Zakaz kontaktów. Czuwanie nad Bobbym pomiędzy zajęciami.

- Policja prowadziła dochodzenie, ale nie znam wyniku. Kontakty z policją i pracownikami socjalnymi były w gestii wicedyrektorki.

- Czy ona nadal pracuje?

- Nie. Zwolniła się półtora roku temu; sprawy rodzinne.

- Co dalej działo się z Bobbym?

- Zmienił się. Wpadł w apatię, jaką nieczęsto obserwuje się u dzieci. Wielu nauczycielom to bardzo działało na nerwy. - Patrzy w filiżankę, kiwając się lekko. - Kiedy zmarł jego ojciec, jeszcze bardziej się odizolował, jakby stał na zewnątrz z twarzą przyciśniętą do szyby.

- Czy, według pani, Bobby był molestowany?

- Profesorze O'Loughlin, szkoła St Mary's znajduje się w bardzo biednej dzielnicy. W niektórych domach już samo przebudzenie się stanowi formę molestowania.

Posiadam niewielką wiedzę na temat samochodów. Potrafię zatankować benzynę, napompować koła, dolać wody do chłodnicy, ale w ogóle nie interesują mnie marki, modele czy dynamika nowoczesnych silników benzynowych. Zazwyczaj nie zwracam uwagi na pojazdy na drodze, lecz dzisiaj jest inaczej. Ciągłe wpada mi w oczy biała furgonetka. Wszystkie samochody mają oszronione okna, a furgonetka - nie. Na przedniej i tylnej szybie wytarte do czysta miejsca o nierównych brzegach.

Ta sama biała, lub podobna do tamtej, furgonetka stoi zaparkowana przy rampie załadunkowej naprzeciw sklepu Louise Elwood. Tylne drzwi są otwarte. Widzę jutowe worki na podłodze. Kto wie, czy w Liverpoolu nie ma setek białych furgonetek; może jakaś firma kurierska posiada całą flotyllę.

Od ostatniej nocy w każdej klatce schodowej widzę przyczajone zjawy, a teraz siedzą ukryte w

samochodach. Przechodzę przez rynek i stoję przed wystawą domu towarowego. Patrząc na swoje odbicie w szybie, mam widok na cały plac. Nikt mnie nie śledzi.

Jeszcze dzisiaj nic nie jadłem. Szukam jakiegoś przytulnego miejsca i na pierwszym piętrze w pasażu handlowym znajduję bistro z widokiem na atrium. Z mojego miejsca mogę obserwować ruchome schody.

H.L. Mencken - dziennikarz, piwosz i myśliciel - powiedział, że każdy złożony problem ma proste, gładkie i jednocześnie błędne rozwiązanie. Podzielam jego nieufność wobec tego, co oczywiste.

Na uniwersytecie burzyłem porządek własnych wykładów, co rusz podważając proste założenia. „Dlaczego nie możesz zaakceptować rzeczy takimi, jakimi są?”, Pytano mnie. „Czemu prosta odpowiedź nie może być dobra?”.

Natura taka nie jest. Gdyby istotę ewolucji wyjaśniały proste odpowiedzi, mielibyśmy wszyscy większe mózgi i nie oglądalibyśmy programu „Mamy cię”, albo odwrotnie - dużo mniejsze i nie wymyślilibyśmy broni masowego rażenia. Mielibyśmy kości z tytanu, skórę odporną na promienie ultrafioletowe, rentgen w oczach, możliwość osiągnięcia permanentnej erekcji i wielokrotnych orgazmów.

Bobby Morgan - używam obecnie jego prawdziwego nazwiska - zdradzał wiele sygnałów świadczących o tym, że był molestowany. Mimo to nie chce przyjąć, że to prawda. Lenny Morgan wzbudził moją sympatię. Wychowując Bobby'ego, często postępował jak należy. Ludzie go lubili, a Bobby wręcz uwielbiał.

Być może Lenny miał dwoistą naturę. Seksualni zwyrodnialcy potrafią być jednocześnie budzącymi zaufanie, wrażliwymi ludźmi. To zdecydowanie tłumaczyłoby jego samobójstwo. Może z tego powodu Bobby, aby przetrwać, potrzebował dwóch osobowości.

11

W Wydziale do spraw Opieki Społecznej przechowuje się akta molestowanych dzieci. Kiedyś miałem do nich dostęp, ale obecnie jestem poza systemem. Przepisy dotyczące ochrony prywatności są bardzo rygorystyczne.

Potrzebuję pomocy kogoś, z kim nie widziałem się od ponad dziesięciu lat. To Melinda Cossimo. Boję się, że mogę jej nie rozpoznać. Umówiliśmy się w kawiarni naprzeciwko sądu grodzkiego.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Liverpoolu, Mel pracowała jako kurator. Teraz odpowiada za cały region (to stanowisko nosi nazwę „specjalisty do spraw ochrony dzieci”). Niewielu ludzi potrafi wytrwać tak długo w opiece społecznej. Albo się wypalają, albo zawodzą.

Mel była prawdziwym punkiem z irokezem, chodziła w wyświechtanych skórkach i w postrzępionych dzinsach. Zawsze podważała opinie innych ludzi, obojętnie, czy się z nimi zgadzała

czy nie, bo lubiła, kiedy bronili swoich poglądów.

Wychowała się w Kornwalii, wysłuchując, jak jej ojciec, miejscowy rybak, peroruje na temat „różnicy pomiędzy męskimi i babskimi obowiązkami”. Jak łatwo przewidzieć, została zagorzałą feministką i autorką pracy doktorskiej pod tytułem: „Kiedy kobiety noszą spodnie”. Jej ojciec musi przewracać się w grobie.

Mąż Mel, Boyd, chłopak z Lancashire, chodził w spodniach khaki, swetrach z golfem i palił skręty. Wysoki i chudy, posiwiół, mając dziewiętnaście lat, ale dalej nosił długie włosy ściągnięte w kucyk. Tylko raz widziałem je rozpuszczone, kiedy braliśmy prysznic po meczu badmintonu.

Byli wspaniałymi gospodarzami. Większość weekendów upływała nam na imprezach w jego zapuszczonym szeregowcu z „dzwoneczkami wietrznymi” w ogrodzie i konopiami indyjskimi, które hodował w dawnym stawie. Wszyscy byliśmy wtedy przepracowani, niedoceniani i ciągle jeszcze idealistyczni. Julianne grała na gitarze, a Mel miała głos jak Joni Mitchell. Jedliśmy wegetariańskie uczty, piliśmy za dużo wina, popalaliśmy trawkę i naprawialiśmy świat. Kac trwał do poniedziałku, wzdęcia do połowy tygodnia.

Mel robi do mnie minę przez szybę. Proste, odgarnięte z twarzy włosy ma podpięte spinkami. Jest w ciemnych spodniach i w szytym na miarę beżowym żakiecie. Do kłapy przypięta biała rozetka. Nie pamiętam, jaką działalność charytatywną symbolizuje.

- Czy tak ubierają się kierowniczk?

- Nie, kobiety w średnim wieku - śmieje się, siadając z wyraźną ulgą. - Te buty mnie wykańczają. - Strząsa pantofle i rozciera nogi w kostkach.

- Zakupy?

- Sprawa w sądzie rodzinnym. Nakaz natychmiastowego umieszczenia w ośrodku wychowawczo-opiekuńczym.

- Dobrze poszło?

- Mogło być gorzej.

Idę po kawy, ona zostaje przy stoliku. Wiem, że mi się przygląda - sprawdza, jak bardzo się zmieniłem. Zastanawia się, czy jeszcze coś nas łączy. Dlaczego nagle się pojawiłem. Ludzie pracujący w zawodach paramedycznych są podejrzliwi.

- A co ci się stało w ucho?

- Pies mnie ugryzł.

- Nigdy nie powinieneś pracować ze zwierzętami.

- Na to wygląda.

Mel obserwuje moją lewą dłoń, kiedy mieszam kawę.

- Nadal jesteś z Julianne?

- Uhhh. Dorobiliśmy się Charlie. Ma osiem lat. Julianne zdaje się jest w ciąży.

- Nie jesteś pewien? - śmieje się. Wtórjuje jej, ale czuję wyrzuty sumienia.

Pytam o Boyda. Wyobrażam go sobie jako podstarzałego hippisa, który nadal nosi płócienne koszule i luźne hinduskie spodnie. Mel odwraca twarz, ale zauważam, że jej oczy chmurzy wyraz bólu.

- Boyd nie żyje.

Siedzi nieruchomo, pozwalając wiadomości wypełnić ciszę.

- Kiedy?

- Ponad rok temu. Jeden z tych samochodów terenowych z napędem na cztery koła i ze zderzakiem z rury nie zatrzymał się przed znakiem „stop” i skasował Boyda.

Mówię, że jest mi przykro. Uśmiecha się smutno i zlizuje z łyżeczki mleczną piankę.

- Podobno pierwszy rok jest najtrudniejszy. Wiesz, człowiek czuje się jak stratowany przez pięćdziesięciu policjantów z pałami i tarczami. Ciągłe nie mogę uwierzyć, że odszedł. Nawet przez chwile go o to obwiniałam. Uważałam, że mnie opuścił. To głupie, ale ze złości sprzedałam jego kolekcję płyt. A potem dałam dwa razy więcej, żeby ją odkupić. - Śmieje się z siebie, mieszając kawę.

- Powinnaś się była odezwać. Nic nie wiedzieliśmy.

- Boyd zgubił wasz adres. Był beznadziejny. Wiem, umiałabym was odnaleźć.

- Uśmiecha się przepaszająco. Po prostu przez pewien okres nie miałam ochoty się z nikim widywać. To przypominałoby mi o starych dobrych czasach.

- Gdzie jest teraz?

- W domu, w małej srebrnej urnie na szafce z dokumentami. - Mówi to takim tonem, jakby robiła porządki w ogrodowej szopie. - Nie mogę go tutaj złożyć do ziemi. Jest za zimno. A jeśli spadnie śnieg? On nie znosił chłódów. - Spogląda na mnie żałośnie. - Wiem, to idiotyczne.

- Nie dla mnie.

- Myślałam, żeby odłożyć pieniądze i zawieźć prochy do Nepalu. Mogłabym rozsypać je w górach.

- Miał lęk wysokości.

- Taa. Może powinnam je po prostu wysypać do Mersey.

- Wolno to zrobić?

- A niby jak ktokolwiek mógłby mnie powstrzymać? - Śmieje się smutno. - No to co cię właściwie sprowadza do Liverpoolu? Uciekałeś stąd, aż się kurzyło.

- Szkoda, że was ze sobą nie zabrałem.

- Na południe! Wykluczone. Znasz zdanie Boyda na temat Londynu. Mawiał, że tam jest pełno ludzi, którzy szukają czegoś, czego nie umieli znaleźć gdzie indziej, bo słabo się rozglądali.

Dosłownie słyszę Boyda, jak to mówi.

- Potrzebuję akta dziecka zagrożonego przemocą w rodzinie.
- Czerwona krawędź!
- Tak.

Nie słyszałem tego terminu od lat. Tak w żargonie pracowników socjalnych w Liverpoolu nazywa się te dokumenty, ponieważ pismo przewodnie ma szkarłatny brzeg.

- O jakie dziecko chodzi?
- O Bobby'ego Morgana.

Mel natychmiast kojarzy sprawę. Poznaje po jej oczach.

- Wyciągnęłam sędziego pokoju z łóżka o drugiej nad ranem, żeby podpisał wniosek o tymczasowy nadzór prawny. Ojciec popełnił samobójstwo. Zapewne pamiętasz?

- Nie. Ściąga brwi.
- To może Erskine pilotował tę sprawę.

Rupert Erskine był starszym psychologiem w wydziale. Ja należałem do młodszej części zespołu - fakt wytykany przy każdej sposobności. Mel była kuratorem Bobby'ego.

- Wniosek złożyła nauczycielka - wyjaśnia. - Matka z początku nie chciała nic mówić. Kiedy zobaczyła wynik badania lekarskiego, załamała się i wyznała, że podejrzewała męża.

- Możesz postarać się o te akta?

Widzę, że chce mnie zapytać, po co. Jednocześnie uznaje, że zapewne lepiej tego nie wiedzieć. Akta zamkniętych przypadków przechowuje się w Hatton Gardens, głównej siedzibie liverpoolskiego Wydziału do spraw Opieki Społecznej. Leżą tam przez osiemdziesiąt lat, a dostęp do nich ma wyłącznie upoważniony personel, właściwe agendy i urzędnicy sądowi. Każdy wgląd w dokumentację zostaje odnotowany.

Mel przygląda się swemu odbiciu w łyżeczce. Musi podjąć decyzję. Pomoże mi, czy powie „nie”? Zerka na zegarek.

- Muszę wykonać parę telefonów. Przyjdź do mnie do biura o wpół do drugiej.

Wychodząc, całuje mnie w policzek. Zamawiam kolejną kawę na przeczekanie. Najgorsze są przestoje. Mam za dużo czasu na myślenie. Przypadkowe myśli tłuką mi się w głowie jak piłeczki pingpongowe w słoju. Julianne jest w ciąży. Będziemy potrzebowali balustrady zabezpieczającej wejście na schody. Charlie latem chce jechać na obóz. Co łączy Bobby'ego z Catherine?

Kolejna furgonetka - tyle że nie biała. Kierowca rzuca pakiet gazet na chodnik przed kawiarnią. Na pierwszej stronie nagłówek: „Nagroda za pomoc w poszukiwaniu zabójcy McBride”.

Na obu krańcach pustego biurka Mel leżą dwie sterty naprędce poskładanych dokumentów. Komputer zdobią naklejki, wycinki z gazet oraz zabawne rysunki. Na jednym z nich uzbrojony bandyta, grożąc pistoletem, mówi: „Pieniądze albo życie”. Ofiara odpowiada: „Nie mam pieniędzy ani życia. Jestem pracownikiem socjalnym”.

Znajdujemy się na trzecim piętrze budynku Wydziału do spraw Opieki Społecznej. Podczas weekendu większość biur jest pusta. Okna gabinetu Mel wychodzą na niedokończony magazyn z prefabrykatów. Zdobyła dla mnie trzy teczki, z których każdą zabezpiecza czerwona taśma. Mam na lekturę godzinę, do jej powrotu z zakupów.

Wiem, czego mogę się spodziewać. Pierwszą zasadą poszukiwań w ciemno jest kompletowanie wszelkich podkładek. Tym właśnie zajmują się pracownicy socjalni. Kiedy grzebią w cudzym życiu, starannie odnotowują wszystkie decyzje. Znajdę tu wywiady środowiskowe, ewaluację rodziny, sprawozdania psychologów i opinie lekarskie. Będą też protokoły ze wszystkich zebrań poświęconych rozpatrywaniu przypadku oraz narad, jak również kopie raportów policyjnych i decyzji sądowych.

Jeśli Bobby przebywał w domu dziecka albo na oddziale psychiatrycznym, to znajdę stosowne adnotacje. Będą w nich nazwiska, daty i nazwy miejsc. Porównam te dane z informacjami z akt Catherine McBride i przy odrobinie szczęścia znajdę powiązania.

Na pierwszej stronie adnotacja o telefonie ze szkoły St Mary's. Poznaje pismo Mel. U Bobby'ego „zaobserwowano ostatnio zmiany w zachowaniu”. Oprócz moczenia się i brudzenia spodni pojawiły się „nieprzyzwoite gesty”. Zdjął spodenki i symulował stosunek z siedmioletnią dziewczynką.

Mel przefaksowała te informacje do kierownika rejonu. Jednocześnie skontaktowała się telefonicznie z pracownicą urzędu rejonowego i poprosiła o sprawdzenie czy Bobby, jego rodzice lub rodzeństwo byli kiedykolwiek notowani. Kiedy okazało się, że mają czyste konto, Mel założyła nowe akta. Najbardziej niepokoiły ją obrażenia. Skontaktowała się z Lucasem Duttonem, zastępcą dyrektora do spraw dzieci, który podjął decyzję o wszczęciu dochodzenia.

„Czerwoną krawędź” łatwo odnaleźć ze względu na kolor brzegów dokumentów. Jest tam nazwisko Bobby'ego, data urodzenia, adres i dane dotyczące rodziców, nazwa szkoły, nazwisko lekarza pierwszego kontaktu oraz informacja o przebytych chorobach. Są też dane zastępcy wicedyrektorki szkoły St Mary's, która złożyła doniesienie.

Mel postarała się o pełne badanie lekarskie. Doktor Richard Legende znalazł „dwa lub trzy ślady długości sześciu cali biegnące w poprzek obu pośladków”. Opisał je jako powstałe na skutek „dwóch lub trzech następujących po sobie uderzeń wymierzonych twardym przedmiotem, na przykład pasem nabijanym ćwiekami”.

Bobby w trakcie badania był przygnębiony i nie odpowiadał na żadne pytania. Doktor Legende zauważył w okolicy odbytu zbliznowacenia. „Trudno określić, czy do uszkodzeń doszło przypadkiem, czy w wyniku penetracji”, napisał. W późniejszym raporcie wykazał większe zdecydowanie, stwierdzając, że wygląd tkanki bliznowatej „wskazuje na molestowanie seksualne”.

Wezwano na rozmowę Bridget Morgan. Z początku wrogo nastawiona, oskarżała pracowników

socjalnych o wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Kiedy dowiedziała się o obrażeniach i o zachowaniu Bobby'ego, zaczęła dawać przemyślane odpowiedzi. Na koniec zaczęła usprawiedliwiać męża.

- On jest dobrym człowiekiem, ale nie umie się pohamować. Wpada w złość i traci panowanie nad sobą.

- Czy zdarza mu się panią uderzyć?

- Taak.

- A Bobby'ego?

- On obrywa najczęściej.

- Czym bije Bobby'ego?

- Obrozą... Zabije mnie, jak się dowie, że tu byłam... Nie macie pojęcia, jaki on jest...

Zapytana o nieprzyzwoite zachowania seksualne, Bridget kategorycznie zaprzeczyła, aby jej mąż mógł się dopuścić podobnych czynów. Zaprzeczała coraz gwałtowniej w miarę trwania rozmowy. W końcu rozplakała się i poprosiła o widzenie z Bobbym.

Wszelkie podejrzenia o wykorzystywanie seksualne dzieci muszą być zgłaszane policji. Ta informacja jeszcze bardziej zdenerwowała Bridget Morgan. Wyraźnie załamana wyznała, że niepokoi ją zachowanie męża wobec Bobby'ego. Nie mogła lub nie chciała wdawać się w szczegóły.

Bobby'ego wraz z matką zawieziono na posterunek policji na Marsh Lane. W komisariacie odbyto naradę. Uczestniczyli w niej Mel Cossimo, jej bezpośredni przełożony Lucas Dutton, detektyw w stopniu sierżanta Helena Bronte oraz Bridget Morgan. Po kilkuminutowej rozmowie sam na sam z Bobbym, matka wyraziła zgodę na przeprowadzenie dochodzenia.

Przeglądając zeznania złożone przez nią na policji, staram się wychwycić kluczowe informacje. Stwierdziła, że dwa lata wcześniej widziała, jak Bobby siedział bez majtek na kolanach jej męża. On natomiast był jedynie owinięty ręcznikiem w pasie i jak jej się zdawało, trzymał rękę między nogami chłopca.

W poprzednim roku Bobby często nie miał na sobie bielizny, kiedy rozbierał się do kąpieli. Zapytany, odpowiedział, że „tatuś nie lubi, kiedy noszę majtki”.

Pani Morgan wyjawiała również, że jej mąż kąpie się wyłącznie wtedy, kiedy chłopiec nie śpi, i nie zamyka drzwi do łazienki. Często zachęca syna do wspólnej kąpieli, ale on się wymawia pod różnymi pretekstami.

Te zeznania, chociaż niezbyt obciążające, mogły stać się poważnymi zarzutami w rękach dobrego prokuratora. W następnej kolejności spodziewam się natrafić na zeznania Bobby'ego. Wertuję kartki, ale nie znajduję protokołu z przesłuchania, co mogłoby tłumaczyć fakt, że Lenny Morgan nigdy nie został postawiony w stan oskarżenia. Jest natomiast kasetą wideo i plik

odręcznych notatek.

Zeznania dziecka mają decydujące znaczenie. Jeżeli nie wyjawi, że było molestowane, szansę na sukces są znikome. W takim wypadku pozostaje tylko liczyć, że przestępca sam przyzna się do winy, albo dostarczyć niezbite dowody w postaci wyniku badania lekarskiego.

Mel ma odtwarzacz wideo i telewizor w swoim biurze. Wysuwam kasetę z kartonowej okładki. Na naklejce pełne dane Bobby'ego oraz miejsce i data nagrania. Wraz z obrazem wyświetla się w dolnym lewym narożniku czas nagrywania.

Ze względu na ograniczenia czasowe ocena zagrożenia dziecka jest o wiele trudniejsza od rutynowej konsultacji dorosłego pacjenta. Czasami potrzeba wielu tygodni na zdobycie zaufania małego pacjenta, które doprowadzi do otwarcia się dziecka. Lecz oceny należy dokonać szybko i dlatego pytania są bardziej bezpośrednie niż powinny.

Rozmowa odbywa się w przyjaznym dla dziecka pomieszczeniu; ze ścianami w wesołych kolorach i z zabawkami rozrzuconymi na podłodze. Na stole leży papier do rysowania i kredki. Mały chłopiec siada spięty na plastikowym krzeselku i patrzy na pustą kartkę. Jest w szkolnym mundurku z krótkimi, workowatymi spodenkami i ma znoszone buciki. Spogląda prosto w kamerę i wtedy widzę dokładnie jego twarz. Zmienił się bardzo przez te czternaście lat, lecz można go rozpoznać. Siedzi bierny, jakby pogodzony z losem.

Jest jeszcze coś. Coś więcej. Szczegóły powracają jak rozsypane żołnierzyki. Ja widziałem już tego chłopca. Rupert Erskine poprosił mnie, żebym przyjrzał się przypadkowi. Mały chłopiec, który nie odpowiada na żadne pytania. Potrzebne było nowe podejście. I być może nowa twarz.

Kamera cały czas pracuje. Słyszę swój głos.

- Wolisz, żeby mówić na ciebie Robert, Rob czy Bobby?
- Bobby.
- Bobby, wiesz, czemu tu jesteś? Nie odpowiada.
- Muszę ci zadać parę pytań? Zgoda?
- Chcę do domu.
- Jeszcze nie. Bobby, powiedz, potrafisz odróżnić prawdę od kłamstwa, tak?

Kiwa głową.

- Gdybym powiedział, że mam marchewkę zamiast nosa, co to by było?
- Kłamstwo.
- Tak jest.

Kamera cały czas pracuje. Zadaję szereg ogólnych pytań na temat szkoły i domu. Bobby opowiada o swoim ulubionym programie telewizyjnym i o zabawkach. Odpreża się i mówiąc, zaczyna rysować coś na kartce.

Gdyby mogły się spełnić jego trzy życzenia, o co by poprosił? Po dwóch nieudanych podejściach

i zmianach wyboru decyduje, że: po pierwsze - chciałby mieć na własność fabrykę czekolady, po drugie - pojechać na obóz i po trzecie - zbudować maszynę, która uszczęśliwiłaby wszystkich ludzi. Kim chciałby być? Jeżem Sonikiem, bo „naprawdę szybko biega i ratuje swoich przyjaciół”.

Oglądając wideo, rozpoznaję pewne maniery i mowę ciała dorosłego Bobby'ego. Rzadko się uśmiecha lub śmieje. Bardzo krótko utrzymuje kontakt wzrokowy.

Pytam go o ojca. Z początku jest ożywiony i otwarty. Chce iść do domu i się z nim zobaczyć. „Pracujemy nad wynalazkiem. Dzięki niemu zakupy nie będą w bagażniku wysypywać się z toreb”.

Bobby rysuje siebie i skłania go, aby nazwał wszystkie części ciała. Mamrocze niewyraźnie, kiedy dochodzimy do „intymnych miejsc”.

- Lubisz kąpać się z tatą?
- Tak.
- A czemu lubisz?
- Bo mnie łaskocze.
- Gdzie cię łaskocze?
- Wszędzie.
- A czy dotyka cię w sposób, jakiego nie lubisz? Bobby marszczy brwi.
- Nie.
- Czy kiedykolwiek dotyka twoich intymnych miejsc?
- Nie.
- A gdy cię myje?
- Chyba. - Mruczy pod nosem coś, czego nie wychwytyuję.
- A twoja mama? Czy ona czasami cię tam dotyka?

Kręci głową i prosi, żeby go puścić do domu. Zgniała kartkę i nie chce odpowiadać na więcej pytań. Nie jest zdenerwowany czy wystraszony. To kolejny przykład „dystansowania się”, częstego zjawiska u molestowanych dzieci, które starają się być niewidoczne i nie wystawiać się na cel.

Wywiad dobiega końca, lecz trudno wyciągnąć jednoznaczne wnioski. Mowa ciała nie stanowi wystarczającej podstawy do sformułowania opinii.

Przeglądając kolejne kartki dokumentacji, układam z fragmentów obraz tego, co działo się potem. Mel zaleciła, aby Bobby'ego wpisano do Rejestru Dzieci Objętych Ochroną - listy dzieci, które uważa się za zagrożone. Wystąpiła z wnioskiem o tymczasowy nadzór prawny - to wtedy wyciągnęła sędziego z łóżka o drugiej nad ranem.

Policja aresztowała Lenny'ego Morgana. Przeszukano dom, a także jego szafkę w zajezdni oraz garaż, który wynajmował na warsztat. Lenny przez cały czas utrzymywał, że jest niewinny. Opisywał siebie jako kochającego ojca, który nigdy nie zrobił nic złego ani nie był notowany przez policję. Twierdził, że nie miał pojęcia o obrażeniach Bobby'ego, chociaż przyznał, iż „mu wlał”,

kiedy chłopak rozebrał na części chodzący budzik.

Ja tego wszystkiego nie wiedziałem. Moja rola ograniczyła się do tamtego wywiadu. To był przypadek Erskine'a.

Zebranie w sprawie objęcia Bobby'ego opieką prawną odbyło się w piątek, piętnastego sierpnia. Przewodniczył mu Lucas Dutton, a udział wzięli: kurator, psycholog-konsultant Rupert Erskine, lekarz pierwszego kontaktu, wicedyrektorka szkoły i detektyw sierżant Helena Bronte.

Z protokołu wynika, że naradę prowadził Lucas Dutton. Pamiętam go. Podczas mojej pierwszej narady wdeptał mnie w ziemię, kiedy zasugerowałem alternatywne rozwiązanie. Rzadko kwestionuje się zdanie dyrektorów - szczególnie jeśli się jest świeżo upieczonym psychologiem z dyplomem, na którym nie wysechł jeszcze atrament.

Policja nie dysponowała wystarczającymi dowodami, żeby oskarżyć Lenny'ego Morgana, lecz śledztwo było kontynuowane. Na podstawie dowodów fizycznych i zeznań Hridget Morgan uczestnicy zebrania zalecili, aby Bobby został umieszczony w Izbie Dziecka, o ile ojciec dobrowolnie nie opuści domu. Codzienne kontakty miały zostać utrzymane, lecz ojciec i syn nigdy nie mogli przebywać sami.

Bobby spędził pięć dni w Izbie Dziecka, zanim Lenny zgodził się wyprowadzić z domu i zamieszkać osobno do czasu zakończenia śledztwa.

W drugiej teczce na wierzchu jest kartka ze spisem dokumentów. Przebiegam wzrokiem listę i zaczynam czytać. Przez trzy miesiące Morganów obserwowali pracownicy socjalni i psychologowie, starając się ustalić, jak ta rodzina funkcjonuje. Monitorowano i analizowano zachowanie Bobby'ego, szczególnie podczas spotkań z ojcem. W tym samym czasie Erskine przeprowadzał indywidualne wywiady z Bridget, Lennym i Bobbym, spisując dokładnie ich wersje. Rozmawiał również z Pauline Aherne, babką Bobby'ego ze strony matki, oraz z młodszą siostrą Bridget.

Obie zdawały się potwierdzać podejrzenia Bridget względem Lenny'ego. Pauline Aherne oświadczyła, że była świadkiem niedozwolonego zachowania podczas zapasów ojca z synem przed snem. Widziała, jak wsunął mu rękę w spodnie od piżamy.

Gdy porównałem jej zeznania z zeznaniami Bridget, zauważyłem, że używały tych samych określeń i formułowały podobne wypowiedzi. Gdybym prowadził ten przypadek, wzbudziłoby to mój niepokój. Bliższa koszula ciała... - a najbardziej w sprawach o ustalenie opieki nad dzieckiem.

Pierwsza żona Lenny'ego Morgana zginęła w wypadku samochodowym. Syn z pierwszego małżeństwa, Dafyyd Morgan, opuścił dom rodzinny jako osiemnastolatek i nigdy nie znalazł się w kręgu zainteresowań Opieki Społecznej.

Podjęto kilka prób nawiązania kontaktu z Dafyydem. Pracownicy socjalni odszukali jego nauczycieli oraz trenera pływackiego, a ci oznajmili, że jego zachowanie nie dawało podstaw do

obaw. Dafydd skończył naukę w wieku piętnastu lat i terminował w miejscowej firmie budowlanej. Potem zrezygnował z pracy i jego ostatnim znanym miejscem pobytu było schronisko turystyczne na południu Australii.

W teczce znajduje się wniosek Erskine'a, ale brakuje notatek. Z wniosku wynika, że Bobby był „nerwowy, niespokojny, zmienny w nastrojach” i wykazywał „objawy zaburzeń w wyniku urazu psychicznego i stresu”.

„Pytany o molestowanie, przybierał postawę obronną i stawał się bardzo pobudzony”, odnotował Erskine. „Wykazywał również zachowania obronne, jeśli ktokolwiek sugerował, że jego rodzina nie była idealna. Jakby za wszelką cenę starał się coś ukryć”.

O Bridget Morgan Erskine napisał: „Przede wszystkim ma na względzie dobro syna. Chce uchronić go przed dalszymi przesłuchaniami z powodu niepokoju, jaki w nim budzą. Według jej słów, Bobby moczy się w nocy i ma problemy z zasypianiem”.

Jej obawy są zrozumiałe. Według mojej oceny, z grubsza licząc, Bobby był przesłuchiwany ponad dwanaście razy przez terapeutów, psychologów i pracowników socjalnych. Zadawali mu te same, różnie sformułowane pytania.

Podczas sesji z zabawkami obserwowano, jak rozbiera lalki i nazywa ich części ciała. Żadna z tych sesji nie została nagrana, lecz terapeutka odnotowała, że Bobby położył jedną lalkę na drugiej i wydawał odgłosy przypominające sapanie.

Erskine załączył do akt dwa rysunki Bobby'ego. Trzymam je w wyciągniętej ręce. Są całkiem niezłe w pewien abstrakcyjny sposób - coś w rodzaju skrzyżowania Picassa z Flinstonami. Postacie przypominają roboty z przechylonymi głowami. Dorośli są przesadnie wysocy, a dzieci bardzo małe. Wnioski końcowe Erskine'a:

Istnieje kilka znaczących dowodów, które, według mojej opinii, przekonująco świadczą o prawdopodobieństwie kontaktów seksualnych pana Morgana z synem.

Po pierwsze wskazują na to zeznania Bridget Morgan i jej matki, Pauline Aherne. Wydaje się, że żadna z tych kobiet nie ma powodu do dawania tendencyjnego, ubarwionego świadectwa. Obie widziały, jak Lenny Morgan obnażał się przed synem i zdejmował mu spodenki.

Po drugie dysponuję wynikami badania doktora Richarda Legende, który znalazł „dwie lub trzy pręgi po uderzeniach pasem długości około sześciu cali biegnące w poprzek obu pośladków dziecka”. Bardziej niepokojące są zbliznowacenia około odbytu.

Ponadto zaobserwowaliśmy zmiany w zachowaniu Bobby'ego. Wykazuje niezdrowe zainteresowanie seksem oraz znajomość erotycznej sfery życia znacznie wykraczającą poza wiedzę ośmioletniego dziecka.

Opierając się na tych faktach, uważam, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż Bobby był wykorzystywany seksualnie przez ojca.

W połowie listopada musiało się odbyć następne zebranie w sprawie tego przypadku. Nie mogę jednak znaleźć protokołu z tego spotkania. Zawieszono śledztwo, ale akta pozostały otwarte.

Trzecia teczka jest pełna prawnych dokumentów - niektóre z nich obwiązane tasiemką. Opieka Społeczna, uznając, że Bobby jest zagrożony, wystąpiła o przyznanie stałego nadzoru kuratorskiego. Do ataku ruszyli prawnicy.

- Co tam mruczysz pod nosem? - Mel skończyła zakupy i podchodzi do mnie, balansując grubą księgą, na której niesie dwie filiżanki kawy. - Przykro mi, że nie mogę ci zaproponować niczego mocniejszego. Pamiętasz, jak przemycaliśmy tu skrzynki wina przed Bożym Narodzeniem?

- Pamiętam, jak Boyd się upił i podlewał plastikowe rośliny w foyer.

Oboje wybuchamy śmiechem.

- Budzi wspomnienia? - wskazuje na teczki.

- Niestety. - Moja lewa ręka drży. Wsuwam ją między kolana. - Co myślałaś o Lennym Morganie?

Siada i zrzuca z nóg pantofle.

- Uważałam go za kawał świni. Był grubiański i gwałtowny.

- Co takiego zrobił?

- Podszedł do mnie przed salą sądową. Wysłałam, żeby skorzystać z telefonu w holu. Zapytał, dlaczego to robię, czy mam jakieś osobiste powody. Kiedy próbowałam go ominąć, przyparł mnie do ściany i zacisnął rękę na szyi. Miał w oczach coś takiego... - Przebiega ją dreszcz.

- Nie złożyłaś doniesienia?

- Nie.

- Był zdruzgotany?

- Tak.

- A ta jego żona?

- Bridget. Taki typ, co to biega w futerku, ale bez majtek. Parwenuszka z aspiracjami.

- Ale budziła twoją sympatię?

- Tak.

- Co się stało z nakazem przyznania stałego nadzoru kuratorskiego?

- Jeden sędzia pokoju przychylił się do wniosku, dwóch uznało, że dowody są niewystarczające.

- Nie zaprzestałaś starań o kuratelę?

- Pewnie, że nie. Nie zamierzałam pozwolić, aby ojciec zbliżał się do Bobby'ego. Udaliśmy się prosto do sądu rejonowego i jeszcze tego samego dnia odbyła się rozprawa. Gdzieś tu po winny być dokumenty. - Wskazuje ręką na teczki.

- Kto składał zeznania?

- Ja.

- A Erskine?

- Wykorzystałam jego sprawozdanie. Moja dociekliwość zaczyna ją drażnić.

- Każdy pracownik socjalny postąpiłby tak samo na moim miejscu. Jeżeli nie możesz przemówić do rozsądku sędziom pokoju, zwracasz się do sądu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć przyznają kuratele.

- Już nie.

- Nie. - Słyszę rozczarowanie w jej głosie. - Zmieniono przepisy.

Od chwili, kiedy Bobby znalazł się pod stałym nadzorem kuratorskim, każda istotna decyzja mająca na względzie jego dobro była podejmowana przez sąd, a nie przez rodzinę. Nie mógł zmienić szkoły, dostać paszportu, pójść do wojska czy ożenić się bez uprzedniej zgody sądu. Ponadto ojciec już na zawsze musiał trzymać się od niego z daleka.

Wertuję kartki w teczce i natrafiam na decyzję sędziego. Uzasadnienie zajmuje około ośmiu stron. Przebiegam je szybko wzrokiem, szukając końcowych postanowień.

Tak mężowi, jak i żonie szczerze zależy na dobru dziecka. Cieszy mnie fakt, że w przeszłości oboje, zgodnie ze swoim przeświadczeniem, starali się jak najlepiej wypełniać obowiązki rodzicielskie. Niestety, według mnie w przypadku męża zdolność odpowiedniego i stosownego wypełniania obowiązków względem dziecka przyćmiewa ciężące na nim podejrzenia.

Wziąłem pod uwagę przeciwstawne argumenty, a mianowicie zaprzeczenia męża. Ponadto jestem świadomy, że dziecko pragnie przebywać z ojcem i z matką. Jednocześnie nie można dopuścić, aby te pragnienia przeważały nad innymi sprawami istotnymi dla dobra Bobby'ego.

Wskazówki dotyczące dobra dziecka oraz wyniki testów są jednoznaczne. Interes Bobby'ego ma znaczenie nadrzędne. Sąd nie może przyznać opieki ani dostępu do dziecka rodzicowi, jeżeli ta opieka czy dostęp naraża je na niedopuszczalne ryzyko wykorzystywania seksualnego.

Mam nadzieję, że w odpowiednim czasie, kiedy Bobby osiągnie odpowiedni stopień dojrzałości i świadomości gwarantujący mu bezpieczeństwo, będzie mógł na powrót widywać się z ojcem. Jednakże do tego czasu wszelkie kontakty z ojcem powinny być wstrzymane.

Na decyzji widnieje pieczęć sądu oraz podpis sędziego Alexandra McBride, dziadka Catherine.

Mel obserwuje mnie z drugiego końca biurka.

- Znalazłeś to, czego szukałeś?

- Właściwie nie. Często miałaś do czynienia z sędzią McBride?

- Łebski gość.

- Pewnie słyszałaś o jego wnuczce?

- Okropna sprawa.

Prostuje nogi i obraca się powoli wraz z krzesłem do momentu, kiedy może oprzeć stopy o ścianę. Jednocześnie nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Nie wiesz czasem, czy Catherine McBride nie ma u was teczki? - rzucam mimochodem.
- Dziwne, że akurat pytasz.
- Czemu?
- Bo ktoś jeszcze chciał ją obejrzeć? Dwie interesujące proś by w ciągu jednego dnia.
- Kto prosił o jej akta?
- Detektyw z wydziału zabójstw. Chce wiedzieć, czy przewija się tam twoje nazwisko.

Jej wzrok przeszywa mnie na wylot. Jest zła, że coś przed nią ukrywam. Pracownicy socjalni niełatwo okazują zaufanie. Obcowanie z molestowanymi dziećmi, maltretowanymi żonami, narkomanami, alkoholikami i rodzicami walczącymi o prawa do dziecka uczy ich czujności. Nie daj się zwieść pozorom. Nigdy nie ufaj dziennikarzom, adwokatom ani wystraszonemu rodzicom. Nigdy nie daj się omamić podczas wywiadów ani nie czyn obietnic dzieciom. Nie polegaj na rodzicach zastępczych, sędziach pokoju, politykach ani wyższych rangą urzędnikach socjalnych. Tymczasem Mel mi zaufała. A ja ją zawiodłem.

- Detektyw oznajmił, że jesteś w kręgu ich zainteresowania. Twierdzi, że Catherine złożyła na ciebie skargę o napaść seksualną. Pytał, czy kiedykolwiek pojawiały się podobne zarzuty pod twoim adresem.

To konik Mel. Nie ma nic przeciwko samym mężczyznom, tylko ich postępowaniu.

- Napaść seksualna to fikcja. Nie dotknąłem Catherine.

Nie potrafię ukryć gniewu w moim głosie. Nadstawianie drugiego policzka jest dobre dla ludzi, którzy chcą spojrzeć w drugą stronę. Mam dość oskarżeń o coś, czego nie zrobiłem.

Wracam pieszo do hotelu Albion, usiłuję poskładać fragmenty wiadomości w całość. Zszyte ucho pulsuje, lecz to pomaga mi zebrać myśli. Przypomina próbę koncentracji przy ryczącym na cały głos telewizorze.

Bobby utracił ojca, będąc mniej więcej w wieku Charlie. Taki dramat może przynieść tragiczne skutki, lecz psychiki dziecka nie kształtuje jedna osoba. Są jeszcze dziadkowie, wujkowie, ciotki, bracia, siostry, nauczyciele, koledzy i wielu innych ludzi, z jakimi się styka. Gdybym mógł skontaktować się z którąś z tych osób i porozmawiać, może odkryłbym, co się z nim działo.

Co mi umyka? Dziecko znalazło się pod stałym nadzorem prawnym. Ojciec popełnił samobójstwo. Smutna historia, lecz nie taka znowu wyjątkowa. Już nie oddaje się dzieci pod kuratelę sądu. Na początku lat dziewięćdziesiątych zmieniono przepisy. Stary system za bardzo sprzyjał nadużyciom. Wystarczyły skromne dowody, aby odebrać rodzicom opiekę nad dzieckiem, nie istniały działania kontrolne i wyważanie argumentów.

W zachowaniu Bobby'ego były wszelkie oznaki wskazujące na wykorzystywanie seksualne. Ofiary molestowania potrafią znaleźć mechanizmy obronne. Niektóre dzieci cierpią na pourazową amnezję, u innych dochodzi do wyparcia złych wspomnień i wszelkich myśli o tym, co się im

przytrafiło. W dodatku niektórzy pracownicy socjalni wolą raczej „potwierdzać” niż weryfikować podejrzenia o molestowanie. Zakładają, że oskarżający zawsze mówią prawdę, a podejrzani z natury rzeczy kłamią.

Im mocniej Bobby zaprzeczał, tym bardziej utwierdzał wszystkich w przekonaniu, że do czegoś doszło. Całe dochodzenie oparto na niepodważalnym założeniu. A jeśli popełniliśmy błąd?

Pewnego razu naukowcy z Uniwersytetu Stanowego w Michigan przedstawili streszczenie autentycznego przypadku dwuletniej dziewczynki zespołowi ekspertów złożonemu z ośmiu klinicznych psychologów, dwudziestu trzech absolwentów psychologii oraz pięćdziesięciu pracowników socjalnych i psychiatrów. Przeprowadzający badanie od początku wiedzieli, że dziewczynka nie była molestowana.

Dla matki podstawę do postawienia zarzutu stanowił siniak na nodze dziewczynki oraz jeden włos łonowy na pieluszce (który, według jej opinii, należał do ojca dziecka). Cztery badania lekarskie nie wykazały śladów molestowania. Po dwóch testach z wykrywaczem kłamstw oraz śledztwie, przeprowadzonym wspólnie przez policję i Wydział Ochrony Praw Dziecka, ojciec został oczyszczony z zarzutów.

Pomimo to trzy czwarte ekspertów orzekło, iż kontakty ojca z córką powinny być nadzorowane lub całkowicie zakazane. Kilku z nich doszło nawet do wniosku, że ojciec odbywał z dzieckiem stosunki analne.

W sprawach o molestowanie dzieci nie wchodzi w grę „domniemanie niewinności”. Podejrzany jest uważany za winnego, jeśli nie dowiedzie, że jest niewinny.

Znam wszystkie argumenty broniące takiego podejścia. Fałszywe oskarżenia należą do rzadkości. Często trudno odkryć prawdę.

Erskine jest szanowanym psychologiem i porządnym człowiekiem. Do śmierci opiekował się żoną chorą na stwardnienie rozsiane. Potem ufundował stypendium badawcze jej imienia. Mel jest pasjonatką, a jej wrażliwość społeczna zawsze mnie zawstydziała. Z drugiej strony nigdy nie stwarzała pozorów neutralności. Wiedziała swoje. Dla niej liczyła się intuicja.

Nie wiem, co myśleć. Jestem zmęczony i głodny. Nadal nie mam żadnych dowodów na to, że Bobby znał Catherine McBride, nie mówiąc już o tym, że ją zamordował.

Od pokoju hotelowego dzieli mnie ostatnie dwanaście stopni, gdy orientuję się, że coś jest nie tak. Drzwi otwarte na oścież. Na dywanie plama w kolorze czerwonego wina z zaciekiem w kierunku schodów. Wejście tarasuje przewrócona palma. Gliniana doniczka musiała się rozpaść w zetknięciu z klamką.

Na podeście wózek sprzątaczkii. A w nim dwa wiaderka, mopy, szczotki ryżowe i cała kolekcja wilgotnych szmat. Sprzątaczkii stoi na środku pokoju. Szczotki wyłamanej szuflady rozsypane na skłębionej pościeli. Umywalka - wyrwana ze ściany - leży pod wygiętą rurą, z której miarowym

strumyczkiem sączy się woda.

Moje rzeczy, rozwłócone po całym nasiąkniętym dywanie, mieszają się ze strzępami notatek i dokumentów. Sportową torbę wciśnięto do muszli klozetowej i ozdobiono zgrabną kupą.

- Nie ma jak porządnie wysprzątać pokój, prawda? -mówię.

Sprzątaczką patrzy na mnie z niedowierzaniem.

Na lustrze napis wykonany miętową pastą do zębów, pełen lokalnego kolorytu: „Wracaj do domu, bo dostaniesz wpierdol”. Prosty, zwięzły, zrozumiały.

Kierownik hotelu chce wezwać policję. Muszę sięgnąć do portfela, żeby go nakłonić do zmiany decyzji. Oglądam szczątki - niewiele można uratować. Z namaszczeniem podnoszę plik przemoczonych papierów z rozmazanym atramentem. Jedyna czytelna strona to ta z końcową częścią CV Catherine. List motywacyjny przeczytałem w gabinecie, więcej nie zdażyłem. Prześlizguję się wzrokiem po kartce. Natrafiam na nazwiska osób udzielających referencji. Tylko jedno przyciąga moją uwagę: Dr Emlyn R. Owens. Obok adres gabinetu Jocka na Harley Street i numer telefonu.

12

Roboty na torach, liście na przewodach, opuszczone semafony, postoje... do wyboru do koloru; a wszystko razem składa się na jedno - pociąg przyjedzie do Londynu z opóźnieniem. Konduktor co chwilę przeprasza przez głośnik, nie pozwalając nam zasnąć.

Kupuję w wagonie restauracyjnym kawę i „fantazyjną” kanapkę, która stanowi dowód na to, jak bardzo mogą się zdewaluować wyszukane kulinarne określenia. Czuję wyłącznie smak majonezu. Beładne myśli atakują mój znużony umysł. Brakujące szczegóły. Nowe szczegóły. Żadnych szczegółów.

Istnieją małe kłamstwa, takie błahe, że nie ma najmniejszego znaczenia, czy się w nie wierzy, czy nie. Inne kłamstwa wydają się małe, lecz pociągają za sobą ogromne konsekwencje. A czasem istotne bywa nie to, co się powiedziało, lecz to, co zostało przemilczane. Kłamstwa Jocka kręcą się zawsze blisko prawdy. Catherine miała romans z kimś z Marsden - z żonatym mężczyzną. Była w nim zakochana. Bardzo źle przyjęła rozstanie. W wieczór swojej śmierci była z kimś umówiona. Czy chodziło o Jocka? Może zadzwoniła do mego gabinetu, ponieważ się nie pojawił? A może przyszedł na spotkanie? Nie jest już żonaty. Stara miłość nie rdzewieje.

To Jock skierował do mnie Bobby'ego. Powiedział, że chce oddać przysługę Eddiemu Barrettowi.

Jezu! Nie ogarniam tego wszystkiego. Najlepiej gdybym mógł zasnąć i obudzić się w innym ciele albo... w innym życiu. Każdy scenariusz byłby lepszy od tego, co jest. Mój najlepszy przyjaciel - obym się mylił. Jesteśmy razem od samego początku. Zawsze uważałem, że pobyt na wspólnej porodówce uczynił nas czymś w rodzaju braci - bliźniąt z różnymi genami - którzy

oddychali tym samym powietrzem i widzieli to samo jasne światło w chwili przyjscia na świat.

Teraz nie wiem, co myśleć. Okłamał mnie. Siedzi w moim domu i wykorzystuje całą tę sytuację. Widziałem, jak patrzy na Julianne - to coś więcej niż zazdrość.

W przypadku Jocka wszystko jest rywalizacją. Pojedyńkiem. I nie znosi, jeśli przeciwnik nie walczy jak lew, bo to obniża wartość zwycięstwa.

Catherine była łatwą zdobyczą. Jock zawsze potrafił wyłowić te bezbronne, chociaż nie podniecały go tak, jak pewne siebie, wyniosłe dziewczyny. Jego romanse były przyczyną obu rozwodów. Nie potrafił się pohamować.

Dlaczego Catherine miałyby pozostawać w kontakcie z kimś, kto złamał jej serce? I czemu w CV podała jego nazwisko jako udzielającego referencji?

Ktoś musiał jej donieść, że poszukuję recepcjonistki. Trudno zakładać, że przypadkiem odpowiedziała na ogłoszenie, po czym się zorientowała, iż stara się o pracę u mnie. Być może Jock na nowo zaczął się z nią spotykać, nie musiał tego ukrywać. Chyba że czuł się skrępowany z powodu kłopotów, w jakie Catherine mnie wpędziła.

Co mi umyka?

Catherine wyszła z hotelu Grand Union sama. Jock się nie pojawił albo przełożył spotkanie na późniejszą godzinę. Nie! To idiotyczne! Nie byłby zdolny do torturowania kogokolwiek - zmuszenia jej, żeby wbijała sobie nóż w ciało. Potrafi być brutalny, ale nie jest sadystą.

Drepcę w kółko. Co wiem naprawdę? Jock znał Catherine. Wiedział o jej samookaleczeniach. Skłamał, że jej nie zna.

Ze strachu przeszywa mnie dreszcz, podobny do lekkiej gorączki. Ciocia Gracie powiedziała, że ktoś przeszedł po moim grobie.

Euston Station w zimny bezchmurny wieczór. Kolejka do taksówek ciągnie się wzdłuż całego chodnika i kończy na schodach. Jadę na Hampstead i, wpatrzony w czerwone cyfry przesuwające się na liczniku, obmyślam plan.

Odźwierny w apartamentowcu Jocka poszedł już na noc do domu, ale rozpoznaje mnie dozorca i wpuszcza do foyer, zwalniając drzwi przyciskiem domofonu.

- Co się panu stało w ucho?

- Jakiś owad mnie ugryzł. Zainfekowałem.

Klatka schodowa jest wyłożona cieniowanym mahoniem, w prętach przytrzymujących dywan odbija się światło z kryształowych żyrandoli. W mieszkaniu Jocka ciemno. Otwieram drzwi i widzę migające czerwono oko alarmu. Nie jest włączony. Jock ma problemy z zapamiętaniem kodu.

Nie włączam światła i idę po ciemku do kuchni. Czarnobiałe marmurowe kafle przypominają gigantyczną szachownicę. Oświetlenie nad kuchenką rzuca światło na podłogę i dolne szafki. Nie wiem, czemu się boję zapalić górne lampy. Chyba czuje się bardziej jak włamywacz niż gość

składający wizytę.

Zaczynam od szuflady pod telefonem - szukam jakichś dowodów, że Jock znał Catherine - notesu z adresami, może listu albo starego rachunku telefonicznego. Zaglądam do szafy w głównej sypialni, gdzie Jock trzyma koszule i garnitury uporządkowane według kolorów. Z tuzin koszul w oryginalnych opakowaniach leży osobno na półkach.

W głębi szafy natrafiam na pudło pełne zawieszanych teczek; w jednej z nich są same faktury i rachunki. Najświeższy rachunek telefoniczny jest wsunięty w plastikową koszulkę. W wykazie ujęto naprawę awarii połączeń automatycznych, billing rozmów międzynarodowych, a także połączeń z telefonami komórkowymi.

Przeoglądam pierwszą stronę spisu, szukając numeru, który zaczyna się od prefiksu: 0151 - to numer kierunkowy Liverpoolu. Nie znam żadnego z numerów Catherine. Ależ znam! Jest w jej CV!

Wyciągam ciągle jeszcze wilgotne kartki z kieszeni marynarki i rozprostowuję je ostrożnie na dywanie. Atrament spłynął w narożniki, lecz adres pozostał czytelny. Porównuję numery z billingiem, dochodząc do daty trzynasty listopada. Cyfry rzucają się na mnie - dwa połączenia z komórką Catherine. Drugie o siedemnastej dwadzieścia cztery; rozmowa trwała nieco ponad trzy minuty - na pomyłkę za długo, lecz wystarczy, żeby umówić się na spotkanie.

Coś tu nie gra. Ruiz dysponował zapisem rozmów Catherine. Musiał wiedzieć o tych telefonach.

Mam wizytówkę Ruiza w portfelu, po kąpieli w kanale rozmiękła niemal na papkę, ale jest jeszcze czytelna. Odzywa się automatyczna sekretarka, lecz zanim zdążę odłożyć słuchawkę, hurkliwy głos przeklina technikę i każe zaczekać. Słyszę, jak usiłuje wyłączyć urządzenie.

- Detektyw inspektor Ruiz?

- A, profesor wrócił! - Widzi numer Jocka na wyświetlaczu. - Co tam słyszać w Liverpoolu?

- Skąd pan wie?

- Mały ptaszek mi wyćwierkał, że potrzebował pan pomocy lekarza. Podejrzenia o napad są zgłaszane na policję. Jak ucho?

- Niegroźne odmrożenie.

Słyszę, że coś je. Pewnie raczy się gotowym curry odgrzanym w mikrofalówce, albo jakimś innym daniem na wynos.

- Czas, żebyśmy odbyli małą pogawędkę. Nawet wyślę po pana samochód.

- Muszę rozważyć tę propozycję.

- Chyba się nie rozumiemy. Dziś rano o dziesiątej został wy stawiony nakaz aresztowania.

Spoglądam na drzwi, spekulując, ile czasu upłynie, zanim ludzie Ruiza wyważą je kopniakiem.

- Pod jakim zarzutem?

- Pamięta pan, jak mówiłem, że jeszcze coś znajdę? Catherine McBride pisała do pana listy. Zachowała kopie. Znaleźliśmy je na dysku jej komputera.

- Niemożliwe. Nie dostałem żadnych listów.

- W takim razie powinien pan z chęcią przyjść, żeby to wyjaśnić.

- To musi być jakaś pomyłka. Jakiś obłąd. - Przez moment mam ochotę mu wszystko opowiedzieć - o Elisie, Jocku i o CV Catherine. Jednak rezygnuję i próbuję negocjować. - Pan powiedział, że ostatni telefon Catherine był do mego gabinetu. Ale musiała tamtego dnia dzwonić w inne miejsca. Ludzie telefonowali do niej. Pan to wszystko sprawdził, prawda? Nie zrezygnował pan z poszukiwań, widząc mój numer na billingu?

Ruiz nie odpowiada.

- Znała jeszcze kogoś w Marsden. I według mnie, miała z nim romans. Sądzę, że kontaktował się z nią tamtego dnia - trzynastego listopada. Słucha mnie pan?

Mój głos brzmi desperacko. Ruiz nie zamierza ustąpić. Siedzi tam, z tym swoim krzywym uśmiechem, i myśli, że nic go nie jest w stanie zaskoczyć. Albo się przyczał. I chce wydobyć ze mnie wszystko, co wiem.

- Powiedział mi pan kiedyś, że zbiera informacje tak długo, aż dwie, trzy zaczną do siebie pasować. Staram się panu pomóc. Usiłuję poznać prawdę.

Po ciszy, która zdaje się trwać wieki, Ruiz przerywa milczenie:

- Pan się zastanawia, czy pytałem pańskiego znajomego, doktora Owensa, o jego powiązania z Catherine McBride. Od powiedz brzmi; tak. Rozmawiałem z nim. Zapytałem, gdzie był tamtego wieczoru i w przeciwieństwie do pana, ma alibi. Chce pan wiedzieć, z kim był? A może powinienem pozwolić panu zgadywać, aż sam pan odkryje prawdę? Proszę zapytać żonę, profesora.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Zapewniła mu alibi.

Czarna taksówka wyrzuca mnie na Primrose Hali Avenue i ostatnie ćwierć mili pokonuję pieszo. Myśli wirują mi w głowie, lecz zbawienny przypływ adrenaliny pomaga pokonać zmęczenie.

Moje daremne próby chronienia ludzi przed czymś, czego nie rozumiem, zostały wyśmiane. Ktoś, gdzieś, śmieje się ze mnie w kułak. Co za głupiec! Przez cały ten czas żyłem w błędnym mniemaniu, że jutro okaże się inne. Jock zawsze mi powtarza: „Obudź się i ciesz się życiem”. Dobra, teraz wiem, o co chodzi - każdy kolejny dzień będzie gorszy.

Przy końcu mojej ulicy przystaję, wygładzam ubranie i ruszam szybkim krokiem, uważając na nierówności chodnika. W moim domu na wyższych kondygnacjach okna są ciemne, za wyjątkiem naszej sypialni i łazienki na półpiętrze.

Coś każe mi się zatrzymać. Na końcu ulicy, w cieniu platanów dostrzegam słabą poświatę tarczy zegarka przysuniętego do twarzy. Światło znika. Żadnego poruszenia. Właściciel zegarka

najwyraźniej czeka.

Przykucam za zaparkowanym samochodem i przesuwam się za szeregiem stojących aut, wyglądając co chwila zza karoserii. Widzę zarys sylwetki w ciemnościach. Druga osoba siedzi w samochodzie. Punkcik papierosa żarzy się tuż przy ustach.

Ruiz ich przysłał. Czekają na mnie.

Wycofuję się do końca mojej ulicy, trzymając się cały czas w cieniu, po czym skręcam za róg i obchodzę kwartał. Na równoległej ulicy rozpoznaję dom Franklinów, stojący dokładnie za naszym. Pokonuję furtkę i przechodzę przez ich ogród, unikając prostokątów światła z ich okien. W kuchni Daisy Franklin miesza coś w garnku stojącym na kuchence. Dwa koty wyłaniają się spod jej spódnicy i nurkują pod nią z powrotem. Może chowa się tam cała kocia rodzina?

Kieruję się ku rosochatej wiśni na tyłach ogrodu, prostuję i przekładam nogę ponad płotem. Druga noga odmawia posłuszeństwa. Wychylony do przodu na ułamek sekundy tracę równowagę, w zwolnionym tempie rozpościeram ramiona i wpadam głową prosto w przyzmę kompostu.

Klnąc, posuwam się na czworakach, miażdżąc dłońmi ślimaki, aż wynurzam się z kępy fuksji. Światło sączy się z sięgających od podłogi do sufitu okien na parterze. Julianne w turbanie z ręcznika na świeżo umytych włosach siedzi przy stole w kuchni.

Porusza ustami. Rozmawia z kimś. Wyciągam szyję, żeby sprawdzić, z kim; opieram się na dużym, włoskim dzbanie na oliwę, aż przechyła się pod moim ciężarem i muszę przytrzymać go w objęciach.

Czyjaś dłoń sięga ponad stołem. Palce splatają się z palcami Julianne. To Jock. Robi mi się niedobrze. Julianne wrywa rękę i daje mu klapsa w nadgarstek, jakby karciała niezdolne dziecko. Potem przechodzi przez kuchnię i wstawia do zmywarki filiżanki po kawie. Jock wodzi za nią oczyma. Mam ochotę wbić mu w nie szpilki.

Nigdy nie byłem typem zazdrośnika, lecz, o dziwo, w tej chwili przychodzi mi na myśl były pacjent, który obsesyjnie bał się utraty żony. Miała wspaniałą figurę, a on wmówił sobie, że wszyscy wpatrują się w jej biust. Stopniowo w jego wyobraźni jej biust stawał się coraz bardziej wydatny, natomiast bluzeczki coraz krótsze i bardziej obcisłe. Każdy jej ruch wydawał mu się prowokacją. Wszystko to była bzdura, ale nie dla niego.

Jock ma kota na punkcie piersi. Obie jego żony dały sobie je powiększyć. Czemu zadowalać się skromnymi darami natury, skoro można dostać za pieniądze wszystko, czego dusza zapagnie?

Julianne poszła na górę wysuszyć włosy. Jock przeszukuje kieszenie skórzanej marynarki. Jego cień wypełnia drzwi tarasu, następnie Jock wychodzi na dwór. Słysząc szelest żwiru pod stopami. Pojawia się błysk zapalniczki i rozżarzony koniuszek cygara.

Podcinam mu nogi kopniakiem; zatacza się i pada ciężko na ziemię w gejzerze iskier.

- Joe!

- Wynoś się z mego domu!
- Jezu, jeśli przypaliłem sobie sweter...
- I trzymaj się z dala od Julianne! Odczołguje się i próbuje usiąść.
- Nie wstawaj!
- Czemu się skradasz po kryjomu?
- Bo przed domem są policjanci. - Nadaję głosowi oczywisty ton.

Patrzy na cygaro i duma, czy ma je ponownie zapalić.

- Miałeś romans z Catherine McBride. Podała twoje nazwisko w pieprzonym CV!

- Opanuj się, Joe. Nie wiem, co...
- Powiedziałeś mi, że jej nie znasz. Widziałeś się z nią tam tego wieczoru.
- Nie.
- Umówiłeś się z nią na spotkanie.
- Bez komentarza.
- Co znaczy: „bez komentarza”?
- Właśnie tyle: bez komentarza.
- Bzdury! Umówiłeś się z nią.
- Ale nie poszedłem.
- Kłamiesz.
- Niech ci będzie, kłamie - mówi z sarkazmem - Jak sobie życzysz, Joe.
- Przestań ze mną pogrywać.
- Co mam ci powiedzieć? Była warta grzechu. Umówiłem się z nią. Ale nie poszedłem. Koniec,

kropka. A ty mi nie praw kazań. Posuwałeś prostytutkę. Straciłeś szansę na umoralniające gadki.

Robię zamach, żeby przyłożyć mu z pięści, lecz tym razem jest przygotowany. Uchyła się, jednocześnie kopiąc mnie w krocze. Ból mnie zaskakuje, nogi składają się w kolanach. Zatrzymuję się czołem na jego piersi, kiedy powstrzymuje mnie przed upadkiem na ziemię.

- To wszystko nie ma znaczenia - mówi cicho.
- Oczywiście, że ma - syczę, z trudem łapiąc oddech. - Oni myślą, że ją zabiłem.

Jock pomaga mi wstać. Odtrącam jego ręce i cofam się.

- Uważają, że miałem z nią romans. Mogłeś im powiedzieć prawdę.

Jock rzuca mi ironiczne spojrzenie.

- O ile mi wiadomo, też się z nią bzykałeś.
- To bzdura i dobrze o tym wiesz!
- Popatrz na to z mojej strony. Nie chciałem zostać w to wszystko wciągnięty.
- Więc jeszcze bardziej pogrzyżyłeś mnie w gównie.
- Miałeś alibi. Po prostu nie chciałeś z niego skorzystać. Alibi. Do tego się wszystko sprowadza.

Powiniem wtedy siedzieć w domu z moją ciężarną żoną. Ona zapewniłaby mi alibi.

To był środowy wieczór. Julianne miała lektorat hiszpańskiego. Zazwyczaj nie wraca do domu przed dziesiątą.

- Dlaczego nie poszedłeś na spotkanie z Catherine? W jego oczach błąka się uśmiezek.
- Trafiła mi się lepsza propozycja. Nie powie mi. Chce, żebym zapytał.
- Byłeś z Julianne?
- Tak.

Czuję, jak przewracają się we mnie wnętrzności. Teraz ogarnia mnie lęk.

- Gdzie się z nią spotkałeś?
- Joe, lepiej martw się o swoje alibi.
- Odpowiedz na pytanie.
- Poszliśmy na kolację. Chciała porozmawiać. Pytała o twój stan. Nie wierzyła, że powiesz jej prawdę.

- A po kolacji?
- Przyszliśmy tu na kawę.
- Julianne jest w ciąży. - Formułuję stwierdzenie, nie pytanie. Widzę, że zastanawia się nad kolejnym kłamstwem, lecz w końcu rezygnuje. Dobrze się rozumiemy. Wszystkie jego wykrety i półprawdy pomniejszają go w moich oczach.

- Tak, jest - przyznaje, po czym cicho się śmieje. - Biedny Joe, nie wiesz czy się cieszyć, czy smucić. Nie ufasz jej? Powinieneś lepiej ją znać.

- Sądziłem, że znam ciebie.

U góry odgłos splukiwanej toalety. Julianne szykuje się do snu.

- Te listy, które napisała Catherine - czy one były do ciebie? Rzuca mi czujne spojrzenie, ale nie odpowiada.

- Dlaczego Catherine miałyby do mnie pisać? Znowu brak odpowiedzi. Muszę w tej chwili to rozgryźć. Jego milczenie doprowadza mnie do szału. Korci mnie, żeby złapać za jedną z jego raket tenisowych i pogruchotać mu kolana. Jasne! Jest odpowiedź! Obaj z Jockiem mamy takie same inicjały - J.O. Tak właśnie musiała adresować listy. Pisała je do Jocka.

- Musisz powiedzieć o tym policji.
- A może powiniem ich poinformować, gdzie jesteś.

Nie żartuje. Najchętniej bym go zabił. Mam po uszy tej rywalizacji.

- Czy tu chodzi o Julianne? Wydaje ci się, że przez te wszystkie lata wygrzewam ci miejsce? Nic z tego! Nie przybiegnie do ciebie, jeśli coś się ze mną stanie. Na pewno nie, jeżeli i okażesz się nielojalny. Sam z sobą nie będziesz umiał żyć.

- Żyję sam i w tym cały problem. - Oczy mu błyszczą, a zwykle głęboki głos brzmi niepewnie. -

Jesteś szczęściarzem, Joe, mając taką rodzinę. Mnie się nie udało.

- Bo nie umiałeś wytrwać z jedną kobietą.
- Nie znalazłem tej właściwej.

Na jego twarzy maluje się rozgoryczenie. Nagle wszystko staje się dla mnie jasne. Widzę życie Jocka takim, jakim jest naprawdę - to pasmo gorzkich, następujących po sobie rozczarowań, w którym powtarzają się te same błędy i porażki, bo zawsze działał szablonowo.

- Jock, wynoś się z mego domu i trzymaj się z daleka od Julianne.

Zbiera swoje rzeczy - dyplomatkę oraz marynarkę, odwraca się do mnie, pokazuje mi klucz od frontowych drzwi i kładzie go na kuchennym blacie. Spogląda w górę, jakby się zastanawiał czy powinien pożegnać się z Julianne. Jednak rozmyśla się i wychodzi.

Kiedy zamyka za sobą drzwi, wątpliwości wywołują we mnie dręczący niepokój. Na zewnątrz czekają policjanci. Może im o mnie powiedzieć.

Zanim zdążę się wyzbyć lęku, na dole pojawia się Julianne. Włosy ma prawie suche, jest w dresowej bluzie i w spodniach od piżamy. Stojąc nieruchomo, obserwuję ją z ogrodu. Bierze szklankę z wodą i podchodzi do drzwi na taras, żeby sprawdzić, czy są zamknięte. Nasze spojrzenia spotykają się, w jej oczach nie ma śladu żadnych emocji. Pochyla się i zdejmuje z oparcia krzesła narciarską kurtkę. Zarzuca ją na ramiona i wychodzi na zewnątrz.

- Co ci się stało?
- Przeleciałem przez plot.
- Mówię o twoim uchu.
- Szemrany tatuażysta.

Nie jest w nastroju do żartów.

- Szpiegujesz mnie?
- Nie? Czemu? Wzrusza ramionami.
- Ktoś obserwuje dom.
- Policja.
- Nie, ktoś jeszcze.
- Jock mówił, że ktoś się próbował włamać.
- D.J. go przepłoszył. - Mówi o nim, jakby był psem obronnym.

Światło w tle przesącza się przez jej włosy, tworząc puszystą aureolę. Na nogach ma „najbrzydsze papucie na świecie”, które kupiłem jej w sklepie z pamiątkami na farmie agroturystycznej. Nie przychodzą mi na myśl żadne słowa. Stoję i nie wiem, czy powinienem wyciągnąć do niej rękę. Bezpowrotnie mija właściwy moment.

- Charlie chce kotka na gwiazdkę - mówi, otulając się kurtką.
- Myślałem, że to było w zeszłym roku.

- Tak, ale teraz znalazła lepszy sposób. Jeśli chcesz dostać kotka, poproś o kucyka.

Śmieję się i ona też się uśmiecha, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Miałeś romans z Catherine McBride? - zadaje następne pytanie z typową dla siebie bezpośredniością.

- Nie.

- Policja ma jej listy miłosne.

- Pisała je do Jocka. Otwiera szeroko oczy.

- Spotykali się, kiedy oboje pracowali w Marsden. Jock był wtedy żonaty.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Dziś wieczorem.

Cały czas wpatruje się we mnie. Nie wie, czy mi uwierzyć, czy nie.

- Dlaczego Jock nie powiedział o tym policji?

- Sam usiłuję to zrozumieć. Nie ufam mu. Nie chcę, żeby tu przychodził.

- Czemu?

- Bo okłamał mnie i zataił przed policją, że umówił się z Catherine tamtego wieczoru, kiedy zginęła.

- Bądź poważny! Mówisz o Jocku! To twój najbliższy przyjaciel...

- Ma alibi dzięki mojej żonie. - Te słowa brzmią jak oskarżenie.

Jej oczy zwiężają się w szparki.

- Alibi na co, Joe? Uważasz, że kogoś zabił, czy myślisz, że się ze mną przespał?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie. Prawda. Ty nigdy nie mówisz tego, co myślisz. Wszystko jest w nawiasach, cudzysłowach i w formie otwartych pytań.

Podkręca się. - Skoro jesteś takim byстрыm psychologiem, powinieneś przyjrzeć się własnym słabościom. Jestem zmęczona wspieraniem twojego ego. Mam powtórzyć wszystko jeszcze raz? Oto cała lista: Nie jesteś podobny do ojca. Nie masz za małego penisa. Poświęcasz Charlie dość uwagi. Nie musisz być zazdrosny o Jocka. Moja matka naprawdę cię lubi. A ja nie mam pretensji, że zniszczyłeś mój czarny kaszmirowy sweter, bo zostawiłeś chusteczki higieniczne w kieszeniach swoich rzeczy przeznaczonych do prania. Zadowolony?

Z grubsza dziesięć lat terapii ujęte w sześciu punktach rozstrzelonym drukiem. A niech to! Ta kobieta jest niesamowita. Odzywa się pies sąsiadów; szczekanie brzmi jak przytłumione, chóralne: Brawo! Brawo!

Odwraca się, żeby wejść do środka. Nie chcę, żeby poszła, więc zaczynam mówić; opowiadam o CV Catherine i o tym, jak przeszukałem mieszkanie Jocka. Staram się, żeby to wszystko brzmiało logicznie, lecz boję się, że pomyśli, iż za wszelką cenę staram się ratować własną skórę.

Z wyrazu jej pięknej twarzy poznaję, że jest urażona.

- Spotkałaś się z Jockiem tamtego wieczoru. Dokąd poszliście?

- Zabrał mnie na kolację na Bayswater. Wiedziałam, że nie powiesz mi prawdy na temat diagnozy. Chciałam go sama wypytać.

- Kiedy do niego zadzwoniłaś?

- Po południu.

- O której stąd wyszedł? Smutno kręci głową.

- Ja cię w ogóle nie poznaję. To jakaś obsesja. Nie należę do...

Nie chcę tego słyszeć.

- Wiem o dziecku - przerywam jej.

Drży lekko. Może z zimna. I wtedy czytam w jej oczach, że tracimy siebie nawzajem. Puls bije coraz słabiej. Może mnie chce, ale nie jestem jej potrzebny. Ma dość siły, aby dać sobie radę sama. Przeżyła utratę ojca, strach, gdy półtoraroczna Charlie zachorowała na zapalenie opon mózgowych, biopsję prawej piersi. Jest silniejsza ode mnie.

Odchodząc, wciągam w płuca zimne powietrze i oglądam się za siebie, na dom. Julianne zniknęła. W kuchni jest ciemno. Po gasnących światłach poznaję, że wchodzi na piętro.

Jocka nie ma. Nawet jeśli wyzna prawdę Ruizowi, wątpię, czy ktokolwiek mu uwierzy. Pomyślą, że jako przyjaciel stara się mnie kryć. Przecinam ogród Franklinów i przemykam się boczną ścieżką. A potem idę w stronę West Endu, obserwując swój cień, który pojawia się i znika w kręgach światła latarni.

Mija mnie czarna taksówka. Kierowca zwalnia i patrzy na mnie. Kładę rękę na klamce.

Elisa nie uważa się za wizjonerkę, nie lubi, gdy dziennikarze widzą w niej kogoś w rodzaju misjonarki, która wyciąga dziewczyny z ulicy. Nie uważa również prostytutek za „kobiety upadłe” czy ofiary bezwzględnego społeczeństwa.

Wszyscy mamy ukryte talenty, lecz Elisa odnalazła w sobie prawdziwy diament. Przemiana dokonała się w najtrudniejszych chwilach jej życia - pół roku po wyjściu z więzienia. Pewnego razu zostawiła mi wiadomość w Marsden, podając jedynie adres. Nie wiem, jak do mnie trafiła. Nosila dyskretny makijaż i krótko obcięte włosy. W ciemnej spódnicy i w żakiecie wyglądała na pracownicę jakiejś firmy. Miała pomysł i chciała zasięgnąć mojej opinii. Kiedy mówiła, odniosłem wrażenie, że zmienia się pogoda, nie na zewnątrz, lecz w jej głowie.

Chciała założyć centrum dla młodych dziewczyn pracujących na ulicy, gdzie mogłyby uzyskać porady na temat środków ostrożności, zdrowia, schronienia oraz programów odwykowych. Miała trochę oszczędności i wynajęła stary dom w pobliżu stacji metra na King's Cross.

Centrum okazało się zaledwie zacznem jej działalności. Wkrótce rozrosło się w PTTC. Zdumiewało mnie, kogo potrafiła zwerbować do współpracy - doradzali tam sędziowie, adwokaci,

dziennikarze, pracownicy socjalni i restauratorzy. Czasem zastanawiałem się, ilu z nich było wcześniej jej klientami. Ale ja przecież też jej pomagałem... i nie miało to żadnych seksualnych podtekstów.

Dom Elisy tonie w ciemności. Szron skrzy się na belkach fasady w stylu Tudorów; kiedy dzwonię do drzwi, miga maleńkie światelko nad przyciskiem. Minęła północ, słyszę, jak dźwięk gongu odbija się echem w holu. Elisy nie ma w domu.

Muszę przyłożyć gdzieś głowę na parę godzin. Złapać trochę snu. Wiem, gdzie Elisa chowa zapasowy klucz. Nie będzie miała mi za złe. Przepiorę rzeczy, a rano zrobię jej śniadanie. I wtedy jej powiem, że jednak potrzebuję alibi.

Trzymając klucz w dwóch palcach wsuwam go do zamka. Dwa obroty. Zmieniam klucz. Jeszcze jeden zamek. Drzwi stoją otworem. Korespondencja sypie się na dywanik pod klapką na listy. Nie ma jej w domu od kilku dni.

Moje kroki dudnią na wypolerowanych deskach podłogi. Salon z haftowanymi poduszkami i indyjskimi gobelinami przypomina wystrojem butik. Miga światelko automatycznej sekretarki. Taśma jest zapełniona.

Najpierw dostrzegam jej nogi. Leży wyciągnięta na elżbietańskiej dwuosobowej kanapce, nogi w kostkach są skrępowane brązową taśmą maskującą. Korpus zwisa odgięty do tyłu, głowa owinięta czarnym workiem na śmieci, okrażonym taśmą wokół szyi. Leży na rękach związanych za plecami. Spódnica zadarta na uda, pończochy podarte.

W jednej sekundzie na powrót staję się lekarzem; rozrywam worek, badam puls, przykładam ucho do piersi. Usta są sine, ciało zimne i sztywne. Włosy przyklejone do czoła. Otwarte oczy patrzą na mnie ze zdziwieniem.

Przeszywa mnie uczucie zimna, jakby ktoś wwiercał mi świder w pierś. Działa wyobraźnia; widzę zmagania i umieranie - jak walczyła, żeby się uwolnić. Ile tlenu jest w takim worku? W najlepszym wypadku wystarczy na dziesięć minut. Dziesięć minut walki. Dziesięć minut konania. Wessała plastik, kiedy miotła się i wierzgała. Na podłodze rozsypane pudełka od płyt CD, stolik na kozłach wywrócony. Oprawione w ramkę zdjęcie leży pośród odłamków szkła, odwrócone fotografią do dołu. W cienkim złotym łańcuszku zerwane zapięcie.

Biedna Elisa. Nadal czuję na policzku dotyk jej miękkich warg, kiedy żegnaliśmy się przed restauracją. Jest w tej samej granatowej bluzce, pasującej do minispódniczki. To musiało się stać w czwartek, po naszym rozstaniu.

Chodzę po pokojach, szukając śladów włamania. Frontowe drzwi były zamknięte od zewnątrz. Musiał zabrać klucze.

Na stole w kuchni stoi kubek, z porcją zeschniętej granulowanej kawy na dnie, która wygląda jak toffi. Czajnik i jedno z krzeseł wywrócone. Szuflada otwarta. Wewnątrz starannie poskładane

ściereczki do naczyń, mała skrzynka z narzędziami, zapasowe bezpieczniki oraz rolka czarnych worków na śmieci. W pustym wiadrze na śmieci założony jest świeży worek.

Plaszcz Elisy wisi na skrzydle drzwi. Kluczyki od samochodu leżą na stole obok torebki, dwóch nieotwartych listów i telefonu komórkowego. Bateria zdążyła się wyładować. Gdzie jest jej szal? Wracam i znajduję go na podłodze za fotelem. Z pojedynczym, ciasno zaciągniętym węzłem stał się jedwabną garotą.

Elisa była zbyt ostrożna, żeby wpuszczać do domu nieznajomych. Albo знаła zabójcę, albo czekał na nią w środku. Gdzie? Jak? Na ceglane podwórko prowadzą drzwi z szybami ze wzmocnionego szkła. Czujnik uruchamia świetlny alarm.

W biurze na parterze mnóstwo papierów, ale nie ma bałaganu. Nie zginęło nic oczywistego, w rodzaju odtwarzacza DVD czy laptopa Elisy.

Jeszcze raz sprawdzam okna w drugiej sypialni na piętrze. Ubrania Elisy wiszą w idealnym porządku. Jej szkatułka na biżuterię, wyłożona masą perłową, stoi w dolnej szufladzie toaletki. Złodziej znalazłby ją bez trudu.

W łazience kłapa sedesu jest opuszczona. Dywanik kąpielowy wisi na suszarce nad dużym niebieskim ręcznikiem. Nowa tubka pasty do zębów stoi w pamiątkowym kubku z Izby Gmin. Naciskając na pedał, unoszę pokrywę pojemnika na śmieci. Jest pusty.

Już mam wychodzić, gdy dostrzegam odrobinę ciemnego proszku na białych kafelkach pod umywalką. Przeciągając palcami, zbieram drobny szary osad, który pachnie różami i lawendą.

Elisa trzymała na parapecie ceramiczną miseczkę z potpourri. Być może stłukła ją niechcący. Lecz w takim wypadku zmiotłaby szczątki na szufelkę i wyrzuciła do pojemnika. A potem zapewne opróżniłaby pojemnik, lecz wiadro w kuchni jest puste.

Kiedy dokładniej przyglądam się oknu, dostrzegam drzazgi na krawędziach ramy, w miejscu, gdzie odprysnęła farba. Po malowaniu świeża farba skleić ramę z ościeżnicą, a teraz okno zostało otwarte na siłę. Wsuwam palce pod ramę i odpycham ją od framugi, zaciskając zęby, gdy napęczniałe drewno skrzypi w ramie.

Wyglądam na zewnątrz; rury kanalizacyjne biegną po ścianie budynku, dziesięć stóp poniżej jest płaski dach pralni. Po prawej stronie podwórka, po ceglanym murze pnie się wisteria, ułatwiając wspinaczkę. Wspinając się po wisterii i rurach, można dosięgnąć okna.

Przymykam oczy i odtwarzam całą sytuację. Widzę, jak ktoś, stojąc na rurach, podważa okienną ramę. Nie przyszedł kraść ani demolować. Strąca miseczkę, kiedy przeciska się przez okno i musi posprzątać potpourri. Nie chce, żeby to wyglądało na włamanie. A potem się przyczaja.

Szafka pod schodami zamyka się na zasuwkę. To miejsce na mopy i szczotki jest dostatecznie przestronne, by ktoś mógł się ukryć i przykucnięty obserwować mieszkanie przez szparę przy zawiasach.

Elisa wchodzi do domu. Zbiera listy z podłogi i znosi je do kuchni. Wieszka płaszcz na skrzydle drzwi i rzuca rzeczy na stół. Potem napełnia czajnik i sypie kawę do kubka, jednego kubka. Napastnik atakuje ją od tyłu - owija szal wokół jej szyi i zawiązuje, tak aby węzeł naciskał na tchawicę. Kiedy Elisa traci przytomność, wlecze ją do salonu, zostawiając ledwo widoczne ślady na fakturze dywanu.

Krępuje ręce i nogi kobiety taśmą, którą starannie odcina i zbiera wszystkie skrawki, jakie spadły na podłogę. A potem naciąga na głowę Elisy plastikowy worek na śmieci. Ona w pewnej chwili odzyskuje przytomność i widzi jedynie ciemność. Ale wtedy już kona.

Szarpiący mną gniew każe mi otworzyć oczy. Widzę swoje odbicie w lustrze - zrozpaczona twarz ze zdezorientowaną, wystraszoną miną. Osuwam się na kolana i wymiotuję do muszli, opierając podbródek o deskę. Zataczając się, wychodzę z łazienki do głównej sypialni. Story są zaciągnięte, pościel zmięta i rozrzucona. Zatrzymuję wzrok na koszu na śmieci - leżą w nim zgniecione chusteczki higieniczne. Wracają wspomnienia - ciężar Elisy na moich udach, nasze złączone ciała; pochwa ocierająca się o mnie przy każdym ruchu.

Pod wpływem impulsu rzucam się do kosza i wybieram chusteczki. Omiatam pokój spojrzeniem. Czy dotykałem lampy? A co ze szczoteczką do zębów, co z drzwiami, z parapetem, poręczą...?

To szaleństwo. Nie mogę zacierać śladów na miejscu zbrodni. W całym domu są moje odciski palców. Czesła mnie. Spaleni w jej łóżku. Korzystałem z łazienki. Piłem wino z kieliszka i kawę z kubka. Dotykałem wyłączników, okładek płyt CD, krzeseł w jadalni; kochaliśmy się na jej kanapie - a niech to szlag!

Dzwoni telefon. Serce o mało nie wyskakuje mi z piersi. Nie odbiorę - nie mogę ryzykować. Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem. Czekam, nasłuchując dzwonek, niemal licząc, że Elisa poruszy się i powie: „Czy ktoś mógłby odebrać? Może to coś ważnego”.

Telefon milknie. Wypuszczam wstrzymywany oddech. Co robić? Zawołać policję? Nie! Muszę się stąd wydostać. Ale przecież nie mogę jej tak zostawić. Muszę kogoś zawiadomić.

Dzwoni moja komórka. Grzebię w kieszeniach płaszcz; potrzebuję obu rąk, aby utrzymać telefon. Nie kojarzę numeru.

- Profesor Joseph O'Loughlin?

- Kto pyta?

- Tu Metropolitan Police. Ktoś zadzwonił z informacją, że do domu na Ladbroke Grove wszedł intruz. Jako telefon kontaktowy informator podał numer pańskiej komórki. Czy to się zgadza?

Samogłoski z trudem wydobywają się z zaciśniętej krtani. Belkoczę coś o tym, że nie ma mnie nigdzie w pobliżu. *Nie, to nie najlepszy pomysł!*

- Przepraszam. W ogóle pana nie słyszę - mamroczę. - Proszę zadzwonić jeszcze raz. - Wylączam telefon i z przerażeniem wpatruję się w wygaszony ekran. Nie słyszę własnych myśli

poprzez szum w głowie. Ten szum potęguje się z każdą chwilą i teraz huczy mi w czaszce, jakby pociąg towarowy wjeżdżał do tunelu.

Muszę stąd wyjść. Uciec! Zbiegam ze schodów po dwa stopnie naraz, na koniec potykam się i przewracam. Uciekaj! Zgarniam kluczyki do samochodu Elisy, myśląc jedynie o świeżym powietrzu, jakimś miejscu daleko stąd i łasce snu.

14

Na godzinę przed świtem drogi lśnią od deszczu, a w przerwach między opadami mżawki snują się tumany mgły. Kradzież samochodu Elisy to najmniejsze z moich zmartwień. W tej chwili najbardziej palącym problemem jest wciskanie sprzęgła niesprawną lewą nogą.

Gdzieś w okolicy Wrexham zatrzymuję się na polnej drodze i zapadam w sen. Obraz Elisy przesuwa się pod powiekami jak światła reflektorów, które od czasu do czasu omiatają żywopłoty. Widzę jej sine wargi i szeroko rozwarte oczy; oczy, które nadal mnie prześladują.

Pytania i wątpliwości kręcą się w głowie jak płyta pod igłą adaptera. Biedna Elisa!

„Lepiej martw się o swoje alibi”, dokładnie tak powiedział Jock. Co miał na myśli? Nawet jeśli udowodnię, że nie zabiłem Elisy, a jest to niemożliwe w tej chwili, i tak wina spadnie na mnie. Na pewno mnie szukają. Oczyma wyobraźni widzę tyralierę policjantów przeczesujących pola, polujących na mnie na koniach z owczarkami niemieckimi na smyczy. Wpadam do rowów i wdrapuję się na nasypy, wczepiając się rękami w ziemię. Cierniste krzewy drą mi ubranie. Psy są coraz bliżej.

Słyszę pukanie w szybę. Nie widzę nic poza jaskrawym światłem. Mam piasek pod powiekami i ciało zeszywniałe z zimna. Macam drzwi w poszukiwaniu klamki, żeby opuścić szybę.

- Przepraszam, że pana budzę, ale samochód blokuje drogę. - Siwa głowa w wełnianej czapce wsuwa się w otwór. U nóg mężczyzny szczeka pies, z tyłu dochodzi dudnienie silnika traktora.

- Niech pan tu za długo nie śpi. Jest cholernie zimno.

- Dzięki.

Przede mną jasnoszare chmury, rosochate drzewa i puste pola. Słońce stoi wysoko, lecz słabo grzeje. Zjeżdżam ze ścieżki i obserwuję, jak traktor wjeżdża w bramę i podskakując w kałużach, sunie w kierunku rozsypującej się stodoły.

Z silnikiem pracującym na luzie, włączam dmuchawę i wybieram numer Julianne. Już nie śpi i jest trochę zasapana po gimnastyce.

- Dałaś Jockowi adres Elisy?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek wspominałaś mu o niej?

- Joe, o co w tym wszystkim chodzi? Masz przerażony głos.

- Opowiadałaś mu coś?

- ...Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Skończ z tymi paranoicznymi...

Krzyczę do słuchawki, chcę ją zmusić, żeby mnie wysłuchała, ale ona wpada w złość.

- Nie rozłączaj się! Nie rozłączaj! Za późno.

- Elisa nie żyje! - wykrzykuję do słuchawki, zanim połączenie zostaje zerwane.

Naciskam „redial”. Mam zeszywniałe palce, o mało nic upuszczam telefonu. Julianne natychmiast odbiera.

- Jak to?

- Ktoś ją zabił. Policja uzna, że ja to zrobiłem.

- Dlaczego?

- Znalazłem ciało. Moje odciski palców i Bóg wie, co jeszcze, są w całym mieszkaniu...

- Byłeś w jej mieszkaniu? - W jej głosie słychać niedowierzanie. - Po co tam poszedłeś?

- Julianne, posłuchaj. Dwie osoby nie żyją. Ktoś chce mnie zrobić.

- Czemu?

- Nie wiem. Usiłuję się tego dowiedzieć. Julianne wzdycha głęboko.

- Joe, przerażasz mnie. Mówisz jak szaleniec.

- Nie słyszałaś, co mówiłem?

- Idź na policję. Powiedz im, co się stało.

- Nie mam alibi. Jestem ich jedynym podejrzanym.

- W takim razie porozmawiaj z Simonem. Proszę cię, Joe.

Rozłącza się bliska łez i tym razem nie odkłada słuchawki na widełki. Nie mogę połączyć się ponownie.

Przyboczny lekarz Boga otwiera mi drzwi w szlafroku. Ma gazetę w ręce i groźny grymas na twarzy, który powinien odstraszać nieproszonych gości.

- Myślałem, że to ci przekleci kolędnicy - zrzędzi. - Nie cierpię ich. Wszyscy okropnie fałszują.

- Wydawało mi się, że Walijczycy są świetnymi chórzystami.

- Kolejny bzdurny mit. - Spogląda ponad moim ramieniem. - Gdzie masz samochód?

- Zaparkowałem za rogiem - kłamię. Zostawiłem garbusa Elisy przed miejscową stacją kolejową i ostatnie pół mili prze szedłem na piechotę.

Odwraca się, a ja idę za nim długim korytarzem, który prowadzi do kuchni. Jego znoszone filcowe kapcie klapią o białe jak kreda pięty.

- Gdzie mama?

- Wstała wcześniej i wyszła. Na jakiś wiec protestacyjny. Robi się cholernie lewicowa - ciągle przeciw czemuś protestuje.

- Bardzo dobrze.

Prycha ironicznie, najwyraźniej nie zgadzając się z matką.

- Ogród ładnie wygląda.

- Zobaczysz na tyłach. Wydaliśmy majątek. Twoja matka na pewno cię oprowadzi. Powinni zakazać pokazywania w telewizji tych cholernych programów lansujących styl życia. „Nowe oblicza ogrodów” i „Operacja podwórko” - spuściłbym bombę na nich wszystkich.

Nie jest ani trochę zaskoczony moim widokiem, chociaż zjawilem się bez zapowiedzi. Prawdopodobnie myśli, że matka mu o tym wspominała, kiedy nie słuchał. Nalewa wody do czajnika i wysypuje stare fusy z imbryczka. Serweta jest upstrzona najróżniejszymi trofeami z podróży, w rodzaju ogrzewacza na imbryk z St Mark Cross i miseczki na dżem z Kornwalii. Łyżkę z wygrawerowanym napisem Srebrny Jubileusz przysłano w prezencie z Pałacu Buckingham, kiedy rodzice zostali zaproszeni na garden party królowej.

- Zjesz jajka? Ale nie ma bekonu.

- Mogą być jajka.

- W lodówce powinno być trochę szynki, gdybyś miał ochotę na omlet.

Chodzi za mną po kuchni, usiłując odgadnąć, czego mogę chcieć. Ma szlafrok przewiązany sznurem z chwastami i okulary przypięte złotym łańcuszkiem do kieszeni, żeby się nie zapodziały. Wie o moim aresztowaniu. Czemu o tym nie wspomina? Nareszcie ma okazję powiedzieć: „A nie mówiłem”. Może złożyć winę na mój wybór zawodu i oznajmić, że nic takiego nie mogłoby się zdarzyć, gdybym został lekarzem.

Siada przy stole i patrząc, jak jem, od czasu do czasu popija herbatę, na zmianę składa i rozkłada „Timesa”. Pytam, czy grywa w golfa. Nie, od trzech lat już nie gra.

- To nowy mercedes, ten przed domem?

- Nie.

Cisza zdaje się przedłużać, ale tylko ja czuję się z nią niezręcznie. On siedzi i przegląda nagłówki, zerkając na mnie znad gazety.

Rodzina weszła w posiadanie tego wiejskiego domu jeszcze przed moimi narodzinami. Przez długi czas, dopóki ojciec częściowo nie wycofał się z życia zawodowego, spędzaliśmy tu tylko wakacje. Ojciec miał dom w Londynie i w Cardiff. We wszystkich innych miejscach uniwersytety i kliniki zapewniały mu lokum, jeśli przyjmował propozycję współpracy.

Kupił ten dom wraz z dziewięćdziesięcioma akrami ziemi, ale oddał w dzierżawę większość terenu właścicielowi farmy mlecznej, który mieszka po sąsiedzku. Dom mieszkalny zbudowany z miejscowych kamieni ma niskie sufity i ściany pod dziwnym kątem w miejscach, gdzie ponad sto lat temu osiadły fundamenty.

Chcę posprzątać, zanim wróci mama. Pytam ojca, czy mógłby mi pożyczyć koszulę i parę spodni. W odpowiedzi wskazuje mi swoją szafę. Na brzegu łóżka leży starannie poskładany dres.

Widzi, że na niego patrzę.

- Chodzimy z matką na spacer.
- Nie wiedziałem.
- Dopiero od paru lat. Wstajemy wcześniej, jeśli pogoda do pisuje. W Snowdonii jest kilka ładnych tras.

- Słyszałem.
- To mi pomaga utrzymać kondycję.
- Bardzo dobrze.

Chrząka i rozgląda się za czystym ręcznikiem.

- Pewnie wolisz prysznic od kąpieli. - W jego ustach brzmi to jak krytyka pogoni za modą i braku lojalności. Prawdziwy Walińczyk wykapałby się w żeliwnej wannie z piecykiem na węgiel.

Podstawiam twarz pod strumienie wody, słysząc, jak szumią przy uszach. Usiłuję zmyć brud ostatnich kilku dni i zagłuszyć głosy w mojej głowie. Wszystko zaczęło się od choroby; zakłócenia równowagi chemicznej i wprowadzające w zakłopotanie zaburzenia neurologiczne. To wszystko przypomina raka - rozwój dzikich komórek, które zatruły każdy aspekt mojego życia, mnożących się w każdej sekundzie, atakujących kolejne organy.

Wyciągam się na łóżku w sypialni dla gości i przymykam oczy. Potrzebuję chwili wytchnienia. Wiatr łomocze o okno. Czuję zapach nasiąkniętej wilgocią ziemi i palącego się węgla. Zdaje się, że ojciec nakrywa mnie pledem. A może tylko mi się to śni. Moje brudne rzeczy trzyma przewieszane przez ramię. Wyciąga rękę i gładzi mnie po czole.

Jakiś czas później słyszę chrobotanie łyżeczek w kubkach i głos mojej matki. A także inny dźwięk - prawie tak samo znajomy - to ojciec kruszy lód do kubka na wino.

Odciągam story i widzę śnieg na dalekich wzgórzach oraz resztki szronu na trawniku. Może będziemy mieć białe Boże Narodzenie, tak jak tamtego roku, gdy urodziła się Charlie.

Nie mogę tu dłużej zostać. Kiedy policja znajdzie ciało Elisy, poskłada fragmenty w całość i zacznie mnie szukać, zamiast czekać, aż się gdzieś pojawię. To jedno z tych miejsc, od których zaczną poszukiwania.

Strumień moczu uderza o muszlę. Spodnie ojca są na mnie za obszerne, zaciskam pasek, drapując nadmiar materiału nad kieszeniami. Nie słyszą, jak idę przez korytarz. Staję w drzwiach i obserwuję ich.

Matka, jak zwykle nieskazitelnie ubrana, ma na sobie kaszmirowy sweter w kolorze brzoskwini i popielatą spódnicę. Kiedy skończyła pięćdziesiąt lat, nieco się zaokrągliła i nigdy już nie udało się jej zrzucić wagi.

Stawia filiżankę herbaty przed ojcem i całuje go w czubek głowy z głośnym cmoknięciem.

- No popatrz tylko - mówi. - Poleciało mi oczko. To już druga para pończoch w tym tygodniu.

Ojciec otacza ją ramieniem w talii i przyciąga do siebie. Czuję się zakłopotany. Nie pamiętam,

bym kiedykolwiek był świadkiem takiej czułości między nimi.

Matka wzdryga się zaskoczona moim widokiem i karci mnie za „skradanie się chyłkiem”. Robi dużo zamieszania wokół mego stroju. Mówi, że bez problemu może zwięzić spodnie. Nie pyta o moje ubranie.

- Dlaczego nas nie zawiadomiłeś, że przyjedziesz? - chce wiedzieć. - Potwornie się martwiliśmy, szczególnie po tych okropnych artykułach w brukowcach.

Wymawia słowo „brukowce”, jakby mówiła o kłębku zmokłej sierści przypadkowo przyklejonej do dywanu.

- Na szczęście, już jest po wszystkim - mówi stanowczo, jakby w ten sposób chciała oddzielić grubą kreską tamten epizod. - Oczywiście przez jakiś czas muszę omijać klub brydżowy, ale przypuszczam, że szybko zapomną o całej sprawie. Gwyneth Evans musi triumfować. Pewnie sądzi, że wreszcie będzie mieć święty spokój. Jej najstarszy syn, Owen, uciekł z niańką, zostawiając biedną żonę z dwoma chłopcami. Nareszcie pa nie będą miały nowy temat do plotek.

Ojciec nie przysłuchuje się tej rozmowie. Czyta książkę, trzymając ją tak blisko nosa, że wygląda, jakby wdychał strony.

- Chodź, pokażę ci ogród. Wygląda cudownie. Musisz obiecać, że przyjedziesz wiosną, kiedy wszystko kwitnie. Mamy własną szklarnię i przełożyliśmy dach stodoły. Cała wilgoć zniknęła. Pamiętasz tamten zapach? W ścianach zagnieździły się szczury. Ohyda!

Przynosi dwie pary gumowców.

- Nie pamiętam twojego rozmiaru.

- Te będą dobre.

Zmusza mnie, bym wziął płaszcz ojca i wyprowadza tylnym wyjściem na ścieżkę. Zamarznięty staw ma kolor rozwodnionej zupy, a cały krajobraz jest perłowszary. Matka pokazuje mi mur z polnych kamieni, który rozpadł się w czasach mego dzieciństwa, a teraz stoi przysadzisty i solidny, ułożony z kamieni, które pasują do siebie jak elementy trójwymiarowej układanki. Do muru przylega nowa cieplarnia ze szklanymi panelami oprawionymi w ramy z oheblowanego sosnowego drewna.

Stoły na kozłach są zastawione kuwetami na rozsady, z sufitu zwisają omszałe kosze na rośliny. Mama przekręca wyłącznik i drobna mgła rozpyła się w powietrzu.

- Chodź, pokażę ci starą stajnię. Usunęliśmy wszystkie rupiecie. Można ją przerobić na osobne mieszkanie. Zobaczysz wewnątrz.

Idziemy ścieżką pomiędzy warzywniakiem i sadem. Mama cały czas mówi, nie bardzo jej słucham. Widzę, prześwitującą spod siwych włosów, skórę na jej głowie.

- Jak się udał wiec? - pytam.

- Dobrze. Zgromadziliśmy ponad pięćdziesiąt osób.

- O co chodziło?

- Protestujemy przeciwko budowie elektrowni wiatrowej. Chcą ją zbudować tam, na tamtych wzniesieniach. - Pokazu je mniej więcej kierunku. - Słyszałeś kiedyś turbiny wiatrowe? Hałas jest niemiłosierny. Skrzydła wirują. Powietrze jęczy z bólu.

Wspina się na palce i sięga ponad drzwi stajni do skrytki, gdzie trzyma klucz.

- Co powiedziałaś? - Na nowo pojawia się ucisk w piersi.

- Kiedy?

- No, przed chwilą... „powietrze jęczy z bólu”.

- No tak, wiatraki; one wydają taki okropny dźwięk. Trzyma w dłoni klucz. Jest przymocowany do drewnianego breloczka. Bezwiednie wyciągam rękę i chwytam ją za nadgarstek. Obracam dłoń; pod wpływem ucisku otwiera palce.

- Skąd to masz? - Głos mi drży.

- Joe, to boli. - Spogląda na breloczek. - Bobby mi go dał. Ten młody człowiek, o którym ci opowiadałam, Naprawił mur i przełożył dachówki na stajni. Zbudował ciepłarnię i obsadził teren. Bardzo pracowity. Poszedł ze mną oglądać wiatraki...

Przez moment mam wrażenie, że padam, ale nic się takiego nie dzieje. Wydaje mi się, jakby ktoś przechylał krajobraz, a ja lecę razem z nim, trzymając się framugi.

- Kiedy?

- Mieszkał u nas latem przez trzy miesiące...

- Jak wyglądał?

- Jak by to elegancko ująć? Bardzo wysoki, chyba trochę otyły. Grubokościsty. Przemięły. Poprosił jedynie o pokój i wyżywienie.

Prawda nie oślepia mnie jak ostre światło ani nie przypomina wiadra zimnej wody. Ona wsącza się w świadomość jak plama z czerwonego wina na jasnym dywanie czy ciemny cień na zdjęciu rentgenowskim. Bobby dużo o mnie wiedział, a ja to zbagatelizowałem. Potraktowałem to jako czysty przypadek. Tygrysy i lwy; wieloryb namalowany przez Charlie; ciotka Gracie... Wiedział o problemie z Catherine i o tym, jak umarła. Jasnowidz. Prześladowca. Średniowieczny magik, który pojawia się i znika w chmurze dymu.

Jak się dowiedział o Elisie? Widział nas razem w restauracji, a potem poszedł za nią do domu. Nie. Był u mnie tamtego popołudnia. Przyszedł na sesję. To właśnie wtedy go zgubiłem w okolicy kanału - blisko domu Elisy.

„No comprenderas todavia lo que comprenderas en el futuro”. Nie rozumiesz dziś tego, co zrozumiesz w przyszłości...

Zrywam się, potykam i przewracam na ścieżkę. Podnoszę się z ziemi i kulejąc, biegnę do domu, nie zważając na protesty matki, że nie obejrzałem stajni.

Wpadam w drzwi, odbijam się o ścianę pralni, przy okazji potracam brudownik i zrzucam z półki pudełko z proszkiem. Para matczyńskich majtek zaczepia się o nosk mojego gumowca. Najbliższy telefon jest w kuchni. Julianne odbiera po trzecim sygnale. Nie daję jej czasu na wstępy.

- Mówiłaś, że ktoś obserwuje dom.
- Joe, rozłącz się, szuka cię policja.
- Zauważyłaś kogoś?
- Rozłącz się i dzwoń do Simona.
- Julianne, proszę!

Słyszysz desperację w moim głosie. Jest nie mniej zdenerwowana ode mnie.

- Zauważyłaś kogoś?
- Nie.
- A tamten intruz, którego spłoszył D.J. Czy on zdążył się mu przyjrzeć?
- Nie.
- Musiał coś mówić. Czy był wysoki, otyły?
- D.J. nie widział go z bliska.
- Czy masz na lektoracie hiszpańskiego kogoś o imieniu Bobby, Robert albo Bob? Wysoki, w okularach.
- Jest jeden Bobby. Któregoś wieczoru podwiozłam go do domu. Mówił, że kiedyś mieszkał w Liverpoolu...

- Gdzie jest Charlie? Zabierz ją z domu. Bobby chce wam zrobić krzywdę. Żeby mnie ukarać...

Usiłuję jej to wytłumaczyć, ale ona raz po raz pyta, dlaczego Bobby miałby coś takiego zrobić? Na to pytanie nie znam odpowiedzi.

- Joe, nic nam nie grozi. Na ulicy kręci się pełno policjantów. Jeden z nich szedł dziś za mną do supermarketu. Zawstydziłam go, wręczając mu torby z zakupami...

Uderza mnie myśl, że prawdopodobnie ma rację. Są z Charlie bardziej bezpieczne w domu niż gdziekolwiek indziej, bo obserwuje je policja... czekając na mnie.

Julianne cały czas mówi:

- Proszę cię, zadzwoń do Simona. Nie zrób czegoś głupiego.
- Nie zrobię.
- Obiecuj.
- Obiecuję.

Mam numer domowy Simona zapisany na odwrocie jego wizytówki. Kiedy podnosi słuchawkę, słyszę w tle głos Patricii. Sypia z moją siostrą. Dlaczego mnie to dziwi?

Zniża głos do szeptu i wyraźnie przenosi się w inne, bardziej ustronne miejsce. Nie chce, aby Patricia słyszała naszą rozmowę.

- Jadłeś z kimś lunch w czwartek?
- Z Elisą Velasco.
- Odprowadziłeś ją do domu?
- Nie.

Bierze głęboki oddech. Wiem, co teraz nastąpi.

- Elisę znaleziono martwą w jej mieszkaniu. Została uduszona workiem na śmieci. Joe, oni chcą cię zamknąć. Mają nakaz. Jesteś poszukiwany za zabójstwo.
- Wiem, kto ją zabił. - Mój głos jest piskliwy i drżący. - To mój pacjent, Bobby Morgan. Śledził mnie...

Simon nie słucha.

- Masz pójść na najbliższy posterunek policji. Zgłoś się sam. Zadzwoń do mnie, gdy się tam znajdziesz. I nic nie mów, do póki do ciebie nie dołączę.
- A co z Bobbym Morganem?
- Zrób, jak mówię - naciska Simon. - Joe, mają dowód w postaci DNA. Ślady spermy i twoje włosy. W sypialni i w łazience znaleźli twoje odciski palców. W czwartek wieczorem taksówkarz wysadził cię niecałą milę od miejsca zbrodni. Za trzymałeś go przed pubem, w którym po raz ostatni widziano Catherine...
- Chcesz wiedzieć, gdzie spędziłem noc trzynastego? Po wiem ci. Byłem z Elisą.
- Cóż. Nie potwierdzi twojego alibi, bo nie żyje.

To stwierdzenie jest tak otwarte i szczere, że nie próbuję dalej go przekonywać. Po kolei wyłożył fakty, pokazując, w jak beznadziejnej sytuacji się znajduję. Wszystko, co mówię, brzmi nieprzekonująco.

W drzwiach stoi ojciec ubrany w dresy. Za nim w odsłoniętym oknie salonu widzę dwa radiowozy sunące podjazdem.

KSIĘGA TRZECIA

W prawdziwie ciemnej nocy duszy, niezmiennie
jest trzecia nad ranem.

F. Scott Fitzgerald, *Crack-up*

Trzy mile to szmat drogi, kiedy się biegnie w gumowcach. A nawet więcej, jeśli skarpety zwinięte w kłębki uwierają w śródstopie, przez co poruszasz się jak pingwin.

Brnąc na rozmiękłych ścieżkach wydeptanych przez owce i klucząc między głazami, podążam wzdłuż na wpół zamrożonego strumienia, który wije się przez pola. Pomimo problemów z butami utrzymuję równe tempo i tylko od czasu do czasu oglądam się za siebie. Teraz działam jak automat. Jeżeli się zatrzymam, będzie po mnie.

Wakacje w czasach dzieciństwa upłynęły mi na włóczęgach po tych polach. Znałem kiedyś każdy zagajnik i każdy pagórek, najlepsze miejsca na łapanie ryb i kryjówki. Pocałowałem Ethelwyn Jones, w trakcie jej trzynastych urodzin, na stryszku na sianie w oborze jej wuja. To był mój pierwszy pocałunek z jęczyzkiem i natychmiast dostałem erekcji. Oparła się akurat o to miejsce i krzyknęła, przygryzając mi z całej siły dolną wargę. Nosiła aparat i miała usta jak Jaws z filmu z Jamesem Bondem. Przez dwa tygodnie chodziłem z krwawym pęcherzem na wardze, ale się opłaciło.

Kiedy dobiegam do autostrady A5 5, przemykam pod betonowymi wspornikami, ciągle trzymając się strumienia. Tutaj skarpa jest bardziej stroma i dwukrotnie ześlizguję się do wody, łamiąc cienki lód przy brzegu.

Docierani do wodospadu, który ma z dziesięć stóp wysokości, i chwytając się kęp trawy i skał, wdrapuję się na górę. Spodnie mam mokre i ubłocone na kolanach. Dziesięć minut później przeciskam się pod płotem i trafiam na szlak turystyczny.

Kłuje mnie w płucach, ale umysł pozostaje jasny. Tak przejrzysty jak zimne powietrze. Dopóki Julianne i Charlie są bezpieczne, nie dbam, co stanie się ze mną. Czuję się jak kawałek materiału taroszony przez psa. Ktoś bawi się mną, drze na strzępy mnie, moją rodzinę, moje życie prywatne i zawodowe... Dlaczego? To jakiś absurd. Zupełnie jakbym próbował czytać pismo lustrzane - wszystko stoi na głowie.

Sto jardów dalej, za bramą farmy, wychodzę na drogę do Llanrhos. Po obu stronach wąskiej asfaltówki ciągnie się żywopłot z prześwitami na bramy farm i dziurawe drogi dojazdowe. Trzymam się pobocza tuż przy rowie, mając za azymut odległą iglicę kościoła. Mgły osiadłe w nieckach na polach wyglądają jak kałuże rozlanego mleka. Dwukrotnie spędza mnie z drogi odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu. Ten drugi to policyjna furgonetka z oknami z metalowej siatki, zza której dochodzi szczekanie psów.

Wieś wydaje się opustoszała. Jedyne dwa działające miejsca to restauracja i biuro pośrednictwa handlu nieruchomościami. Na drzwiach biura widnieje kartka: „Wracam za dziesięć minut”. W niektórych oknach świecą się kolorowe lampki, na skwerze, naprzeciwko obeliska

upamiętniającego wojnę, stoi choinka. Pozdrowia mnie jakiś mężczyzna z psem na spacerze. Tak mocno zaciskam szczęki, że nie jestem w stanie mu odpowiedzieć.

Przysiadam na ławce. Moja impregnowana kurtka paruje. Kolana mam umazane błotem i krwią. Dłonie podrapane, a spod paznokci sączy się krew. Chciałbym przymknąć oczy, żeby się zastanowić, ale muszę pozostać czujny.

Domy wokół skweru wraz ze swoimi parkanami i kutymi altankami przypominają obrazek w książeczce dla dzieci. Przy wszystkich frontowych drzwiach widnieją walijskie nazwiska wypisane ozdobnymi literami. Ogrodzenie kościoła na końcu skweru zdobią białe wstęgi, a mokre konfetti przylgnęło do stopni budynku.

Walijskie śluby nie różnią się wiele od walijskich pogrzebów. Obsługują je te same samochody, kwaciarnie i sale parafialne z wiekowymi termosami z herbatą, którą nalewają te same biuściaste matrony w kwiecistych obszernych sukniach i przeciw-żylakowych pończochach.

Z każdą minutą coraz bardziej marzną mi ręce i nogi. Zdezelowany landrover skręca na skwer i powoli okrąża park. Czekam i obserwuję. Nikt za nim nie jedzie. Wstaję na sztywnych nogach. Mokra od potu koszula lepi mi się do karku.

Drzwi po stronie pasażera skrzypią ze starości i braku konserwacji. Wsuwam się na siedzenie. Kłęb gąbki wyłazi z podartej skóry, kryjąc zardzewiałe sprężyny. Niewyregulowany silnik dusi się i zgrzyta, gdy ojciec usiłuje wrzucić pierwszy bieg.

- Cholerny gruchot. Od miesiący nim nie jeździłem.
- Co z policją?
- Przeszukują pola. Podśledzałem, jak mówili, że znaleźli samochód na stacji.
- Jak ci się udało wymknąć?
- Powiedziałem im, że mam zabieg. Wziąłem merca i przesiadłem się do land rovera. Dzięki Bogu dał się uruchomić.

Przy każdym wjeździe w kałużę fontanna wody tryska do środka przez dziurę w podłodze. Kręta droga wznosi się na wzgórzach i opada w dolinach. Niebo na zachodzie przeciera się, a nasilający się wiatr pędzi chmury na horyzoncie.

- Tato, mam poważne kłopoty.
- Wiem.
- Nikogo nie zabiłem.
- To też wiem. Co mówi Simon?
- Że mam się oddać w ręce policji.
- Chyba dobrze radzi.

Jednocześnie przyjmuje do wiadomości, że tego nie zrobię i żadne argumenty nie są w stanie

wpłynąć na moją decyzję.

Jedziemy Vale of Conway w kierunku Snowdonii. Pola ustępują miejsca rzadkim skupiskom drzew, w oddali widać lasy.

Wijąca się między drzewami droga prowadzi obok dużej rezydencji na skraju doliny. Na kutyh wrotach tablica z napisem: „Na sprzedaż”.

- Kiedyś to był hotel - mówi ojciec, nie odrywając oczu od drogi. - Spędziliśmy tu z mamą nasz miesiąc miodowy. Wtedy to było bardzo eleganckie miejsce. W sobotę po południu odbywały się potańcówki, hotel miał własny zespół...

Mama kiedyś mi o tym opowiadała, ale nigdy tej historii nie słyszałem z ust ojca.

- Pożyczyliśmy od twojego wuja austina healeya i pojechaliśmy na tygodniową wyprawę. Właśnie wtedy wypatrzyłem naszą farmę. Nie była jeszcze na sprzedaż, zatrzymaliśmy się, żeby kupić jabłka. Często robiliśmy postoje, bo matka była obolała. Na polnych drogach podkładała poduszkę pod pupę - chichocze.

Domyślam się, o czym mówi. To więcej niż chciałbym wiedzieć na temat seksualnej inicjacji mojej matki, ale śmieję się razem z nim. Potem opowiadam mu o moim kumplu Scotcie, którego żona straciła przytomność na parkiecie podczas przyjęcia weselnego w Grecji.

- Jak do tego doszło?

- Demonstrował jej taneczny przerzut i upuścił ją na ziemię. Ocknęła się w szpitalu i nie wiedziała, w jakim jest kraju.

Tata się śmieje i ja też. To mi dobrze robi. Moje samopoczucie jeszcze się poprawia, gdy milkniemy, a cisza nam nie ciąży. Ojciec zerka na mnie kątem oka. Chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć.

Pamiętam, jak uraczył mnie „mową uświadamiającą”. Oznajmił, że ma mi coś ważnego do powiedzenia i zabrał na spacer do Kew Gardens. Czas wspólnie spędzany z ojcem był czymś niezwykłym i czułem się dumny jak paw.

Tata kilkakrotnie rozpoczynał swoją przemowę. Przy każdej podejmowanej próbie miał kłopoty z doborem słów i coraz bardziej przyspieszał kroku. Kiedy dobrnął do stosunku i antykoncepcji, truchtałem obok, starając się usłyszeć, co mówi i jednocześnie utrzymać czapkę na głowie.

Teraz będę nerwowo o kierownicę, jakby przesyłał mi wiadomość alfabetem Morse'a. Odchrząkuje i rozpoczyna zawiłą tyradę o wyborach, odpowiedzialności i możliwościach. Nie wiem, do czego zmierza.

Na koniec zaczyna mi opowiadać o swoich studiach medycznych.

- ... potem przez dwa lata zgłębiałem teorię zachowania. Chciałem się specjalizować w psychologii wychowawczej...

Chwileczkę! Teoria zachowania? Psychologia? Po surowym spojrzeniu, jakie mi rzuca, poznaję,

że nie żartuje.

- ...ojciec dowiedział się, co robię. Zasiadał wtedy w senacie uniwersytetu i przyjaźnił się z rektorem. Specjalnie pofatygował się na uczelnię i zagroził, że przestanie mnie finansować.

- I co zrobiłeś?

- Posłuchałem go. Zostałem chirurgiem.

Zanim zdążę zadać następne pytanie, powstrzymuje mnie gestem ręki.

- Moja kariera została wytyczona. Przekazał mi praktykę i pacjentów. - Obniża głos do szeptu. - Usiłuję ci w ten sposób powiedzieć, że jestem z ciebie dumny. Nie ugiąłeś się i postawiłeś na swoim. Osiągnąłeś sukces wyłącznie dzięki sobie. Joe, ja wiem, że niełatwo mnie kochać. Nie daję nic w zamian. Ale zawsze cię kochałem. I zawsze będziesz mieć we mnie oparcie.

Zatrzymuje się w zatoce na poboczu i nie wyłączając silnika, bierze torbę z tylnego siedzenia.

- Tyle tylko udało mi się zebrać - mówi, pokazując zawartość. Jest tam czysta koszula, trochę owoców, termos, moje bu ty oraz koperta wypchana pięćdziesięciofuntowymi banknotami. - Mam też twoją komórkę.

- Bateria padła.

- No to weź moją. I tak nie używam tego cholerstwa. Czeka, aż przesunę się na miejsce dla kierowcy i rzuca torbę na siedzenie obok.

- Nie będą szukać land rovera... przynajmniej przez jakiś czas. Nie jest nawet zarejestrowany.

Zerkam na dolny róg szyby. Na szkle przyklejona nalepka z butelki od piwa.

- Jeżdżę nim wyłącznie po polach - uśmiecha się. - Trzeba go trochę przegonić.

- Jak wrócisz do domu?

- Stopem.

Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu jechał autostopem. Co ja właściwie o nim wiem? Dzisiaj wielokrotnie mnie zaskoczył. Niby mój ojciec, a jakby nie ten sam.

- Powodzenia - mówi, podając mi rękę przez okno. Może gdybyśmy obaj teraz stali, uściskalibyśmy się na pożegnanie. Chcę myśleć, że tak właśnie by było.

Na siłę wrzucam pierwszy bieg i wyprowadzam rovera na asfalt. Widzę ojca we wstecznym lusterku; stoi na skraju szosy. Pamiętam, co mi powiedział, kiedy bardzo cierpiałem po śmierci cioci Gracie.

- Josephie, pamiętaj, że nawet najczarniejsza godzina w twoim życiu trwa tylko sześćdziesiąt minut.

Policja pójdzie moim tropem wzdłuż strumienia. Zorganizowanie blokady dróg trochę potrwa. Przy odrobinie szczęścia zdążę znaleźć się poza kordonem. Nie wiem, ile czasu zyskuję. Jutro moja twarz znajdzie się we wszystkich gazetach i w telewizji.

Mój umysł zdaje się pracować na coraz szybszych obrotach, w miarę jak z ciała ulatuje energia.

Nie mogę postąpić zgodnie z ich przewidywaniami. Muszę się okazać sprytniejszy i wyprowadzić ich w pole. To jedna z tych zabaw - on myśli, że ja myślę, iż on myśli - gdzie uczestnik usiłuje odgadnąć następny ruch przeciwnika. Muszę brać pod uwagę dwa sposoby myślenia: maksymalnie wkurzonego policjanta, który uważa, że z nim pogrywam, oraz sadystycznego mordercy, który wie, jak osiągnąć moją żonę i córkę.

Silnik land rovera przerywa co kilka sekund. Mam problemy ze znalezieniem czwartego biegu, a kiedy wreszcie udaje mi się przesunąć dźwignię, muszę ją przytrzymywać.

Sięgam na tylne siedzenie i usiłuję namacać telefon. Potrzebuję pomocy Jocka. Wiem, że ryzykuję. Jest kłamliwym skurczybykiem, ale zaczyna mi brakować ludzi, którym mogę zaufać.

Odbiera telefon i walczy ze słuchawką. Słyszę, jak przeklina.

- Dlaczego zawsze ktoś musi zadzwonić, kiedy sikam. Widzę go, jak przyciskając słuchawkę podbródkiem, zapina rozporek.

- Powiedziałeś policji o listach?

- Taa. Nie uwierzyli mi.

- Przekonaj ich. Na pewno masz coś, co pomogłoby udowodnić, że sypiałeś z Catherine.

- No. Jasne. Trzymam polaroidowe zdjęcia, żeby przy rozwodzie pokazać je adwokatowi żony.

Cholera, jak zawsze jest zadowolonym z siebie skurczybykiem. Ale nie mam czasu na słowne potyczki. Nie mniej uśmiecham się pod nosem. Myliłem się co do Jocka. Nie jest zabójcą.

- Ten pacjent, którego mi podesłałeś, Bobby.

- Co z nim?

- Jak do ciebie trafił?

- Już ci mówiłem - jego prawnik zażyczył sobie wykonania badań neurologicznych,

- Kto mnie polecił - ty czy Eddie Barrett?

- Eddie.

Na szybko spadają krople deszczu. Wycieraczki mają tylko jedną prędkość - tę najniższą.

- W Liverpoolu jest szpital onkologiczny, Clatterbridge. Dowiedz się, czy leży tam Bridget Morgan. Może używać panieńskiego nazwiska: Aherne. Ma raka piersi. Zdaje się stan zaawansowany. Może być leczona ambulatoryjnie albo przebywać w hospicjum. Muszę ją odnaleźć.

Nie proszę o przysługę. Albo zrobi, jak mówię, albo nasza przyjaźń zostanie bezpowrotnie zerwana. Jock szuka wymówki, ale nic nie przychodzi mu na myśl. Najchętniej ukryłby się w mysiej dziurze. Jest tchórzem, o ile nie góruje nad kimś fizycznie. Mam go w garści. Wiem, że skłamał na policji. Wiem też o majątku ukrytym przed byłymi żonami.

- Joe, oni cię złapią - mówi ostrym tonem.

- Wszystkich nas złapią - odpowiadam. - Oddzwoń na ten numer najszybciej jak możesz.

Po ukończeniu trzeciej klasy, podczas wakacji w Walii, zabrałem zapalki z chińskiej wazy stojącej na gzymsie kominka, bo planowałem rozpalić ognisko. Kończyło się suche lato, trawa była łamliwa i zbrązowiała. Czy wspomniałem o wietrze?

Od wiązki suchego chrustu zajęła się trawa, pożar strawił dwa ogrodzenia, dwustuletni żywopłot i mało brakowało, a spłonęłyby stodoła sąsiadów, pełna siana na zimę. Podniosłem alarm, wrzeszcząc, ile sił w płucach, i biegnąc do domu z umazanymi sadzą policzkami i osmalonymi włosami. Zaszyłem się na stryszku w stajni, wciśnięty w narożnik pod spadem dachu, bo wiedziałem, że ojciec jest za wysoki, żeby mnie stamtąd wyciągnąć. Leżałem bez ruchu, wdychając kurz i nasłuchując wycia syren wozów strażackich. Wyobrażałem sobie najróżniejsze okropności. Widziałem całe farmy i wsie w ogniu. Bałem się, że pójdę do więzienia. Brat Careya Moynihana trafił do poprawczaka, bo podpalił wagon kolejowy. Wyszedł stamtąd jeszcze bardziej zdemoralizowany.

Przesiedziałem na strychu pięć godzin. Nikt na mnie nie krzychał ani mi niczym nie groził. Tata powiedział, że powinienem przyjąć karę po męsku. Dlaczego wymaga się od małych chłopców, żeby zachowywali się jak mężczyźni? Widok rozczarowanej miny matki bardziej bolał od uderzeń ojcowskiego pasa. Co powiedzą sąsiedzi?

Wizja więzienia jest teraz o wiele bardziej realna niż wtedy. Wyobrażam sobie Julianne siedzącą z naszym dzieckiem po drugiej stronie stołu. „Pomachaj do tatusia”, mówi do niego (bo oczywiście to będzie chłopczyk) i bezwiednie poprawia spódnicę, czując skierowane na siebie spojrzenia dziesiątek innych więźniów.

Oczyrna wyobraźni widzę budynek z czerwonej cegły wyrastający wprost z asfaltu. Żelazne drzwi zamykane na klucz wielkości męskiej dłoni. Metalowe podesty, kolejki po posiłki, spacerniak, butnych strażników, policyjne pałki, pisuary, spuszczone oczy, okratowane okna i zdjęcia przyklejone taśmą do ściany.

Co dzieje się w więzieniu z kimś takim jak ja?

Simon ma rację. Nie ucieknę. Już w trzeciej klasie zrozumiałem, że nie można się ukrywać bez końca. Bobby pragnie mnie zniszczyć. Nie chce, abym umarł. Mógł mnie zabić z dziesięć razy, ale on chce, żebym żył, patrzył, co robi, i wiedział, że to jego dzieło.

Czy policja będzie nadal obserwować mój dom, czy też odwoła akcję i skupi się na Walii? To mnie przeraża. Muszę mieć pewność, że Julianne i Charlie są bezpieczne.

Dzwoni telefon, Jock namierzył Bridget Aherne w hospicjum w Lancashire.

- Rozmawiałem z ordynatorem onkologii. Dają jej najwyżej kilka tygodni.

Słyszę, jak rozwija cygaro z celofanu. Jest wcześnie. Może świętuje. Zawarliśmy kruchy rozejm. Jak stare małżeństwo wyczuwamy półprawdy i przełykamy urazy.

- W dzisiejszych gazetach jest twoje zdjęcie - mówi. - Wyglądasz bardziej na bankiera niż „Poszukiwanego”.

- Nie za dobrze wychodzę na zdjęciach.

- Jest też wzmianka o Julianne. Napisali, że podczas wizyty reporterów wyglądała na wyczerpaną i poruszoną.

- Kazała im się odpieprzyć.

- Taak. To samo sobie pomyślałem. Słyszę, jak wydmuchuje dym.

- Joe, jedno muszę ci oddać. Zawsze uważałem cię za pierdołę. Sympatyczny, ale nudziarz z zasadami. A tu masz babo placek! Dwie kochanki, a w dodatku jesteś poszukiwany.

- Nie spałem z Catherine McBride.

- Szkoda. Była dobra w łóżku - śmieje się cynicznie.

- Jock, powinieneś czasami siebie posłuchać.

I pomyśleć, że kiedyś mu zazdrościłem. Co się z nim porobiło - czysta parodia prawicowego szowinisty i bigota z klasy średniej. Nie ufam mu już, ale potrzebuję jeszcze jednej przysługi.

- Chcę, żebyś zamieszkał z Julianne i Charlie, dopóki to wszystko się nie wyjaśni.

- Kazałeś mi się trzymać od niej z daleka.

- Wiem.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Julianne nie odpowiada na moje telefony. Domyślam się, że powiedziałaś jej o Catherine i o listach. Jest wkurzona na nas obu.

- To chociaż do niej zadzwoń; powiedz, żeby była ostrożna. I żeby nikogo nie wpuszczała do domu.

3

Land rover nie chce jechać szybciej niż czterdzieści mil na godzinę, poza tym ściąga go na środek drogi. Wygląda bardziej jak muzealny eksponat niż środek lokomocji i ludzie wyprzedzając mój samochód, pozdrawiają mnie klaksonem, sądząc zapewne, że biorę udział w jakimś charytatywnym rajdzie. Być może to idealny pojazd dla ściganego, bo nikt nie podejrzewa, że przestępca będzie uciekać w takim ślimaczym tempie.

Do Lancashire jadę bocznymi drogami. Zapleśniała mapa mniej więcej z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, którą znajduję w schowku, pomaga mi trzymać się kursu. Mijam wsie o nazwach takich jak: Puddinglake i Woodplumpton. Na przedmieściach Blackpoolu zatrzymuję się na prawie pustej stacji benzynowej i doprowadzam się do porządku w toalecie. Zmywam gąbką błoto ze spodni i suszę je pod suszarką do rąk, a potem zmieniam koszulę i obmywam zadrapania na dłoniach.

Hospicjum Squires Gate położone jest na kamienistym cyplu i wygląda jak wytwór erozji skał na skutek działania słonego powietrza. Wieżyczki, okna zwieńczone łukami, dach z łupkowych płytek

wskazują na edwardiański styl, ale już towarzyszące zabudowania są nowsze i mniej przytłaczające. Podjazd w szpalerze topoli zatacza łuk przed frontem i kończy się na parkingu. Podążając za znakami, kieruję się na oddział opieki paliatywnej, który znajduje się po stronie oceanu. Na korytarzach pusto, klatki schodowe niemal lśnią. Czarny pielęgniarz z ogoloną głową siedzi w przeszklonej dyżurce wpatrzony w ekran monitora. Pochłania go gra komputerowa.

- Macie tu pacjentkę nazwiskiem Bridget Aherne

Spogląda na moje kolana, które różnią się kolorem od reszty spodni.

- Pan z rodziny?

- Nie. Jestem psychologiem. Muszę z nią porozmawiać o synu.

Unosi brwi.

- Nie wiedziałem, że ma syna. Niewiele osób ją odwiedza. Idzie przede mną rozkołysanym, posuwistym krokiem, po czym skręca pod schodami i przez dwuskrzydłowe drzwi wyprowadza na zewnątrz. Odnoga żwirowej ścieżki kończy się przy trawniku, gdzie na parkowej ławce dwie pielęgniarki o znudzonych minach dzielą się kanapką.

Wchodzimy do parterowego aneksu, mieszczącego się bliżej klifów, i trafiamy do długiej sali chyba z dwunastoma łózkami, z których połowa jest pusta. Wychudzona kobieta z łysą głową siedzi wsparta na poduszkach. Przygląda się dwójce dzieci, które rysują coś na kartce w nogach jej łóżka. W innym miejscu jednonoga kobieta w żółtym dresie, z szydełkowym kocykiem na kolanach, siedzi na wózku inwalidzkim przed telewizorem. Drzwi w drugim końcu sali prowadzą do jednoosobowych pokoi. Pielęgniarz nie zawraca sobie głowy pukaniem. W separacie panuje mrok, w pierwszej chwili widzę jedynie aparaturę. Ekran monitorów i tarcze wskaźników tworzą iluzję medycznej doskonałości; jakby wszystko było możliwe, jeśli tylko wykalibruje się urządzenia i przekreśli odpowiednią gałkę.

Kobieta w średnim wieku, o zapadniętych policzkach leży w samym centrum pajęczyny z przewodów i rurek. Ma blond perukę, obwisłe piersi i brunatne zmiany na szyi. Jest w różowej koszuli, ramiona okrywa wysłużony czerwony sweter. Z podłączonej kroplówki przesącza się do jej ciała jakiś roztwór. Widzę ciemne obwódki wokół nadgarstków i kostek u nóg - na tatuaż są za jasne, na siniaki zbyt regularne.

- Niech pan nie daje jej papierosów. Nie może się odflegmić. Za każdym razem, kiedy kaszle, wrywa kroplówkę.

- Nie palę.

- Bardzo słusznie. - Wyjmuje papierosa zza ucha i wkłada do ust. - Trafi pan z powrotem.

Zasłony są zaciągnięte. Skądś dochodzi muzyka. Dopiero po chwili dostrzegam na szafce przy łóżku obok pustego wazonu i Biblii cicho nastawione radio.

Chora drzemie. Podają jej środki uspokajające. A może morfinę. Z nosa sterczy rurka, inna

wystaje na wysokości żołądka. Trzyma twarz zwróconą w stronę respiratora.

Opieram się barkiem i głową o ścianę.

- To miejsce cię przeraża - odzywa się, nie otwierając oczu.
- Tak.

Siadam na krześle tak, żeby nie odwracając głowy, mogła mnie widzieć. Powoli otwiera oczy. Twarz ma bledszą od koloru ścian. Patrzymy na siebie w półmroku.

- Byłeś kiedyś w Maui?
- To na Hawajach.
- Wiem, kurwa, gdzie to jest. - Zanosi się kaszlem, aż skrzypi łóżko. - Tam teraz powinnam być. Powinnam mieszkać w Ameryce. Tam się urodzić.

- Czemu pani tak mówi?
- Bo Jankesi wiedzą, jak żyć. Wszystko jest większe i lepsze. Ludzie się z tego śmieją. Wyzywają Amerykanów od aroganckich głupków, ale Jankesi są po prostu uczciwi. Zjadają małe kraje na śniadanie i wysrywają je przed lunchem.

- Była pani kiedyś w Stanach?

Zmienia temat. Oczy ma napuchnięte, ślina wypływa z kącika ust.

- Jesteś lekarzem czy księdzem?
- Psychologiem.
- Nie ma sensu się mną interesować - śmieje się drwiąco. - Chyba, że lubisz pogrzeby.

Nowotwór musiał błyskawicznie dać przerzuty. Nie zdążył jej wyniszczyć. Jest blada, ma gładką skórę na podbródku, smukłą szyję, delikatne skrzydełka nosa. Gdyby nie otoczenie i ochrypły głos, mogłaby nadal uchodzić za atrakcyjną kobietę.

- Wiesz, problem z rakiem polega na tym, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, że go masz. Zaziębienie to zaziębiane. Złamana noga jest złamana. A o raku dowiadujesz się dopiciu, kiedy zrobią ci prześwietlenie albo tomografię. Chyba że wyczujesz guzy. Jak mogłam zapomnieć o guzach. Masz, dotknij tu!

- Nie trzeba.
- Nie bój się. Jesteś dużym chłopcem. Pomacaj. Pewnie się zastanawiasz, czy są prawdziwe.

Większość mężczyzn ma wątpliwości.

Błyskawicznie wyciąga rękę i chwyta mnie za nadgarstek. Ma zadziwiająco silny uścisk. Walczę z chęcią wyrwania ręki. Wsuwa ją pod koszulę. Moje palce obejmują jej miękką pierś.

- O tam. Czujesz? Był wielkości groszku - mały i okrągły. A teraz jest jak pomarańcza. Pół roku temu zaatakował kości. A teraz płuca.

Moja ręka nadal leży na jej piersi. Pociera nią o brodawkę, która twardnieje pod dłonią.

- Jeśli masz ochotę, możesz mnie przelecieć. - Mówi po ważnie. - Chciałabym poczuć coś

innego od tego... rozpadu.

Wyraz współczucia na mojej twarzy rozwściecza ją. Odpycha moją rękę i owija się szczelnie blezerem. Nie patrzy na mnie.

- Chcę pani zadać parę pytań.

- Wykluczone! Nie potrzebuję twoich krzepiących gadek. Pogodziłam się ze śmiercią i nie targuję się z Bogiem.

- Przyjechałem z powodu Bobby'ego.

- A co z nim?

Nie planowałem wcześniej, o co ją zapytam. Nie wiem nawet, czego szukam.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Sześć, może siedem lat temu. Zawsze sprawiał kłopoty. Nikogo nie słuchał. A mnie najmniej ze wszystkich. Człowiek oddaje dzieciakowi najlepsze lata i żadnej wdzięczności. - Wyrzuca z siebie krótkie, urywane zdania. - No więc, co takiego zrobił?

- Grozi mu wyrok za pobicie. Skopał kobietę do utraty przytomności.

- Przyjaciółkę?

- Nie, zupełnie nieznaną. Rysy jej łagodnieją.

- Rozmawiałeś z nim. Jaki on jest?

- Jest w nim dużo złości. Wzdycha.

- Zawsze miałam wrażenie, że w szpitalu oddali mi cudze dziecko. Nie czułam, że należy do mnie. Wyglądał, niestety, jak jego ojciec. Nie widziałam w nim nic, co byłoby moje, poza oczami. Miał dwie lewe nogi i okrągłą twarz jak bochenek chleba. Zawsze się wybrudził. Wszędzie wsadzał łapy, wszystko rozkręcał, sprawdzał, jak działa. Jednego razu zepsuł mi radio, a kwas z baterijki popalił mój najlepszy dywan. Zupełnie jak jego ojciec...

Nie kończąc zdania, zaczyna nową myśl.

- Nigdy nie czułam tego, co powinna odczuwać matka. Pewnie mało mam w sobie macierzyństwa, ale to nie znaczy, że jestem zimna, prawda? Nie chciałam zająć w ciąży ani odziedziczyć pasierba. Miałam zaledwie dwadzieścia jeden lat, do jasnej cholery!

Unosi cienką jak kreska brew.

- Aż cię skręca, żeby zajrzeć mi do głowy, nie? Niewielu ludzi interesuje, co inni myślą albo co mają do powiedzenia. Cza sami ludzie zachowują się tak, jakby słuchali, a tak naprawdę tylko czekają na swoją kolej, albo szykują się, żeby ci dołożyć. Na co czekasz, panie Freud?

- Usiłuję zrozumieć.

- Zupełnie jak Lenny; on też wiecznie zadawał pytania, chciał wiedzieć, dokąd wychodzę i kiedy wrócę. „Z kim jesteś, kwiatuśku” - przedrzeźnia jego błagalny głos. - „Proszę cię, wracaj do domu. Czekam na ciebie”. Żałosne! I dobrze, że wychodziłam. Nie zamierzałam przeleżeć reszty

życia przy jego spoconym tyłku.

- Popelnił samobójstwo.
- Nie sądziłam, że jest do tego zdolny.
- Wie pani, co go do tego pchnęło?

Ignoruje moje pytanie. Patrzy na zasłony. Okno musi wychodzić dokładnie na ocean.

- Nie lubi pani widoku za oknem? Wzrusza ramionami.
- Krażą pogłoski, że oni tutaj nie bawią się w pogrzeby. Zrzucają nas z klifu.
- Wracając do pani męża. Nie patrzy na mnie.
- Nazywał siebie wynalazcą. Dobry kawał. Wiesz, mówił, że kiedy zarobi jakieś pieniądze, co raczej było mało prawdopodobne, to je rozda. „Żeby na świecie było lepiej”, jak to ujmował. Taki właśnie był, głądził bez końca o poprawie losu robotników i proletariackiej rewolucji, wygłaszał mowy, moralizował. Komuniści nie wierzą w niebo i piekło. Jak myślisz, gdzie teraz jest?

- Nie jestem zbyt religijny.
- Ale uważasz, że mógł dokądś pójść?
- Nie wiem.

Jej obronna postawa zbudowana z obojętności słabnie.

- Może wszyscy jesteśmy w piekle i po prostu tego nie wiemy. - Milknie i przemyka powieki. - Zażądałam rozwodu. Po wiedział, nie. Radziłam, żeby znalazł sobie przyjaciółkę. Nie chciał pozwolić mi odejść. Ludzie uważają, że jestem zimna, ale czuję więcej od nich. Umiałam czerpać przyjemność. Wiedziałam, jak wykorzystać swoje atuty. Czy to czyni ze mnie dziwkę? Niektórzy ludzie przez całe życie odmawiają sobie wszystkiego, albo uszczęśliwiają innych, lub zbierają zasługi, bo myślą, że to się im zwróci w przyszłym życiu. Nie ja.

- Oskarżyła pani męża o molestowanie Bobby'ego? Wzrusza ramionami.
- Ja tylko naładowałam broń. Nie wystrzeliłam. Zrobili to ludzie twego pokroju. Lekarze, pracownicy socjalni, nauczyciele, prawnicy, ci wszyscy, co uszczęśliwiają innych na siłę.
- Czy się pomyliliśmy?
- Sędzia tak nie uważał.
- A pani?
- Ja myślę, że czasami można zapomnieć, co jest prawdą, kiedy dostatecznie często słyszysz to samo kłamstwo. - Wyciąga rękę i naciska dzwonek nad głową.

Jeszcze nie mogę wyjść.

- Dlaczego syn panią nienawidzi?
- Wszyscy w końcu nienawidzimy naszych rodziców.
- Pani czuje się winna.

Zaciska pięści i śmieje się ochryple. Chromowany stojak z kroplówką z morfiny zaczyna się

chwiać.

- Umieram, mając czterdzieści trzy lata. Płacę za wszystko, co w życiu zrobiłam. Możesz powiedzieć to samo o sobie?

Wchodzi pielęgniarka, wyraźnie wściekła, że ją wezwano. Wypiął się jeden z przewodów monitora. Bridget unosi ramię, żeby go z powrotem podłączyć. Jednocześnie niedbałym machnięciem dłoni daje do zrozumienia, że mam sobie iść. Rozmowa skończona.

Na dworze pociemniało. Oświetlona ścieżka między drzewami prowadzi mnie na parking. Sięgam do torby po termos i pociągam z niego łąpczywie. Whisky pali i rozgrzewa. Mam ochotę pić tak długo, aż przestanę czuć chłód, albo dostrzegać drżenie ręki.

4

Melinda Cossimo długo nie podchodzi do drzwi. Goście o tak późnej porze, w przypadku pracownika socjalnego, przeważnie oznaczają kłopoty, szczególnie w niedzielę. Weekendy mają to do siebie, że wzrasta napięcie w rodzinach i wybuchają awantury. Mężowie biją żony, dzieci uciekają z domu. Pracownicy socjalni z utęsknieniem wyglądają poniedziałku. Nie dają jej szansy otworzyć ust.

- Policja mnie szuka. Potrzebuję twojej pomocy.

Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczyma, ale wydaje się prawie nieporuszona. Włosy spięła na czubku głowy dużą szylkretową klamrą. Kilka pasemek wymknęło się spod zapięcia i wije się wzdłuż policzków i szyi. Zamykając drzwi, zaprasza gestem dłoni do środka i każe mi iść schodami prosto do łazienki. Czeką na zewnątrz, aż podam jej ubranie

Oponuję, mówię, że nie mam czasu, ale jej nie wzrusza nie pokój w moim głosie. Przepranie paru rzeczy nie potrwa długo, stwierdza.

Patrzę na nagiego, obcego mężczyznę w lustrze. Schudł. Tak bywa, kiedy się nie jada. Wiem, co powiedziałaaby na to Julianne: „Dlaczego ja tak łatwo nie tracę na wadze?”. Obcy w lustrze uśmiecha się do mnie.

Schodzę na dół w szlafroku i słyszę, że Mol rozmawia przez telefon. Zanim dotrę do kuchni, zdąży otworzyć butelkę wina i napełnić dwa kieliszki.

- Do kogo dzwoniłaś?

- Do nikogo ważnego.

Siada z podwiniętymi nogami w przepastnym fotelu, trzymając nóżkę kieliszka między wskazującym i środkowym palcem wyprostowanej dłoni. Druga dłoń spoczywa na otwartej książce, która leży okładką do góry na oparciu fotela. Światło stojącej lampy kładzie się cieniem pod jej oczami i nadaje ustom surowy wyraz.

Ten dom zawsze kojarzył mi się ze śmiechem i dobrymi czasami, ale teraz wydaje się za cichy. Jeden z obrazów Boyda wisi nad kominkiem, drugi na przeciwległej ścianie. Jest także jego zdjęcie

na motorze z toru wyścigowego na Isle of Man.

- Właściwie co takiego zrobiłeś?
- Policja myśli, że, między innymi, zabiłem Catherine McBride.
- Między innymi? - Unosi jedną brew.
- No, oprócz jeszcze jednej osoby. Mojej byłej pacjentki.
- I chcesz mi powiedzieć, że nic złego nie zrobiłeś.
- Nie, chyba że głupota jest przestępstwem.
- Dlaczego uciekasz?
- Bo ktoś chce mnie zrobić.
- Bobby Morgan.
- Tak

Unosi dłoń.

- Nic więcej nie chcę wiedzieć. I tak już mam dość kłopotów za pokazanie ci akt.
- Popelniliśmy błąd.
- Co to znaczy?
- Właśnie rozmawiałem z Bridget Morgan. Nie sądzę, aby ojciec molestował Bobby'ego.
- Powiedziała ci!
- Chciała uwolnić się z małżeństwa. A on nie zgadzał się na rozwód.
- Zostawił pośmiertną wiadomość.
- Jedno słowo.
- Przeprosił.
- Tak, ale za co?
- Joe, to zamierzchła historia. - Głos Mel jest chłodny. - Zostaw to w spokoju. Znasz niepisaną zasadę - nigdy nie oglądaj się wstecz i nie rozgrzebuj starych przypadków. Mam dość prawników patrzących mi na ręce i grożących procesami...
- Co się stało z notatkami Erskine'a? Nie było ich w teczce. Waha się.
- Może poprosił, żeby je wyłączyć.
- Czemu?
- Możliwe, że Bobby chciał zobaczyć akta. Miał do tego prawo. Nieletniemu pod opieką kuratora przysługuje wgląd w opinię kuratora i w protokoły z części narad. Inaczej wygląda sprawa z opiniami ekspertów czy raportem psychologa. Tu potrzebna jest zgoda specjalisty.
- Chcesz powiedzieć, że Bobby przeglądał dokumenty?
- Możliwe. - W tej samej chwili wyklucza taką ewentualność. - To stare akta. Zdarza się, że papiery się gdzieś zawieruszają.
- Czy Bobby mógł usunąć notatki?

- Joe, nie mówisz poważnie! - szepce gniewnie. - Lepiej martw się o siebie.
- Czy mógł widzieć wideo?

Potrząsa głową na znak, że nie powie ani słowa więcej. Nie mogę na to pozwolić. Bez jej pomocy moja krucha, niewiarygodna teoria runie jak domek z kart. Mówiąc gorączkowo, jakbym się bał, że mi przerwie, opowiadam o chloroformie, wielorybach i wiatrakach; o tym, jak Bobby osacza mnie od miesiący, wkraczając w życie wszystkich osób wokół mnie.

Mel przekłada moje uprane rzeczy do suszarki i nalewa wina do kieliszków. Idę za nią do kuchni, przekrzykując zawodzenie malaksera, w którym miksuje ugotowaną cieciorkę. Kładzie na grzanki porcje pasty przyprawionej czarnym pieprzem.

- I dlatego muszę odnaleźć Ruperta Erskine'a. Potrzebne mi są jego notatki albo to, co udało mu się zapamiętać.

- Więcej nie mogę ci pomóc. Dość już zrobiłam. - Spogląda na zegar na kuchence.
- Spodziewasz się kogoś?
- Nie.
- Do kogo wcześniej telefonowałaś?
- Do znajomej.
- Dzwoniłaś na policję? Waha się.
- Nie. Zostawiłam instrukcje sekretarce. Jeżeli po godzinie się nie odezwę, ma się skontaktować z policją.

Spoglądam na ten sam zegar i liczę wstecz.

- Chryste, Mel!
- Przepraszam, muszę myśleć o mojej pracy.
- Piękne dzięki za wszystko. - Ubranie nie wyszło do końca, zmagam się ze spodniami i z koszulą. Chwyta mnie za rękaw.

- Zgłoś się na policję. Odtrącam jej rękę.
- Nie rozumiesz.

Zarzucam lewą nogą, kiedy usiłuję iść szybko. Trzymam rękę na frontowych drzwiach.

- Erskine. Chciałeś go odszukać. - Wyrzuca z siebie na jednym oddechu: - Dziesięć lat temu przeszedł na emeryturę. Ostatnio słyszałam, że mieszka pod Chester. Ktoś z wydziału kontaktował się z nim niedawno. Wymienili parę zdań... co u kogo słyhać.

Pamięta adres - wieś Hatchmere. Wikarówka. Zapisuję nazwę na skrawku papieru, kładąc go na stoliku w holu. Lewa ręka ani drgnie. Prawa musi ją zastąpić.

Wszystkie poranki powinny być takie jasne i bezchmurne. Promienie słońca sączą się przez popękaną tylną szybę land rovera i rozszczepiają jak w dyskotekowej kuli. Naciskając obiema rękami na korbkę, opuszczam boczne okno i wyglądam na zewnątrz. Ktoś pomalował świat na

biało; przemienił kolory w monochromię.

Przeklinając zacinające się drzwi, wypycham je na siłę i wystawiam nogi na zewnątrz. Powietrze pachnie kurzem i drzewnym dymem. Nabieram garść śniegu i przecieram nim twarz, żeby się dobudzić. Potem rozpinam rozporek i siusiam na pień drzewa, malując go na ciemniejszy brąz. Ile mil przejechałem w nocy? Chciałem jechać dalej, ale przerywała instalacja przednich reflektorów land rovera i wpadałem w ciemności. Dwukrotnie omal nie skończyłem w rowie.

Jak Bobby spędził tę noc? Zastanawiam się, czy mnie szuka, czy obserwuje Julianne i Charlie. Nie będzie czekał, aż odgadnę jego zagadkę. Muszę się spieszyć.

Jezioro Hatchmere jest dookoła porośnięte trzcina, w wodzie odbija się błękit nieba. Zatrzymuję się przy biało-czerwonym domu i pytam o drogę. Starsza pani, jeszcze w szlafroku, bierze mnie za turystę. Częstuje mnie historią Hatchmere, która przechodzi stopniowo w opowieść o jej życiu, o synu mieszkającym w Londynie i wnukach, które widuje jedynie raz w roku. Dziękuję jej, powoli się wycofując. Stoi w furtce, kiedy się zmagam z rozrusznikiem land rovera. Tego mi właśnie potrzeba. Pewnie po mistrzowsku gra w cribbage, rozwiązuje krzyżówki i ma świetną pamięć do numerów rejestracyjnych. „Nigdy nie zapominam numeru”, powie z dumą, podając go policji.

Silnik łaskawie zaskakuje, plując dymem z rury wydechowej. Macham do starszej pani i uśmiecham się. Sprawia wrażenie zatroskanej.

Okna i drzwi wikarówki zdobią girlandy świątecznych lampek. Na ścieżce plastikowe samochodziki stoją zaparkowane wzdłuż boków starej skrzynki na butelki do mleka. Powyżej zawieszona na ukos prześcieradło z plamami rdzy, przywiązane do dwóch drzew. Pod nim kuca chłopczyk z wiaderkiem po lodach na głowie. Celuje kijem w moją pierś.

- Jesteś Slytherinem? - pyta sepleniąc.

- Słucham?

- Możesz wejść, jeśli przybywasz z Gryffindoru. - Piegi na jego nosie mają kolor cornfleksów.

W drzwiach pojawia się młoda kobieta. Jasne włosy ma wzburzone, jakby dopiero wstała z łóżka i najwyraźniej zmagają się z przeziębieniem. Na biodrze trzyma niemowlę, które ssie grzanekę.

- Brendon, daj panu spokój - mówi, posyłając mi znużony uśmiech.

Omijając zabawki, podchodzę do drzwi. W głębi widzę rozstawioną deskę do prasowania.

- Przepraszam za niego. Myśli, że jest Harrym Potterem. Mogę w czymś pomóc?

- Mam nadzieję. Szukam Ruperta Erskine'a.

Przesadza niemowlę na drugie biodro i zapina guzik przy bluzce.

- Niech pan lepiej zapyta kogoś innego.

- Czy ktoś z sąsiadów go zna? Muszę się z nim pilnie zobaczyć.

Przygryza dolną wargę i patrzy poza mną w kierunku kościoła.

- W takim razie tam pan go znajdzie. Odwracam się.

- Jest na cmentarzu. - Orientuje się, że zabrzmiało to brutalnie i dodaje: - Przykro mi, jeśli to pański znajomy.

Odruchowo siadam na stopniach.

- Pracowaliśmy kiedyś razem - wyjaśniam. - Dawno temu. Ogląda się przez ramię.

- Zajdzie pan na chwilę?

- Z chęcią.

W kuchni pachnie wyparzonymi butelkami i owsianką. Na stole i na krześle leżą porozrzucane kredki i kartki. Przeprasza za bałagan.

- Co się stało z panem Erskine'em?

- Wiem tylko tyle, ile powiedzieli mi sąsiedzi. Cała wieś była wstrząśnięta. Nikt się nie spodziewał czegoś takiego, przynajmniej nie w tej okolicy.

- To znaczy, czego?

- Ludzie sądzą, że zaskoczył kogoś, kto chciał obrabować jego dom, ale według mnie to mało prawdopodobne. Jaki włamywacz przywiązuje starego człowieka do krzesła i zakleja mu usta taśmą? Żył jeszcze dwa tygodnie. Jedni mówią, że umarł na zawał, inni, że na skutek odwodnienia. To były dwa najgorętsze tygodnie lata...

- Kiedy to się stało?

- W sierpniu tego roku. Podejrzewam, że mieszkańcy czują się winni, bo nikt się nie zainteresował, że go nie widać. Zazwyczaj pracował w ogródku i chodził na spacery nad jezioro. Ktoś z kościelnego chóru zapukał do drzwi, pracownik gazowni przy szedł odczytać licznik. Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz, lecz nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do środka. - Niemowlę wierci się w jej ramionach. - A może zrobię panu herbaty? Niezbyt dobrze pan wygląda.

Widzę poruszające się usta i słyszę pytanie, ale tak naprawdę nie słucham. Mam wrażenie, że ziemia usunęła mi się spod nóg, jak gwałtownie opadająca winda. Ona cały czas mówi - ...naprawdę miły człowiek, tak mówią. Wdowiec. O tym pewnie pan już wiedział. Chyba nie miał żadnej rodziny...

Pytam, czy mogę skorzystać z telefonu i potrzebuję obu rąk, żeby utrzymać słuchawkę. Z trudem odczytuję cyfry. Odbiera Louise Elwood. Muszę się kontrolować, żeby nie krzyknąć.

- Jak nazywała się wicedyrektorka z St Mary's? Pani wspomniała, że zrezygnowała z pracy w szkole z powodów rodzinnych.

- Tak. Nazywała się Alison Górski.

- Kiedy odeszła ze szkoły?

- Jakies półtora roku temu. Jej matka zginęła w pożarze domu, a ojciec został poważnie

poparzony. Przeprowadziła się do Londynu, żeby się nim opiekować. Zdaje się, że jest przykuty do wózka.

- Co spowodowało pożar?

- Podobno doszło do pomyłki. Ktoś wrzucił butelkę z benzyną przez otwór do listów. W prasie pojawiły się spekulacje, że to jakieś antyżydowskie akcje, ale nic się nie wyjaśniło.

Ze strachu oblewam się zimnym potem. Nie spuszcza wzroku z kobiety, która obserwuje mnie podejrzliwie ze swego miejsca przy kuchence. Budzę w niej lęk. Wniosłem do jej domu złowieszczą atmosferę.

Wykonuję jeszcze jeden telefon. Mel natychmiast podnosi słuchawkę.

- Samochód, który najechał na Boyda - zaczynam, nie dając jej szansy otworzyć ust. - Co się stało z kierowcą? - Mój głos brzmi ostro i piskliwie.

- Joe, była u mnie policja. Detektyw o nazwisku Ruiz...

- Powiedz o kierowcy.

- Sprawca zbiegi. Samochód znaleziono kilka przecznic dalej.

- A kierowca?

- Uważają, że to jakiś nastoletni amator przejażdżki kradzionym samochodem. Na kierownicy był odcisk kciuka, ale nie mieli go u siebie w kartotece.

- Opowiedz dokładnie, jak to się stało.

- Po co? Co to ma wspólnego...

- Proszę cię, Mel.

Zaczyna z wahaniem, zastanawiając się, czy tamtego wieczoru Boyd wyszedł o wpół do ósmej, czy o wpół do dziewiątej. Denerwuje się, że nie pamięta takich szczegółów. Martwi ją, że wspomnienia związane z Boydem zaczynają się zacierać.

To był piąty listopada - święto Guy Fawkesa - noc ognisk.

Rozemocjonowane dzieciaki z sąsiedztwa paliły ogniska z odpadków drewnu na okolicznych podwórkach i placykach. Boyd często wyskakiwał wieczorem po tytoń. Jechał do pobliskiego pubu na kufelek, a po drodze kupował w monopolowym swoją ulubioną mieszankę. Wtedy miał odblaskową kamizelkę i kanarkowo żółty kask. Spod spodu wystawał siwy kucyk. Zatrzymał się na skrzyżowaniu na Great Homer Street.

Prawdopodobnie obejrzał się w ostatniej chwili, gdy usłyszał samochód. Może nawet przez ułamek sekundy widział twarz kierowcy, zanim został wciągnięty pod rurę zderzaka. Samochód włókł go sto jardów pod podwoziem, Boyd uwiązał w pogiętej ramie motocykla.

- O co w tym wszystkim chodzi? - pyta Mel. Wyobraźnia podsuwa mi obraz jej rozchylonych czerwonych ust i spłoszonych szarych oczu.

- Lucas Dutton, gdzie on teraz jest?

- Pracuje dla jakiejś agencji rządowej zajmującej się problemem narkomanii wśród nastolatków - odpowiada Mel zrównoważonym, lekko drżącym głosem.

Pamiętam Lucasa. Farbował włosy; grał w golfa z handicapem kilku uderzeń; kolekcjonował etykiety od zapalek i różne gatunki szkockiej whisky. Żona uczyła aktorstwa, jeździli skodą, wakacje spędzali w przyczepie w Bognor, mieli bliźniaczki...

Mel żąda wyjaśnień, ale nie daje jej dojść do słowa.

- Co się stało z bliźniaczkami?

- Joe, przerażasz mnie.

- Co się z nimi stało?

- Jedna z nich zmarła w zeszłym roku w Wielkanoc z przedawkowania narkotyków.

Zanim Mel zdąży zareagować, przed oczyma przesuwa mi się lista nazwisk: sędzia McBride, Melinda Cossimo, Rupert Erskine, Lucas Dutton, Alison Górski - wszyscy byli zaangażowani w tę samą sprawę ochrony dziecka przed przemocą w rodzinie. Erskine nie żyje. Pozostali utracili kogoś bliskiego. Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Przeprowadziłem tylko jeden wywiad z Bobbym. To zdecydowanie za mało, żeby wyjaśnić sprawę wiatraków, lekcje hiszpańskiego, Tygrysy i Lwy... Czemu tyle miesięcy przesiedział w Walii, pracując w ogrodzie rodziców i remontując starą stajnię?

Mel grozi, że odłoży słuchawkę. Nie mogę na to pozwolić.

- Kto oficjalnie wystąpił o stały nadzór kuratorski?

- Ja, to oczywiste.

- Wspomniałaś, że Erskine był na urlopie. Kto podpisał raport psychologa?

Waha się, zmienia się rytm jej oddechu. Będzie kłamać.

- Nie pamiętam.

- Kto podpisał raport psychologa? - nie ustępuje.

- Ty - mówi, jak gdyby przeze mnie, prosto w przeszłość.

- Jak? Kiedy?

- Podsunęłam ci formularz, a ty podpisałeś. Myślałeś, że to upoważnienie dla zastępczych rodziców. To był twój ostatni dzień w Liverpoolu. Poszliśmy na pożegnalne drinki do Windy House.

W mej duszy wrywa się bezgłośny jęk; lecz nadal trzymam słuchawkę przy uchu:

- Moje nazwisko było w dokumentach Bobby'ego?

- Tak.

- Wyjęłaś raport, zanim mi je pokazałaś?

- To było tak dawno temu, nie sądziłam, że to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Nie odpowiadam. Słuchawka wypada mi z ręki. Młoda mama potrząsa niemowlęciem

przyciśniętym do piersi, żeby przestało płakać. Schodzę po stopniach. Słyszę, jak woła starszego synka do domu. Wszyscy wolą się trzymać ode mnie z daleka, jestem jak zakaźna choroba. Jak epidemia.

5

George Woodcock nazywał tykanie zegara mechaniczną tyranią, która zmieniła nas w niewolników urządzenia wymyślonego przez nas samych. Żyjemy w strachu przed stworzonym przez nas potworem - zupełnie jak baron von Frankenstein.

Kiedyś miałem pacjenta, samotnie mieszkającego wdowca, który wmówił sobie, że tykanie ściennego zegara nad stołem w kuchni brzmi jak ludzki głos. Zegar wydawał mu krótkie komendy w rodzaju: „Idź, spać!”, „Umyj naczynia!”, „Pogaś światła!”. Z początku je ignorował, lecz zegar z uporem powtarzał polecenia, używając zawsze tych samych słów. W końcu zaczął spełniać rozkazy i zegar przejął kontrolę nad jego życiem. Mówił mu, co ma zjeść na obiad, jaki program obejrzeć w telewizji; kiedy zrobić pranie, do kogo oddzwonić...

Kiedy po raz pierwszy przyszedł do mego gabinetu, spytałem go, czy napije się kawy, czy herbaty. Nie odpowiedział od razu. Ignorując mnie, przeszedł przez gabinet i stanął przed zegarem, a po chwili odwrócił się i poprosił o szklanekę wody.

O dziwo, wcale nie chciał, żeby go wyleczyć. Mógł usunąć z domu wszystkie zegary albo wymienić je na cyfrowe, ale te głosy dodawały mu pewności siebie, wręcz go uspokajały. Jego żona musiała być niezłą heterą, w dodatku dobrze zorganizowaną, która go poganiała, wypisywała listy zadań, wybierała mu ubrania i generalnie podejmowała za niego decyzje.

Zamiast uwolnić się od tych głosów, życzył sobie, żebym sprawił, aby mu ciągle towarzyszyły. Wszystkie pomieszczenia w domu zdążył wyposażyć w zegary, ale co z wychodzeniem na dwór? Doradziłem mu ręczny zegarek, ale z jakichś powodów żaden z nich nie przemawiał do niego dostatecznie głośno, a niektóre mamrotały coś bez sensu. Po głębszym zastanowieniu udaliśmy się razem po zakupy do Gray's Antique Market, gdzie po ponad godzinie wsłuchiwania się w tykanie najróżniejszych staromodnych zegarków kieszonkowych znalazł ten, który wyraźnie do niego mówił.

Czasomierzem, który ja słyszę, może być postukiwanie w silniku land rovera. Albo zegar sądnego dnia - siedem minut przed północą. Moje idealne życie odpływa w przeszłość, a ja nie potrafię zatrzymać zegara.

Dwa policyjne radiowozy mijają się ze mną na drodze wyjazdowej z Hatchmere. Mel musiała im jednak podać adres Erskine'a. Nie wiedzą o land roverze, przynajmniej na razie. Poinformuje ich drobna starsza pani z fotograficzną pamięcią. Jest szansa, że zacznę od opowieści o swoim życiu, co daje mi czas na ucieczkę.

Co chwilę zerkam we wsteczne lusterko, spodziewając się ujrzeć pulsujące niebieskie światła.

To będzie przeciwieństwo pościgu policyjnego. O ile nie znajdę czwartego biegu, można prześcignąć mnie na rowerze. Być może odtworzymy fragment obławy na O.J. Simpsona, filmowany z helikoptera w zwolnionym tempie.

Pamiętam końcową scenę z „Butcha Cassidy i SumUnce B Kida”, w której Redford i Newman, dowcipkując, idą na spotka nie z meksykańską armią. Ja nie byłbym taki nieustraszony w obliczu śmierci. I nie widzę nic podniosłego w gradzie kul ani w zamkniętej trumnie.

Lucas Dutton mieszka w domu z czerwonej cegły przy podmiejskiej ulicy, gdzie handlarze narkotyków oraz burdele wyparły swojskie sklepiki. Każdy wolny kawałek ściany pokrywają barwne plamy farby w sprayu. Zrujnowano nawet malowidła artystów amatorów i protestanckie freski. Wszędzie gości graffiti bez ładu i składu czy kolorystycznej harmonii. Bezmyślny, złośliwy wandalizm.

Lucas tkwi na drabinie rozstawionej na podjeździe i odkręca od muru obręcz do koszykówki. Włosy ma jeszcze ciemniejsze niż kiedyś, ale przybyło mu nieco w obwodzie, a czoło porały zmarszczki, które giną w krzaczastych brwiach.

- Nie potrzebujesz pomocy?

Spogląda w dół i przez chwilę dopasowuje nazwisko do twarzy.

- Przerdzewiały - wyjaśnia, postukując w śruby. Schodzi z drabiny, wyciera ręce o przód koszuli i podaje mi dłoń. Jednocześnie rzuca nerwowe spojrzenie na frontowe drzwi. To zna czy, że w domu jest żona. Musieli oglądać wiadomości albo słyszeli komunikat przez radio.

Z okna na piętrze dochodzi muzyka; głównie słychać dudnienie basów i scratchowe zgrzyty. Lucas podąża za moim spojrzeniem.

- Proszę ją żeby ściszyła, ale ona mówi, że tego należy słuchać głośno. Pewnie przypadłość typowa dla wieku.

Pamiętam bliźniaczki. Sonia była dobrą pływaczką - czy to w basenie, czy w morzu pływała w pięknym stylu. W któryś weekend Duttonowie zaprosili mnie na grilla, dziewczynka musiała mieć wtedy z dziewięć lat. Ogłosiła, że kiedyś przepłynie kanał La Manche.

- Prędzej będzie tunelem - zażartowałem. Całe towarzystwo wybuchło śmiechem. Sonia przewróciła oczyma. I wtedy przestała mnie lubić.

Jej siostra, Claire, reprezentowała bardziej intelektualny typ, charakteryzowała się oczyma o nieobecny spojrzeniu za okularami w drucianych oprawkach. Przez prawie całą imprezę nie wytknęła nosa ze swego pokoju i narzekała, że nie słyszy telewizora bo „hałas jest jak w małpiarni”.

Lucas składa drabinę, wyjaśniając, że „dziewczynki już nie używają obręczy”.

- Przykro mi z powodu Soni - mówię.

Zachowuje się tak, jakby nie dosłyszał. Pakuje narzędzia do skrzynki. Już otwieram usta, żeby

zapytać, jak doszło do tej tragedii, gdy zaczyna mi opowiadać, że Sonia zdobyła dwa tytuły mistrzowskie w zawodach pływackich i pobiła rekord.

- Pomimo tych wszystkich treningów, codziennych porannych zapraw, wiedziała, że więcej nie osiągnie. Bycie dobrym od bycia wybitnym dzieli cienka linia...

Pozwalam mu mówić, bo czuję, że dotrze do sedna. Rozwija wątek. Niespełna dwudziestotrzyletnia Sonia Dutton poszła z Claire i z grupką przyjaciół z uniwersytetu na koncert rockowy, na którym ktoś dał jej tabletkę z logo shella. Zawsze bardzo uważała z lekami i odżywkami. Tańczyła całą noc, aż do chwili, kiedy dostała palpitanie serca i gwałtownie wzrosło jej ciśnienie. Zrobiło jej się słabo, ogarnął ją niepokój. Straciła przytomność w toalecie.

Lucas nadal kuca nad skrzynką z narzędziami, jakby czegoś w niej szukał. Ramiona mu dygoczą. Ochryplym głosem opowiada, jak Sonia leżała trzy tygodnie w letargu, nie odzyskując przytomności. Lucas spierał się z żoną, czy odłączyć ją od respiratora. On był pragmatykiem - chciał ją zachować w pamięci taką, jaką była, kiedy płynęła, tnąc wodę. Żona miała pretensje, że stracił wiarę, że myśli wyłącznie o sobie i nie modli się wystarczająco żarliwie o cud.

- Od tamtej pory wypowiedziała do mnie może z dwanaście słów; ale nie za jednym razem. Wczoraj wieczorem oznajmiła, że widziała w wiadomościach twoje zdjęcie. Zadałem jej kilka pytań, a ona na nie odpowiedziała. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów...

- Kto dał Soni tabletkę? Czy kogoś złapano?

Lucas kręci przecząco głową. Claire opisała go policji. Obejrzała zdjęcia policyjne i poszła na konfrontację.

- Jak według jej opisu wyglądał?

- Wysoki, bardzo szczupły, śniady... włosy gładko zaczesane do tyłu.

- W jakim wieku?

- Około dwudziestu pięciu lat.

Zamyka wieko skrzynki i zatrząskuje metalowe zamki, po czym spogląda niechętnie na dom, wyraźnie ociągając się z powrotem. Takie prace, jak ta przy obręczy, stały się bardzo pożądane, bo pomagają wypełnić czas i zejść z oczu żonie.

- Pamiętasz Bobby'ego Morgana?

- Tak.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Czternaście... piętnaście lat temu. Był jeszcze dzieckiem.

- Od tamtej pory nie miałeś z nim kontaktu? Kręci głową, mrużąc oczy, jakby coś mu zaświtało.

- Sonia знаła kogoś o takim nazwisku. Może to był on. Pracował na pływalni.

- Nigdy go nie widziałeś?

- Nie. - Dostrzega ruch firanki w oknie salonu. - Na twoim miejscu bym się tu nie kręcił.

Wezwie policję, jeśli cię zobaczy.

Skrzynka z narzędziami ciąży mu w ręce. Przekłada ją i spogląda na obręcz.

- Chyba powisi tu jeszcze przez jakiś czas. Dziękuję mu, a on pospiesznie wchodzi do środka. Zamyka za sobą drzwi i cisza potęguje odgłos moich kroków, kiedy się oddalam. Dutton wydawał mi się przemądrzały i dogmatyczny, niechętnie wysłuchiwał opinii innych czy zmieniał zdanie podczas rozpatrywania przypadków. Był typem autokratycznego, szukającego dziury w całym urzędnika, który potrafiłby sprawić, żeby pociągi kursowały zgodnie z rozkładem, ale zupełnie nie umiał dogadywać się z ludźmi. Gdyby jeszcze jego pracownicy byli równie niezawodni jak jego skoda - zaskakiwali przy pierwszej próbie odpalenia silnika w chłodne poranki i reagowali na najmniejszy ruch kierownicy!

Teraz przygaśł i złagodniał pokonany przez tę tragedię. Mężczyzna, który dał Soni tabletkę, nie przypomina Bobby'ego, lecz opisy naocznych świadków są z reguły mało wiarygodne. Stres i szok zniekształcają percepcję. Zawodzi pamięć. Bobby jak kameleon, zmienia barwę, kamufluje się, czasem wyprzedza, czasem drepce po piętach, lecz zawsze wtapia się w tło. Jest taki wierszyk, który recytowała mi ciocia Gracie - niepoprawna politycznie rymowanka o dziesięciu małych Indianach. Zaczyna się od tego, że dziesięciu małych Indian idzie na obiad, jeden z nich się dławi i zostaje dziewięciu. Dziewięciu małych Indian długo nie kładzie się spać, jeden z nich później zaśpi i zostaje ośmiu...

Małych Indian kłują pszczoły, zjadają ryby, dopadają niedźwiedzie, są przepoławiani, aż w końcu zostaje jeden. Czuję się jak ten ostatni mały Indianin.

Teraz rozumiem działanie Bobby'ego. Usiłuje pozbawić każdego z nas tego, co najbardziej cenimy - miłości dziecka, bliskości partnera, poczucia przynależności. Chce, żebyśmy cierpieli tak, jak on cierpiał; utracili, co najbardziej kochamy, doświadczyli jego poczucia straty.

Mel i Boyda łączyło pokrewieństwo dusz. Wiedział o tym każdy, kto ich znał. Jerzy i Esther Górski uniknęli śmierci w nazistowskiej komorze gazowej, a po wojnie osiedli w północnym Londynie, gdzie wychowali swą jedyną córkę, Alison, która została nauczycielką i przeprowadziła się do Liverpoolu. Strażacy znaleźli Jerzego u stóp schodów. Przeżył pomimo ciężkich poparzeń. Esther udusiła się we śnie.

Catherine McBride, ulubiona wnuczka w dobrze sytuowanej rodzinie - krnąbrna, kapryśna i rozpieszczona - była oczkiem w głowie dziadka, który wybaczał jej wszelkie wybryki.

Rupert Erskine nie miał żony ani dzieci. Być może Bobby'emu nie udało się odkryć, na czym mu najbardziej zależy, a może wiedział to od samego początku. Erskine był kłótlwym starym tetrykiem, którego trudno darzyć sympatią. Wiele mu wybaczyliśmy, bo nie miał lekkiego życia, opiekując się przez tyle lat chorą żoną. Bobby nie okazał mu żadnych względów. Zostawił go żywego, przywiązanego do krzesła, żeby miał czas na skruchę.

Mogą być jeszcze inne ofiary. Nie mam czasu na ich poszukiwanie. Elisa to moja wina. Za późno odkryłem tajemnicę Bobby'ego. Jego działania przy kolejnych zgonach cechowało coraz większe wyrafinowanie, ale to ja mam być głównym trofeum. Mógł mi odebrać Julianne albo Charlie, lecz on postanowił pozbawić mnie wszystkiego - rodziny, przyjaciół, kariery, reputacji, a na koniec wolności. W dodatku chce, żebym wiedział, iż to on za tym wszystkim stoi.

Celem analizy jest zrozumienie, a nie dochodzenie do sedna problemów i definiowania ich w postaci wniosków. Bobby zarzucił mi kiedyś, że odgrywam Boga. Powiedział, że tacy jak ja nie potrafią się powstrzymać, aby nie grzebać w psychice innych ludzi i zmieniać ich sposób patrzenia na świat.

Może ma rację. Możliwe, że popełniałem błędy i wpadłem w pułapkę, jaką był brak dogłębnego rozważenia przyczyn i skutków. I wiem, że nie wystarczy na koniec przeprosić i powiedzieć: „chciałem dobrze”. To właśnie powiedzieli Gracie, gdy odebrali jej dziecko. Ja używałem tych samych słów. „Zgodnie z najlepszymi intencjami...” i „kierując się możliwie najlepiej pojmowanym dobrem...”.

Prowadząc jedną z moich pierwszych spraw w Liverpoolu, musiałem rozstrzygnąć, czy umysłowo upośledzona dwudziestojednoletnia kobieta, bez oparcia w postaci rodziny, skazana na dożywotni pobyt w domu opieki społecznej, może zachować swe jeszcze nienarodzone dziecko.

Do dziś mam przed oczyma Sharon w letniej sukience opiętej na wysadzonym brzuchu. Przyszła z umyтыми, starannie uczesanyimi włosami. Wiedziała, że ta rozmowa ma decydujące znaczenie dla jej przyszłości. Pomimo włożonego wysiłku, umknęły jej drobiazgi. Skarpetki były w tym samym kolorze, ale różnej długości. Zamek na boku był zepsuty. Na policzku została smuga z pomadki do ust.

- Sharon, wiesz czemu tu jesteś?

- Tak, proszę pana.

- Musimy zdecydować, czy możesz się opiekować swoim dzieckiem. To wielka odpowiedzialność.

- Mogę. Mogę. Będę dobrą mamą. Będę bardzo kochać swoje dziecko.

- Wiesz, skąd się biorą dzieci?

- Ono we mnie rośnie. Bóg je tam włożył. - Mówiła podniosłym tonem, gładząc się po brzuchu.

Nie chciałem podważać jej logiki.

- Zabawmy się w „co by było, gdyby”, dobrze? Wyobraź sobie, że kąpiesz niemowlę i dzwoni telefon. Dziecko jest mokre i śliskie. Co robisz?

- Ja... ja... ja... kładę je na podłodze owinięte w ręcznik.

- Kiedy rozmawiasz przez telefon, ktoś puka do drzwi. Otwierasz je?

Momentalnie się gubi.

- To może być straż pożarna - podpowiadam. - Albo twoja opiekunka społeczna.
- Otworzyłabym drzwi - odpowiada, skwapliwie kiwając głową.
- Okazuje się, że to twoja sąsiadka. Jacyś chłopcy wybili jej szybę kamieniem. Musi iść do pracy. Chce, żebyś poczekała u niej w mieszkaniu na szklarzy.
- Ci smarkacze, oni zawsze rzucają kamieniami - mówi Sharon, zaciskając pięści.
- Twoja sąsiadka ma telewizję satelitarną; kanał z filmami, z kreskówkami i z telenowelami. Co będziesz oglądać, czekając?
- Kreskówki.
- Napijesz się herbaty?
- Może.
- Sąsiadka zostawiła ci pieniądze na szklarzy. Wstawienie szyby ma kosztować czterdzieści pięć filmów, ale powiedziała, że resztę możesz sobie zatrzymać.
- Mogę zatrzymać? - ożywia się.
- Tak. Co sobie kupisz?
- Czekoladę.
- Gdzie ją kupisz?
- W sklepie na dole.
- Co zazwyczaj bierzesz ze sobą, idąc do sklepu?
- Klucze i torebkę.
- Nic więcej?

Kręci przecząco głową.

- Sharon, a gdzie jest twoje dziecko?

Grymas paniki przebiega jej przez twarz, dolna warga zaczyna drżeć. Kiedy wydaje mi się, że za moment wybuchnie płaczem, oznajmia:

- Barney go popilnuje.
- Kim jest Barney?
- To mój pies.

Kilka tygodni później siedziałem przed salą porodową, słuchając szlochu Sharon, kiedy zawijano jej synka w kocyk i zabierano od niej. Moim zadaniem było przetransportowanie noworodka do innego szpitala. Przymocowałem nosidełko na tylnym siedzeniu samochodu. Patrząc na śpiący tobolek, zastanawiałem się, co ten chłopiec będzie myślał za ileś lat o decyzji, jaką podjąłem o jego przyszłości. Czy będzie mi wdzięczny, czy też będzie mnie obwinił o zrujnowanie mu życia?

Powracam myślami do innego dziecka. Przesłanie jest oczywiste. Zawiedliśmy w przypadku Bobby'ego. Zawiedliśmy w przypadku jego ojca - niewinnego człowieka, którego aresztowano i godzinami wypytywano o życie seksualne i długość penisa. W miejscu pracy i w domu dokonano

rewizji, poszukując nieistniejącej dziecięcej pornografii oraz umieszczono jego nazwisko w centralnym rejestrze przestępców seksualnych, chociaż nigdy nie został postawiony w stan oskarżenia, a tym bardziej skazany.

Został napiętnowany na całe życie. Wszystkie przyszłe związki byłyby naznaczone. Ewentualne żony i partnerki otrzymałyby odpowiednie informacje. Kolejne ojcostwo oznaczałoby ryzyko. Pracę trenera w dziecięcej drużynie trampkarzy uznano by za szczyt bezczelności. To niewątpliwie wystarczy, żeby pchnąć człowieka do samobójstwa.

Sokrates, najmądrzejszy z Greków, został niesłusznie oskarżony o demoralizowanie młodych Ateńczyków i skazany na śmierć. Nie mógł uciec, więc wypił truciznę. Sokrates wierzył, że dusza jest ważniejsza od ciała. Może chorował na Parkinsona.

Jestem współwinny w przypadku Bobby'ego. Stanowiłem część maszyny systemu. Popełniłem grzech tchórzliwego zaniechania. Zamiast oponować, nabrałem wody w usta i zaakceptowałem stanowisko większości. Byłem młody, dopiero zaczynałem karierę, lecz to mnie nie usprawiedliwia. Zachowałem się jak kibic, a nie jak arbiter.

Julianne nazwała mnie tchórzem, wyrzucając z domu. Teraz wiem, co miała na myśli. Siedziałem na trybunie, nie chcąc się angażować ani w małżeństwo, ani w moją chorobę. Wolałem zachować dystans ze strachu przed tym, co może mnie czekać. Byłem zaabsorbowany stanem własnego umysłu. Tak bardzo uważałem, żeby nie rozkołysać łodzi, że przeoczyłem górę lodową.

6

Trzy godziny temu opracowałem plan. Kolejny. Miałem z tuzin pomysłów, rozważyłem różne ewentualności, ale wszystkie były fatalne w skutkach. Mam już dość kombinowania. Muszę powściągnąć moją pomysłowość ze względu na fizyczne ograniczenia. A to oznacza wykluczenie wszystkiego, co wymaga zjazdu na linie po ścianie budynku, obezwładniania strażników, przecinania przewodów systemów zabezpieczających oraz wysadzania sejfów.

Wyeliminowałem również wszystkie plany, którym brakowało strategicznie opracowanego odwrotu. Właśnie z tego powodu większość akcji kończy się fiaskiem. Gracze nie myślą wystarczająco perspektywicznie. Finał intrygi wieje nudą, to mało widowiskowa obława pozbawiona emocji, jakie niosło ze sobą wyzwanie. Dlatego ludzie popadają we frustrację i planują tylko do pewnego momentu. Później zaczynają improwizować, ufni, że starczy im talentu do opracowania odwrotu równie perfekcyjnego jak atak.

Wiem to wszystko, ponieważ przez mój gabinet przewijają się ludzie, którzy żyją z oszustwa, kradzieży i defraudacji. Mają ładne domy, posyłają dzieci do prywatnych szkół i grają w golfa z handicapem kilku uderzeń. Głosują na torysów i cenią sobie prawo i porządek, bo na ulicach nie jest już tak bezpiecznie. Ci ludzie rzadko zostają nakryci i prawie nigdy nie trafiają do więzienia. Dlaczego? Bo przewidują każdy rozwój wypadków.

Siedzę w najciemniejszym kącie parkingu w Liverpoolu. Na siedzeniu obok mnie stoi sklepowa torba z woskowanego papieru ze sznurkowymi uchwytami. W środku są moje stare rzeczy, a ja mam na sobie grafitowe spodnie, wełniany sweter i płaszcz. Jestem świeżo ogolony i mam starannie przycięte włosy. Przytrzymuję kolanami laskę. Skoro poruszam się jak inwalida, niech mi to przysporzy współczucia.

Dzwoni telefon. Nie rozpoznaję numeru. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy Bobby mógł mnie namierzyć. Powinienem był się domyślić, że to Ruiz.

- Profesorze O'Loughlin, zaskakuje mnie pan. - Głos ma ochryply i zaflegmiony. - Uważałem pana za jednego z tych, co zgłaszają się na pierwszy z brzegu posterunek policji w towarzystwie watahy adwokatów i ludzi od public relations.

- Przykro mi, jeśli pana rozczarowałem.

- Przegrałem dwadzieścia funciaków. Ale nie ma zmartwienia - idą nowe zakłady. Tym razem o to, czy zostanie pan zastrzelony.

- Jakie są notowania?

- Trzy do jednego, że uniknie pan kuli.

W tle słyszę odgłos przejeżdżających samochodów. Detektyw jest na autostradzie.

- Wiem, gdzie pan jest - oznajmia.

- Blefuje pan.

- Nie. I wiem, co pan zamierza.

- W takim razie, słucham.

- Najpierw pan mi powie, dlaczego zabił pan Elisę.

- Nie zabiłem jej. - Ruiz zaciąga się papierosem. Znowu pali. Czuję dziwną satysfakcję. - Czemu miałbym ją zabić? To właśnie u niej spędziłem noc trzynastego listopada. Była moim alibi.

- Bardzo niefortunnie dla pana.

- Chciała złożyć zeznanie, ale ja wiedziałem, że jej nie uwierzycie. Grzebalibyście w jej przeszłości i ją poniżali. Nie chciałem, żeby jeszcze raz przez to wszystko przechodziła...

Śmieje się podobnie jak Jock, jakbym był niespełna rozumu.

- Znaleźliśmy łopatę - informuje mnie. - Leżała ukryta pod stertą liści.

O czym on mówi? Skup się! Łopata stała oparta o grób Gracie.

- Chłopaki i dziewczyny z laboratorium znowu odwalili kawał dobrej roboty. Porównali próbki ziemi z łopaty z pobranymi z dołu, w którym znaleźliśmy Catherine. No i zabezpieczyli odciski palców na trzonku - są identyczne z pańskimi.

Kiedy to wszystko się wreszcie skończy? Nie chcę nic więcej wiedzieć. Przemawiam do Ruiza, kontrolując głos, aby nie brzmiał rozpaczliwie. Przekonuję go, żeby zaczął od początku i zwrócił uwagę na „czerwoną krawędź”.

- Nazywa się Bobby Morgan, nie Moran. Niech pan prze czyta dokumentację dotyczącą przypadku. Są tam wszystkie istotne elementy. Kiedy je pan poskłada...

Nie słucha mnie. To przekracza jego możliwość pojmowania.

- Może w innych okolicznościach podziwiałbym pański entuzjazm, ale mam dość dowodów - mówi. - Jest motyw, sposobność, są fizyczne ślady. Nie oznaczyłby pan lepiej terenu, na wet obsikując każdy z narożników.

- Mogę wytłumaczyć...

- Świetnie! Niech pan tłumaczy ławie przysięgłych! To urok naszego systemu prawnego - daje mnóstwo okazji do tłumaczenia. Jeśli panu nie uwierzą, można złożyć apelację w Sądzie Najwyższym, potem w Izbie Lordów, a na koniec w Europejskim Trybunale pieprzonych Praw Człowieka. Może pan spędzić resztę życia na apelacjach. To z pewnością pomaga zabić czas, kiedy się odsiaduje dożywocie.

Przerywam rozmowę i wyłączam telefon.

Opuszczam parking schodami i wychodzę na ulicę. Ciskam do kubła na śmieci stare ubranie, buty, a także torbę na ramię wraz z przemoczonymi notatkami z pokoju hotelowego. Idąc ulicą, poruszam laską w sposób, który, według mnie, świadczy o swobodzie i nonszalancji.

Na ulicach pełno kupujących, w świątecznie przystrojonych sklepach grają kolędy. Dopada mnie tęsknota za domem. Charlie uwielbia te klimaty - świętych Mikołajów w domach towarowych, wystawy sklepów i stare filmy z Bingiem Crosby nakręcone w Vermoncie.

Już mam przejść przez jezdnię, gdy na boku furgonetki z prasą dostrzegam plakat: „Pościg za zabójcą Catherine”. Pod spodem moje zdjęcie przypięte poniżej plastikowych zaczepów plandeki. Z miejsca ogarnia mnie takie wrażenie, jakbym miał na głowie neon ze strzałką skierowaną w dół.

Przede mną hotel Adelphi. Wchodzę przez obrotowe drzwi

I przecinam foyer, zmagając się z chęcią przyspieszenia kroku. Powtarzam sobie, że nie wolno mi iść za szybko ani się garbić. Głowa wysoko. Patrz przed siebie.

To okazały stary hotel kolejowy, pamiętający czasy, kiedy przyjeżdżały tu parowe pociągi z Londynu i odbijały stąd parowce do Nowego Jorku. Teraz wydaje się tak samo sterany, jak niektóre z kelnerek, które powinny już wrócić do domu i nawijać włosy na wałki.

Centrum obsługi gości hotelowych mieści się na pierwszym piętrze. Prowadzi je chucherko o imieniu Nancy. Ma trwałą ondulację na rudych włosach i czerwoną apaszkę w odcieniu szminki na ustach. Nie żąda wizytówki ani nie sprawdza numeru pokoju.

- W razie wątpliwości, proszę pytać - skwapliwie oferuje się z pomocą.

- Poradzę sobie. Muszę sprawdzić pocztę. - Siadam przy komputerze, plecami do niej.

- A właściwie, Nancy, mogłabyś coś dla mnie zrobić. Sprawdź, proszę, czy po południu odlatują jakieś samoloty do Dublina.

Kilka minut później dziewczyna drukuje mi listę. Wybieram lot późnym popołudniem i podaję jej numer karty kredytowej.

- Sprawdź również odloty do Edynburga - proszę. Unosi brwi.

Wiesz, jak to jest z dyrektorami - wyjaśniam. - Nigdy nie potrafią podjąć decyzji.

Uśmiecha się i kiwa głową.

- Poza tym dowiedz się, czy na promie na Isle of Man mają wolną kabinę.

- Bilety nie podlegają zwrotowi.

- Nie szkodzi.

Tymczasem ja wyszukuję adresy e-mailowe redakcji wszystkich największych gazet, nazwiska redaktorów odpowiedzialnych za dział wiadomości, znanych reporterów i naczelników policji. Piszę e-mail, wystukując litery pojedynczo, używając tylko prawej ręki. Lewą wsuwam pod udo, żeby powstrzymać drżenie. Zaczynam od uwiarygodnienia tożsamości - podaję nazwisko, adres, PESEL i dane dotyczące zatrudnienia. Nie wolno im pomyśleć, że to jakiś wygłup. Muszą uwierzyć, że jestem Josephem O'Loughlinem - zabójcą Catherine McBride i Elisy Velasco.

Jest kilka minut po szesnastej. Redaktorzy decydują o układzie wiadomości w porannych wydaniach. Muszę doprowadzić do zmiany jutrzejszych nagłówków. Muszę zbić z tropu Bobby'ego, pozbawić go pewności siebie.

Dotąd to on zawsze wyprzedzał mnie o dwa, trzy, cztery kroki. Jego akty zemsty były po mistrzowsku zaplanowane i perfekcyjnie przeprowadzone. Nie tylko wyrównywał winy. On to działanie rozwinął w formę sztuki. Lecz pomimo swego geniuszu może popełnić błąd. Nikt nie jest nieomylny. Skopał kobietę do utraty przytomności, bo przypominała mu matkę.

Do wszystkich zainteresowanych:

Oto moje wyznanie i świadectwo, Ja, Joseph William O'Loughlin, uroczyście, otwarcie i zgodnie z prawdą stwierdzam, że jestem odpowiedzialny za zabójstwo Catherine McBride i Elisy Vilasco,

Proszę o wybaczenie tych, którzy cierpią z powodu ich śmierci. I szczerze przepraszam wszystkie osoby, które miały o mnie lepsze zdanie.

W ciągu najbliższej doby zamierzam się oddać w ręce policji. Nie będę się chować za plecami prawników ani szukać usprawiedliwienia dla cierpień, do jakich doszło za moją przyczyną. Nie będę twierdził, że słyszałem głosy. Nie działałem pod wpływem narkotyków ani nie słuchałem podszeptów szatana. Mogłem temu wszystkiemu zapobiec. Śmierć poniosły niewinne ofiary. Każda moja godzina jest naznaczona winą.

Następnie sporządzam listę nazwisk poczynając od Catherine McBride. Wypisuję wszystko, co wiem, na temat jej zabójstwa. Następny jest Boyd Cossimo, opisuję ostatnie dni Ruperta Erskine'a, przedawkowanie narkotyku przez Sonię Dutton; pożar, w wyniku którego Esther Górski poniosła śmierć, a jej mąż został inwalidą. Elisa zamyka listę.

Nie proszę o żadne względy. Niektórzy z was zapragną dowiedzieć się więcej o moich występkach. Jeśli tak, muszą pójść moim tropem albo znaleźć osobę, która to zrobiła. Jest taki ktoś. Nazywa się Bobby Moran (alias Bobby Morgan) i pojawi się jutro rano w Centralnym Sądzie Kryminalnym w Londynie. On, bardziej niż ktokolwiek inny, rozumie, co to znaczy być jednocześnie ofiarą i sprawcą.

Z poważaniem, Joseph O'Loughlin

Pomyślałem o wszystkim poza jednym; co to wszystko będzie oznaczać dla Charlie. Bobby stał się ofiarą decyzji, którą podjęto poza nim. Robię to samo mojej córce. Mój palec zawisa nad klawiszem, którego naciśnięcie spowoduje wysłanie wiadomości. Nie mam wyboru. I maił znika w labiryncie elektronicznej poczty.

Nancy myśli, że jestem niespełna rozumu, ale rezerwuje mi loty do Dublina, Edynburga, Londynu, Paryża i Frankfurtu. Mam też rezerwację miejscówek w pierwszej klasie pociągów do Birmingham, Newcastle, Glasgow, Londynu, Swansea i Leeds. Nancy wynajęła mi również białego vauxhalla cavaliera, który czeka na mnie na dole.

Za wszystko zapłaciłem kartą debetową, która nie wymaga autoryzacji w banku. Transakcje obciążają konto funduszu powierniczego, ustanowionego przez ojca. To efekt jego niechęci do podatku spadkowego. Zakładam, że Ruiz zdążył zablokować wszystkie moje konta; to jedno pozostaje poza jego zasięgiem.

Drzwi windy się rozsuwają i ruszam przez foyer, patrząc prosto przed siebie. Kiedy wpadam na doniczkę z palmą, orientuję się, że ściąga mnie na boki. Chodzenie stało się dla mnie nieprzerwanym pasmem prób koordynacji oraz korekt, zupełnie jak sadzanie samolotu na ziemię.

Wynajęty samochód czeka przed wejściem. Kiedy schodzę po stopniach, niemal oczekuję, że lada moment ktoś położy mi rękę na ramieniu albo panicznym krzykiem zaalarmuje przechodniów. Zmagam się z kluczykami. Wyjazd zastawia rząd czarnych taksówek, ale jedna usuwa się z drogi. Jadę w strumieniu samochodów i zerkając w lusterka, staram się wybierać najkrótszą drogę z miasta.

Na czerwonym świetle spoglądam poprzez tłum pieszych na piętrowy parking. Trzy policyjne radiowozy blokują rampę przy wjeździe. Ruiz stoi oparty o drzwiczki jednego z nich i rozmawia przez radio. Ma wściekłą minę.

Kiedy światło zmienia się na zielone, wyobrażam sobie, że on patrzy na mnie, a ja salutuję mu jak as lotnictwa z pierwszej wojny światowej, który przeżył, żeby walczyć kolejny dzień.

W radiu leci jedna z moich ulubionych piosenek - „Jumping” Jack Flash”. Na studiach grałem na gitarze basowej w zespole, który nazywał się „Wrzeszczący Dick Nixons”. Nie byliśmy tak dobrzy jak Rolling Stones, ale graliśmy głośniejsze. Nie miałem pojęcia o grze na gitarze basowej, lecz na tym

instrumencie najłatwiej było markować. W tym czasie zależało mi głównie na zaciąganiu dziewczyn do łóżka, lecz niestety udawało się to wyłącznie naszemu soliście, Morrisowi Whiteside'owi, który miał długie włosy i tatuaż na torsie, przedstawiający ukrzyżowanie. Obecnie jest starszym księgowym w Deutsche Ikink.

Kieruję się na zachód ku Toxteth i parkuję cavaliera. Na pustym placu zaśmieconym popiołem z ogniska i porośniętym chwastami. Zza płotu z desek obserwuje mnie grupka nastolatków ukrytych w cieniu domu kultury. Taki bajerancki samochód widują wyłącznie na billboardach.

Dzwonię do domu. Odbiera Julianne. Jej głos, bardzo czysty i jakby dochodzący z bliska, natychmiast zaczyna drżeć.

- Dzięki Bogu! Gdzie ty jesteś? Do drzwi bez przerwy dzwonią reporterzy. Mówią, że jesteś niebezpieczny. Że policja cię zastrzeli.

Staram się sprowadzić rozmowę na inne tory.

- Wiem, kto to zrobił. Bobby chce mnie ukarać za coś, co wydarzyło się dawno temu. Nie chodzi wyłącznie o mnie. Jest cała lista osób...

- Jaka lista?

- Boyd nie żyje.

- Jak to?

- Został zamordowany. Tak samo Erskine.

- Mój Boże!

- Czy policjanci nadal obserwują dom?

- Nie wiem. Wczoraj kręciła się tu biała furgonetka. W pierwszej chwili pomyślałam, że to D.J. przyjechał dokończyć instalację centralnego ogrzewania, ale jesteśmy umówieni dopiero na jutro.

Słyszę w tle podśpiewującą Charlie. Wzruszenie ściska mi krtań.

Wiem, że policja spróbuje namierzyć tę rozmowę. W przypadku telefonów komórkowych śledzą połączenia wstecz, sprawdzając, która z wież przesyłała sygnał. Pomiędzy Liverpooliem i Londynem może być z pół tuzina przekaźników. Eliminacja każdego z nich zawęży obszar poszukiwań.

- Julianne, bądź pod telefonem, leżeli nie wróć, nie blokuj linii. To ważne. - Wsuwam komórkę pod fotel kierowcy. Kluczyki zostawiam w stacyjce. Zamykam drzwi, po czym oddalam się z opuszczoną głową i znikam w ciemnościach, zastanawiając się, czy nadal jestem obserwowany.

Dwadzieścia minut później, czując ulgę, odjeżdżam z pustego, zapuszczonego peronu podmiejskim pociągiem. W wagonach prawie nie ma ludzi.

Ruiz musi już wiedzieć o rezerwacjach na prom, na pociągi i na samoloty. Domyśli się, że chcę rozszerzyć pole poszukiwań, lecz tak czy owak musi sprawdzić każdy trop.

Ekspres do Londynu odjeżdża z Lime Street Station. Policjanci przeszukają wszystkie wagony,

liczę na to, że nie zostaną w pociągu. Parę minut po 22.30, jeden przystanek dalej, w Edge-hill wsiadam do pociąg jadącego do Manchesteru. Po północy łapię następny, jadący do Yorku. Potem czekam trzy godziny w słabo oświetlonej poczekalni na Great North Eastern Express do Londynu. Obserwuję, jak sprzątaczkki konkurują między sobą, która z nich najlepiej markuje robotę.

Płacę gotówką za bilet i wybieram najbardziej zapełniony wagon. Zataczając się jak pijany, wpadam na ludzi i mamrocze przeprosiny.

Tylko dzieci przypatrują się pijakom. Dorośli unikają kontaktu wzrokowego w nadziei, że pójde dalej i poszukam miejsca, gdzie indziej. Kiedy zapadam w sen, wszyscy pasażerowie wydają chóralne westchnienie ulgi.

7

W czasie podróży pociągiem do szkoły z internatem i do domu pochłaniałem ogromne ilości słodyczy i żułem gumę, bo w Charterhouse nam tego zabraniano. Czasem myślę, że semtex byłby mniej niebezpieczny od gumy do żucia. Peter Clavell, uczeń starszej klasy połknął jej taką ilość, że zablokowała mu jelita i lekarze musieli usuwać zator przez odbył. Nic dziwnego, że po tym wypadku guma do żucia nie była w szkole mile widziana.

W czasach szkolnych kazania ojca ograniczały się do jedenastu słów: „Nie chcę słyszeć żadnych uwag na twój temat od dyrektora szkoły”. Kiedy Charlie rozpoczynała naukę, przyrzekłem sobie, że będę zupełnie innym rodzicem. Posadziłem ją naprzeciw siebie i wygłosiłem mowę, która bardziej nadawała się dla ucznia szkoły średniej, a może nawet studenta uniwersytetu. Julianne chichotała, co z kolei rozbawiło Charlie.

- I nie bój się matematyki - zakończyłem.
- Czemu?
- Bo wiele dziewczynek obawia się cyfr. Wmawiają sobie, że to dla nich za trudne.
- Dobra - odparła Charlie, nie mając zielonego pojęcia, o czym mówię.

Zastanawiam się, czy zobacze, jak idzie do szkoły średniej. Przez wiele tygodni martwiłem się, że choroba pozbawi mnie wielu rzeczy. Teraz wydaje się błahym problemem w zestawieniu z morderstwem.

Kiedy pociąg wjeżdża na stację King's Cross, przechodzę powoli przez wagony i sprawdzam, czy na peronie są policjanci. Wsiadam tuż za starszą panią, która ciągnie ogromną walizę. Kiedy dochodzimy do barierki, ofiaruję się z pomocą, a ona z wdzięcznością kiwa głową.

- Gdzie masz swój bilet, mamó? - zwracam się do niej przy okienku biletera.

Wręcza mi go bez mrugnięcia okiem. Podaję oba bilety, a dyżurny posyła mi znużony uśmiech.

- Ciężko się rano wstaje - mówi.
- Nigdy nie przywyknę - odpowiadam, kiedy wręcza mi odcinki. Lawirując w zatłoczonej hali, przystaję przy wejściu do kiosku przed stojakiem z porannymi gazetami. - „Zabójca wyznaje -

zabiłem Catherine!" - krzyczy nagłówek w „The Sun”.

W poważnych gazetach na pierwszym miejscu informacje o rosnących stopach procentowych i groźbie strajku pocztowców. Historia Catherine - moja historia, opisana jest poniżej złożenia strony. Przechodnie sięgają ponad moim ramieniem po gazety. Nikt na mnie nie patrzy. To Londyn, miasto, gdzie ludzie chodzą wyprostowani z obojętnym wyrazem twarzy, jakby gotowi wszystkiemu stawić czoło i wszystkiego unikać. Powinni być już gdzie indziej. Proszę więc nie przeszkadzać. Nie tamować ruchu.

Równym krokiem maszeruję przez Covent Garden, mijając po drodze restauracje i ekskluzywne butik. Na Strand skręcam w lewo i idę Fleet Street, aż wyrasta przede mną gotycka fasada Old Bailey. Od prawie pięciuset lat mieści się tu sąd, a wcześniej, w średniowieczu, w każdy poniedziałek odbywały się publiczne egzekucje.

Zajmuję pozycję po drugiej stronie ulicy, przy murze, który biegnie wzdłuż alei prowadzącej nad Tamizę. Na prawie wszystkich frontowych drzwiach wiszą mosiężne tabliczki. Od czasu do czasu spoglądam na zegarek, jakbym na kogoś czekał. Obok mnie przechodzą szybkim krokiem kobiety i mężczyźni w czarnych garniturach, z aktami oraz rulonami dokumentów obwiązanymi tasiemkami.

O wpół do dziesiątej zjawiają się pierwsze ekipy z serwisów wiadomości - kamerzyści i dźwiękowcy. Stopniowo dobijają kolejni. Część fotografów taszczy drabiny i skrzynki na mleko. Reporterzy trzymają się razem na uboczu - popijając kawę ze styropianowych kubków, wymieniając ploteczki i dezinformacje.

Parę minut przed dziesiątą po mojej stronie jezdni zatrzymuje się czarna taksówka. Pierwszy wysiada Eddie Barrett; wygląda zupełnie jak Danny De Vito z włosami. Za nim wynurza się Bobby. Jest przynajmniej o dwie głowy wyższy od Barretta, ale jakimś cudem udało mu się znaleźć garnitur, który wydaje się na niego za duży.

Obaj stoją teraz niecałe piętnaście stóp ode mnie. Pochyliam głowę i chucham w dłoń. Bobby ma kieszenie płaszczu wypchane jakimiś papierami i wodnisto-niebieskie oczy. W zetknięciu z zimnym powietrzem okulary zachodzą mu mgłą. Przystaje, żeby je wytrzeć. Ruchy rąk ma opanowane. Reporterzy wypatrzyli Eddiego i czekają z wycelowanymi kamerami oraz reflektorami.

Widzę, jak Bobby pochyla głowę. Jest za wysoki, żeby ukryć twarz. Reporterzy zasypują go pytaniami, Eddie Barrell kładzie mu rękę na ramieniu. Bobby odskakuje jak oparzony, Kamera telewizyjna celuje dokładnie w jego twarz. Błyskają flesze. Tego się nie spodziewał. Nie przygotował planu.

Barrett stara się przeprowadzić go szybko po stopniach sądu i między łukami podcieni. Fotografowie tłoczą się i przepychają, jeden z nich niespodziewanie się przewraca. Bobby stoi nad nim z uniesioną pięścią. Najbliżej stojący ludzie chwytają go za ramiona, a Eddie toruje drogę, machając teczką jak kosą. Zanim zamkną się drzwi sądu, ostatnią rzeczą, jaką widzę, jest głowa

Bobby'ego ponad tłumem.

Pozwalam sobie na przelotny uśmiech, nic więcej. Nie wolno mi żywić przesadnej nadziei. Staję przed wystawą sklepu z pamiątkami, pełnej cukrowych Mikołajów oraz zielonych i czerwonych strzelających krakersów. Na wystawie są też zegary w kształcie pysków reniferów z nosami, które świecą w ciemności. Wykorzystuję odbicie w szybie do obserwacji stopni przed sądem.

Wyobrażam sobie, co się dzieje wewnątrz. Łoża prasowa pełna, na galerii dla publiczności wolne tylko stojące miejsca. Eddie uwielbia popisy przed tłumem. Wniesie o odroczenie rozprawy w związku z moim nieetycznym postępkami, twierdząc, że złośliwymi, niczym niepopartymi oskarżeniami naruszyłem naturalne poczucie sprawiedliwości. Wystąpi o wystawienie nowej opinii psychologicznej, co może zająć kilka tygodni. Bła, bła, bła...

Zawsze istnieje szansa, że sędzia powie: nie i z miejsca wyda wyrok. Co bardziej prawdopodobne, przychyli się do prośby o odroczenie rozprawy i Bobby pozostanie na wolności, jeszcze bardziej niebezpieczny niż przedtem.

Kołysząc się na pieluch, powtarzam w myślach podstawowe zasady. Unikaj stania na stopach zestawionych razem. Świadomie podnoś nogi, żeby nimi nie powłóczyć. Nie obracaj się instynktownie. Wypróbowanym sposobem na przełamanie „zamrożonej pozy” jest udawanie, że przechodzę ponad wyimaginowaną przeszkodą. Muszę z boku wyglądać jak Marcel Marceau.

Przechadzam się tam i z powrotem, od przecznicy do przecznicy, ani na chwilę nie tracąc z oczu fotoreporterów, którzy cały czas kręcą się przed wejściem do sądu. Nagle rzucają się hurmem z uniesionymi aparatami. Eddie musiał zostawić samochód w pogotowiu. Bobby wychodzi na przygiętych nogach, przepycha się przez tłum i opada na tylne siedzenie. Drzwi samochodu zamykają się przy nieustannym błysku fleszy.

Powinienem to przewidzieć, być przygotowany. Utykając, schodzę na jezdnię i macham ramionami oraz laską na czarną taksówkę. Omija mnie i śmiga obok, zmuszając kawalkadę samochodów do ostrego hamowania. Następna taksówka ma żółtego koguta. Albo się zatrzyma, albo mnie przejedzie.

Kierowcy nawet nie drgnie powieka, kiedy każę mu jechać za samochodem Eddiego. Może taksówkarze bez przerwy słyszą takie polecenia.

Srebrny sedan z Bobbym jedzie wciśnięty pomiędzy dwa autobusy i sznur samochodów. Mój kierowca wskakuje w luki i jedzie slalomem po pasach, ani na chwilę nie gubiąc go z oczu. Zauważam też, że od czasu do czasu przygląda mi się we wstecznym lusterku. Szybko odwraca wzrok, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Jest młody, ma około dwudziestu lat, z rudawymi włosami i piegami na karku. Prostuje dłonie na kierownicy i bębni w nią palcami.

- Pan wie, kim jestem.

Odpowiada twierdzącym skinieniem głowy.

- Nie jestem groźny.

Spogląda mi w oczy, szukając potwierdzenia. Nie znajduje go w mojej twarzy. „Maska Parkinsona” jest jak zimna, kamienna rzeźba.

8

Teren wzdłuż kanału Grand Union jest pozbawiony urody i zaniedbany, a asfalt na ścieżce holowniczej popękany i polon dziur. Przerdzewiały płot, który oddziela tarasowo schodzące przydomowe ogródki od wody, przechyla się pod niebezpiecznym kątem. Pokryta graffiti przyczepa kempingowa bez drzwi stoi na ceglach. Z warzywnej grządki wystaje trzykołowy rowerek, na wpół zakopany w ziemi.

Odkąd Bobby wysiadł z samochodu na Camley Street, za stacją metra St Pancras, ani razu się nie obejrzał. Idę za nim, utrzymując jego tempo. Mija domek śluzowego i idzie dalej. Budynek gazowni rzuca cień na opuszczone hale fabryczne na południowym brzegu. Napisy na tablicy informacyjnej ogłaszają powstanie nowej strefy przemysłowej.

Cztery wąskie łodzie cumują na zakręcie kanału przy kamiennym murze. Trzy mają jaskrawe czerwono-zielone burty, czwarta z dziobem jak holownik ma czarny kadłub i kabinę z brązowym wykończeniem.

Bobby zwinnie wskakuje na czarną łódź i najwyraźniej puka w pokład. Czeką kilka sekund, po czym otwiera zasuwany luk. Odpycha pokrywę i otwiera drzwi pod spodem. Schodzi na dół i znika mi z oczu. Czekam na skraju ścieżki, ukryty w jeżynowych zaroślach, które chcą pochłonąć płot. Szybkim krokiem mija mnie kobieta z psem.

Upływa pięć minut. Bobby wynurza się z luku i patrzy w moją stronę. Zasuwa właz i schodzi na brzeg. Sięga do kieszeni i liczy drobne na dłoni. Potem rusza ścieżką. Podążam za nim w pewnej odległości, aż do stopni mostu. Bobby kieruje się na południe, w stronę warsztatu.

Wracam na łódź. Muszę się rozejrzeć. Polakierowane drzwi są zamknięte, ale nie na klucz. W kabinie jest ciemno. Bulaje zakryte zasłonami. Dwa schodki w dół i jestem w kambuzie. Zlew z nierdzewnej stali jest czysty. Na ścierce do naczyń schnie filiżanka.

Do saloniku prowadzi kolejne sześć schodków. To pomieszczenie z roboczym stołem pod ścianą wygląda bardziej na warsztat niż miejsce do wypoczynku. Moje oczy oswajają się z mrokiem i widzę deskę, na której wiszą na kołkach najróżniejsze narzędzia -dłuta, klucze francuskie, kombinerki, śrubokręty, nożyce do cięcia blachy, strugi i pilniki. Na półce stoją kartony z kawałkami rur, uszczelkami, wiertłami i rolkami wodoodpornej taśmy. Część podłogi zajmują puszki z farbą, środkami antykorozyjnymi, żywicą epoksydową, parafiną, smarem oraz olejem maszynowym. Pod ławą stoi przenośny generator. Z sufitu zwisa na kawałku kabla stare radio. Wszystko ma swoje miejsce.

Na przeciwległej ścianie druga, pusta deska z kołkami. Wiszą tu jedynie dwie pary skórzanych

kajdanków - jedne tuż nad podłogą, drugie pod sufitem. Moje oczy same biegną ku podłodze. Nie chcę na to patrzeć. Deski z surowego drewna i listwy są poplamione czymś bardziej intensywnym od ciemności. Zataczam się na grodzie i wracam do kabiny. Tu wszystko wydaje się pozbawione proporcji. Materac jest za duży w stosunku do łóżka. Lampa w porównaniu do stołu. Na ścianach wiszą jakieś kartki, ale jest za ciemno, żebym mógł je obejrzeć. Zapalam lampę; na moment oślepiam mnie światło. Nagle siadam. Ściany pokrywają wycinki z gazet, zdjęcia, mapki, schematy i szkice. Widzę podobiznę Charlie w drodze do szkoły i kolejne -jak gra w piłkę nożną, śpiewa w szkolnym chórze, idzie z babcią na zakupy, kręci się na karuzeli, karmi kaczkę, fest też Julianne na zajęciach z jogi, w supermarkecie, malująca ogrodowe meble, stojąca w otwartych drzwiach... Przyglądam się dokładniej i rozpoznaję recepty, odcinki biletów, biuletyny piłkarskie, wizytówki, fotokopie wyciągów bankowych i rachunków telefonicznych, mapkę uliczną, kartę biblioteczną, przypomnienie o zapłacie czesnego, mandat za parkowanie, dowód rejestracyjny samochodu...

Na małym stoliku przy łóżku piętrzy się stos brulionów z grzbietami z metalowej sprężynki. Biorę pierwszy z wierzchu i otwieram. Stronice zapelnia staranne, zwarte pismo. Na marginesach po lewej stronie odnotowane daty i godziny. Obok zapiski o wszystkich moich poczynaniach - miejsca, spotkania, czas, środek lokomocji, waga zdarzenia. To instrukcja obsługi mojego życia. Jak zostać mną!

Słyszę jakiś hałas na pokładzie. Jakby ktoś coś ciągnął, a polem przelewał. Gaszę lampę i siedzę po ciemku, starając się cicho oddychać. Ktoś opuszcza się przez luk do saloniku. Porusza się po kambuzie i otwiera szafki. Leżę na podłodze wciśnięty pomiędzy grodzie a krawędź łóżka i czuję, jak tętni mi puls na szyi.

Zaskakuje silnik. Tłoki podnoszą się i opadają, po czym wyrównują rytm. Widzę nogi Bobby'ego przez bulaje i czuję, jak przechyla się łódź, kiedy chodzi wzdłuż pokładu i odrzuca liny.

Omiatam wzrokiem kambuz i salonik. Jeśli szybko przebiegnę, może uda mi się zeskoczyć na nabrzeże, zanim wróci do sterówki. Wstając, potrącam prostokątną ramę opartą o ścianę. Chwytam ją jedną ręką, zanim runie na podłogę. W świetle sączącym się przez zasłony widzę obraz sceny na plaży: przebieralnie, budki z lodami i karuzela. Na horyzoncie szary, masywny wieloryb Charlie.

Przewracam się z jękiem, bo nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Jakby należały do kogoś innego.

Kroki powracają i wąska łajba znowu się kołysze. Bobby odrzuca cumę dziobową. Silnik pracuje na biegu i odbijamy od nabrzeża. Woda omywa kadłub. Zbieram się z podłogi, odsuwam ostrożnie zasłonę i zadzierając głowę, spoglądam przez bulaj. Widzę jedynie czubki drzew.

Pojawia się nowy dźwięk, przypominający świst silnego wiatru. Cały tlen zdaje się znikać z powietrza. Paliwo rozlewa się po podłodze i wsiąka mi w spodnie. Politurowane drewno pali się z trzaskiem. Dym gryzie w oczy i drapie w gardle. Na kolanach pełnę przez dymną zasłonę.

Czołgam się przez kambuz o kształcie litery U i docieram do saloniku. Silnik musi być w pobliżu. Słyszę dudnienie za grodzią. Uderzam głową o schody i podciągam się do góry. Właz jest zamknięty od zewnątrz. Napieram na niego barkiem. Ani drgnie. Czuję na dłoni ciepło bijące przez klapę. Muszę znaleźć inne wyjście.

Powietrze w płucach jest jak płynne szkło. Nic nie widzę, posuwam się po omacku. Na roboczym stole natrafiam dłonią na młotek i płaskie, ostre dłuto. Wycofuję się wzdłuż ściany, jak najdalej od ognia, objając się o grodzie i waląc młotkiem w bulaje. Mają wzmocnione szyby.

W grodzi kabiny są małe drzwi prowadzące do schowka. Przeciskam się przez nie, podrygując jak podduszona ryba, dopóki nie wciągnie nóg. Pod sobą mam zatłuszczony brezent i zwoje lin. Jestem chyba na przodzie łodzi. Sięgam ponad głowę i wyczuwam wgłębienie włazu. Obwodzę palcami krawędzie w poszukiwaniu zasuwki, a potem próbuję podważyć narożnik dłutem i wbić je młotkiem, lecz nie mogę się zamachnąć pod odpowiednim kątem.

Łódź zaczyna się przechylać. Woda wlewa się przez rufę. Kładę się na plecach i opieram obie stopy o pokrywę włazu. Kopię w nią... raz, drugi, trzeci, zlorzecząc przy tym i przeklinając. Drewno rozszczepia się i ustępuje. Otwór wypełnia oślepiające światło. Odwracam głowę, gdy benzyna zajmuje się ogniem i kula pomarańczowych płomieni bucha w moją stronę. Jednocześnie wyczołguję się na górę i toczę po pokładzie. Przez ułamek sekundy czuję dopływ świeżego powietrza, lecz zaraz zamyka się nade mną woda. Opadam powoli i nieubłaganie, z bezgłośnym krzykiem w myślach, aż docieram do mulistego dna. Nie, nie utonę, ja tylko przez chwilę zostanę tu, na dole, gdzie jest chłodno, ciemno i zielono.

Kiedy płuca zaczyna rozsadzać ból, odbijam się od dna, walcząc o haust powietrza. Ody głowa wynurza się na powierzchnię, przewracam się na plecy, oddychając łapczywie. Rufa łodzi znikła pod wodą. Puszki w warsztacie eksplodują z hukiem, jak granaty. Silnik zgasł, a łódź dryfuje, oddalając się ode mnie.

Brnę powoli w kierunku brzegu, grzęznąc w mule i chwytając się trzciny. Nie zwracam uwagi na wyciągniętą rękę. Pragnę jedynie położyć się i odpocząć. Nagle moje ciało wykonuje skręt. Nogi uderzają o cembrowinę kanału. Siedzę na pustej ścieżce holowniczej. Ogromne dźwigi portowe majaczą na tle szarych chmur.

Poznaję buty Bobby'ego. Chwyta mnie pod pachy i splata ręce na piersi. Dźwiga z ziemi. Niesie, dźgając podbródkiem w czubek głowy. Czuję zapach benzyny na jego ubraniu, a może na swoim. Nie krzyczę. Rzeczywistość wydaje się niewiarygodnie daleka.

Pętla z szalika zaciska się na mojej szyi, węzeł uciska tchawicę. Drugi koniec jest przywiązany do czegoś nade mną i dlatego stoję na palcach. Nogi drgają mi jak u marionetki, szukają oparcia, żeby przestał się dławić. Wciskam palce pod węzeł i odciągam go od szyi.

Jesteśmy na dziedzińcu opuszczonej fabryki. Pod murem leży stos drewnianych palet. Burze

postrącały z dachu arkusze blachy. Po ścianach spływają strumyczki wody, tworząc na niej tapetę we wzory z czarnej i zielonej mazi. Bobby odsuwa się ode mnie. Twarz ma wilgotną od potu.

- Wiem, dlaczego to robisz - mówię.

Nie odpowiada. Zdejmuje marynarkę i podwija rękawy, jakby się zabierał do jakiejś roboty. Potem siada na skrzynce i wyjmuję białą chusteczkę, żeby przetrzeć okulary. Jest niezwykle spokojny.

- Jeśli mnie zabijesz, już się nie wywiniesz.

- Kto mówi, że chcę cię zabić? - Zakłada okulary i spogląda na mnie. - To ciebie szukają. Prawdopodobnie dostanę nagrodę. - Zdradza go głos. Nie jest pewny. Słyszę w oddali syrenę. Nadjeżdża straż pożarna.

Bobby na pewno zajął do porannych gazet. Wie, dlaczego posunąłem się do tego wyznania. Policja będzie musiała wznowić wszystkie śledztwa, zbadać każdy szczegół. Sprawdzą czas, daty i miejsca, stawiając przy mnie znak zapytania. I co odkryją? Że nie mogłem zabić żadnej z tych osób. Wtedy zaczną się zastanawiać, dlaczego się przyznałem. Być może postawią również znak zapytania przy nazwisku Bobby'ego. Czy za każdym razem zapewnił sobie alibi? Na ile dokładnie pozacierał ślady? Muszę trzymać go w niepewności.

- Wczoraj odwiedziłem twoją matkę. Pytała o ciebie. Bobby nieznacznie napina mięśnie, jego oddech zmienia rytm.

- Chyba wcześniej nie widziałem Bridget, ale musiała być piękną kobietą. Alkohol i papierosy nie wpływają korzystnie na cerę. Niestety nie miałem okazji poznać twego ojca, myślę jednak, że też bym go polubił.

- Nic o nim nie wiesz - wyrzuca z siebie.

- Nieprawda. Sądzę, że łączy mnie coś z Lennym... i z tobą. Muszę każdą rzecz rozebrać na części, żeby zobaczyć jak działa. Dlatego cię odszukałem. Pomyślałem, że pomożesz mi coś zrozumieć.

Nie odpowiada.

- Odtworzyłem większą część tej historii - wiem o Erskynie i Lucasie Duttonie, sędzi McBride oraz Mel Cossimo. Ale nie pojmuję, czemu ukarałeś wszystkich poza osobą, do której czujesz największą nienawiść.

Bobby zrywa się na równe nogi, nadymając policzki jak jedna z tych jadowitych ryb, które strzelają zatrutymi kolcami. Jego twarz jest teraz tuż przy mojej. Widzę nabrzmiałą żyłkę, błądy niebieski guzek pulsujący nad lewą powieką.

- Nie masz nawet odwagi wymówić jej imienia, co? Ona twierdzi, że jesteś podobny do ojca, lecz to nie do końca prawda. Ilekroć spoglądasz w lustro, musisz widzieć oczy swojej matki...

Zaciska w palcach nóż. Przykłada koniec ostrza do mojej dolnej wargi, leżeli otworzę usta,

tryśnie krew. Ale nie mogę teraz przestać mówić.

- Bobby, pozwól, że ci opowiem, co do tej pory udało mi się odkryć. Widzę małego chłopca, który karmi się marzeniami ojca, a jednocześnie jest skażony agresją matki... - Nóż jest taki ostry, że nie czuję bólu. Krew ścieka z podbródka na palce, którymi cały czas chronię szyję. - ...obwinia więc siebie. Tak jak większość ofiar przemocy. Uważa się za tchórza, ciągle ucieka, popełnia błędy, bełkocze przeprosiny; nigdy nie spełnia oczekiwań, wiecznie się spóźnia, nieudacznik od urodzenia. Czuje, że powinien ratować ojca, ale zanim zrozumiał, co się dzieje, było już za późno.

- Zamknij się, do cholery! Byłeś jednym z nich. To ty go zaabiłeś! Ty pieprzony psychologu!

- Nie znałem go.

- No, jasne. Skazałeś nieznanego człowieka. Tak, przez przypadek, Ja przynajmniej dokonuję wyboru. Zrobiłeś to bez przyczyny. Bez serca.

Przez cały czas twarz Bobby'ego od mojej dzieli zaledwie kilka cali. Czytam ból w jego oczach i nienawiść w grymasie ust.

- Ten chłopiec, który za szybko dojrzewa, jest niezdarny i ma nieskoordynowane ruchy, cały czas obwinia siebie. Wrażliwy i nieśmiały, zły i zgorzkniały - nie umie rozwikłać tych uczuć. Nie potrafi wybaczać. Czuje taką samą nienawiść do świata, jak i do siebie. Robi sznyty na rękach, żeby pozbyć się jadu. Trzyma się kurczowo wspomnień o ojcu i o dawnym życiu. Nie idealnym, ale całkiem niezłym. Wspólnym.

Co się dalej dzieje? Wycofuje się z otoczenia i izoluje, najchętniej stałby się niewidzialny, żeby o nim zapomniano i żeby mógł uciec w świat wyobraźni. Opowiedz mi o swoich fantazjach, Bobby. Zapewne miło jest mieć takie miejsce, gdzie można się schronić.

- A ty próbowałeś to zepsuć. - Twarz mu płonie. Nie chce ze mną dyskutować, a jednocześnie jest dumny ze swych osiągnięć. To jest coś, czego sam dokonał. Jakaś część jego istoty pragnie wciągnąć mnie do swego świata, podzielić się ze mną euforią.

Ostrze cały czas naciska na wargę. Odrywa nóż od ust i macha mi nim przed oczami. Stara się popisać, ale nie bardzo mu to wychodzi. Niezbyt wprawnie posługuje się nożem.

Dłonie mi drętwieją od odciągania szalika. Kwas mlekowy kumuluje się w łydkach, napiętych od stania na palcach. Nie wytrzymam długo w tej pozycji.

- Bobby, co się czuje jako wszechwładny? Kiedy jest się sędzią, ławą przysięgłych i egzekutorem w jednej osobie i karze się tych, którzy na to zasłużyli? Musiałeś się przygotowywać całymi latami. Dla kogo tak naprawdę to robiłeś?

Bobby pochyla się i podnosi kawałek deski. Warczy, żebym się zamknął.

- Ach, racja, dla ojca. Faceta, którego ledwo pamiętasz. Założę się, że nie znasz tytułu jego ulubionej piosenki, nie wiesz, jakie filmy mu się podobały, kogo podziwiał. Co nosił w kieszeniach? Był prawo- czy leworęczny? Po której stronie miał przedziałek?

- Powiedziałem ci, żebyś się zamknął!

Deska zatacza szeroki łuk i uderza mnie w pierś. Brakuje mi tchu, impet obraca mną, a szalik zaciska się jak krępulec. Wierzgam nogami, żeby się odkręcić. Poruszam przy tym ustami jak podduszona ryba skrzelami.

Bobby odrzuca deskę i patrzy na mnie, jakby mówił: „A ostrzegałem”.

Chyba mam pęknięte żebra, ale powietrze z powrotem dopływa do płuc.

- Bobby, jeszcze tylko jedno pytanie. Dlaczego jesteś takim tchórzem? To oczywiste, kto zasługuje na tę całą nienawiść. Zobacz tylko, co zrobiła. Poniżała i znęcała się nad twoim tatą. Spała z innymi facetami i uczyniła z niego pośmiewisko, nawet przed kolegami. A na domiar tego wszystkiego oskarżyła go o molestowanie własnego syna...

Bobby stoi odwrócony plecami, lecz nawet cisza do niego przemawia.

- Podarła listy, które do ciebie napisał. Założę się, że znalazła i zniszczyła zdjęcia, które przechowywałeś. Chciała, żeby Lenny zniknął z jej i z twojego życia. Nienawidziła nawet jego imienia...

Bobby maleje, jakby się zapadał. Gniew obraca się w żal.

- Niech zgadnę, co było dalej. Ona miała pójść na pierwszy ogień. Zacząłeś jej szukać i odnalazłeś bez trudu. Bridget nigdy nie należała do nieśmiałych i pokornych. Jej czółenka zostawiały wielkie ślady.

Obserwowałeś ją i czekałeś. Wszystko wcześniej zaplanowałeś, co do najdrobniejszego szczegółu. I wreszcie nadszedł ten moment. Kobieta, która zniszczyła ci życie, znalazła się na wyciągnięcie ręki, wystarczyło zacisnąć palce na jej szyi. Była tuż-tuż, ale ty się zawahałeś. Nie umiałeś się na to zdobyć. Byłeś dwa razy większy od niej. Ona była bezbronna. Łatwo mogłeś ją zmiażdżyć.

Milknę, pozwalając, aby wspomnienia odżyły w jego pamięci.

- Nic się nie wydarzyło. Nie mogłeś tego zrobić. A wiesz, dlaczego? Ty się bałeś. Kiedy ją zobaczyłeś, stałeś się na powrót tamtym małym jękającym się chłopcem, z drżącą dolną wargą. Przerzała cię wtedy i przeraża do dziś.

Twarz Bobby'ego wykrzywia nienawiść do samego siebie, jednocześnie najchętniej startłby mnie z powierzchni ziemi.

- Należało kogoś ukarać. Odszukałeś więc akta swojej sprawy i listę nazwisk. I zacząłeś wymierzać sprawiedliwość wszystkim odpowiedzialnym, odbierając im to, co najbardziej kochali. Ale nigdy nie opuścił cię strach przed matką. Raz tchórz, na zawsze tchórz. Co pomyślałeś, kiedy się dowiedziałeś, że umiera? Czy rak wykonał robotę za ciebie, czy też pozbawił cię szansy?

- Pozbawił szansy.

- Ona umiera straszną śmiercią. Widziałem się z nią.

- To wszystko za mało! - wybucha. - Ona jest potworem! - Kopie metalową szpulę, która przetacza się przez podwórze. - Zrujnowała mi życie! To ona jest wszystkiemu winna!

Z ust zwisają mu nitki śliny. Patrzy na mnie, licząc na moje wsparcie. Chce, żebym powiedział: „Ty biedny popaprańcu. To wszystko jej wina. Rozumiem twoje uczucia”. Nie dam mu tej satysfakcji. Jeśli zaaprobuję jego nienawiść, nie będzie odwrotu.

- Bobby, nie mam zamiaru cię usprawiedliwiać. Przydarzyły ci się okropne rzeczy. Żle, że tak się stało. Ale rozejrzyj się wokół siebie - w Afryce dzieci umierają z głodu, odrzutowce wbijają się w budynki, bomby spadają na cywilną ludność, ludzie umierają na różne choroby, więźniowie są torturowani, kobiety gwałcone... Niektóre z tych rzeczy możemy zmienić, innych nie. Czasami musimy zaakceptować to, co się stało, i żyć dalej.

Śmieje się gorzko.

- Jak możesz tak mówić?

- Bo to prawda. I wiesz, że mam rację.

- Powiem ci, co jest prawdą. - Wpatruje się we mnie nieruchomo. Jego głos przechodzi w zdławiony pomruk. - Jest taka zatoczka przy drodze tranzytowej Great Crosby, prowadzącej na wybrzeże. Jakies osiem mil za Liverpooliem. Przy autostradzie, nieco cofnięta od drogi. Jeśli zjedziesz tam po dziesiątej wieczorem, możesz się natknąć na zaparkowany samochód. Włączasz migacz - lewy albo prawy, zależy, na co masz ochotę - i czekasz, aż samochód naprzeciwko odpowie ci tym samym. Wtedy jedziesz za nim.

Miałem sześć lat, kiedy mnie tam zabrała. - Głos mu drży. - Pierwszy raz tylko patrzyłem. To było gdzieś w stodole. Rozłożyli ją na stole jak szwedzki bufet. Nagą. Dotykały jej dziesiątki rąk. Każdy mógł robić, co chciał. Starczyło dla wszystkich. Ból. Rozkosz. To nie stanowiło dla niej różnicy. Za każdym razem, kiedy otwierała oczy, patrzyła prosto na mnie. „Nie bądź samolubem, Bobby”, mówiła. „Ucz się dzielić”.

Kołysze się lekko i patrzy prosto przed siebie, odtwarzając w myślach tamtą scenę.

- Prywatne kluby i bary dla szukających okazji były dla mojej matki zbyt konserwatywne. Wolą anonimowe, prymitywne orgie. Nie potrafię zliczyć tych, którzy się z nią zabawiali. Kobiet i mężczyzn. Tak właśnie nauczyłem się dzielić. Z początku oni brali ode mnie, ale potem przyszła moja kolej. Ból i rozkosz - spuścizna po matce.

Oczy zachodzą mu łzami. Nie wiem, co powiedzieć. Język mam spuchnięty i obolały. Zawęża mi się pole widzenia, bo do mózgu dochodzi za mało tlenu.

Chcę coś powiedzieć. Chcę powiedzieć mu, że nie jest sam. Wielu ludzi nękają złe sny, krzyczą w pustkę, przechodzą koło tego samego okna, zastanawiając się, czy skoczyć. Wiem, że jest przegrany. Uszkodzony. Ale nadal ma wybór. Nie każde molestowane dziecko tak kończy.

- Bobby, opuść mnie. Nie mogę normalnie oddychać.

Widzę jego kwadratowy kark i źle przycięte włosy. Odwraca się w zwolnionym tempie, nie patrząc mi w twarz. Ostrze błyska nad moją głową i padam na twarz, cały czas zaciskając w ręce resztki szalika. Mięśnie moich nóg schwycił skurcz. Mam w ustach smak betonowego pyłu i krwi. Przy murze walają się sterty desek i stoją oparte o siebie fabryczne zlewy. Z której strony jest kanał? Muszę się stąd wydostać.

Dźwigam się na kolana i zaczynam czołgać. Bobby zniknął. Opilki metalu wbijają mi się w dłonie. Kawałki betonu i zardzewiałe szpule tworzą tor przeszkód. Gdy docieram do bramy, widzę wóz strażacki przy kanale i pulsujące światła policyjnego radiowozu. Usiłuję krzyknąć, ale nie mogę wydobyć głosu.

Coś się dzieje. Przestałem się posuwać. Odwracam się i widzę, że Bobby przydepnął mi płaszcz.

- Twoja pieprzona arogancja zwała mnie z nóg - mówi, chwytając mnie za kołnierz i podciągając do pionu. - Myślisz, że dałem się nabrać na tę twoją psychologiczną papkę dla niemowląt? Widziałem więcej psychoterapeutów, psychologów i psychiatrów niż ty w całym życiu dostałeś zasranych prezentów urodzinowych. Byłem u specjalistów od Freuda, Junga, Adlera, Rogersa, kogo tylko chcesz i szkoda by mi było na nich pary z moich sików w chłodny dzień. - Kolejny raz przybliży twarz do mojej. - Ty mnie nie znasz. Myślisz, że wiesz, co się dzieje w mojej głowie. Gównu! Nie jesteś nawet blisko! - Przykłada mi ostrze noża tuż pod uchem. Oddychamy tym samym powietrzem.

Nieznaczny ruch nadgarstka i rozpląta mi gardło jak dojrzały melon. Tak właśnie robi. Czuję dotyk metalu na szyi. Zamierza ze mną skończyć.

W tej chwili staje mi przed oczyma Julianne - patrzy na mnie ze swej poduszki i ma włosy wzburzone po śnie. I widzę Charlie w piżamce, pachnącą szamponem i pastą do zębów. Ciekawe, czy dałoby się policzyć piegi na jej nosku. Czyż to nie okropne umierać, zanim się chociaż spróbowało?

Czuję na szyi ciepło oddechu Bobby'ego i chłód noża. Wysuwa język i oblizuje wargi. Nie wiem, dlaczego się waha.

- Chyba obaj się nie docenialiśmy - mówię, wsuwając nieznacznie rękę do kieszeni płaszcza. - Wiedziałem, że nie pozwolisz mi odejść. W twojej zemście nie ma miejsca na negocjacje. Zbyt wiele zainwestowałeś. To jedyny powód, dla którego rano wstajesz z łóżka. Dlatego musiałem oderwać się od tamtego muru.

Waha się, usiłuje przewidzieć, do czego zmierzam. Moje palce zaciskają się na rękojeści dłuta.

- Jestem chory, Bobby. Czasami mam problemy z chodzeniem. Prawa ręka funkcjonuje normalnie, ale spójrz tylko, jak drży lewa. - Unoszę kończynę, która zdaje się nie należeć do mnie. Przyciąga jego wzrok jak znanie albo oparzelina szpecąca twarz.

Prawą ręką przez płaszcz wbijam dłuto w brzuch Bobby'ego. Ześlizguje się po kości miednicy i

przebija okrężnicę. Trzy lata studiów medycznych nie poszły na marne.

Bobby osuwa się na kolana, cały czas trzymając mnie za kołnierz. Wywijam się i celując w szczękę z całej siły uderzam go pięścią. Zasłania się ramieniem, lecz mimo to trafiam go w głowę i impet ciosu powala go na plecy. Teraz wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Bobby próbuje się podnieść, a ja przybliżam się o krok i niezdarnym aczkolwiek skutecznym kopnięciem w podbródek dobijam jego głowę do podłoża.

Przyglądam się przez moment zwiniętemu na ziemi ciału. Potem jak krab wycofuję się biegiem z dziedzińca. Nogi raz łapiąc rytm, cały czas pracują. Może nie wygląda to zbyt efektownie, ale nigdy nie byłem Rogerem Bannisterem.

Przewodnik z psem szuka tropu wzdłuż brzegu kanału. Na mój widok cofa się o krok. Nie przestaję biec. Chwyta mnie dwóch policjantów. Nawet wtedy nie przestaję przebierać nogami.

- Gdzie on jest?! - wrzeszczy Ruiz, łapiąc mnie za ramię. - Gdzie jest Bobby?!

9

Najlepszą herbatę z mlekiem robiła ciocia Gracie. Zawsze wrzucała do imbryczka dodatkową miarkę herbaty i nalewała kapkę więcej mleka do mojej filiżanki. Nie wiem, skąd Ruiz wytrzasnął taki napar, ale pomaga mi wypłukać z ust smak krwi i benzyny.

Siedzę na przednim siedzeniu radiowozu i obejmując kubek dłońmi, bezskutecznie usiłuję opanować ich drżenie.

- Należałoby to opatrzyć - zauważa Ruiz. Z mojej dolnej wargi nadal sączy się krew. Dotykam jej ostrożnie językiem.

Ruiz zdiera celofan z paczki papierosów i częstuje mnie. Odmawiam, kręcąc głową.

- Wydawało mi się, że pan rzucił.

- To pańska wina. Ścigaliśmy ten cholerny wynajęty samochód przez prawie pięćdziesiąt mil. Znaleźliśmy w nim dwóch czternastolatków i jedenastoletniego smarkacza. Obstawiliśmy dworce kolejowe i autobusowe oraz lotniska... Postawiłem na nogi całą policję na północnym zachodzie.

- Niech pan poczeka, aż przyślę rachunek.

Wpatruje się w papierosa z mieszaniną uwielbienia i niesmaku.

- Ta spowiedź była sprytnym posunięciem. Bardzo twórczym. Hieny z prasy obwąchały wszystko z wyjątkiem mojej dupy; zadawali pytania, rozmawiali z krewnymi, robili dużo zamieszania. Nie zostawił mi pan wyboru.

- Znalazł pan czerwoną krawędź?

- Taa.

- Co z resztą nazwisk na liście?

- Cały czas sprawdzamy.

Opiera się o otwarte drzwi samochodu i przygląda się mi z uwagą. Spinka do krawata w kształcie Krzywej Wieży w Pizie połyskuje w promieniu słońca odbitym od wód kanału. Zatrzymuje zamyślane spojrzenie niebieskich oczu na ambulansie, zaparkowanym sto jardów dalej na tle muru fabryki.

Ból w piersi i w gardle przyprawia mnie o zawroty głowy. Zaciskam powieki, podciągając na ramiona szorstki szary koc. Ruiz opowiada mi, jak spędził noc na sprawdzaniu informacji z akt Bobby'ego. Wrzucił nazwiska do bazy danych, koncentrując się na przypadkach niewyjaśnionych zgonów.

Kilka tygodni przed śmiercią Erskine'a Bobby pracował w Hatchmere jako ogrodnik zatrudniony przez gminę. W połowie lat dziewięćdziesiątych uczestniczył razem z Catherine McBride w grupowej terapii dla samookaleczających się w ośrodku w West Kirkby.

- A co z Sonią Dutton? - pytam.
- Nic. Bobby nie pasuje do opisu dealera, który sprzedał jej narkotyki.
- Pracował w jej klubie pływackim.
- Sprawdzę to.
- Jak zwabił Catherine do Londynu?
- Przyjechała na rozmowę o pracę. Napisał pan do niej list.
- Nie napisałem.
- Bobby to zrobił za pana. Ukradł papeterię z gabinetu.
- Jak? Kiedy?

Ruiz widzi, że się męczę.

- Wspomniał pan o naszywce z napisem Novaspring na koszuli Bobby'ego. To francuska firma, która zaopatruje biura w pitną wodę. Sprawdzamy nagrania telewizji przemysłowej z centrum medycznego.

- Dostarczał wodę...
- Przechodząc swobodnie obok strażników z butlą na ramieniu.
- To wyjaśnia, jak mu się kilkakrotnie udało wejść do budynku po wyznaczonej godzinie.

Przez wyrwę w płocie widzę rozległy teren, a na nim Bobby'ego na noszach. Sanitariusz trzyma pojemnik z krwią nad jego głową.

- Wylize się? - pytam.
- Pyta pan, czy Bobby zaoszczędzi podatnikom kosztów pogrzebu?
- Tak.
- Chyba go panu nie żal?

Potrząsam przecząco głową. Może kiedyś, w odległej przyszłości, spojrzę inaczej na Bobby'ego i ujrzę maltretowane dziecko, które wyrosło na dewianta. Teraz, po tym, co zrobił Elisie i

pozostałym, cieszę się, że o mało nie zabiłem sukinsyna.

Ruiz odprowadza wzrokiem dwóch detektywów, którzy wdrapują się do ambulansu i siadają po bokach Bobby'ego.

- Według pana słów zabójca Catherine powinien być starszy, bardziej... wprawiony.
- Tak mi się wydawało.
- I wspomniał pan o tle seksualnym.

- Powiedziałem, że jej cierpienie go podniecało, ale motyw pozostawał niejasny. Jedną z możliwości była zemsta. Wie pan, to dziwne, ale nawet kiedy nabrałem pewności, że to Bobby, ciągle nie potrafiłem sobie wyobrazić, że tam był i zmuszał ją do dawania ran. To zbyt wyrafinowana forma sadyzmu. A potem z kolei wniknął w życie tylu ludzi - w moje życie. Był jak rekwizyt w tle, na który nikt nie zwraca uwagi, bo wszyscy koncentrują się na pierwszym planie.

- Pan dostrzegł go jako pierwszy.
- Potykając się o niego w ciemnościach.

Ambulans odjeżdża. Wodne ptaki zrywają się z sitowia i kołują pod bladym niebem. Szkielety drzew wyciągają gałęzie w górę, jakby chciały je stamtąd strącić.

Ruiz podwozi mnie do szpitala. Chce tam być, kiedy wywiozą Bobby'ego z sali operacyjnej. Podążamy za ambulansem wzdłuż St Pancras Way i skręcamy na podjazd przed izbą przyjęć. Prawie całkowicie straciłem władzę w nogach, gdy w moim organizmie opadł poziom adrenaliny. Gramolę się z samochodu. Ruiz żąda wózka i wiezie mnie znajomymi, wyłożonymi białą glazurą korytarzami państwowego szpitala.

Inspektor detektyw jak zwykle popełnia potworną gafę, zwracając się do dyżurnej pielęgniarki per „złotko” i radząc, by „ustaliła priorytety”. Pielęgniarka odgrywa się na mnie, wsadzając mi palce między zębra z nadmierną gorliwością. Czuję, że lada chwila zemdleję.

Młoda lekarka, który zszywa mi wargę, ma niemiłosiernie nastroszone tlenione włosy i naszyjnik z kawałków muszelek. Musiała być na wakacjach w jakimś ciepłym kraju, bo łuszczy jej się zaróżowiona skóra na nosie.

Ruiz poszedł na górę, żeby mieć oko na Bobby'ego. Nie uspokaja go obecność uzbrojonego strażnika ani świadomość, że Bobby jest pod narkozą. Może chce zrekompensować wcześniejszy brak wiary w moje słowa? Wątpię.

Leżę na wózku, starając się nie ruszać głową, kiedy igła wchodzi w wargę, przeciągając nic przez skórę. Na koniec szczękają nożyczki i lekarka odstepuje o krok, podziwiając swoje dzieło.

- A mama mi wmawiała, że nigdy nie nauczę się szyc.
- Jak to wygląda?
- Lepiej byłoby poczekać na chirurga plastyka, ale wyszło całkiem nieźle. Zostanie panu niewielka blizna, o tu. - Wskazuje zagłębienie pod swoimi ustami. - Będzie współgrać z uchem. -

Wyrzuca lateksowe rękawiczki do pojemnika. - Trzeba jeszcze zrobić prześwietlenie. Woli pan jechać czy iść?

- Pójdę.

Wskazuje windę i informuje, że na czwartym piętrze zielona linia doprowadzi mnie do radiologii. Pół godziny później Ruiz odnajduje mnie w poczekalni. Czekam, żeby radiolog potwierdził to, co już wiem ze zdjęć. Mam dwa pęknięte żebra, ale nie ma wewnętrznego krwotoku.

- Kiedy pan może złożyć zeznanie?

- Jak tylko mnie zabandażują.

- Można z tym poczekać do jutra. Podrzucę pana do domu. Ukłucie żalu zagłusza ból. Gdzie jest mój dom? Nie miałem czasu się zastanowić, gdzie spędzę dzisiejszą noc i następną.

- Niech pan wysłucha, co ona ma do powiedzenia. Powinien pan być w tym dobry - mruczy Ruiz, wyczuwając moje zakłopotanie i dorzuca na tym samym oddechu: - U mnie nie ma miejsca!

Na parterze znowu dyryguje personelem do chwili, kiedy zostaję obandażowany, a w żołądku grzechoczą mi środki przeciwbólowe i przeciwzapalne. Płynę korytarzem, podążając za Ruizem do samochodu.

- Zastanawia mnie jedna rzecz - odzywam się, kiedy jedzie my na północ w kierunku Camden. - Bobby mógł mnie zabić. Trzymał mi nóż na gardle, a jednak się wahał. Jakby nie był w stanie przekroczyć pewnej granicy.

- Mówił pan, że nie potrafił zabić matki.

- To co innego. On się jej bał. W pozostałych wypadkach nie miał obiekcji.

- No to nie musi się dłużej przejmować Bridget. Zmarła dziś rano o ósmej.

- Ach tak. Nie ma więc już nikogo.

- Niezupełnie. Odnaleźliśmy jego przyrodniego brata. Zostawiłem mu wiadomość, że Bobby leży w szpitalu.

Niepokój wzbiera we mnie, jak piętrząca się fala.

- Gdzie go znaleźliście?

- Jest hydraulikiem w północnym Londynie. Dafydd John Morgan.

Ruiz wykrzykuje rozkazy w krótkofalówkę. Wysyła radiowozy do mojego domu. Ja też krzyczę - staram się dodzwonić do Julianne z komórki, ale linia jest zajęta. Tkwimy w korku pięć minut drogi od domu. Ciężarówka przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle, blokując przy okazji Camden Road.

Ruiz wjeżdża na chodnik między pierzchających przechodniów.

- Z drogi, kretyni! Ruszać się, pierdoły! Ruszać! - wrzeszczy, wychylając się z okna.

To wszystko za długo trwa. Jest w moim domu - w moich murach. Widzę go, jak stoi w piwnicy i śmieje się ze mnie. Pamiętam wyraz jego oczu, kiedy leniwie, wyginając usta w bezczelnym

półśmiechu, przyglądał się, jak policjanci przekopują ogród.

Teraz to wszystko ma sens. Biała furgonetka, jeżdżąca za mną po Liverpoolu, należała do hydraulika. Dla niepoznaki zdjął magnetyczne tablice z drzwi. Odciski palców na kierownicy skradzionego samochodu terenowego nie należały do Bobby'ego. A rysopis dealera, który podsunął Soni Dutton podrasowaną ekstazę, pasuje do D.J., czyli jak kto woli Dafyda.

Na łodzi Bobby najpierw zapukał w pokrywę luku. To nie była jego łódź. W warsztacie leżało pełno narzędzi i sprzętu, jaki używają hydraulicy. Dzienniki i notatki należały do D.J. Bobby podpałił łódź, żeby zatrzeć ślady.

Nie mogę tak siedzieć i czekać. Od domu dzieli mnie niecałe ćwierć mili. Ruiz każe mi zostać, ale ja już otwieram drzwi samochodu i biegnę, klucząc między przechodniami, joggerami, matkami z małymi dziećmi i niańkami pchającymi wózki. O ile mnie wzrok nie myli, sznury samochodów nie przesunęły się w żadnym kierunku. Naciskam „redial”. Ciągle zajęte!

Musieli współdziałać. Jakim sposobem jedna osoba mogłaby to wszystko zrobić? Bobby za bardzo rzucał się w oczy. Był widoczny. DJ. miał siłę i umiejętność sterowania ludźmi. Nie cofał się przed niczym.

W chwili prawdy Bobby nie był w stanie mnie zabić. Nie zdobył się na ostateczny cios, bo nigdy przedtem tego nie zrobił. On zajmował się planowaniem, a wykonawcą był D.J. Starszy, z większą wprawą i bardziej bezwzględny.

Wymiotuję do kubła na śmieci i biegnę dalej, mijając po drodze lokalny sklep monopolowy, punkt przyjmowania zakładów, pizzerię, tani supermarket, lombard, piekarnię i pub Rag & Firkin. Nogi coraz wolniej mnie niosą.

Zakręcam za ostatni narożnik i widzę dom. Ani śladu policyjnych wozów. Za to stoi biała furgonetka z rozsuniętymi drzwiami, na podłodze leżą jutowe worki...

Pokonuję furtkę i wbiegam po stopniach do domu. Słuchawka jest odłożona.

Chcę zawołać Charlie, ale z ust wydobywa się tylko ciche rżenie. Moja córka siedzi w salonie ubrana w dzinsy i bluzę dresową. Na czole ma żółtą, samoprzylepną karteczkę. Rzuca się do mnie jak psiak i z impetem uderza głową w pierś. Z bólu robi mi się ciemno przed oczami.

- Bawiliśmy się w „Zgadnij, kim jestem” - opowiada. - D.J. musiał odgadnąć, że jest Homerem Simpsonem. Co dla mnie wymyślił?

Zadzierą głowę. Karteczka zawija się przy brzegach, ale poznaję drobne, staranne pismo.

JESTEŚ MARTWA

- Gdzie mama? - wyrzucam z siebie z resztką powietrza.

Przeraża ją panika w moim głosie. Cofa się o krok i widzi plamy z krwi na przepeczonej koszuli. Mam spuchniętą wargę, a szwy pokrywają strupy.

- Na dole w piwnicy. D.J. kazał mi tu zaczekać.

- Gdzie on jest?
- Powiedział, że wróci za chwilę, ale to było dawno temu. Popycham ją w stronę drzwi.
- Uciekaj, Charlie! Biegnij ile sił!
- Czemu?

- Uciekaj! Szybko! I nie zatrzymuj się ani na chwilę! Drzwi do piwnicy są zamknięte, szpara wzdłuż ościeżnicy uszczelniona mokrym papierowym ręcznikiem. Klucza nie ma w zamku. Naciskam na klamkę i ostrożnie otwieram drzwi.

Kurz wiruje w powietrzu - znak, że gdzieś pod ciśnieniem ulatnia się gaz. Nie mogę jednocześnie krzyczeć i wstrzymać oddechu. Przystaję na korytarzu pod schodami, żeby oswoić oczy z mrokiem. Na podłodze obok nowego bojlera widzę bezwładne ciało Julianne. Leży na boku, z prawą ręką pod głową, a lewą wyciąga przed siebie, jakby coś wskazywała. Ciemna grzywka opadła na jedno oko.

Kucam przy niej, chwytam ją pod ramiona i ciągnę ku wyjściu. Klatkę piersiową rozsadza mi niewiarygodny ból. Białe cętki wirują przed oczyma jak rozwścieczone owady. Ciągłe wstrzymuję oddech, ale długo tak nie wytrzymam. Pokonuję schody po jednym, podciągając za sobą Julianne i po każdym takim wysiłku przysiadam ciężko na następnym stopniu. Jeden stopień, drugi, trzeci...

Słyszę za plecami kaszel Charlie. Łapie mnie za kołnierz i żeby pomóc, podciąga mnie, kiedy ja ciągnę.

* * *

Czwarty stopień, piąty...

Wpełzamy do kuchni; głowa Julianne uderza o podłogę. Później przeproszę. Wyjąc z bólu, przewieszam ją przez ramię i biegnę chwiejnie korytarzem. Charlie biegnie przodem.

Co ma wywołać eksplozję? Regulator termostatu; czujnik centralnego ogrzewania, lodówka, oświetlenie alarmowe?

- Biegnij, Charlie! Uciekaj!

Kiedy zdażyło pociemnieć na dworze? Ulicę wypełniają pulsujące światła policyjnych radiowozów. Tym razem się nie zatrzymam. Cały czas powtarzam jedno i to samo słowo. Przebiegam przez jezdnię, lawirując między samochodami i gdy docieram na koniec ulicy, uginają się przede mną kolana, a Julianne spada na rozmiękłą trawę. Klęczę obok niej.

Ma otwarte oczy. Wybuch odbija się maleńką iskierką na środku jej ciemnobrązowych tęczęwek. Huk pojawia się ułamek sekundy później razem z podmuchem. Fala powietrza przewraca Charlie. Staram się osłonić je obie. Nie ma pomarańczowej kuli ognia, jak pokazują w filmach, jest tylko chmura dymu i kurzu. Opada na nas deszcz pyłu, ciepły oddech ognia osusza mi pot na karku.

Osmalona furgonetka leży kołami do góry na środku jezdni. Konary drzew zdobią fragmenty dachu i rynien. Ulicę pokrywa warstwa gruzu i potrzaskanych kawałków drewna.

Charlie siada i wodzi oczyma po rumowisku. Nadal ma na czole tamtą kartkę; poczerniała na brzegach, lecz napis pozostał czytelny. Przygarniam ją do piersi i mocno przytulam. Jednocześnie zamykam w palcach żółty kwadracik papieru i mnę go w zaciśniętej pięści.

EPILOG

Nadal prześladują mnie te same koszmarne sny - uciekam w nich przed wściekłymi psami i neandertalczykami, ale obecnie to wszystko wydaje się bardziej realne. Jock twierdzi, że są to skutki uboczne levodopy, mojego nowego lekarstwa.

Dwa miesiące temu zmniejszył mi dawkę o połowę. Według niego, nie jestem już tak zestresowany. Błazen! Wydzwania do mnie codziennie i pyta, czy mam ochotę zagrać w tenisa. Mówię, że nie, a on mi wtedy opowiada dowcip.

- Jaka jest różnica pomiędzy kobietą w dziewiątym miesiącu ciąży a dziewczyną z rozkładówki w „Playboyu”?

- Nie wiem.

- Nie ma żadnej, o ile jej mąż wie, co dla niego dobre.

To jeden z dowcipów lżejszego kalibru, więc ryzykuję i opowiadam go Julianne.

Śmieje się, ale nie tak głośno jak ja.

Chwilowo mieszkamy u Jocka i zastanawiamy się, czy odbudować dom, czy kupić nowy. Jock w ten sposób próbuje zrekompensować winę, ale i tak mu nie wybaczyłem. Sam tymczasem przeniósł się do swojej nowej dziewczyny, Kelly, która ma nadzieję zostać nową panią Owens. Ale do zaciągnięcia go w poblize ołtarza będzie musiała użyć działka na harpuny albo kajdanków z kutego żelaza.

Julianne usunęła wszystkie gadzety Jocka i wyczyściła zamrażarkę z przeterminowanych gotowych dań. A potem poszła kupić pościel i ręczniki.

Poranne mdłości przestały jej na szczęście dokuczać i z każdym dniem robi się większa (za wyjątkiem pęcherza). Twierdzi, że to chłopiec, bo tylko mężczyźni potrafią być tak uciążliwi. Kiedy to mówi, zawsze patrzy na mnie. A potem się śmieje, ale nie tak głośno jak ja.

Wiem, że mi się przygląda. Nawzajem się obserwujemy. Może dopatruje się objawów choroby, a może nie do końca mi ufa. Wczoraj się pokłóciliśmy - po raz pierwszy, odkąd próbujemy skleić nasz związek. Wybieramy się na tydzień do Walii i zarzuciła mi, że zawsze odkładam pakowanie na ostatnią chwilę.

- Nigdy niczego nie zapominam.

- Nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Powinieneś wcześniej się tym zająć. To mniej stresujące.

- Dla kogo?
- Dla ciebie.
- Ale to nie ja jestem zestresowany.

Po pięciu minutach chodzenia wokół niej na paluszkach, wdzięczny za przebaczenie, postanowiłem postawić grubą kreskę.

- Dlaczego kobiety, kiedy się zakochają, zawsze próbują zmieniać mężczyzn?
- Bo mężczyźni potrzebują pomocy - oświadczyła, jakby to było oczywiste.
- Jeżeli stanę się takim mężczyzną, jakiego chcesz, nie będę już tym, kim jestem.

W odpowiedzi jedynie wywróciła oczyma, ale od tamtej pory jest mniej najeżona. Dziś rano usiadła mi na kolanach, zarzuciła ręce na szyję i pocałowała mnie z żarliwością, jaką podobno małżeństwo zabija.

- Fuj! - powiedziała Charlie i odwróciła głowę.
- Co się stało?
- Wy się całujecie po francusku.
- Co to znaczy „całować się po francusku”?
- Ślinicie jeden drugiego. Pogładziłem Julianne po brzuchu.
- Nie chcę, aby nasze dzieci kiedykolwiek dorosły - szepnąłem.

Nasz architekt umówił się ze mną przy dziurze w ziemi. Pozostały tam jedynie schody, które prowadzą donikąd. Siła wybuchu wypchnęła betonową podłogę w kuchni przez dach, bojler wylądował na podwórku dwie ulice dalej. Podmuch wybił prawie wszystkie szyby w okolicy, trzy domy nadają się do rozbiórki.

Charlie twierdzi, że tuż przed wybuchem widziała kogoś w oknie na pierwszym piętrze. Według opinii ekspertów, jeśli ktokolwiek się tam znalazł, to wyparował, co tłumaczyłoby fakt, że nie znaleziono ani paznokcia, ani kawałka tkanki czy choćby jednego zęba. Ja z kolei zadaję sobie pytanie, po co D.J. miałby zostać w pobliżu po tym, jak odkręcił gaz i ustawił czas wybuchu bojlera? Miał dość czasu, aby się oddalić, chyba, że zaplanował to jako „zakończenie” w każdym znaczeniu tego słowa.

Charlie nie rozumie, jak mógł coś podobnego nam zrobić. Któregoś dnia zapytała mnie, czy myślę, że poszedł do nieba. Miałem ochotę odpowiedzieć: „Mam nadzieję, że zdechł”.

Od dwóch miesięcy nikt go nie widział, a jego konta bankowe pozostają nienaruszone. Nie ma żadnych informacji, aby próbował wyjechać z kraju, ubiegał się o pracę, wynajął pokój, kupił samochód czy zrealizował czek.

Ruiz zebrał fakty dotyczące jego przeszłości. D.J. urodził się w Blackpool. Jego matka, szwaczka, wyszła za Lenniego pod koniec lat sześćdziesiątych. Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy D.J. miał siedem lat. Wychowywali go dziadkowie ze strony matki, dopóki

Lenny się ponownie nie ożenił. Wtedy dostał się w ręce Bridget.

Podejrzewam, że jego doświadczenia nie różniły się od przeżyć Bobby'ego, jednak nie ma dwojga dzieci, u których przemoc seksualna czy sadyzm wywołują takie same reakcje. Lenny był najważniejszą osobą w życiu obu chłopców i jego śmierć legła u podstawy całego nieszczęścia.

D.J. odbył praktykę zawodową w Liverpoolu i zdobył dyplom mistrzowski jako hydraulik. Podjął pracę w miejscowej firmie, gdzie ludzie wspominają go raczej z lękiem niż z sympatią. Któregoś wieczoru w barze pokaleczył kobiecie twarz stłuczoną butelką tylko dlatego, że nie śmiała się z jego dowcipu.

Zniknął pod koniec lat osiemdziesiątych i pojawił na nowo w Tajlandii, gdzie prowadził bar i burdel. Dwóch nastoletnich ćpunów, którzy próbowali przemycić z Bangkoku kilo heroiny, zeznało na policji, że spotkali się z dostawcami w barze D.J., lecz on zdążył wyjechać z kraju, zanim ktokolwiek skojarzył jego związek z tą wpadką.

Pojawił się w Australii, gdzie pracował na budowach na wschodnim wybrzeżu. W Melbourne wkradł się w łaski anglikańskiego pastora i został kierownikiem schroniska dla bezdomnych. Przez chwilę wydawało się, że zszedł ze złej drogi. Żadnych bójek, złamanych nosów czy żeber pogruchootanych ciężkim butem.

Pozory bywają złudne. Policja w Wiktorii prowadzi obecnie śledztwo w związku z zaginięciem w okresie czterech lat sześciu pensjonariuszy schroniska. Wiele z czeków wystawianych przez opiekę społeczną na ich nazwiska było realizowanych do chwili, kiedy półtora roku temu D.J. powrócił do Anglii.

Nie wiem, jak odnalazł Bobby'ego, ale w końcu to nie takie trudne. Biorąc pod uwagę różnicę wieku między nimi przed wyjazdem D.J. z kraju, właściwie byli sobie obcy. A jednak połączyło ich wspólne pragnienie.

Marzenia Bobby'ego o zemście były zwykłymi fantazjami, natomiast D.J. ze swoim doświadczeniem i brakiem empatii potrafił je urzeczywistnić. Jeden był architektem, drugi budowniczym. Bobby miał twórcze wizje, D.J. narzędzia. Produktem końcowym był zmyślny psychopata.

Prawdopodobnie torturowali i zabili Catherine na łodzi. Bobby obserwował mnie dostatecznie długo, by wiedzieć, gdzie ukryć ciało. Wiedział również, że dziesięć dni później będę na cmentarzu. Któryś z nich musiał zadzwonić na policję z budki w pobliżu bramy. A przestawienie przeze mnie łopaty przy grobie Gracie było makabrycznym przypadkiem, który okazał się tragiczny w skutkach.

Po paru tygodniach inne elementy układanki również zaczęły pasować do całości. Bobby dowiedział się o moich problemach z instalacją wodno-kanalizacyjną od mojej matki, która słynie z tego, że zanudza wszystkich wokół opowieściami o dzieciach i wnukach. Nawet pokazała Bobby'emu album ze zdjęciami i plany budynku, które musieliśmy złożyć w urzędzie miasta, żeby

uzyskać zgodę na renowację.

D.J. porozrzucił ulotki reklamowe do wszystkich skrzynek na listy na naszej ulicy. Każde małe zlecenie stanowiło kolejną rekomendację i pomagało przekonać do niego Julianne. Kiedy go najęła i znalazł się w naszym domu, wszystko już szło gładko, chociaż o mało nie zawalił sprawy, gdy Julianne nakryła go w moim gabinecie. Wtedy wymyślił na poczekaniu historyjkę o intruzie, którego spłoszył. A do gabinetu wszedł, żeby sprawdzić, czy nic nie zginęło.

Bobby stanie przed sądem pod koniec miesiąca. Nie przyznaje się do winy i prawdopodobnie zostanie uniewinniony. Zarzuty są poważne, ale proces będzie mieć charakter poszlakowy. Żaden z konkretnych dowodów nie wskazuje na niego jako na zabójcę Catherine, Elisy, Boyda, Erskine'a, Soni Dutton czy Esther Górski.

Ruiz mówi, że potem się to wszystko skończy, ale nie ma racji. Ta sprawa nigdy nie zostanie zamknięta. Spróbowano ją zamknąć dawno temu i patrzcie tylko, co się stało. Jeśli zlekceważymy jeden błąd, jesteśmy skazani na powtarzanie go w przyszłości. Trzeba cały czas myśleć o białym niedźwiedziu.

Wydarzenia sprzed świąt rozmywają się w pamięci. Rzadko wracamy do nich w rozmowach, lecz wiem, że któregoś dnia same wypłyną. Czasami późną nocą słyszę trzask zamykanych drzwi samochodu albo ciężkie kroki na ścieżce i wtedy ogarnia mnie niepokój. Bywa, że dopada mnie smutek, depresja, uczucie frustracji i lęku. Łatwo mnie przestraszyć. Wyobrażam sobie, że jestem obserwowany przez ludzi czających się w klatkach schodowych lub samochodach. Przyglądam się twarzy kierowcy każdej białej furgonetki.

To typowe reakcje w przypadkach szoków i urazów. Może dobrze, że o tym wiem, choć z drugiej strony chciałbym przestać analizować swoje uczucia i zachowania.

Oczywiście nadal jestem chory; obecnie zostałem objęty programem badawczym prowadzonym przez jedną z klinik. Fenwick mi to załatwił. Raz na miesiąc jadę do kliniki, przypinam identyfikator do kieszonki koszuli i przerzucam „Country Life”, czekając na swoją kolej.

Kierownik laboratorium zawsze częstuje mnie radosnym:

- Jak się dzisiaj mamy?

- No, skoro pan pyta, mamy Parkinsona.

Odpowiada mi znużonym uśmiechem, daje zastrzyk, każe wykonać parę testów na koordynację, nagrywając mnie kamerą wideo, żeby zmierzyć stopień i częstotliwość drżączki.

Wiem, że choroba będzie się nasilała. Ale co tam! Udało mi się. Wielu ludzi cierpi na parkinsonizm. Nie wszyscy jednak mają piękną żonę, kochającą córkę i następne dziecko w drodze.